

**DAVID  
BALDACCI  
MANIPULACJA**

Przełożył JERZY MALINOWSKI

*Po co marnować czas na odkrywanie prawdy,  
skoro można tak łatwo ją wykreować?*

- Cytowana osoba poprosiła o anonimowość,  
ponieważ nie była upoważniona do wypowiedzania się na  
temat prawdy.

# PROLOG

- Dick, potrzebna mi wojna.
- Jak zwykle dobrze pan trafił, panie Creel.
- To nie ma być typowy konflikt.
- Pan nigdy nie ma typowych życzeń.
- Musisz to jakoś opakować. Oni muszą uwierzyć, Dick.
- Zrobię tak, że uwierzą we wszystko.

# ROZDZIAŁ 1

Dokładnie o godzinie zero czasu uniwersalnego, innymi słowy o północy, na najpopularniejszym portalu internetowym pojawił się obraz torturowanego człowieka.

Pierwsze cztery słowa, które wypowiedział, zapamięta na zawsze każdy, kto je słyszał.  
- Jestem trupem. Zostałem zamordowany.

Mówił po rosyjsku, ale wystarczyło kliknąć, żeby u dołu obrazu pojawiły się napisy w dowolnym języku świata. Tajna policja Federacji Rosyjskiej biła jego i jego rodzinę, aż „przyznał” się do zdrady. Jemu udało się uciec i nakręcić to amatorskie wideo.

Ten, kto trzymał kamerę, musiał być porządnie wystraszony albo pijany, a może jedno i drugie. Obraz był ziarnisty, a kamera drżała.

Człowiek na filmie powiedział, że jeśli to wideo ukaże się w Internecie, to znaczy, że zbiry działające na zlecenie rządu dopadły go, a on jest już trupem.

Jaką popełnił zbrodnię? Chciał tylko wolności.

- Takich jak ja są dziesiątki tysięcy - obwieścił światu. - Ich kości spoczywają w zmarzniętej tundrze Syberii i głębinach jeziora Bałchasz w Kazachstanie. Wkrótce zostaną ujawnione dowody. Kiedy mnie zabraknie, pojawią się inni, którzy podejmą walkę.

Ostrzegł także, że kiedy uwaga świata skupiona jest na Osamie bin Ladenie, powraca dawny demon zła, a jego moc jest miliony razy większa i znacznie bardziej śmiertelna niż wszystkie połączone siły muzułmańskich renegatów.

- Nadszedł czas, żeby świat poznał CAŁĄ PRAWDĘ! - wykrzyknął do kamery, a potem wybuchnął płaczem.

- Mam na imię Konstantin. Miałem na imię Konstantin - poprawił się. - Dla mnie i mojej rodziny jest już za późno. Jesteśmy martwi. Moja żona i trójka dzieci nie żyją. Nie zapomnijcie o mnie i o tym, dlaczego umarłem. Nie pozwólcie, żeby moja rodzina zginęła nadaremno.

Obraz i dźwięk na ekranie zniknął, w zamian pojawił się grzyb atomowy, a u dołu ekranu nałożony został złowieszczy tekst: *Najpierw Rosjanie, potem reszta świata. Czy możemy pozwolić sobie na bierność?*

Jakość była kiepska, efekty amatorskie, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Konstantin i jego biedna rodzina ponieśli najwyższą ofiarę, żeby reszta świata miała szansę żyć.

Pierwsza osoba, która zobaczyła nagranie, programista komputerowy z Houston, była zszokowana. Przesłał plik e-mailem do dwudziestu swoich przyjaciół z listy adresowej. Następna osoba, która zobaczyła film kilka sekund później, mieszkała we Francji i cierpiała na bezsenność. Szlochając, rozesłała plik do pięćdziesięciorga przyjaciół. Trzeci internauta pochodził z Republiki Południowej Afryki i był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył, że zadzwonił do BBC, a potem przesłał link do ośmiuset „najbliższych” znajomych. Nastolatka z Norwegii obejrzała nagranie ze zgrozą i przesłała je do wszystkich osób, jakie знаła. Kolejny tysiąc ludzi, którzy zobaczyli Konstantina, mieszkał w dziewiętnastu różnych krajach. Każdy z nich wysłał e-mail do trzydziściorga swoich znajomych, a każde z tych trzydziściorga do następnego tuzina. To, co zaczęło się jako kropla wody w oceanie Internetu, szybko przybrało rozmiary tsunami.

Wideo rozprzestrzeniało się po świecie z zawrotną prędkością, wywołując wszędzie olbrzymie zamieszanie. Z błoga na blog, z chatu na chat, z e-maila na e-mail ludzie przekazywali sobie dramatyczne wołanie Konstantina. Wkrótce cały glob poczuł się zagrożony przez szalonych, żądnych krwi Rosjan. Minęły trzy dni od dramatycznego apelu Konstantina, a cały świat miał jego imię na ustach. Nawet ci, którzy nie mieli pojęcia, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych czy papieżem, wiedzieli wszystko o martwym Rosjaninie.

Z Internetu wiadomość przeniosła się do prasy znajdującej się poza głównym nurtem. Wkrótce gorączka opanowała także takie tytuły jak „New York Times” czy „Wall Street Journal”. Następnie przyszła kolej na telewizję: od Kanał 1 w Niemczech po BBC, od ABC News i CNN po kontrolowaną przez władze telewizję w Chinach. Stąd był już tylko krok, by wiadomość stała się częścią zbiorowej świadomości, by zagościła w duszach i sumieniach wszystkich ludzi.

Wezwanie „Pamiętajcie o Konstantinie” było słyszalne na wszystkich siedmiu kontynentach.

Rosyjski rząd stanowczo wszystkiemu zaprzeczał. Prezydent Gorskow wystąpił nawet w międzynarodowych stacjach telewizyjnych i zdementował pogłoski, oświadczając, że jest to absolutne kłamstwo. Przedstawił nawet „oczywiste” dowody, że taka osoba jak Konstantin nigdy nie istniała. Mimo to niewiele osób mu uwierzyło. Gorskow był niegdyś oficerem KGB. Rosyjski rząd od góry do dołu pełen był faszystowskich demonów. Dziennikarze całego świata od lat informowali o tym opinię publiczną. Tyle że dotychczas nikt się tym nie przejmował - z prostego powodu - bo nie dotyczyło to bezpośrednio ich życia.

Teraz mieli martwego Konstantina i grzyb atomowy i nagle okazało się, że ma to ogromne znaczenie.

Oczywiście nie brakowało sceptyków, którzy mieli poważne wątpliwości, kogo i co Konstantin i jego film właściwie reprezentują. Gotowi byli dokładnie zbadać historię zmarłego mężczyzny. Cała reszta uznała, że widziała i słyszała dość, żeby wyrobić sobie jednoznaczny pogląd.

Ani Rosja, ani reszta świata nie dowiedziała się, że Konstantin był świeżo upieczonym aktorem z Łotwy, a jego „obrażenia” i „wycieńczony” wygląd były efektem perfekcyjnej charakteryzacji i odpowiedniego oświetlenia. Po nakręceniu sceny zmył makijaż, pozbył się przebrania i zjadł porządny lunch w rosyjskiej herbaciarni przy Pięćdziesiątej Siódmej w Nowym Jorku, wydając część z pięćdziesięciu tysięcy dolarów, które zarobił na tych zdjęciach. Ponieważ władał także hiszpańskim i miał śniadą cerę oraz wyraziste rysy twarzy, jego największym marzeniem było otrzymanie głównej roli w hiszpańskojęzycznej operze mydlanej.

Tymczasem świat nigdy nie miał już być taki jak przedtem.

## ROZDZIAŁ 2

Nicolas Creel niespiesznie dopił gin Bombay Sapphire z tomkiem i włożył marynarkę. Wybierał się na spacer. Tyle że na spacer chodzili zwyczajni ludzie. Szefowie olbrzymich korporacji podróżowali wysoko nad głowami motłochu. Kiedy podczas krótkiego lotu wzdłuż rzeki Hudson do Jersey wyglądał przez okno śmigłowca, drapacze chmur pod nim przypominały mu, jak daleko zaszedł. Creel urodził się w zachodnim Teksasie, na jałowych bezkresnych równinach, bez których wielu urodzonych tam ludzi nie wyobrażało sobie życia.

W Teksasie spędził dokładnie rok swojego życia, a potem wraz z ojcem, sierżantem amerykańskiej armii, przeniósł się na Filipiny. Zwiedził jeszcze po kolei siedem innych państw, które prowadziły przeróżne wojny, aż wreszcie trafił do Korei, gdzie ojciec zginął w wyniku, jak to później przedstawiła armia, bałaganu logistycznego. Owdowiała matka wyszła powtórnie za mąż, a Creel kilka lat później wylądował w college'u, który ukończył z tytułem inżyniera. Uzbierał w końcu fundusze na studia magisterskie, ale po sześciu miesiącach zrezygnował, wybierając życie w realnym świecie.

Jego ojciec żołnierz nauczył go jednego: Pentagon kupuje więcej sprzętu niż ktokolwiek inny i płaci za niego wygórowaną cenę. Co więcej, wystarczyło rzucić wyższą cenę, a oni się zgadzali. W końcu to nie były ich pieniądze. A cóż się łatwiej wydaje, jeśli nie cudze pieniądze? To rzeczywiście musiał być dobry interes, bo wkrótce Creel sam przekonał się, jak łatwo sprzedać armii sedesy za kwotę dwunastu tysięcy dolarów i młotki za dziewięć tysięcy i zalegalizować tę transakcję w Kongresie.

Przez następne kilkadziesiąt lat Creel budował to, co w tej chwili było największym na świecie koncernem zbrojeniowym, Ares Corporation. Według „Forbesa” znajdował się na czternastym miejscu naliście najbogatszych ludzi świata, z majątkiem szacowanym na dwadzieścia miliardów dolarów.

Jego zmarła matka była z pochodzenia Greczynką, miała ognisty temperament i niepokromioną ambicję, które odziedziczyła wraz z ciemnymi łagodnymi oczami po przodkach. Po śmierci ojca Creela wyszła za mąż za człowieka stojącego wyżej na drabinie socjoekonomicznej. Ojczym wysłał go do szkoły z internatem, zresztą nie najlepszej. Dzieciaki bogatych tatusiów miały wszystko, czego zapragnęły, a on musiał znosić ich

sztyderstwa i oszczędzać każdego centa. Ale dzięki tym doświadczeniom stał się twardszy i bardziej odporny.

Swojej firmie nadał imię greckiego boga na cześć matki, którą kochał nad życie. Był bardzo dumny z tego, co wytwarzała jego firma. Jego studwudziesięciometrowej długości jacht nosił nazwę *Shiloh*, od najkrwawszej jednodniowej bitwy wojny secesyjnej.

Creel, chociaż urodził się na amerykańskiej ziemi, nigdy nie uważał się za zwykłego Amerykanina. Ares Corp. miała swoją siedzibę w Stanach, ale Creel był obywatelem świata i już wiele lat wcześniej zrzekł się amerykańskiego obywatelstwa. To tylko ułatwiało mu interesy, bo żaden kraj nie miał monopolu na wojnę. I chociaż spędzał w Stanach Zjednoczonych tyle czasu, ile chciał, armia prawników i księgowych pracowała nad tym, żeby znaleźć w gąszczu amerykańskich przepisów podatkowych jakąś lukę.

Już dawno temu Creel zrozumiał, że najlepiej zadba o własny interes, powiększając swój majątek. Każdy duży kontrakt na dostawę broni z firmy Ares dotyczył wszystkich pięćdziesięciu stanów. Kosztowne kampanie reklamowe bardzo wyraźnie podkreślały ten fakt.

„Tysiąc dostawców w całej Ameryce sprawi, że poczujesz się bezpieczny” - obwieszczał głos lektora. Brzmiało to bardzo patriotycznie. A wszystko to w jednym tylko celu. Gdyby jakiś biurokrata usiłował ukrócić działalność firmy, wszystkich pięćuset trzydziestu pięciu członków Kongresu poderwałoby się natychmiast z miejsc i zatłukło go za próbę odebrania pracy ich ludziom. Creel z powodzeniem zastosował tę samą procedurę w kilku innych krajach. Podobnie jak na wojnę, Amerykanie nie mieli też monopolu na przebiegłych polityków.

Wojskowe odrzutowce zbudowane w zakładach Ares latały po niebie nad największymi imprezami sportowymi świata, w tym World Series, Super Bowl czy World Cup. Jak można było nie dostać gęsiej skórki, kiedy nad głową przelatywała eskadra maszyn, z których każda kosztowała sto pięćdziesiąt milionów dolarów i mogła bez trudu w jednym ataku zabić każdego mężczyznę, kobietę czy dziecko. Ten przerażający majestat miał w sobie coś poetyckiego.

Roczny budżet firmy na marketing i lobbing wynosił trzy miliardy dolarów. Przy tak olbrzymich nakładach nie było kraju chcącego kupić broń, który nie słyszałby wyraźnego przekazu: *Jesteśmy potężni. Jesteśmy z tobą. Dzięki nam będziesz bezpieczny. Uczynimy cię wolnym.* Obrazy były równie zniewalające: przyjęcia przy grillu i parady, powiewające flagi, dzieci salutujące do przejeżdżających czołgów i przelatujących nad głowami samolotów, ponure miny żołnierzy przedzierających się przez terytorium nieprzyjaciela.



Żaden kraj nie potrafił się oprzeć takiemu przekazowi. No, może tylko Francja, ale wyjątek potwierdza regułę.

Sposób, w jaki pisano scenariusze reklam, sprawiał wrażenie, że potężna Ares Corp. rozdaje broń z pobudek patriotycznych i nie trzyma się ściśle budżetu. Podobnie było z przekonywaniem ministerstw obrony do zakupu kosztownych zabawek, które nigdy nie miały zostać użyte, żeby nie wspomnieć o takich drobiazgach jak kamizelki kuloodporne czy gogle noktowizyjne. Ta strategia sprawdzała się przez całe dziesięciolecie.

Ale czasy się zmieniały. Wyglądało na to, że ludzie są zmęczeni wojną. Frekwencja na urządzanych co roku przez Ares Corp. targach od pięciu lat z rzędu malała. Obecnie budżet marketingowy przekraczał przychody netto całej firmy. Oznaczało to tylko jedno: nie kupowano tego, co Creel chciał sprzedać.

Dlatego teraz siedział w eleganckim pomieszczeniu budynku należącym do firmy. Dobrze zbudowany mężczyzna naprzeciwko był ubrany w dżinsy i wojskowe buty, wyglądał jak niedźwiedź grizzly bez futra. Twarz miał opaloną i pobrużdżoną, na policzku wgłębienie po kuli albo bliznę po ospie. Był szeroki w ramionach i miał wielkie, groźnie wyglądające dłonie.

Creel nie miał zwyczaju witania się uściskiem dłoni.

- Zaczęło się - powiedział Creel.

- Widziałem towarzysza Konstantina. - Mężczyzna nie mógł powstrzymać się przed lekkim uśmiechem, kiedy wypowiadał te słowa. - Powinien za to dostać Oscara.

- Program *60 minut* przygotowuje na ten weekend specjalne wydanie na jego temat. Piszą o nim wszystkie gazety. A ten idiota Gorszkow tylko nam ułatwił robotę.

- A co z incydentem?

- Ty masz go wywołać - odparł Creel.

- Przecież ciągle coś się dzieje.

- Nie interesuje mnie wojna, która kończy się po stu dniach albo zamienia w porachunki gangów na ulicach. To nie wystarczy nawet na opłacenie rachunku za elektryczność, Caesar.

- Proszę przedstawić mi plan, a ja go wprowadzę w życie, panie Creel. Jak zawsze.

- Bądź w gotowości.

- Pan płaci - odparł Caesar.

- Pewnie, że tak.

W drodze powrotnej do siedziby Ares Corp. Creel patrzył z góry na betonową trawę miasta i jego stalowe świątynie. *To nie jest zachodni Teksas, Nick.*

Nie chodziło oczywiście tylko o pieniądze. Ani o przetrwanie firmy. Creel miał dość pieniędzy, a czy coś zrobi, czy nie, Ares Corp. i tak przetrwa. Nie, chodziło o to, żeby świat wrócił na właściwe tory. Dawno temu pozawierano złe sojusze. Creel był już zmęczony patrzeniem, jak słabi i dzicy dyktują swoje warunki silnym i cywilizowanym. To szaleństwo trwało zbyt długo. Zamierzał więc wszystko uporządkować. Ktoś mógłby zarzucić mu, że bawi się w Boga. Cóż, w pewnym sensie tak. Ale nawet dobry Bóg czasem musiał używać gwałtu i przemocy, by osiągnąć cel. Creel zamierzał postąpić identycznie.

Na początek pojawi się cierpienie.

Będą duże straty.

Jak zawsze. W końcu jego ojciec też był ofiarą walki o zachowanie hegemonii najpotężniejszego mocarstwa, więc Creel zdawał sobie sprawę, jak wielkich potrzeba poświęceń. Ale w ogólnym bilansie okaże się, że warto było ponieść ofiary.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu. Twórca Konstantina wiedział niewiele.

Caesar też wiedział niewiele.

Tylko Creel wiedział wszystko.

Jak Bóg.

# ROZDZIAŁ 3

- Co oznacza litera A? - mężczyzna zapytał płynną angielszczyzną z lekkim holenderskim akcentem.

Shaw spojrzał na człowieka stojącego naprzeciw niego przy odprawie paszportowej na lotnisku Schiphol, piętnaście kilometrów na południowy zachód od Amsterdamu. Jeden z największych portów lotniczych świata znajdował się pięć metrów pod poziomem morza, otoczony zewsząd tonami wody. Shaw zawsze uważał to za szczyt sztuki inżynierskiej. Z drugiej strony dwie trzecie powierzchni tego kraju leżało pod poziomem morza, więc Holendrzy nie mieli specjalnie dużego wyboru, gdy szukali miejsca do lądowania dla samolotów.

- Słucham? - zapytał Shaw, choć dobrze wiedział, o co mężczyźni chodzi.

Facet wskazał w paszporcie stronę z danymi osobowymi.

- Tu. W rubryce imię wpisano tylko literę A. Co to ma oznaczać? Shaw rzucił okiem na swój paszport.

Jak przystało na przedstawiciela najwyższego narodu na świecie, Holender, ubrany w przepisowy mundur, miał metr osiemdziesiąt pięć i był tylko o dwa centymetry wyższy od przeciętnego Holendra, ale aż o osiem od potężnie zbudowanego Shawa.

- To nic nie oznacza. Matka nigdy nie nadała mi imienia, więc wymyśliłem sobie takie. A Shaw? Shaw to moje nazwisko, przynajmniej tak nazywała się matka.

- A ojciec nie sprzeciwiał się, że jego syn nie ma imienia?

- Ojciec nie jest potrzebny, żeby urodzić dziecko, wystarczy, że je spłodzi.

- Szpital nie nadał panu imienia?

- A czy wszystkie dzieci rodzą się w szpitalu? - odparł Shaw z uśmiechem. Holender zeszywniał, a ton jego głosu złądźniał.

- A więc Shaw. Irlandczyk jak George Bernard?

Holender był niezłe wykształcony. I na dodatek ciekawski. Nikt wcześniej nie pytał go o George'a Bernarda Shawa.

- Niestety, jestem Szkotem. Facetem z gór. A przynajmniej stamtąd pochodzą moi przodkowie - dodał szybko, gdyż miał przy sobie amerykański paszport, jeden z tuzina, jakimi dysponował. - Urodziłem się w Connecticut. Może był pan tam?

- Nie. Ale chętnie poleciałbym do Ameryki.

Shaw widywał już wcześniej to pożądliwe spojrzenie.

- Cóż, chodniki nie są tam ze złota i nie wszystkie kobiety wyglądają jak gwiazdy filmowe, ale jest tam co robić i dla każdego znajdzie się miejsce.

- Może pewnego dnia... - powiedział tęsknym tonem Holender i wrócił do swoich obowiązków. - Przyjechał pan w interesach czy turystycznie?

- Jedno i drugie. Dlaczego muszę wybierać? Mężczyzna zachichotał.

- Coś do zadeklarowania?

- *Ik heb niets aante geuen.*

- Mówi pan po holendersku? - zapytał zaskoczony.

- Przecież wszyscy mówią.

Mężczyzna roześmiał się i wbił do paszportu Shawa tradycyjny stempel z tuszu zamiast jakichś nowoczesnych hologramów, których używa się w niektórych krajach.

- Miłego pobytu - powiedział Holender, oddając Shawowi paszport.

- Tak właśnie zamierzam spędzić tu czas - odpowiedział Shaw i ruszył w kierunku wyjścia.

Pociąg dowiózł go do Centraal Station w Amsterdamie w dwadzieścia minut.

Teraz powinno być coraz ciekawiej. Ale najpierw musiał odegrać pewną rolę, bo miał już towarzystwo. Śledzono go.

## ROZDZIAŁ 4

Taksówka, do której wsiadł przy dworcu kolejowym, zawiozła go do wielkiego hotelu Amstel Intercontinental. W budynku było siedemdziesiąt dziewięć ładnie urządzonych pokoi, z okien wielu z nich roztaczał się piękny widok na rzekę Amstel. Ale Shaw nie zatrzymał się tutaj dla widoków.

Zgodnie z rolą, jaką miał odgrywać przez następne trzy dni, udawał teraz turystę. Niewiele było miejsc na świecie, które lepiej nadawałyby się do takiego przedsięwzięcia niż Amsterdam. Mieszkało tu siedemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi, z czego tylko połowa była rodowitymi Holendrami. Wybrał się na przejażdżkę łodzią i z entuzjazmem fotografował miasto, które miało trzysta tysięcy mostów i więcej kanałów niż Wenecja. Jedną czwartą jego powierzchni stanowiła woda.

Największe wrażenie na nim zrobiły barki mieszkalne, których ze trzy tysiące cumowało w kanałach. Choć unosiły się na wodzie, nigdy się nie poruszały. Przechodziły z pokolenia na pokolenie albo były sprzedawane. Ciekawe, jakie to uczucie mieć taką łódź zacumowaną na stałe w jednym miejscu?

Później włożył szorty i sportowe buty i w leżącym nieopodal Oosterpark zaczął uprawiać jogging. Właściwie Shaw całe życie spędził w biegu. Ale jeżeli teraz wszystko pójdzie zgodnie z planem, to będzie mógł wreszcie zwolnić. Jeżeli coś się nie uda, będzie martwy. Podjął to ryzyko całkiem spokojnie. Właściwie już był trupem.

Siedząc w kawiarni należącej do najpopularniejszej w Amsterdamie sieci Bulldog i popijając kawę, obserwował ludzi zajętych własnymi sprawami. Wypatrzył mężczyzn, którzy nie spuszczaali z niego wzroku. To było żalosne, patrzył na ludzi, którzy mieli go dyskretnie śledzić, a zupełnie nie wiedzieli, jak się do tego zabrać.

Następnego dnia zjadł lunch w swojej ulubionej restauracji prowadzonej przez starszego Włocha, którego żona cały dzień spędzała na czytaniu gazet przy stoliku, podczas gdy mąż był na zmianę maître d'hôtel, kelnerem, szefem kuchni, pomywaczem i kasjerem. W lokalu były tylko cztery stołki przy barze i pięć stolików, nie licząc tego zajętego przez żonę właściciela. Jeden stolik stał w przejściu i znajdował się pod specjalnym nadzorem męża. Jeżeli skinął głową, można było przy nim usiąść i zjeść, jeżeli odwrócił się, trzeba było znaleźć sobie inne miejsce do jedzenia.

Shawowi nigdy nie odmówił. Może z racji imponującej sylwetki albo ze względu na magnetyczne spojrzenie niebieskich oczu. Ale najprawdopodobniej dlatego, że właściciel restauracji i Shaw pracowali kiedyś razem i nie miało to nic wspólnego zjedzeniem i piciem.

Wieczorem Shaw włożył garnitur i wybrał się na przedstawienie operowe do Muziektheater. Po zakończonym przedstawieniu, zamiast wrócić do hotelu, ruszył w przeciwnym kierunku. Tego wieczoru przestanie udawać turystę.

Kiedy dotarł do dzielnicy czerwonych latarni, zauważył w jednej z wyjątkowo wąskich i ciemnych uliczek jakiś ruch. W cieniu stał chłopiec. Obok niego jakiś mężczyzna z rozpiętym rozporkiem i łapskiem wsuniętym w majtki chłopca.

W jednej chwili Shaw zmienił kierunek. Wszedł do zaułka i wymierzył mężczyźnie cios w tył głowy. Cios był wyważony, miał ogłuszyć, a nie zabić, choć Shaw miał wielką ochotę wykończyć drania. Kiedy mężczyzna upadł nieprzytomny na chodnik, Shaw wcisnął chłopcu w rękę sto euro i odesłał go. Teraz przynajmniej wiedział, że tej nocy chłopiec nie umrze z głodu i nie zginie.

Gdy wrócił na główną ulicę, zauważył, że dokładnie naprzeciwko domów publicznych znajdowała się giełda papierów wartościowych. W pierwszej chwili był zaskoczony, ale potem przyszło mu do głowy, że przecież zawsze pieniądze i prostytutka chodziły w parze. Ciekaw był, czy niektóre panie przyjmują zamiast euro akcje firm.

Jeszcze bardziej niż sąsiedztwo giełdy i burdeli na ironię zakrawał fakt, że w samym środku dzielnicy czerwonych latarni znajdował się Oude Kerk, Stary Kościół, najstarsza i największa świątynia w mieście. Zbudowana w tysiąc trzysta szóstym roku jako prosta drewniana kaplica, przez następne dwa stulecia była przebudowywana i powiększana. Jakiś trefniś wmurował nawet w chodnik przy wejściu rzeźbę z brązu przedstawiającą nagie kobiece piersi. Shaw był w Oude Kerk niejeden raz. Najbardziej zastanawiała go seria rzeźb na ławkach chóru, przedstawiająca wypróżniających się mężczyzn. Przypuszczał, że w tamtych czasach msze musiały bardzo długo trwać.

Kiedy dotarł do samego centrum dzielnicy nieprawości, otaczali go święci i grzesznicy, Bóg i dziwki. Holendrzy nazywali tę dzielnicę *walletjes*, czyli „niskie mury”. Zwykło się uważać, że to, co działo się za tymi murami, pozostawało za nimi. Dzisiaj Shaw bardzo na to liczył.

Dzielnica czerwonych latarni była niewielka, ale ileż się tam mieściło rzeczy. prostytutki najpiękniej wyglądały nocą. Wiele z nich olśniewało wschodnioeuropejską urodą. Te zostały tu zwabione i stały się ofiarami, jak zwykle się mówi, handlu żywym towarem. Jak na ironię, te nocne dziwki były tu głównie na pokaz. Kto miałby ochotę przekroczyć

zmysłowe progi domu publicznego, kiedy tysiące oczu na ulicy patrzą na niego? Rano i po południu było tu spokojniej i wtedy właśnie klienci składali wizyty mniej urodziwym, ale kompetentnym paniom z drugiej czy trzeciej zmiany.

Pokoje, w których prostytutki przyjmowały klientów, trudno było przeoczyć, ich okna były oświetlone jaskrawoczerwonymi neonami. Shaw mijał okno za oknem, za którymi kobiety stały, tańczyły, pozowały w wyuzdanych pozach. Większość ludzi przychodziła tutaj, żeby się pogapić, a nie cudzołożyć, choć trzeba przyznać, że przychody z prostytucji wynosiły rocznie pół miliarda euro.

Shaw spuścił wzrok i podążył do miejsca przeznaczenia. Był już prawie na miejscu.

# ROZDZIAŁ 5

Dziewczyna w oknie była młoda i piękna, a jej kruczoczarne włosy spadały swobodnie na nagie ramiona. Miała na sobie tylko białe stringi, szpilki na nogach i tani naszyjnik wciśnięty pomiędzy obfite piersi. Wokół brodawek nakleiła łuski nasion słonecznika. Ciekawa kompozycja, pomyślał Shaw.

Przedarł się przez tłum i nawiązał z dziewczyną kontakt wzrokowy. Powitała go w drzwiach, a on potwierdził swoje zainteresowanie jej osobą. Nawet w butach na wysokich obcasach była o dobre trzydzieści centymetrów niższa od niego. W oknie wydawała się większa. Na wystawie wszystko wygląda na większe. I lepsze. Dopiero kiedy przyniesie się zakupy do domu, okazuje się, że to nic specjalnego.

Zamknęła drzwi i przesunęła czerwone zasłony w oknie - widomy znak, że jest teraz zajęta.

Pomieszczenie było małe, z umywalką, toaletą i oczywiście łóżkiem. Obok umywalki znajdował się przycisk. To był przycisk, którego prostytutki używały w razie niebezpieczeństwa. Po jego naciśnięciu natychmiast zjawiała się policja i zabierała klienta, który posunął się za daleko. Ta okolica była najlepiej pilnowaną częścią miasta - a wszystko w trosce o niezakłócone ściąganie podatków. W tylnej ścianie znajdowały się kolejne drzwi. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegały wyraźne i donośne odgłosy kolejnego zadowolonego klienta. Pokoje prostytutek dzieliły cienkie gipsowe ściany, a czasem tylko zasłona z materiału. Najwyraźniej ten biznes nie potrzebował ani wiele miejsca, ani specjalnych ozdób.

- Jesteś przystojny - powiedziała po holendersku. - I wielki - dodała, przypatrując mu się uważnie. - Cały jesteś taki duży? Bo ja tam jestem malutka - powiedziała, patrząc znacząco na jego krocze.

- *Spreekt u Engels?*- zapytał.

Skinęła głową.

- Mówię po angielsku. Trzydzieści euro za dwadzieścia minut. A za godzinę tylko siedemdziesiąt pięć. Specjalnie dla ciebie - dodała rzeczowo. Wręczyła mu napisaną po holendersku listę. U dołu strony była wersja angielska, francuska, japońska, chińska i arabska. Tytuł brzmiał: „Co robię, a czego nie robię”.

Oddał jej kartkę.



- Jest twój przyjaciel? - zapytał. - Długo czekałem, żeby się z nim spotkać. - Spojrzał na drugie drzwi.

Teraz spojrzała na niego inaczej.

- Tak, jest tam.

Odwróciła się i zaprowadziła go do drzwi w tylnej ścianie. Jej odsłonięte gładkie pośladki podrygiwały lekko, kiedy szła przed nim kocim krokiem. Nie wiedział, czy robi to z przyzwyczajenia, czy dlatego, że trudno jej było chodzić w szpilkach.

Otworzyła drzwi i wepchnęła Shawa do środka. W drugim pokoju starszy mężczyzna siedział przy stole zastawionym jedzeniem: trójkąciakiem sera, kawałkiem dorsza, kromką chleba i butelką wina.

Jego twarz pokrywała siateczka zmarszczek, miał siwą postrzępioną brodę i nieco zaokrąglony brzuch. Oczy przesłaniała stanowczo zbyt długa grzywka siwych włosów. Mężczyzna wbił wzrok w gościa.

Wskazał ręką na stół.

- Głodny? Spragniony?

W pokoju było drugie krzesło, ale Shaw postanowił na nim nie siadać. Gdyby spróbował, mężczyzna mógł go zastrzelić, bo w lewej ręce trzymał pistolet. A instrukcje były wyraźne - nie siadać. A także nie jeść i nie pić.

Shaw omiótł wzrokiem pomieszczenie. Jedyne drzwi były te, przez które wszedł. Stał tak, żeby widzieć jednocześnie drzwi i mężczyznę. I jego broń.

Potrząsnął głową i odezwał się:

- Dziękuję, ale już jadłem w De Groene Lanteerne. - To był tani trzystuletni lokal, w którym podawano tradycyjne holenderskie potrawy.

Kiedy padło to głupkowate hasło, mężczyzna podniósł się, wyjął z kieszeni kartkę papieru i wręczył ją swemu gościowi.

Shaw przeczytał adres i pozostałe informacje, potem podarł kartkę, wrzucił skrawki do ustępu i spuścił wodę. Na ten znak mężczyzna nałożył wymięty kapelusz i połatany płaszcz i wyszedł.

Shaw musiał jeszcze zostać. Stosunek seksualny trwa zwykle dłużej niż dwie minuty, nawet u nastolatków, którzy robią to pierwszy raz. Nie wiadomo przecież, czy ktoś go nie obserwuje. A właściwie wiadomo. Śledziło go kilku ludzi. Wrócił do głównego pomieszczenia, gdzie dziewczyna leżała wyciągnięta jak kot na łóżku. Okno było nadal zasłonięte, licznik wciąż bił.

- Chcesz mnie teraz przelecieć? - zapytała lekko znudzonym tonem i zaczęła ściągać majtki. - Przecież zapłaciłeś - dodała, jakby potrzebował zachęty. - Za całą godzinę. Dam ci jeszcze trzydzieści euro rabatu.

- *Nee Kank u* - odparł z grzecznym uśmiechem. Jeżeli odmawiasz kobiecie seksu, rób to lepiej w jej ojczystym języku.

- Dlaczego nie? Jest jakiś problem? - zapytała wyraźnie urażona.

- Jestem żonaty - powiedział.

- Jak większość mężczyzn, którzy mnie odwiedzają.

- Wiem.

- A gdzie twoja obrączka? - zapytała podejrzliwie.

- Nie nakładam jej do pracy.

- Na pewno mnie nie chcesz? - Niedowierzenie w jej głosie było poparte takim samym spojrzeniem.

Ukrył swoje zakłopotanie. Musiała tu być zupełnie nowa, bo nie brakowało jej próżności. Starsze prostytutki byłyby zadowolone, że biorą pieniądze za nic.

- Jestem absolutnie pewny. Włożyła z powrotem majtki.

- Szkoda.

- Tak, szkoda - powtórzył. Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, za dwa dni będzie w Dublinie z jedyną kobietą, którą naprawdę kochał. I właśnie dlatego musiał stąd wyjść. Natychmiast.

Shaw zdawał sobie jednak sprawę, że nic nie jest tu pewne. Przy tego rodzaju zajęciu, jakie wykonywał, jutro oznaczało tylko kolejny dzień, w którym można zginąć.

## ROZDZIAŁ 6

*Zawsze są w to wmieszani cholerni Tunezyjczycy, Marokańczycy czy Egipcjanie. Zawsze.* Shaw powtarzał to sobie w myślach. Wystarczy jeden błąd i urwą ci jaja, a następnie każą je jeszcze zjeść. A potem powiedzą ci, że Allah im tak kazał. *Do zobaczenia w raju, niewierny. Będziesz mi tam służył całą wieczność, bogata świnió.* Znał te teksty na pamięć.

Ścisnął w prawej ręce ciężką walizkę, kiedy żyłasty Tunezyjczyk z przekrwionymi oczami, ponurą miną i wyszczerzonymi zębami klepnął go mocno w ramię.

Oprócz Shawa w niewielkim pokoju na piętrze znajdowało się jeszcze sześciu mężczyzn. To było typowe mieszkanie usytuowane przy jednym z mniejszych kanałów. Wysokie, wąskie, z liną zamiast poręczy na schodach, która pozwalała łatwiej się wspiąć. Już samo wchodzenie na piętro mogło niejednemu napędzić niezłego strachu.

Jak się Shaw dowiedział, przyczyna była historyczna. Wieki temu w tych domach pracowali kupcy. A w czasie, gdy je konstruowano, jedynymi stolarzami byli cieśle okrętowi. To właśnie oni uznali, że to, co dobre na statku, będzie też dobre w domu i dlatego budowali prawie pionowe schody. Z tego samego powodu domy miały wystający z ostatniego piętra stalowy dźwigar. Kiedyś używano go do podnoszenia towarów z łodzi, a teraz do wciągania mebli, bo nawet niewielka kanapa nie zmieści się na schodach.

Poprzedniego wieczoru Shaw opuścił dzielnicę czerwonych latarni, wrócił do hotelu i powiedział w recepcji, że zamierza się wymeldować. Pracownik hotelu był bez wątplenia opłacany przez ludzi, którzy śledzili każdy krok Shawa, i natychmiast przekazał im tę wiadomość. A ponieważ Shaw nie miał szczególnej ochoty na niechciane towarzystwo, zostawił bagaże i ubrania i wyszedł z hotelu przez piwnicę. Dlatego właśnie zatrzymał się w dużym hotelu Intercontinental, skąd było wiele wyjść. Chciał opuścić hotel niepostrzeżenie. Korzystając z informacji przekazanej przez starszego mężczyznę w pokoju dziwki, pojechał na skrzyni starej ciężarówki za miasto, gdzie ciągnęły się zielone łąki i w promieniu trzech metrów nie było żadnej wody. Zadzwoił w kilka miejsc i następnego wieczoru miał z powrotem swoją walizkę, którą teraz próbował mu wyrwać z rąk Tunezyjczyk.

Dużo potężniejszy Shaw uwolnił jednym szarpnięciem walizkę, a napastnik runął jak długi na ziemię. Tunezyjczyk podniósł się, ze złamanego nosa ciekła mu krew, a w dłoni pojawił się nóż.

Shaw odwrócił się w stronę szefa bandy, Irańczyka siedzącego na krześle jak na miniaturowym tronie, i wbił w niego wzrok.

- Chcesz, żebym pokazał wam towar? - zapytał. - To zabierz tę hienę.

Szczupły Irańczyk ubrany w nienagannie wyprasowane spodnie i luźną białą koszulę z długimi rękawami machnął ręką i nóż Tunezyjczyka natychmiast zniknął.

- Udało ci się wczoraj zgubić moich ludzi - zwrócił się do Shawa z brytyjskim akcentem.

- Nie lubię towarzystwa.

Położył walizkę na stole, wprowadził dwa kody cyfrowe, przesunął kciukiem po skanerze i otworzyły się tytanowe zamki. Shaw uważnie obserwował reakcję człowieka z Teheranu na ten niewielki prezent znajdujący się w środku. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości: wyznawcy Allaha w Holandii dostali w tym roku wcześniejszy prezent gwiazdkowy.

- Oficjalna nazwa to RDD, radiologiczne urządzenie rozsiewające, znane powszechnie jako walizkowa bomba atomowa albo brudna bomba - obwieścił Shaw w języku farsy, sprawiając, że irańczyk uniósł ze zdziwieniem brwi.

Mężczyźni zgromadzili się wokół walizki. Irańczyk ostrożnie dotknął urządzenia, przewodów, metalowej obudowy, stalowych rurek i licznych mrugających lampek.

- Jak bardzo jest brudna? - zapytał.

- Wystarczająco, żeby zniszczyć średniej wielkości amerykańskie miasto. Jak Omaha. Byłeś kiedyś w Omaha?

- Ilu ludzi?

- Kilkaset tysięcy.

Na te słowa sześcioro muzułmanów wymieniło podniecone spojrzenia.

- To maleństwo może zabić kilkaset tysięcy ludzi? Jesteś pewien? - zapytał Irańczyk.

- Nie. Tylu mieszkańców liczy sobie średniej wielkości amerykańskie miasto. To nie jest prawdziwa bomba atomowa. Po wybuchu nie będzie grzyba. Jeżeli takiej broni szukasz, to przejrzyj Internet, tam dowiesz się, jak ją skonstruować. Ale będziesz potrzebował kilku niezbędnych składników, takich jak wzbogacony uran. A to maleństwo zabije podczas wybuchu dziesięć-dwadzieścia tysięcy ludzi, a kolejne sto tysięcy będzie cierpieć na chorobę popromienną. Ale najważniejsze jest to, że w mieście nie będzie można mieszkać przez następne dziesięć tysięcy lat. Lepiej więc nie kupuj nieruchomości tam, gdzie zamierzasz ją zdetonować. - Spojrzał na Irańczyka. - Odpowiada ci? - zapytał, choć klient chyba go nie słuchał.

Irańczyk poklepał jeszcze raz walizkę i zwrócił się do Shawa.

- Cena?

Shaw wyprostował się. Przewyższał ich wszystkich wzrostem.

- Taka sama jak w ofercie, którą wysłaliśmy.

- Myślałem, że to była wstępna oferta. Chcę się potargować.

- Źle myślałeś. Cena jest niezmienna. Jeśli jej nie chcesz, jest mnóstwo innych potencjalnych kupców.

Irańczyk zrobił krok naprzód. Jego ludzie również.

- Będziesz negocjował.

Shaw poklepał zawartość walizki.

- To jest bomba atomowa, a nie komplet sztucców czy brylantowy naszyjnik.

Promocje nie są przewidziane, żadnego „dwa w cenie jednego”.

- A dlaczego nie mielibyśmy ci jej po prostu zabrać? Wziąć za darmo?

Tunezyjczyk musiał czytać w jego myślach, bo już trzymał nóż w ręku, a oczy mu płonęły, kiedy wyobrażał sobie, jak wbija ostrze po rękojeść w szyję Shawa.

- A ciebie zabić? - dokończył zupełnie niepotrzebnie Irańczyk, bo Shaw już rozumiał, co ma na myśli.

Shaw wskazał na szczelinę z boku urządzenia.

- To jest napęd płyty z oprogramowaniem zawierającym kody. Bez tej płyty nie będzie żadnego bum. Jeśli spróbujesz zdetonować bombę bez oprogramowania, przysmażysz sobie tylko dupę.

- Gdzie jest płyta?

- Nigdzie w pobliżu, możesz być pewien. Irańczyk poklepał walizkę.

- Więc urządzenie jest dla mnie bezużyteczne.

- Wszystko to zostało opisane w ofercie - odparł znużonym głosem Shaw. - Dostaniesz urządzenie po zapłaceniu połowy, a oprogramowanie wtedy, gdy druga połowa znajdzie się na odpowiednim koncie.

- I mam ci tak po prostu zaufać? - zapytał nieprzyjemnym tonem Irańczyk.

- Tak samo jak my musimy zaufać tobie. Zajmujemy się tym od dawna i żaden klient nie był niezadowolony. Zresztą wiesz to dobrze, inaczej by cię tu nie było.

Irańczyk zawahał się.

*No dalej, gnido. Musisz trochę nadszarpnąć swoją reputację w oczach kolegów, żeby dostać to złote jajo. A bardzo go pragniesz, prawda? Pomyśl, ilu Amerykanów możesz za jego pomocą załatwić.*

- Najpierw muszę do kogoś zadzwonić.

- Myślałem, że jesteś upoważniony do dokonania transakcji - rzekł poirytowany Shaw.

Irańczyk rzucił nerwowe spojrzenie na swoich kompanów, na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

- Jedna rozmowa - powiedział szybko i wyjął z kieszeni telefon. Shaw powstrzymał go ruchem ręki.

- Stop! Nie mam ochoty patrzeć, jak Interpol przerywa nasze spotkanie.

- Będę rozmawiał krótko, nikt nie zdąży mnie namierzyć.

- Naoglądałeś się za dużo filmów o brudnym Harrym. W naszym biznesie to nie pomaga.

- O czym ty gadasz? - warknął Irańczyk.

- Wiem, chłopaki, że wy żyjecie jeszcze w dziewiątym wieku, ale jeśli chcecie przeżyć, to musicie zdać sobie sprawę, że mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nie musisz paplać do słuchawki przez dwa dni, żeby cię namierzyli. Wystarczą im trzy sekundy. Satelita namierzy sygnał, weźmie koordynaty, znajdzie odpowiedni przekaźnik i da sygnał do ataku. - Shaw opowiadał bzdury, ale robiło to wrażenie. - Jak myślisz, dlaczego Bin Laden mieszka w jaskini, a rozkazy pisze na papierze toaletowym?

Irańczyk spojrział na swój telefon, jakby ten zaczął go właśnie parzyć w ręce. Shaw sięgnął powoli do kieszeni, pamiętając cały czas o krwiożerczym Tunezyjczyku, i podał swój telefon przywódcy terrorystów.

- Z szyfrotorem i dyfuzorem sygnału. To cacuszko ma takie możliwości kodowania, że nawet komputer kwantowy, jeśli ktoś go w końcu skonstruuje, nie złamie szyfru. Dzwon spokojnie, przyjacielu. Na mój koszt.

Mężczyzna wybrał numer i odwrócił się do ściany, żeby Shaw nie słyszał, co mówi, ani nie czytał z ruchu jego warg. Shaw przeniósł swoją uwagę na Tunezyjczyka.

- Lubisz pieprzyć małych chłopców, co? - zwrócił się do niego w języku, którego ani Tunezyjczyk, ani żaden z pozostałych mężczyzn na pewno nie rozumieli.

Tunezyjczyk patrzył na Shawa skonsternowany, nie rozumiejąc chińskiego dialektu z małej prowincji na południu tego komunistycznego państwa. Shaw spędził tam rok życia, dwukrotnie o mały włos nie zginął, a wydostał się w końcu dzięki pomocy pewnego chłopca i jego zdezelowanego forda. Wtedy też uznał, że warto by się nauczyć miejscowego języka, choć wcale nie zamierzał tam wracać, a przynajmniej nie dobrowolnie.

Irańczyk oddał Shawowi telefon. Shaw schował go do kieszeni.

- Zgoda - powiedział.

- Miło słyszeć - odparł Shaw, a jego zaciśnięta pięść roztrzaskała nos Tunezyjczyka. Ciężką walizką trafił kolejnych dwóch w skroń. Mężczyźni padli na ziemię bez czucia.

Chwilę później drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadło pół tuzina mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych z pistoletami maszynowymi w rękach. Narobili mnóstwo hałasu, krzycząc, żeby wszyscy podnieśli ręce i rzucili broń, jeśli nie chcą mieć na czole dziury po kulce.

I wtedy Irańczyk zrobił coś nieoczekiwanego. Zasłonił twarz rękami i przez szybę wyskoczył na zewnątrz.

Shaw podbiegł do okna pewien, że zobaczy mężczyznę martwego w postaci krwawej plamy na ulicy.

- Cholera! - zaklął.

Irańczyk wyskoczył z takim impetem, że wylądował w wodzie.

Shaw wymienił z dwoma uzbrojonymi mężczyznami zdumione spojrzenia.

- Szczepił się ktoś ostatnio przeciwko tężcowi? Bo ja bardzo dawno.

Rzucił jednemu z nich swój telefon, chwycił nóż Tunezyjczyka i zaklął. Spojrzał na parapet, pomyślał, że to, co zamierza zrobić, to szaleństwo, a następnie skoczył.

# ROZDZIAŁ 7

Jeśli nie liczyć rzek w dawnym Związku Radzieckim i może Wenecji, ostatnią rzeką, do jakiej miałby ochotę wskoczyć, była Amstel. Sławna, ale wcale nie słynąca z czystości i przejrzystości.

Shaw uderzył w taflę wody i każdy nerw w jego ciele boleśnie odczuł upadek z wysokości czterech pięt. Szybkimi ruchami ramion wypłynął na powierzchnię i rozejrzał się wokół. Nikogo nie było.

Choć Irańczyk pochodził z pustynnego kraju, musiał być dobrym pływakiem. Shaw też świetnie radził sobie w wodzie, więc kiedy wreszcie spostrzegł swoją zwierzynę, zaczął szybko płynąć w poprzek wąskiego kanału i chwycił Irańczyka za nogę, gdy ten wychodził z wody. Mężczyzna próbował się wyrwać i kopnął boleśnie Shawa obcasem w szczękę. Shawowi nie poprawiło to nastroju.

Dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie przy prześle mostu Magere Brug.

- Zdradziłeś mnie! - wrzasnął Irańczyk.

- Jakoś to musisz przeboleć.

Irańczyk przyjął wymyślną bojową postawę.

- Jestem mudzahedinem. Całe lata walczyłem w Iraku i Afganistanie. Zabiję cię gołymi rękami. I dobrze ci tak, psie!

Nim zdążył zaatakować, Shaw chwycił nóż i rzucił nim. Ostrze trafiło mężczyznę w stopę i wbiło się w drewnianą powierzchnię nabrzeża.

Irańczyk wrzasnął z bólu i próbując uwolnić kończynę, obrzucił Shawa stekiem przekleństw.

Shaw wykorzystał chwilę nieuwagi i jednym ciosem go ogłuszył. Irańczyk leżał nieprzytomny, a jego stopa wciąż była przyszpilona do deski niczym motyl do korkowej tablicy.

- Za dużo gadasz - powiedział Shaw.

Godzinę później Shaw siedział w białej furgonetce otulony kocem z filiżanką gorącej holenderskiej kawy w ręku. Obok niego zajęli miejsce dwaj mężczyźni w mundurach rzucających się w oczy dlatego, że nie było na nich żadnych znaków identyfikacyjnych, i jeden ubrany w elegancki, zdjęty prosto z wieszaka garnitur.



- Skoki do wody z okna? Do Amstel? W twoim wieku? - powiedział mężczyzna w garniturze, drapiąc się po zaczerwienionej skórze łysej, jajowatej głowy.

- Namierzyłeś rozmowę? Mężczyzna skinął głową.

- To był świetny pomysł, żeby dać mu twój telefon. Dziesięć minut temu przyszpiliśmy Mazlumiego i jego ekipę w Helsinkach. Paskudna banda. Mieli pecha. - Mężczyzna wzdrygnął się, a potem roześmiał.

Shaw nie uśmiechnął się.

- Dobrzy ludzie rzadko chcą stosować broń atomową przeciwko niewinnym. Dlatego mamy rząd.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak, i ty, Frank, też, tylko nie chcesz tego przyznać.

Frank spojrział na dwóch mundurowych i wskazał głową drzwi. Poderwali się na nogi i wyszli. Frank pochylił się w stronę Shawa.

- Słyszałem, że chcesz to rzucić.

- A jak myślisz, jak długo mogę ciągnąć?

- To było napisane małutkimi literami - aż do śmierci. A dziś już śmierć była blisko.

- Dzisiaj? Wcale nie. Na takie niebezpieczeństwo naraziłbym się, stając do walki z siostrą zakonną.

- No dobrze, ale jak będziesz miał kiedyś umierać, to nie na mojej zmianie. Nie potrzebuję kłopotów.

- Dzięki za troskę.

- Dokąd teraz?

- Do Dublina.

- Po co? - zaciekawiał się Frank.

- Urlop. A co, uważasz, że nie zasługuję po dzisiejszym wieczorze?

- Och, jedź sobie. I tak wrócisz - powiedział z przekonaniem Frank.

Shaw wstał, koc zsunął mu się z ramion, pustą filiżankę wręczył Frankowi. Swędziało go skóra i miał wrażenie, że wypadają włosy.

- Wrócę, kiedy prześlesz mi zdjęcie, na którym pływasz w Amstel. Oczywiście nago.

- Pewnie. Jesteś zadowolony, że przeszedłeś na naszą stronę?

- A miałem inne wyjście?

- Miłego pobytu w Dublinie.

- Będziesz wiedział, jak spędzam tam czas, prawda? Twoi chłopcy nie spuszczą mnie z oka.

Frank zapalił holenderskie cygaro i zza obłoku dymu uśmiechnął się znacząco do Shawa.

- Myślisz, że jesteś dla nas tak ważny, że będziemy za tobą jeździć po całym świecie?  
Boże, co za ego.

- Ty nigdy nie spoważniejesz, Frank.

# ROZDZIAŁ 8

Akcja „Pamiętajcie o Konstantynie” osiągnęła apogeum. W pięćdziesięciu krajach świata odbywały się wiece przeciwko Rosjanom, a ONZ oficjalnie poprosiło wściekłego prezydenta Gorszkowa o wyczerpujące wyjaśnienia. Tylko nieco spokojniejsze lub może bardziej sceptyczne umysły stawiały odpór narastającej fali krytyki Rosji.

Spora liczba polityków, dziennikarzy, komentatorów i doradców, zmuszona do wydania opinii, zalecała ostrożność i powstrzymanie się przed wywołaniem nowej fali oburzenia. Rodziły się kolejne pytania o autentyczność postaci Konstantina i całego nagrania, szczególnie że rząd rosyjski stanowczo wszystkim zaprzeczał i udostępnił mediom wiele tajnych dokumentów. Dwa dni po ogłoszeniu tej spektakularnej woli współpracy powszechne odczucie społeczne, że Rosja jest wcielonym złem, zaczęło nieco łagodnieć. Przywódcy świata odetchnęli z ulgą. Niestety, była to cisza przed burzą.

Minęły dwa dni i świat doznał kolejnego szoku, kiedy w sieci pojawiły się nazwiska i fotografie tysięcy Rosjan rzekomo zamordowanych przez władze. Na liście byli mężczyźni, kobiety i dzieci, młodzi, starzy, ciężarne, kaleki. Prócz personaliów i zdjęć były tam także szczegóły dotyczące ich życia i makabrycznej, tragicznej śmierci. Co gorsza, wszystkie te dokumenty zawierały oznaczenia wskazujące, że pochodzą z tajnych archiwów rosyjskiego rządu.

Odpowiedź świata była prosta i miażdżąca: „Pamiętajcie nie tylko o Konstantynie”. Wkrótce wszyscy tak zwani eksperci w tematyce wschodnioeuropejskiej zaczęli występować w mediach i oskarżać Rosję o maniackalną próbę przejęcia kontroli nad światem.

Wyglądało to tak, jakby postaci Konstantina i tysięcy innych ofiar dodały nagle ludziom odwagi i nie pozwalały dłużej milczeć. Rynek zalały kubki do kawy, T-shirty, naklejki na samochody z podobizną udręczonego Konstantina - nowego Che Guevary. Wróciły lata sześćdziesiąte i ludzi na myśl o atomowym grzybie ogarniała histeria.

Ci, którzy twierdzili, że są rodziną lub przyjaciółmi Konstantina, zaczęli pojawiać się na ekranach programów informacyjnych całego świata, opowiadając o losie człowieka, który nigdy nie istniał. Snuli swoje opowieści z takim przejęciem, jakby wydawali się całkowicie pewni, że Konstantin był postacią realną. A ponieważ został męczennikiem, znanym i

uwielbianym, oni także stali się znani i uwielbiani. Te przejmujące programy przyciągały uwagę i chwytaly za serce widzów na całym świecie.

Prowadzący talk-show zadawali im dociekliwe pytania typu: „To bardzo przygnębiające, prawda?” albo „Gdyby żył, jak sądzisz, jakie przesłanie przekazałby milionom naszych widzów?”.

Na kanale BBC jeden z mężczyzn wygłosił rozsądną opinię: „W świecie, w którym brakuje energii, a jeszcze bardziej wody, w którym każdego dnia pojawiają się nowi wrogowie, Rosjanie nie chcą zejść na dalszy plan, znaleźć się za Chinami, Indiami czy Stanami Zjednoczonymi”. Mężczyzna dodał jeszcze, że Rosjanie próbowali wprowadzić demokrację, ale niewiele ich ona obchodziła. Rosyjski niedźwiedź jeszcze raz pokazuje swoją potęgę, więc lepiej będzie, jeśli świat to dostrzeże.

Świat dostrzegł to, ponieważ słowa te wypowiedział nie kto inny jak Siergiej Pietrow, dawniej numer drugi w następczyni KGB, Federalnej Służbie Bezpieczeństwa. Ledwie udało mu się ujsć z życiem i uciec z ojczyzny. Teraz twierdził, że za słowa prawdy spodziewa się każdego dnia kuli, bomby albo kawy z dodatkiem polonu-210. Jakiś tajemniczy sponsor dobrze mu płacił za wszystkie wystąpienia. Ludzie wciąż próbowali dociec, czy wszystko to jest prawdą. Pietrow im w tym nie pomagał, bo nie czuł żadnego sentymentu do porzuconej ojczyzny.

Wszyscy zadawali sobie podstawowe pytanie: Kto za tym wszystkim stoi i dlaczego to robi? I choć panowała era informacji, nikt nie potrafił znaleźć prawidłowej odpowiedzi z jednego banalnego powodu - właśnie w erze informacji istniały nie miliony, ale miliardy miejsc, w których można było się ukryć.

Liczne kryzysy na Bliskim Wschodzie uległy zapomnieniu. Szalony Kim z Korei Północnej wylądował na ostatnich stronach gazet. Każdemu kandydatowi w zbliżających się wyborach prezydenckich zadawano to samo pytanie: Co zamierza pan zrobić w sprawie kraju, który ma prawie tyle samo broni jądrowej co Stany Zjednoczone i którym rządzą ludzie pragnący dominować nad światem?

Szczególnie wściekła była amerykańska opinia publiczna. Stany na Bliskim Wschodzie traciły czas, pieniądze i ludzi, a tymczasem Rosjanie w tajemnicy planowali zniszczenie wolnego świata. Rosja miała tysiące głowic atomowych gotowych do wystrzelenia w dowolny zakątek świata. Wobec takiej potęgi Bin Laden i Al-Kaida wydawali się drobnymi rzezimieszkami. Dlaczego wszyscy mądrzy ludzie tego wcześniej nie dostrzegali?

Urzędujący prezydent, który zamierzał startować ponownie w wyborach, przesunął się w rankingach z pierwszej pozycji na piątą, kiedy jego kontrkandydaci wytknęli mu zbyt miękką politykę wobec Rosji. Każdy poważniejszy magazyn zamieszczał zdjęcie Konstantina. Wszystkie programy publicystyczne, od *Hardball*, przez *Face the Nation* po *Meet the Press*, wszystkie błogi, chat-roomy nie informowały o niczym innym, jak tylko o tym, że Rosja podnosi głowę, oraz o możliwości powrotu epoki zimnej wojny, a nawet żelaznej kurtyny, dla której dowcipnicy znaleźli już nową nazwę - tytanowa trumna.

Eksperti wykrzykiwali głośno, że od dawna ostrzegali o tym potencjalnym niebezpieczeństwie i teraz jednym głosem nawoływali: „Zrzućmy atomówkę na czerwonych, zanim oni to zrobią. To jedyne rozwiązanie”.

Wielkie stacje telewizyjne w kółko pokazywały wyciągnięte z archiwów czarno-białe zdjęcia przedstawiające grzyby atomowe. Dwa pokolenia Amerykanów po raz pierwszy miały okazję zobaczyć obrazki z lat sześćdziesiątych, jak dzieci kryją się pod ławkami szkolnymi, jakby kawałek laminowanej deski i cienka szyba mogły ochronić je przed wybuchem termojądrowym. Zaraz potem pokazywano komunistyczne parady wojskowe przed Kremlm.

Jeden z komentatorów szczerze napisał: Jeśli Moskwa uderzy bronią atomową w Nowy Jork, to nie runą tylko dwa wieżowce. Runą wszystkie”.

Amerykańskie siły zbrojne, jedyna prócz trzymilionowej armii chińskiej siła zdolna przeciwstawić się Moskwie, były rozbite, spadła ich liczebność i morale, a sprzęt został zniszczony przez piaski Iraku i amatorskiej konstrukcji miny.

I choć amerykańskie lotnictwo i marynarka miały więcej sprzętu niż Rosja, to świat i tak wstrzymywał oddech. Nikt nie miał pojęcia, co ci stuknięci Rosjanie mogą zrobić. Pewne było tylko jedno.

Powróciło Imperium Zła.

Nicolas Creel odłożył gazetę i filiżankę z kawą. Leciał teraz na pułapie jedenastu kilometrów. Był dobrze poinformowany o rozwoju wypadków. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Większość ludzi przyjmowała za dobrą monetę to, co im się mówiło. Łatwo było nimi manipulować. A efekt był taki, że świat stanął na skraju przepaści.

Na zdjęciach rozpowszechnianych w światowej sieci twarze setek tysięcy najprawdopodobniej zamordowanych Rosjan patrzyły błagalnie na resztę ludzkości. Ten manewr taktyczny Creel nazywał efektem Wezuwiusza, od wulkanu, który zniszczył Pompeje i Herkulanum. Jakiegokolwiek zaprzeczenia Moskwy wydawały się niewiarygodne. Efekt Wezuwiusza był częścią czegoś, co ludzie Creela opanowali do perfekcji, a co nazywali

„Potrójne M” - *mind manipulation maneuver*, manewr manipulowania umysłem. Rosjanie nie dość, że sprawiali wrażenie kłamców, to na dodatek nieudolnych kłamców.

Creel spojrział przez okno swojego szerokokadłubowego boeinga 767. Samolot został skonstruowany do przewożenia dwustu pięćdziesięciu pasażerów. Po przeróbce stanowił dom dla dwudziestu uprzywilejowanych osób; każda z nich dysponowała własną sypialnią i łazienką. Była tu również sala gimnastyczna, sala masażu, jadalnia, sala konferencyjna, a nawet kino. Na każde zawołanie czekały trzy długonogie stewardesy w obcisłych spódniczkach z logo „Ares” na bluzkach. Ale Creel nie zwracał na nie szczególnej uwagi.

Creel miał żonę. Już czwartą. Jego ostatnia żona była Miss Świata Seksu czy coś w tym rodzaju, nie pamiętał dokładnie, jaki otrzymała tytuł. To małżeństwo było oczywiście idiotyzmem i nie mogło długo trwać. Ale na razie czerpał z niego sporo przyjemności, a ona po rozwodzie otrzymała dość pieniędzy, by wygodnie żyć. Jego dwie pierwsze żony były eleganckie, mądre, pewne siebie i doprowadzały go do obłędu. Teraz jednak wołał ślicznotki, które regularnie zmieniał, pilnując przy tym, by odchodziły z ograniczonym majątkiem.

Wyjrzał przez okno. Pod spodem były Chiny, państwo, które miało większy potencjał i większe problemy niż jakikolwiek inny kraj. Tak, to bardzo skomplikowany zakątek świata. I idealny do rozpoczęcia wojny, pomyślał Creel. O to właśnie chodziło. Zadanie wcale nie było proste. Wywołać wojnę nie jest trudno. A Nicolas Creel nie lubił iść na łatwiznę. Wołał zajmować się rzeczami, które wydawały się niemożliwe.

## ROZDZIAŁ 9

Kiedy do pokoju wdarło się światło słoneczne, Katie James jęknęła. Najwyraźniej trzy telefony z budzeniem, o które prosiła, wierząc w swej naiwności, że choć jeden z nich zdoła przedrzeć się przez mgłę zasnuwającą jej umysł, nie spełniły swojego zadania. Była zmęczona po podróży, wykończona zmianą strefy czasowej i brakiem snu, a zresztą komu chciałoby się wstawać z wygodnego łóżka i iść na pogrzeb? Półprzutomna usiadła wreszcie na łóżku i podciągnęła prześcieradło aż po szyję. Odkasznęła, potarła szyję i spojrzała na zegarek.

*O cholera! Naprawdę się spóźnię! Poczekajcie z tym umarlakiem, już biegnę.*

Skoczyła na równe nogi, pobiegła nago do łazienki i w ciągu dziesięciu minut wzięła prysznic, ubrała się i wybiegła z mokrymi włosami, zatraskując z hukiem za sobą drzwi pokoju hotelowego. Zawód przemierzającego świat dziennikarza nauczył ją przynajmniej szybkiego działania w razie potrzeby. Wspaniale, miała uczestniczyć w pogrzebie. A teraz najbardziej potrzebowała koktajlu mojito. A właściwie potrzebowała trzech z rzędu, tak na dobry początek. Potem może być bourbon. Później kilka martini, a następnie gin z tonikiem. Nie była wybredna. Uwielbiała wszystkie te trunki.

Zaczął się od tego, że zaczęła spędzać zbyt dużo czasu w barach, martwiąc się, czy dotrzyma kroku swoim kolegom piszącym jakieś kolejne głośnie artykuły. To było wtedy, gdy zdobyła drugiego Pulitzera. W tym czasie o mało nie umarła, brakowało jej alkoholu. Po zdobyciu nagrody Katie miała dość powodów, żeby się napić, choć tylko ona wiedziała, jakie to były powody.

Alkohol nie przeszkadzał jej w karierze, dopóki redaktor nie zauważył bełkotliwej mowy i zaczerwienionych po południu oczu. Od czasu do czasu zaczęła zapominać, że miała dokądś pójść, coś napisać, kogoś pocałować w dupę. Redaktor poinformował o wszystkim naczelnego i tak drogą służbową wiadomość się rozeszła po redakcji. Wszyscy chlali, ale to ona dostała się pod ostrzał i w końcu przeniesiono ją do działu, gdzie pisała o nieboszczykach.

Tak więc teraz uczestniczyła w państwowym pogrzebie ukochanego szkockiego przywódcy, który dożył absurdalnego wieku stu czterech lat. Na widok zaszuszonego człowieczka z twarzą przypominającą shar peia, ubranego w kilt i leżącego na dnie ogromnej

trumny niczym maleńka lalka w wielkim pudle na zabawki, chciało jej się raczej śmiać, niż płakać.

Tak, Katie James pracowała teraz na pełnym etacie w dziale nekrologów. Ta wieść krążyła przez kilka tygodni w dziennikarskim świątku Nowego Jorku, potem wszyscy przestali się tym zajmować.

Wszyscy prócz Katie.

Spróbowała z AA, ponieważ redaktor uzależnił od tego jej dalsze zatrudnienie. Zapomniał przy tym o dwóch Pulitzerach, które zdobyła dla gazety, i o ranie w lewym ramieniu, która nigdy się dobrze nie zagoiła. Zapomniał o przejmujących reportażach, które przywoziła z każdego ogarniętego chaosem, niebezpiecznego zakątka świata. Za wszystkie te osiągnięcia zapłaciła wysoką cenę - praktycznie nie miała życia osobistego. Odwiedziła osiemdziesiąt cztery kraje, a tylko raz poszła na randkę w ciemno z Pakistańczykiem, który wyznał, że przypomina mu jego ulubioną krowę. Niech Bóg go ma w swojej opiece. Ciekawe, czy nastawili mu już nos.

Potem, kiedy brakowało jej trzech lat do ryczącej czterdziestki, obudziła się w cudzym pokoju, u boku mężczyzny, którego nie знаła, w kraju, do którego nie wiadomo jak dotarła, cała zarzygana. To skłoniło ją do powrotu do AA. Tam wstała i powiedziała tłumowi zapelniających pokój nieznanym jej ludzi, że jest popieprzonym wrakiem, ale ma nadzieję się poprawić. Ostatni raz napiła się sześć miesięcy temu. Mimo to każdego ranka, popołudnia i wieczoru ten potwór czyhał i namawiał do złamania obietnicy, do wzięcia choćby jednego małego łyeczka. A teraz znajdowała się w Szkocji, ojczyźnie najlepszej na świecie whisky. Na samą myśl drżały jej wargi i czuła nieznośny ucisk w gardle.

Dopiero kiedy znalazła się na cmentarzu, zdała sobie sprawę, że gorączkowo poszukując w hotelowej szafie ubrań, włożyła białe rzeczy. Wyglądała jak lilia pośród posępnej czerni. Katie była wysoka i szczupła, miała długie do ramion blond włosy, wciąż jeszcze mokre, choć w drodze na cmentarz wystawiała głowę przez okno. Nie raz już mylono ją z Teą Leoni. Był jednak taki czas, kiedy to Teą Leoni mylono z nią, zwłaszcza wtedy, gdy otrzymała drugiego Pulitzerza, a jej zdjęcia obiegły cały świat.

I tylko jeden starszy pan sugerował, że podszywa się pod Shirley Easton, dziewczynę Bonda z filmu *Goldfinger*. Dawał do zrozumienia, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby zobaczyć Katie na portrecie i nic poza tym, chociaż jego dłoń ześlizgnęła się w dół i mocno ścisnęła jej pośladek. Również na jego twarzy Katie stłukła sobie pięść.

Hollywood chciało oczywiście przenieść na ekran jej wstrząsające przygody towarzyszące zdobyciu najwyższej nagrody dziennikarskiej. Zapropionowano nawet, żeby to



właśnie Tea Leoni zagrała jej postać. Katie odrzuciła wszystkie tego rodzaju propozycje. Nie chodziło tu o próżność czy ochronę prywatności. Chodziło o wstyd. O poczucie winy.

W całą sprawę była zamieszana jeszcze jedna osoba, ktoś, kto stracił życie, by ona zyskała na krótko sławę. Dziecko. Chłopiec. Częściowo przez nią zginął, a może głównie przez nią. Tego fragmentu całej historii nikt nie znał. Nikt prócz Katie. I właśnie wtedy jedyne pocieszenia mogła szukać w pełnej szklaneczce alkoholu, pozwalając, by rozlał się w niej palącym żarem i leczył rany duszy.

Chłopiec miał na imię Benham. W paszto znaczyło to odwaga, honor. Jak się przekonała, nie brakowało mu ani jednego, ani drugiego. Kręcone czarne włosy, uśmiech, który potrafił zmiękczyć najbardziej zatwardziałe serca. Dzieciak był pełen życia do chwili, gdy zostało mu ono brutalnie odebrane.

I to z jej winy. Zginął. Ona przeżyła. Ale nie cała. Część Katie umarła wraz z nim. Kiedy otrzymała drugiego Pulitzera, targaly nią takie emocje, że żaden, choćby najbardziej utalentowany, mistrz słowa nie zdołałby ich opisać. To było jej pięć minut. Wszyscy podkreślali jej odwagę i talent. Zranione ramię było owinięte grubą warstwą bandaży i ten wyraźny znak dawał jej prawo do nagrody. Tak, z całą pewnością zasługiwała na tę nagrodę. Uśmiechała się, obejmowała wszystkich zdrowym ramieniem i wytwarzała wokół siebie aureę osoby o czystym sumieniu.

Tego wieczoru wróciła do swojego nowojorskiego mieszkania sama, następnego ranka obudziła się w bieliźnie na podłodze w salonie z pustą butelką Jacka Danielsa. Nienawidziła siebie. Tak, czyste sumienie... Radziła sobie nieźle, gdyby nie to, że jej dusza była rozdarta na dwoje...

## ROZDZIAŁ 10

Katie siedziała na pogrzebie i zrobiła sporo notatek. Skomponuje z nich później tekst, który ludzie przeczytają w ciągu minuty, a w ciągu następnej o nim zapomną. Odchodząc od grobu, wymieniła uprzejmości z kilkoma nieznanymi jej osobami. Jej reputacja doznała takiego uszczerbku, że rozpoznał ją tylko jeden staruszek z „Timesa”. Posłał jej protekcyjnalny uśmiech. Miał osiemdziesiąt cztery lata. Powinien już stać się bohaterem działu nekrologów, pomyślała Katie. To wspaniałe, że jeszcze pracował i bywał na pogrzebach swoich rówieśników. Ale prawdą było też, że zjawiał się tu, bo chciał. Tymczasem Katie przybyła na pogrzeb, bo nie miała dokąd pójść.

Po powrocie do hotelu napisała artykuł. Oficjalną biografię zmarłego Szkota już wcześniej wyciągnęła z archiwum. Podobnie jak biografie wszystkich osób jakoś z nim powiązanych. Teraz pozostawało tylko opisać panującą atmosferę i przebieg wydarzeń. Istnieje niewiele sposobów na opisanie tego rodzaju wydarzenia. Ludzie są zasmuceni, płaczą, wracają do domów i żyją dalej, a zmarły, z konieczności, pozostaje.

Andrew MacDougal miał za sobą długą karierę polityczną, ale od trzydziestu lat był na emeryturze, więc dawno już zniknął opinii publicznej z oczu. Cały artykuł nie powinien przekraczać pięciuset słów. Tak długi miał być tylko dlatego, że prezes gazety Katie był Szkotem. Gdyby do artykułu miało zostać dołączone zdjęcie, bez wątpienia zmarły wystąpiłby na nim w kilcie.

Na tę myśl Katie potrząsnęła głową. Siedem godzin lotu do Londynu, potem jeszcze męczące połączenie do Glasgow. A teraz droga powrotna. I przeszła przez wszystko to dla człowieka, który zakończył swoją karierę polityczną, kiedy Katie była jeszcze dzieckiem.

Oczywiście Katie śledziła uważnie doniesienia na temat Konstantin a i całej reszty. Pozwoliła sobie nawet wysłać e-mail do swojego redaktora, sugerując w nim, że skoro już jest w podróży, to warto by polecieć do Moskwy. To, że nie pofatygował się z odpowiedzią, uznała za zły znak.

*Piszę o umarlakach, a sprzed nosa ucieka mi historia, która mogłaby zaważyć na mojej karierze. Co za pech.*

Wysłała gotowy nekrolog e-mailem i resztę dnia miała dla siebie. Właściwie mogła nawet przedłużyć swój pobyt. Nie musiała się spieszyć z powrotem. Mogła wyskoczyć do

starego Edynburga, który znajdował się o kawałek drogi na wschód. Glasgow było największym szkockim miastem i nie najlepszym miejscem dla dochodzącej do siebie alkoholiczki. Zbyt wiele tu było kuszących pubów i klubów. W Edynburgu było nieco spokojniej. Kto wie, może w tym czasie zejdzie z tego świata kolejny stuletni Szkot wart nekrologu w jej gazecie?

Katie szerokim łukiem ominęła hotelowy bar i wyszła na ulicę.

Nigdy nie miała okazji spędzić więcej czasu w Szkocji. Ważniejsze były zawsze informacje z Irlandii, przynajmniej do czasu, gdy aktywna była IRA. Na początku swojej kariery znalazła się w samym centrum strzelaniny w Belfaście. Wymiana ognia trwała pół dnia. Przykucnęła wtedy za jakimś zardzewiałym fiatem i kryjąc się przed kulami, relacjonowała przez telefon wydarzenia. Kiedy było już po wszystkim, obeszła okoliczne bary, a potem wróciła do hotelu i wzięła kąpiel. Dopiero wtedy znalazła we włosach splaszczony pocisk. Rykoszet. Zachowała tę kulkę na pamiątkę; to miał być jej amulet. Powiesiła go nawet na szyi, ale najwidoczniej dawno już przestał działać.

Katie weszła do kawiarni. Kiedy na stole pojawiła się herbata earl grey i jagodzianka, ledwie je tknęła. Zapłaciła rachunek i wyszła.

Nie znosiła tych swoich depresji, stanu, kiedy wystarczyłaby jedna popijawa, żeby ponownie zrujnować sobie życie. Zdawała sobie sprawę, że musi się zmienić, ale to nie mogło ograniczyć się do odstawienia butelki. Alkohol mógł ją zniszczyć, to prawda, ale prawdziwe demony tkwiły w niej samej i miały postać umierającego niewinnego chłopca. To był jej wyrzut sumienia.

W każdej chwili czuła, jak demony próbują nią zawładnąć. Ruszyła zatłoczoną ulicą Glasgow bardziej samotna niż kiedykolwiek.

# ROZDZIAŁ 11

Dublin był jednym z ulubionych miast Shawa. Jak nie kochać miasta, gdzie na każdym rogu znajduje się pub i księgarnia? Połowa mieszkańców nie skończyła jeszcze trzydziestu lat, a drugim w kolejności najczęściej używanym językiem był mandaryński. Młodzi, wykształceni bywalcy pubów rozstrzygali spory gładką irlandzką mową lub za pomocą pięści.

Shaw dwukrotnie wdał się w bójkę w dublińskich pubach. Obie zakończyły się jego zwycięstwem już po pierwszym ciosie. Mógł się wtedy wycofać, ale dla niego walka musiała toczyć się według pewnych reguł - skoro się zaczęło, trzeba ją dokończyć.

Kiedy przeciwnicy odzyskiwali wreszcie przytomność, pytali go, jak się nazywa.

- Shaw.

- Szkot?

- Nie. - Tak naprawdę Shaw nie znał swojego pochodzenia. Taka czy inna przeszłość, nie robiło mu to wielkiej różnicy.

- Cholera, to wszystko tłumaczy - rozcierając sobie podbródek, powiedział jeden z pokonanych z silnym akcentem; skracał mocno samogłoski i twardo wymawiał spółgłoski. - Jesteś cholernym Irlandczykiem!

Shaw zostawił w hotelu bagaże, przebrał się i ruszył przez liczący siedemset dziewięć hektarów Phoenix Park, ponaddwukrotnie większy od Central Parku zielony raj. Po drodze minął rezydencje ambasadora Stanów Zjednoczonych i prezydenta Irlandii, ale nie zasalutował przed nimi, choć bywało, że pracował dla obu tych krajów jako wolny strzelec. W pół godziny pokonał osiem kilometrów. Nie był to jego życiowy rekord, ale wynik był niezły. Mógł biec szybciej, ale ta umiejętność przyda mu się przy innej okazji.

Wrócił do hotelu, dwukrotnie wziął prysznic, nasmarował ciało balsamem, ale zdawało mu się, że wciąż czuje smród rzeki Amstel. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu, więc wybrał się na spacer. Dotarł wreszcie do miejsca nad rzeką Liffey, gdzie w tysiąc dziewięćset szesnastym roku Brytyjczycy dopłynęli swoją kanonierką i zaczęli ostrzeliwać Dublin, by stłumić powstanie. Nie ulegało wątpliwości, pomyślał Shaw, że Irlandczycy wciąż jeszcze czuli żal do swoich sąsiadów ze wschodu.

Wojna. To najprostsza rzecz do rozpoczęcia i najtrudniejsza do skończenia. Niestety Shaw wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Ponownie spojrzął na zegarek. Czas na spotkanie z Anną.

Anna Fischer. Urodziła się w Stuttgarcie, skończyła studia w Anglii i Francji, a teraz mieszkała w Londynie. W Dublinie miała wygłosić wykład. Dlatego Shaw przyjechał właśnie tutaj. Spotykali się z Anną często w różnych częściach świata, ale tym razem miało być inaczej. Opanowany zazwyczaj Shaw poczuł nagle, jak serce zaczyna mu szybciej bić, a oddech staje się płytszy.

# ROZDZIAŁ 12

Powściągając zniecierpliwienie, dotarł do Trinity College w ciągu dziesięciu minut. Wykład Anny właśnie dobiegał końca, czekał więc na swoją damę naprzeciw bocznego wejścia do college'u, nieopodal ich ulubionej księgarni Maggie's Bookshop. Kilka minut spędził na rozmowie z prowadzącą sklep kobietą.

Na półce znalazł egzemplarz napisanej przez Annę książki na temat źródeł rządów faszystowskich: *Badania historyczne nad państwami policyjnymi*. Miłość jego życia lubiła się bawić, była uczuciowa i romantyczna, ale miała też iloraz inteligencji znacznie przewyższający poziom geniuszu i zajmowała się naprawdę poważnymi sprawami. Mądrość i uroda - czy istnieje lepsza kombinacja, by zawładnąć czyimś sercem?

Kiedy Anna wyszła, padli sobie w ramiona. Położyła dłonie w okolicach jego krzyża i zaczęła masować mu plecy. Zawsze potrafiła wyczuć, czy go coś boli, a on, jak każdy mężczyzna, usiłował ból ukryć.

- Spięty? - zapytała z akcentem bardziej irlandzkim niż niemieckim. Anna Fischer potrafiła porozumiewać się w piętnastu językach i we wszystkich perfekcyjnie. Po sześciu latach spędzonych w Oksfordzie na pisaniu doskonałych publikacji i książek została simultanicznym tłumaczem w ONZ. Potem przyjęła posadę eksperta w Londynie i zajęła się polityką międzynarodową i niezwykle złożonymi sprawami globalnymi. Bez wątpienia była dużo bystrzejsza od Shawa, choć nigdy nie dała mu tego odczuć.

- Trochę.

- Miałeś kiepską podróż z Holandii?

- Podróż była w porządku. To stara kontuzja po grze w rugby. - Tak naprawdę to był skutek skoku do szamba zwanego Amstel, ale nie musiała o tym wiedzieć.

- Chłopcy i ich zabawy - skarciła go z lekką kpiną w głosie. - To też? - Wskazała na siniaka na twarzy, pamiątkę po Irańczyku, który nigdy już nie zazna wolności.

- Mój bagaż niespodziewanie spadł z półki. To tylko tak paskudnie wygląda.

Kiedy wreszcie się od siebie odsunęli, Anna uniosła głowę i spojrzała na Shawa. Miała metr siedemdziesiąt siedem wzrostu i pięciocentymetrowe obcasy, więc nie musiała specjalnie zadzierać głowy.

- Jak wykład? - zapytał.

- Przyszło sporo ludzi. Ale szczerze mówiąc, większość pojawiła się pewnie ze względu na posiłek z najlepszej hinduskiej restauracji w mieście. Żałuję, że cię tam nie było. A tak musiałam sobie tylko wyobrażać twoją obecność.

- Już nie musisz sobie wyobrażać, masz mnie przed sobą żywego. Pocałowała go i splotła swoje palce z jego.

Pokazał jej książkę, którą przed chwilą kupił.

- Zapłaciłeś za nią? Przecież mogłam ci dać darmowy egzemplarz. Odesłali mi wszystkie niesprzedane egzemplarze. Jest ich tyle, że używam ich jako mebli w gabinecie.

- Ale za tę książkę dostaniesz tantiemy. Napiszesz mi dedykację? Wyjęła pióro i napisała coś na stronie tytułowej. Kiedy próbował jej zajrzeć przez ramię, powiedziała:

- Przeczytasz później. Jak wyjedziesz z Dublina.

- Dziękuję.

- Interesują cię państwa policyjne? - zapytała.

- Owszem, przynajmniej raz w miesiącu odwiedzam jedno.

Trzy lata temu dosłownie wpadł na nią w bocznej uliczce Berlina. Zaatakowało ją jakichś dwóch mężczyzn, a on właśnie skończył misję nieco podobną do tej w Amsterdamie i nie był w dobrym nastroju. Kiedy bandyci go zobaczyli, popełnili wielki błąd, myśląc, że obrobią za jednym zamachem dwie ofiary. Policja pojawiła się na miejscu kilka minut po telefonie Shawa, który zadzwonił do nich dopiero wtedy, gdy mężczyźni leżeli pobici do nieprzytomności na ulicy. Jednego z napastników uderzył tak mocno, że o mało nie złamał sobie na jego czaszce ręki.

Anna odmówiła wtedy pójścia do szpitala, więc odprowadził ją do hotelu. Przyłożył jej na godzinę do twarzy lód, a ponieważ wciąż była roztrzęsiona po napadzie, spał na podłodze jej pokoju hotelowego.

Shaw nigdy wcześniej nie związał się poważnie z kobietą. Mogły mieć na to wpływ jego relacje z matką, a właściwie ich brak.

Takie są skutki porzucenia.

Ale w chwili, gdy ujrzał w tej mrocznej uliczce posiniaczoną i zakrwawioną Annę Fischer, wiedział, że serce nie należy już do niego.

Minęły blisko trzy lata, a jej uczucie do Shawa tylko przybrało na sile. Wiedział, że Anna go kocha. I czuł, że jest coraz bardziej zaskoczona tym, że on nie chce się zadeklarować.

Ale to miało się niedługo skończyć. Shaw nie uwolnił się jeszcze na dobre od Franka, ale nie mógł czekać dłużej.

- Jesteś zamyślony - powiedziała przy obiedzie. Miała trzydzieści osiem lat i długie kręjące się włosy.

- Nie, po prostu głodny. Mężczyźni tak właśnie reagują. Pewnie tu nie podają coddle. - Coddle to była tradycyjna robotnicza potrawa składająca się z plasterków bekonu, ziemniaków, cebuli i wieprzowej kiełbasy, grubo posypanych pieprzem.

- Tutaj nie, ale możemy pójść gdzie indziej.

- Nie ma potrzeby. Z roku na rok jedzenie w Dublinie jest coraz lepsze.

- Tak, chociaż nadal nie rozumiem, dlaczego mięso duszone w warzywach podają bez marchewki. - Uśmiechnęła się szelmowsko znad kieliszka wina. - Nawet Brytyjczycy już się tego nauczyli.

- Właśnie dlatego Irlandczycy są tak oporni. Później, kiedy już kończyli posiłek, Anna powiedziała:

- No więc, co robiłeś tym razem w Amsterdamie?

- W zasadzie nic.

- Coś nie tak z twoim doradztwem?

- Daj spokój. Jest takie miejsce, do którego chcę cię zabrać.

Shaw sam czuł w swoim głosie napięcie i wiedział, że nie uszło to uwagi Anny.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Zachowujesz się bardzo tajemniczo.

Oblizwał spieczone wargi i próbował się uśmiechnąć.

- Myślałem, że to ci się właśnie podoba. Tajemniczość. Nie wierzył w to, co mówił. Ona oczywiście też nie. Wstał. Nogi lekko mu drżały. Przeklął się w duchu.

*Skoczyłem z dziesięciu metrów do cholernej rzeki Amstel i prawie własnoręcznie rozwalilem bandę atomowych terrorystów. Myślisz, że byłbym do tego zdolny, gdybym nie zachowywał się jak zakochany nastolatek?*

Godzinę później weszli do małego pubu na północ od Liffey, w dzielnicy, która była zdecydowanie biedniejszą i mniej reprezentacyjną częścią Dublina. Mimo to obydwójce lubili to miejsce.

Anna kiedyś powiedziała: Jak można nie pokochać każdej cząsteczki miasta, które wydało Swifta, Stopera, George'a Bernarda Shawa, Yeatsa, Wilde'a, Becketta i Heaney'a? No i mistrza Joyce'a.

- Wolę Roddy'ego Doyle'a - odpowiedział tylko po to, żeby zobaczyć jej reakcję.

- A ja Maeve Binchy - odparowała.

Tym razem to on o dziwo złożył zamówienie. Kiedy danie pojawiło się na stole, Anna zapytała:



- Co to jest?

- Barm brack. Korzenny chlebek nadziewany bakaliami.

- Bakaliami! Czy oni tego nie używają do trucia ludzi? Shaw odkroił kawałek.

- Spróbuj. Przecież jesteś odważną dziewczynką.

Anna wbiła widelec w ciasto. Rozległ się metaliczny zgrzyt. Wzięła kawałek chlebka do ręki i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Legenda głosi, że jeśli znajdziesz w chleбку barm brack pierścionek, wyjdiesz wkrótce za mąż - powiedział Shaw.

Wiedział, że nie ma już odwrotu. Najbliższe chwile zaważą na całym jego życiu. Poczuł, że koszula lepi mu się od potu. Wziął głęboki wdech, zsunął się z krzesła, przyklęknął na starej drewnianej podłodze wygładzonej przez buty przychodzących tu od stuleci opojów. Ujął jej drżącą dłoń, wsunął na palec pierścionek i zapytał:

- Anno, czy wyjdiesz za mnie?

# ROZDZIAŁ 13

Obudził go stukot kropel deszczu. Kiedy próbował znowu zasnąć, wibracja tuż koło jego głowy sprawiła, że tylko jęknął.

Shaw chwycił telefon i przeczytał właśnie otrzymaną wiadomość. *Frank*.

Na łóżku obok leżała Anna. Właśnie skonsumowali swoje zaręczyny, a potem wypili butelkę dom perignon z utrzymywanych w niepewnej równowadze na brzuchach kieliszków.

Anna spała twardo, kiedy przeszedł do drugiego pokoju i wybrał numer. Wiedział, że telefon zostanie natychmiast odebrany.

- Skończyłeś już występy w Dublinie? - zapytał wesołym tonem Frank. Shaw wyobraził sobie tego człowieka rozpartego wygodnie w fotelu, być może tysiące kilometrów stąd, z pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem na twarzy, jakim zwykle pan obdarza służbę.

- A co? Twój ludzie nie kontaktują się z tobą regularnie? Zresztą pewnie od nich tego nie wymagasz. - Mówiąc to, spojrzął na swój prawy bok, tam gdzie znajdowały się stare blizny. - A tak przy okazji, tu jest trzecia nad ranem. Nie przyszło ci to do głowy?

- Działamy dwadzieścia cztery godziny na dobę, Shaw. Przecież znasz zasady.

- Twoje zasady.

Szarpnął zasłony i zerknął na ponurą ścianę deszczu zalewającą świat za oknem.

- Jesteś nam potrzebny.

- Nie, nie jestem. Nawet ludzie tacy jak ja potrzebują trochę odpoczynku.

- Odzywasz się jak gbur. Stąd wnoszę, że nie jesteś sam.

Shaw zdawał sobie sprawę, że Frank doskonale wie, gdzie i z kim jest w tej chwili. Ale ton jego głosu sprawił, że wyrzwał przez okno, a potem pobiegł do sypialni, żeby się upewnić, że Annie nic nie grozi. Spała spokojnie, w błogiej nieświadomości, że on właśnie targuje się z psycholem.

Jedna długa, zgrabna noga wysunęła się spod kołdry. Miał ochotę obudzić Annę i znów się z nią kochać, ale przecież rozmawiał z Frankiem. Wrócił do drugiego pokoju i wyrzwał przez okno, omiatając wzrokiem każdy zakątek ulicy w poszukiwaniu chłopców Franka. Byli tam. Wciąż się za nim pętali.

- Shaw, jesteś tam jeszcze?

- Powiedziałem ci, dokąd się wybieram, więc po co mnie bierzesz pod lupę?

- Sam mnie do tego zmusiłeś. Przez to twoje głupie gadanie o wycofaniu się.

- To nie było głupie gadanie. Mam dosyć, Frank. To był ostatni raz.

Shaw mógł sobie wyobrazić, jak Frank potrząsa teraz głową, w której tylnej części widniało spore zagłębienie po oddanym z bliskiej odległości strzale z dziewięciomilimetrowego sig sauera.

Shaw znał takie szczegóły, ponieważ to on strzelał do Franka.

- Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia. Na świecie zrobiło się bardzo niebezpiecznie.

- Owszem, przez ludzi takich jak ty.

- To, co robimy, jest bardzo szlachetne, Shaw. To kwestia honoru.

- Zachowaj takie gadki dla nowicjuszy.

W słuchawce Shaw usłyszał skrzypnięcie krzesła, kiedy Frank się prostował. *Aha, mam cię.*

- I gdzie zamierzasz odpoczywać, kiedy nas opuścisz, dupku? W izolatce w więzieniu? - Głos Franka zabrzmiał twardo.

- Umawialiśmy się na pięć lat, Frank. Minęło już prawie sześć.

- O mało mnie nie zabiłeś.

- Celowałeś do mnie. I nie pokazałeś odznaki. Myślałem, że to jeszcze jeden zbir próbuje strzelić mi w plecy.

- Chcesz powiedzieć, że jakbym machnął odznaką, to nie strzeliłbyś mi w łeb?

- Nie, ale pamiętaj, że zawiozłem cię do najbliższego szpitala. Inaczej wykrwawiłbyś się na śmierć.

- Do szpitala! - parsknął Frank. - Zostawiłeś mnie z połową mózgu na wierzchu na parkingu pełnym kradzionych samochodów w centrum Istambułu.

- Naprawdę uważasz, że to była połowa mózgu?

- Słuchaj...

Ale Shaw przerwał mu.

- Strzeliłem do ciebie w obronie własnej, ale kiedy miesiąc później w Grecji pojawili się twoi ludzie, twierdzili co innego. Zawarliśmy umowę i ja dotrzymałem słowa. Nie ma co więcej o tym wspominać. - To był dla nich świetny interes, Shaw wiedział o tym. W zamian za to, że nie spędzi reszty życia w obozie pracy gdzieś na Syberii, a Frank załatwiłby mu to z wielką satysfakcją, Shaw spędził blisko sześć lat, jeżdżąc po świecie i narażając życie, by, jak mawiał Frank, inni mogli żyć spokojnie i bezpiecznie. Ale Shaw też potrzebował trochę spokoju i bezpieczeństwa w swoim życiu. W swoim życiu z Anną.

Umowy z ludźmi pokroju Franka były bardzo ryzykowne. Nie mógł przecież wynająć pierwszego lepszego adwokata i domagać się przed sądem unieważnienia umowy. Właśnie dlatego zgodził się pracować dla nich jeszcze rok. W ciągu tego roku o mało nie został zastrzelony, zakłuty nożem, otruty i wysadzony w powietrze. Kiedy twierdził, że ostatnie zamieszanie z muzułmańskimi fundamentalistami w Amsterdamie było dziecinnie łatwym zadaniem, wiedział, co mówi.

- Z powodu twoich nadzwyczajnych „umiejętności” nie mogłem mieć dla ciebie innej propozycji niż więzienna cela.

To była dla Shawa nowość.

- A więc to twoja sprawka? Dlaczego?

- Kiedy mi upakowali z powrotem mózg w czaszce, zdałem sobie sprawę, że ktoś, kto mnie o mało nie wysłał na tamten świat, powinien być po naszej stronie.

- Powinieneś więc zrozumieć, że wypełniłem swoją misję.

- Nie wiem. Muszę porozmawiać o tym z moimi ludźmi. Może nawet byłbym skłonny cię puścić, ale oni nie będą z tego powodu szczęśliwi.

Shaw nigdy nie potrafił rozgryźć Franka. Postawny, łysy, był niczym gład. *Powinienem mu wtedy strzelić między oczy.*

- Nie obchodzi mnie, czy będą szczęśliwi, czy nie! Powtórz im tylko to, co ci powiedziałem.

- A tymczasem jesteś mi potrzebny w Edynburgu, a potem w Niemczech, w Heidelbergu. Jeśli się nie pojawisz, możesz być pewien, że jedyną osobą, z którą będę na twój temat rozmawiać, będzie naczelnik więzienia.

Shaw milczał przez chwilę, starając się zapanować nad złością.

- To już ostatni raz, Frank. Koniec! A swoim ludziom możesz mówić, co chcesz. Rozumiesz?

- Instrukcje jak zwykle. Masz dwa dni. Naciesz się Dublinem. I swoją przyjaciółką.

- Dlaczego to robisz?

- To tylko obserwacja. - Odłożył słuchawkę.

- Nienawidzę cię, Frank - szepnął Shaw.

## ROZDZIAŁ 14

Shaw wszedł do niewielkiej łazienki. Na ogół europejskie łazienki były małe. Ci ludzie najwidoczniej potrzebują mniej miejsca do odświeżenia się i kąpieli niż reszta świata. Ochlapał twarz wodą, podniósł głowę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze.

Większość ludzi opisałaby jego rysy jako surowe. Nawet Anna nazywała go szorstko przystojnym. Skórę miał gładką, a kości wydatne. Ale najbardziej charakterystyczne były jego oczy. Nie dość, że tak jasnoniebieskie, jakby nosił koloryzujące szkła kontaktowe, to na dodatek nie współgrały z kolorem jego skóry. Cerę miał śniadą, bardziej przypominał Włocha czy nawet Greka niż Irlandczyka czy Szkota. Falujące ciemne włosy układały się, jak chciały. Uroczą rozczochną, tak mawiała o nich Anna. Ale teraz Shaw widział w lustrze tylko udreżonego człowieka z bliznami, który zabrnął stanowczo za daleko.

Anna jakby wyczuła, że jej osoba zaprzęta myśli Shawa, bo stanęła za nim i objęła go.

Miała na sobie jego T-shirt. Dla niego był w sam raz, ale Annie mógł zastąpić sukienkę.

- Nie możesz spać? - zapytała.

- To przez deszcz. Nie lubię deszczu w nocy.

- Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz.

Shaw spojrzał na odbicie w lustrze jej palców błędzących wytrwale wokół niewielkiej blizny na wysokości krtani - pamiętce z podróży na Ukrainę. Annie powiedział, że spadł z roweru, tymczasem była to blizna po nożu rzuconym przez eksagenta KGB. Ostrze minęło tętnicę zaledwie o dwa centymetry, a i tak o mało się nie wykrwawił na śmierć w miejscu, które przypominało nieco tamten parking w Turcji.

Z prawej strony miał jeszcze jedną bliznę, o której nigdy Annie nie wspominał z bardzo prozaicznego powodu: chciał o niej zapomnieć, bo ilekroć na nią patrzył, odczuwał wstyd. Czuł się napiętnowany. Oznakowany jak koń. Nie, jak niewolnik. To był drugi powód, dla którego przyjechał do Dublina, musiał coś zrobić z tą pamiątką.

- Rozmawiałeś z kimś? - powtórzyła pytanie.

Zapomniał o Franku, bliznach i rzeźniku z KGB. Teraz trapiło go tylko jedno - czy Anna ma jakiegokolwiek wątpliwości. Jego oświadczyzny zostały przyjęte pełnym łez, ledwie słyszalnym „tak”. Potem entuzjazm przyszłej panny młodej rósł, potwierdziła swoją zgodę w

dziewięciu innych językach i zalała go tak rześistymi łzami, że w końcu o mało sam nie zaczął płakać.

Ale teraz w jej tonie usłyszał coś jeszcze. Już chyba najwyższy czas, pomyślał.

Ochlapał twarz wodą i odwrócił się do niej.

- Nie jestem doradcą biznesowym specjalizującym się w fuzjach firm - wyznał.

- Wiem.

- Co takiego? - zapytał ostrym tonem.

- Znam wielu doradców biznesowych. Rzadko który potrafi pobić do nieprzytomności dwóch uzbrojonych mężczyzn. Rzadko który ma na ciele blizny po ciosach nożem. I prawie wszyscy obnoszą się ze swoim bogactwem. A ja nawet nie widziałam miejsca, gdzie mieszkasz. Zawsze spotykamy się w moim londyńskim mieszkaniu.

- I teraz tak po prostu mi to mówisz?

- Teraz jest inaczej. Powiedziałam, że wyjdę za ciebie za mąż.

- A gdybym nie powiedział, czym się naprawdę zajmuję?

- Wtedy sama bym zapytała. I właśnie pytam.

- Przecież już powiedziałeś „tak”.

- Ale mogę powiedzieć „nie”.

- Nie jestem przestępcą.

- To też wiem. Tak czuję. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. A teraz mów prawdę.

Oparł się o umywalkę i zaczął zbierać myśli.

- No dobrze, jest tak. Pracuję dla międzynarodowej agencji zajmującej się przestrzeganiem prawa, utworzonej przez kilka krajów z grupy G-8. Zajmujemy się sprawami, które są zbyt ryzykowne lub zbyt globalne dla jednego kraju. Jesteśmy takim Interpolem na sterydach. Już nie pracuję w terenie. Teraz siedzę za biurkiem - skłamał, jak mu się wydawało skutecznie.

- A o jakie przestrzeganie prawa chodzi? - zapytała łagodnie.

- Próbuje powstrzymać złych ludzi przed robieniem złych rzeczy. Na wszelkie możliwe sposoby - dodał.

- I to, czym się zajmujesz, nie jest niebezpieczne, chociaż dostajesz telefony w nocy?

- Samo życie jest niebezpieczne, Anno. Możesz iść ulicą, a za rogiem wpadniesz pod autobus.

- Shaw, nie traktuj mnie protekcjonalnie.

- Nie, to nie jest niebezpieczne. - Shaw czuł, że zaczynają mu płonąć policzki. Mógł z łatwością okłamywać szaleńca z Iranu, ale nie Annę.

- Nadal będziesz się pojawiał i znikał jak dotychczas?

- Prawdę mówiąc, zamierzam się wycofać. I zająć czymś zupełnie innym.

Uśmiechnęła się.

- To... to jest niespodzianka.

*Mam nadzieję, że przeżyję, by spełnić obietnicę.*

- Małżeństwo to dwoje ludzi razem, nie oddzielnie.

- Zrobisz to dla mnie?

- Dla ciebie zrobię wszystko. Poglaskała go po policzku.

- Dlaczego? - zapytał niespodziewanie.

- Dlaczego co?

- Możesz mieć każdego mężczyznę, jakiego zechcesz. Dlaczego ja?

- Bo jesteś dobrym człowiekiem. Skromnym. I odważnym. Ale ktoś musi się o ciebie troszczyć. Potrzebujesz mnie. A ja potrzebuję ciebie.

Pocałował ją i przeciągnął palcami po jej policzku.

- Musisz teraz wyjechać? Potrząsnął głową.

- Za dwa dni.

- Dokąd tym razem?

- Do Szkocji.

Wziął Annę w ramiona i jej jasne włosy musnęły jego twarz.

- Ale najpierw do łóżka.

Znów się kochali. Kiedy Anna zasnęła, objął ją czule ramieniem.

Słuchał odgłosów deszczu i wyobrażał sobie Franka chichoczącego na myśl, że znów go przechytrzył. Dotknął policzka Anny. Tak, teraz już było inaczej.

Z dublińskiego nieba lały się strugi deszczu, a każda kropla była niczym wystrzelony w jego głowę pocisk. Poprosił ją o rękę. Ale teraz, po rozmowie z Frankiem, zastanawiał się, czy nie popełnił największego w życiu błędu.

# ROZDZIAŁ 15

- R.I.C.? - zapytała Anna, oddając papier Shawowi, który ubrany tylko w bokserki nalewał do filiżanek kawę. Anna odepchnęła lekko hotelowy wózek ze śniadaniem i rozłożyła wkładkę, która wypadła z „Herald Tribune”.

Shaw zajrzał jej przez ramię. Artykuł był długi, pełen pozornie prawdziwych faktów i stanowił kolejny ostry atak skierowany przeciwko rządowi Federacji Rosyjskiej. Pasowałby tu tytuł „Imperium Zła, akt drugi”.

Shaw przeczytał na głos: „Niezależny Kongres Rosji, R.I.C., i wspomagająca go Grupa Wolnej Rosji apelują do wszystkich krajów wolnego świata do stawienia czoła prezydentowi Romualdowi Gorszkowowi i całej administracji terroru i przemocy, nim będzie za późno”.

Anna przeniosła wzrok na kolejny ustęp. „Rząd Gorszkowa zappełnił tajne więzienia przeciwnikami politycznymi, wymordował oponentów, wprowadził czystki etniczne na najwyższych szczeblach władzy i w tajemnicy przed światem produkuje i gromadzi broń masowego rażenia, co stanowi jawne naruszenie wszystkich traktatów rozbrojeniowych”.

Anna spojrzała na Shawa.

- Najpierw ta sprawa z Konstantinem, potem ci wszyscy rzekomo zamordowani Rosjanie, a teraz to? Słyszałeś kiedyś o organizacji R.I.C.?

Potrząsnął głową.

- Na dole strony są linki do stron internetowych.

Sięgnęła po laptopa, uruchomiła go i minutę później była już podłączona do hotelowej sieci bezprzewodowej. Jej palce szybko przebiegły klawiaturę i na ekranie pojawiła się pełna barw strona.

- Spójrz na tę. - Wskazała na ekran. - Wczoraj jeszcze jej nie było, wiedziałabym o tym.

Anna chwyciła swoją dzwoniącą komórkę, wysłuchała, zadała kilka pytań i znów słuchała. Rozłączyła się i spojrzała na Shawa.

- Co się stało? - zapytał.



- Dzwonili z mojego biura. Wszyscy mówią tylko o tym artykule. Gorszkow i jego ministrowie są podobno wściekli. Zaprzeczają oskarżeniom i żądają informacji, kto stoi za tą kampanią oszczerstw.

- Domyślasz się, kto to zrobił? Potrząsnęła przecząco głową.

- Na razie nic nie wiem. Za tym nie musi stać bardzo liczna grupa. Ani dużo pieniędzy. Co prawda ta wkładka do gazety nie była tania, ale jak już mieliśmy okazję się przekonać, kilku dobrych informatyków potrafi zalać cały świat swoją propagandą.

- A cała reszta wykorzystuje koniunkturę.

Przeniosła wzrok na ekran komputera i przewinęła stronę.

- Za jednym i za drugim stoją Rosjanie. Moje biuro przygotowało białą księgę na temat powrotu autokratycznego systemu rządzenia w Rosji. Jest to bardzo niepokojące. Pomiędzy Moskwą a resztą świata panuje silne napięcie. Taka atmosfera nie sprzyja rzetelnemu wyjaśnieniu sprawy.

- Zawczasu ostrzeżony jest na czas uzbrojony - powiedział Shaw. Spojrzała na niego w zamyśleniu.

- I to właśnie jest problem. Ktoś dobrze uzbrojony chętniej i szybciej naciska spust.

- Wracają dawne czasy - zauważył Shaw. - Zimna wojna. Patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Właśnie. Może komuś zależy na tym, żeby wróciły stare porządki. Deszcz ustał. Mieli dla siebie jeszcze dwa dni. Może ostatnie. Wziął ją w ramiona i szepnął:

- Pieprzyć Rosjan.

Tulił ją tak mocno, że w końcu zaprotestowała:

- Nie mogę oddychać.

Puścił ją, cofnął się o krok i spuścił głowę. Chwyciła dłonią jego podbródek.

- Jesteśmy zaręczeni. Powinieneś być szczęśliwy.

- Jestem bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek.

- Nie wyglądasz na takiego.

- Musimy się rozstać.

- Ale nie na długo. Wkrótce znów będziemy razem. - Ponownie ją objął, ale tym razem nie tak mocno.

*Nie było żadnej gwarancji. Żadnej.*

# ROZDZIAŁ 16

Dwa dni później Shaw całował zapłakaną Annę na pożegnanie.

- Powinniśmy ustalić datę ślubu - powiedział. Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

- Tak, oczywiście.

Odjechał wypożyczonym samochodem, ale nie skierował się w stronę lotniska. Zmierzał do zamku Malahide.

Malahide znaczy po gaelicku „na brzegu morza”. Zamek znajduje się na półwyspie Howth w północnej części Zatoki Dublińskiej, na niewielkim wzniesieniu. Roztacza się z niego widok na całą zatokę, gdyż w dawnych czasach łupieżcy często przybywali na ląd łodziami. Shaw minął rozległe łąki, na których miejscowe drużyny rozgrywały mecze rugby i krykieta.

Kupił bilet wstępu do najstarszego zamieszkanego zamku w Irlandii, Wyglądał dokładnie tak, jak powinno wyglądać średniowieczne zamczysko: zbudowany z solidnych bloków kamienia, ze skrzydłami i strzelistymi okrągłymi wieżami, porośnięty bluszczem. Od tysiąc sto osiemdziesiątego piątego roku do lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku należał do rodu Talbotów.

Zaczekał, aż zwiedzanie zakończy wcześniejsza grupa, i podszedł do niskiej, szczupłej kobiety, która właśnie kończyła opowiadać stadku turystów o zamku Malahide, rodzinie Talbotów, bitwie nad Boyne, znikającej dziewicy i czterech zamieszkujących zamek duchach, z których jeden był sympatycznym, szelmowskim elfem. - Witaj, Leona.

Odwróciła się, początkowo z wahaniem, aż wreszcie stanęła z nim twarzą w twarz. Leona Bartaroma miała sześćdziesiąt lat, długie, wciąż jeszcze czarne włosy, pozbawioną zmarszczek twarz i pełne wargi pomalowane czerwoną szminką, która pasowała do jej cery.

Nie odezwała się słowem, chwyciła go za rękę, szybko zaprowadziła do niewielkiego pokoju i zamknęła za nimi drzwi.

- Co tutaj robisz, do diabła? - prychnęła.

- Widzę, że się nie cieszysz na mój widok.

- Jeśli Frank się dowie...

- Frank zawsze wie, gdzie jestem. Dzięki tobie. - Wskazał palcem swój prawy bok. -  
Właśnie dlatego tu przyjechałem.

Usiadła przy małym, drewnianym, ozdobionym po bokach cherubinami biurku.

- Nie rozumiem cię. Nigdy nie rozumiałam.

- Chcę, żebyś to usunęła.

- Jestem na emeryturze. Oprawdam wycieczki. Nie zajmuję się już chirurgią.

Shaw podszedł bliżej do biurka.

- Masz do przeprowadzenia jeszcze jedną operację.

- To niemożliwe. - Zaczęła przekładać papiery na biurku.

- Nic nie jest niemożliwe, jeśli się bardzo chce.

- Jesteś głupcem.

- Ja też przechodzę na emeryturę, Leono. I chcę, żebyś to usunęła.

- Znajdź sobie kogoś innego. - Machnęła od niechcienia ręką, jakby w tym pomieszczeniu znajdował się jeszcze jakiś chirurg.

- Potrzebuję ciebie. Wiem, jak to we mnie umieściłaś. Jeśli wyjmie się to w niewłaściwy sposób...

Leona wyraźnie zbladła.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Pamiętasz Dirka Lundrella? Próbował to usunąć. Do tej pory nie znaleziono wszystkich jego szczątków.

- Lundrell też do mnie przyszedł. Powiedziałam mu to samo co tobie. Nie!

- A jeśli Frank się zgodzi? - Shaw przechylił głowę. - Co wtedy?

- Myślisz, że Frank zgodziłby się na coś takiego? - zadrwiła. - Słyszałam, że do tej pory nie potraficie się dogadać. - Uśmiechnęła się. - A emerytura? Z takiej roboty nie odchodzi się na emeryturę.

- Żenię się. Jeszcze dwa zadania i koniec.

- Ty? Żenisz się? - zapytała z niedowierzaniem.

- Owszem. A co, uważasz, że tacy ludzie jak ja nie mogą się żenić? Przez ostatnie sześć lat codziennie ryzykowałem życie. Jestem zmęczony. Mam dość.

- Wiem, co robiłeś przez ostatnie sześć lat - powiedziała nieco łagodniej. - Wiem, jakie podejmowałeś ryzyko. - Przerwała i przyjrzała mu się badawczo. - Jak ma na imię ta kobieta?

- Kto?

- Twoja narzeczona. Jak ma na imię?

- Anna.

- Też byłam mężatką. - Leona spuściła wzrok i wpatrzyła się w swoje dłonie. - Bardzo ją kochasz?

- Inaczej bym się z nią nie żenił. Leona milczała przez długą chwilę.

- Jeśli Frank się zgodzi, wyjmę to.

- I pozostanę przy życiu?

- Każdej operacji towarzyszy ryzyko - zaczęła i po chwili dodała: - Przeżyjesz.

Shaw wyprostował się.

- To chciałem wiedzieć. Będziemy w kontakcie. Odwrócił się, zamierzając wyjść.

- Skąd Anna pochodzi?

- Z Niemiec.

- Niemki są dobrymi żonami. Tak słyszałam.

Shaw delikatnie zamknął za sobą drzwi. Teraz pozostawało mu tylko przekonać Franka. I przeżyć kilka nadchodzących dni.

Trzy godziny później przemierzał z zawrotną prędkością katamaranem Morze Irlandzkie. Płynął w kierunku Anglii. W zwyczajnych okolicznościach poleciałby samolotem z Dublina do Edynburga, ale instrukcje były wyraźne - miał popłynąć morzem. Potem w Holyhead miał wsiąść do ekspresu i dojechać nim do Londynu. Dopiero stamtąd w wagonie sypialnym powinien dotrzeć do stolicy Szkocji. Na miejscu będzie wcześniej rano, tymczasem lot samolotem z Dublina do Edynburga zająłby nie więcej niż godzinę.

W poczekalni usiadł przy trzecim stoliku po prawej stronie. Na stole stała lampka. Wyłączył ją, włączył i ponownie wyłączył, tak jak kazano mu w instrukcji.

Czekając, otworzył książkę i przeczytał dedykację Anny. Napisała ją po francusku, ale znał ten język na tyle dobrze, by zrozumieć wpis. Był krótki i prosty. Jego treść nim wstrząsnęła.

„Miłość bez zaufania jest niczym”.

Zamknął powoli książkę i instynktownie podniósł wzrok. Zbliżał się do niego jakiś mężczyzna, który dostrzegł znaki dawane przez Shawa.

## ROZDZIAŁ 17

Shaw dotarł do Edynburga w środku nocy i piechotą przeszedł od stacji kolejowej do hotelu Balmoral na końcu North Bridge. Jego myśli cały czas zaprzętała dedykacja Anny. *Miłość bez zaufania jest niczym*. Około trzeciej nad ranem zasnął, marząc o przyszłym życiu u boku Anny.

I wszystko zaczęło się od początku.

- Mudder? Gdzie jest Mudder?

- Zamknij się, do cholery, gnojku. Nie masz już mamy! Chłopiec, obudzony ze snu przez koszmar, krzyknął głośniej:

- Mudder!

Jeden ze starszych chłopców zaczął parodiować dziecko:

- Mudder, gdzie jest Mudder? Mudder nie żyje. Właśnie dlatego mieszkasz w sierocińcu, idioto.

Inny chłopiec zachichotał i dorzucił:

- Mudder nie żyje. Mudder jest martwa. Mudder jest zimnym trupem. Następnie usłyszeli powolne kroki i w pokoju zapanowała cisza. Słysząc tylko było szloch chłopca.

- Mudder? Gdzie jest Mudder?

Do pokoju weszła przysadzista stara zakonnica i powędrowała w stronę łóżka. Dobrze знаła drogę, nie przeszkadzały jej ciemności. Wzięła chłopca w ramiona, ukołysała go, pogładziła po głowie i pocałowała w policzek.

- To tylko zły sen. Jestem tu, dziecko. Już dobrze. To tylko zły sen. Jej obecność zawsze uspokajała chłopca. W końcu ucichł. Był duży jak na swój wiek, ale zakonnica, choć stara, miała krzepę. Lata nie osłabiły jej sił, choć bywała zmęczona.

Położyła go z powrotem na jednym z dwudziestu sześciu znajdujących się w pokoju łóżek. Chłopcy, żeby dotrzeć do jednej z dwóch łazienek, jakie mieli do dyspozycji, musieli stapać po łóżkach. Ale za to mieli dach nad głową i pełne żołądki, a to najważniejsze.

Kiedy zakonnica dreptała z powrotem do swojego pokoju, dwadzieścia sześć par uszu nasłuchiwało cichnącego odgłosu jej kroków. Wreszcie rozległ się odgłos zamykanych drzwi i wtedy jeden ze starszych chłopców odezwał się:

- Twój ojciec też nie żyje. Zapił się na śmierć. Sam widziałem.

- Mudder nie żyje - skandował drugi, ale tym razem nieco ciszej, bo zakonnica, choć była dobrą kobietą, też traciła cierpliwość.

Mały chłopiec nie rozplakał się ponownie. Jego ciało nie zaczęło drżeć, jak to się często zdarzało, kiedy koledzy z niego drwili. Godzinę później okrzyki i słowne zaczepki ustały, wszyscy zasnęli.

Wszyscy, oprócz jednego chłopca.

Wstał z łóżka i położył się na podłodze na brzuchu, tak jak to robili żołnierze w telewizji. W części budynku należącej do zakonnicy znajdował się czarno-biały telewizor, a ona czasami pozwalała mu tam przychodzić. Częstowała go wtedy sokiem pomarańczowym i kromką chleba grubo posmarowaną masłem i dżemem.

Podczołgał się do innego łóżka, przykucnął, zwinął się w kłębek i wskoczył na łóżko.

Jego ręka zacisnęły się na szyi chłopca, a mała pięść wylądowała z impetem na twarzy napadniętego. Krew trysnęła na prześcieradło. Chłopiec czuł zapach potu. I strach. Po raz pierwszy wiedział, że to ktoś inny poci się i boi.

Ponownie uderzył. Nagle został trafiony w prawe oko. Poczłł szczypanie i okolice oka natychmiast spuchły. W brzuch trafiło go kościste kolano, pozbawiając tchu, ale nie poddawał się. Bił na oślep rękami, nogami, głową. Człł, że twarz zalewa mu krew. Kiedy dotarła do ust, polizał ją. Była słona i gęsta. Zrobiło mu się niedobrze.

- Mudder! - usłyszał swój krzyk. Ramiona i nogi młóciły powietrze. Z wysiłku nie mógł oddychać.

- Mudder... - wydyszał.

Objęły go silne ramiona przeciwnika, paznokcie niczym pazury wbiły się w jego plecy. Ktoś krzyczał mu do ucha.

Uderzał na oślep. Plecy miał rozorane paznokciami. Usta pełne krwi.

- Mudder...

Trafił przeciwnika kolanem w krocze, tak jak sam już nieraz obrywał od kolegów. Silniejszy chłopak zaskowyczał i jego ciało zwiotczało.

- Mudder... żyje! - wykrzyczał chłopiec.

Uwolnił się z uścisku i cały zakrwawiony runął na podłogę, ciężko dysząc. Ale nie płakał.

Nigdy więcej już nie zapłakał. Ani razu.

## ROZDZIAŁ 18

Shaw usiadł na łóżku. Czuł zapach swojego potu, posmakował go, kiedy strużka dotarła do ust. Wstał, otworzył okno pokoju hotelowego i wpuścił do środka chłodne edynburskie powietrze, które przegnało koszmar sześciolatniego chłopca.

Okna jego pokoju wychodziły na Princes Street, główną ulicę pełną sklepów, pubów i restauracji. Na wschodzie wznosiło się wysokie wzgórze, na którym znajdował się potężny zamek. Przy nim zamek Malahide wydawał się maleńki. Na zachodnim skraju miasta z kolei wznosił się pałac Holyroodhouse, oficjalna rezydencja letnia rodziny królewskiej.

To miło posiadać oficjalną rezydencję, pomyślał Shaw.

- Mudder - szepnął cicho. Już od blisko roku nie męczył go ten koszmar. Myślał, że zniknął na zawsze. Podobnie jak w wielu innych sprawach dotyczących jego życia, mylił się.

Następnego dnia został wyrzucony z sierocińca, chociaż stara zakonnica błagała, by pozwolono mu zostać. Tamten drugi chłopiec, zwalisty dwunastolatek, został przez małego Shawa dotkliwie poraniony. Ktoś chciał wezwać nawet policję. Ale czy sześciolatka można traktować jak przestępcę? Shaw zapamiętał słowa *złośliwe intencje* i *umyślny napad*. Nie rozumiał, co one znaczą, ale wiedział, że wtedy chciał zabić tamtego chłopaka. Zabić w taki sposób, żeby przed śmiercią cierpiał tak jak on.

Postanowiono w końcu, że dziecku, które nie potrafiło nawet poprawnie wypowiedzieć słowa „matka”, bo nigdy jej nie miało, nie zostaną postawione żadne zarzuty.

Siostra Mary Agnes Maria, cóż to było za piękne imię. Wszyscy nazywali ją siostrą MAM, a Shaw zmienił to na siostra mama. Była dla niego najbliższą osobą, tak bliską jak matka, której nigdy nie miał.

Litera A przed jego nazwiskiem pojawiła się w sierocińcu. Na ścianie, nad łóżkiem chłopca śpiącego naprzeciwko Shawa była namalowana litera A. Nie widniała tam przypadkowo i nie oznaczała pierwszej litery alfabetu. Rozpoczynała kiedyś słowo, którego pozostałe litery z biegiem czasu się zatarły, a biedna zabiegana siostra Mary Agnes Maria nie miała czasu, żeby domalować m, e i n, składające się na słowo AMEN.

Shaw nie miał o to żalu. Często wpatrywał się w literę i wyobrażał sobie, jak jej długie pionowe kreski zaokrąglają się, tworząc portret matki. Kreska pozioma była lekko wygięta i miała zastępować uśmiech na jej twarzy. Matka była szczęśliwa, widząc go. Wróciła. Mogli

razem opuścić sierociniec. Mogli wyjść już teraz, od razu. Litera A była jego przyjacielem. Niosła ze sobą tyle możliwości. A potem wschodziło słońce i cała radość przyskała. Od tamtej pory Shaw wolał noc od dnia. Był człowiekiem nocy.

Szybko mijały lata w kolejnych sierocińcach. Niestety w żadnym z nich nie było siostry Mary Agnes Marii. Potem przyszła kolej na rodziny zastępcze i ośrodki dla dzieci. Tak mijało jego życie, aż wreszcie w wieku osiemnastu lat chłopiec stał się mężczyzną.

Potrafił już poprawnie wymawiać słowo „matka”, ale nie miał żadnego powodu, by to robić.

Zamknął okno i usiadł na łóżku. Na promie skontaktował się z nim mężczyzna. Skierowali się do otwartych drzwi na rufie. Przekrzykując szum wiatru i odgłos silników, opowiedział Shawowi o pierwszej fazie zadania. Kiedy Shaw odchodził, widział jego spojrzenie, które mówiło wszystko.

*Jeżeli przeżyjesz, to będzie cud.*

W ekspresie z Walii do Londynu Shaw wyglądał przez okno, podziwiając na przemian panoramę morza i widoki Gór Kambryjskich i unikając zdawkowej wymiany zdań z innymi pasażerami. W jego świecie nie było nic normalnego; nie potrafił nawiązać kontaktu ze zwykłymi ludźmi.

Z nikim prócz Anny. Ona była jego pierwszym i jedynym łącznikiem z resztą ludzkości.

W czasie nocnej podróży pociągiem do Szkocji miał znowu gościa. Tym razem w jego przedziale sypialnym pojawiła się kobieta. Była młoda, choć wyglądała staro. Była atrakcyjna fizycznie, ale nie miała duszy. Przekazywała tylko informację. Ludzie tacy jak Frank wyrwali jej duszę i wsadzili w to miejsce, co chcieli. Monotonnym głosem wtajemniczyła go w tajniki drugiej fazy operacji. Nie robił żadnych notatek, zapamiętywał każde jej słowo. Jeżeli popełni najdrobniejszą pomyłkę, zginie. To było jasne.

Wstał, ubrał się i zerknął jeszcze raz na książkę z dedykacją Anny. *Miłość bez zaufania jest niczym.*

Pewnie teraz spała. Mimo to zadzwonił. O dziwo, odebrała po drugim dzwonku.

- Miałam nadzieję, że to ty - powiedziała całkiem rozbudzonym głosem. - Jak podróż?

- Przeczytałem dedykację. Nie odezwała się.

Z trudem przełknął ślinę.

- Chcę ci zaufać. Ufam ci. Powiedziałem ci, czym się zajmowałem. Zdajesz sobie sprawę, jakie to było dla mnie trudne?

- Tak. Ale są oczywiście rzeczy, których nie mogłeś mi powiedzieć.



- Owszem - przytaknął.

- Więc jak się już pobierzemy, będziesz nadal zniknął i pojawiał się bez słowa?

- Kończę z tym, mówiłem ci. I mam pracę biurową.

- Nie obrażaj mojej inteligencji bajeczkami o bagażu, który wypadł z luku samolotu i trafił cię przypadkowo w głowę. Poza tym ludzie zza biurka nie jadą do zamku po to, żeby go później nie zwiedzać. Albo marnują czas na podróż promem z Irlandii do Szkocji. Miałeś tam z kimś się spotkać?

Te słowa go zaniepokoiły.

- Śledziłaś mnie?

- Oczywiście, że tak. Zamierzam wyjść za ciebie za męża. To okropne, że muszę w ogóle myśleć o tym, żeby cię śledzić. - Głos jej zadrżał i usłyszał w słuchawce cichy szloch. Shaw najchętniej przytuliłby ją teraz i powiedział, że wszystko będzie w porządku. W końcu znowu ją okłamał.

- Wciąż jeszcze możesz się wycofać, Anno. Powiedziałaś „tak”, równie dobrze możesz powiedzieć „nie”. Zrozumiem to.

Ton jej głosu stał się ostry.

- Wcale mi się nie podoba to, że zrozumiesz. Nie powinieneś zrozumieć. Gdybyś odszedł, ja bym tego nie rozumiała.

- Kocham cię. Tylko muszę wykonać tę robotę.

Wydawało mu się, że usłyszał kolejny szloch, i poczuł się jeszcze bardziej winny.

- A możesz mi powiedzieć, co to za robota? - zapytała.

- Nie. Nie mogę.

- Dokąd pojedziesz ze Szkocji?

- Do Heidelbergu.

- Moi rodzice mieszkają o godzinę drogi stamtąd. W małej wiosce Durlach niedaleko Karlsruhe. Prowadzą księgarnię, jedyną w Durlach. Odwiedź ich. Mają na imię Wolfgang i Natasza. To dobrzy ludzie. Bardzo mili. Chciałam, żebyś ich poznał wcześniej, ale zawsze byłeś zbyt zajęty. Shaw wcale nie był zbyt zajęty, tylko wystraszony.

- Chcesz, żebym do nich poszedł bez ciebie?

- Tak. Poproś mojego ojca o rękę. Jeżeli się zgodzi, pobierzemy się. Jeśli nadal tego chcesz.

To żądanie wprowadziło go w osłupienie.

- Anno, ja... Anna przerwała mu.

- Jeśli uznasz, że warto, pójdziesz do nich. Uprzedzę ich o twojej wizycie. Jeżeli nie pójdziesz, to będę znała odpowiedź.

Połączenie zostało przerwane. Shaw powoli odłożył słuchawkę i zerknął na leżący na stole kawałek bibuły, pokryty powtarzanymi wielokrotnie dwoma słowami: Anna Fischer. Podarł kartkę, wyszedł z hotelu i ruszył ulicą, mijając pozamykane o tej porze sklepy. Dwie godziny później, kiedy znad horyzontu zaczęło się wyłaniać słońce, oświetlając swoim blaskiem wiekowe kamienne mosty i rzucając długie cienie, w których czały się jego koszmary, Shaw wciąż jeszcze włóczył się po starej szkockiej stolicy. Miał wszystkiego dość.

Pojedzie do rodziców Anny w Durlach. Poprosi ich o jej rękę.

Zrobi to, jeśli będzie jeszcze pośród żywych.

- Gdzie jest Mudder? - wyszeptał do pogrążonych w półmroku ulic, kiedy wracał do hotelu, gdzie miał się przygotować na najbliższe, być może ostatnie w jego życiu godziny.

# ROZDZIAŁ 19

Wysokie wzniesienie nad Dulles Hightech Corridor było pogrążone w mroku. Za jeden z budynków biurowych w samym centrum najdroższego skrawka ziemi na świecie jedna firma, Pender & Associates, zapłaciła gotówką okrągłą ośmiocyfrową kwotę. I choć oficjalna nazwa brzmiała Pender & Associates, to przedsiębiorstwem zarządzał tylko jeden człowiek, jej założyciel, Richard Pender.

Twarz miał jak z obrazka, szeroki uśmiech odsłaniał białe zęby, włosy uczesane nienagannie jak u głoszącego kazania w telewizji pastora. Wypowiadał się jedwabście gładko jak adwokat u szczytu kariery. Poza tym potrafił uśmiechać się do końca, do chwili gdy wbije człowiekowi nóż w plecy po rękojeść.

Jego motto było proste: „Po co tracić czas na odkrywanie prawdy, skoro można ją stworzyć?”.

Sposób działania Pendera nazywano zarządzaniem percepcją. Na całym świecie firmom PM, zajmującym się właśnie zarządzaniem percepcją, płacono za ustalenie, co jest prawdą, a co nie. Niektóre firmy lobbystyczne uważały, że zajmują się zarządzaniem percepcją, ale to nie była prawda. Należały do licznej rzeszy marnych graczy na rynku PM, podczas gdy Pender & Associates należała do jednej z najlepszych na świecie.

Dick Pender potrafił ukryć każdy sekret, choćby prasa za wszelką cenę starała się do niego dotrzeć. Bywało, że od czasu do czasu na podstawie tych swoich *prawd* wzniewał wojny. A kiedy ludzie zaczęli zbytnio się interesować, prawdziwe przyczyny potrafił ukryć pod tak niewiarygodnie wielkim stosem faktów, liczb i kłamstw, że nikt nie mógł dojść prawdy. Ale jego głównym zajęciem było kreowanie rzeczywistości. I prawdy.

Otrzymywał za to niewiarygodne wprost sumy, zarówno od rządu, jak i ze źródeł prywatnych. Dla jego klientów tworzenie prawdy miało pierwszorzędne znaczenie, gdyż prawda była zbyt nieprzewidywalna. Tymczasem nad prawdą stworzoną można było zachować kontrolę. Jeśli chodzi o efektywność, różnica pomiędzy prawdą realną a stworzoną była taka jak pomiędzy bombą zwykłą a atomową.

Tego wieczoru Pender oczekiwał specjalnego gościa. Prywatna winda przywiozła go na ostatnie piętro. Drzwi otworzyły się i wyszedł z niej ubrany w płaszcz z czarnym kapturem Nicolas Creel. Pender wprowadził go do pokoju, w którym całą ścianę zajmowało wielkie

lustro weneckie pozwalające obserwować magnatowi handlu bronią skomputeryzowane centrum dowodzenia firmy Pender & Associates.

Pender usiadł obok niego.

- Mam nadzieję, że miał pan dobrą podróż, panie Creel.

- Właściwie to nie wiem, spałem całą drogę.

- Wspomniano mi, że wszedł pan do pierwszej piętnastki w rankingu „Forbesa”.

- To prawda - potwierdził Creel zupełnie obojętnym tonem.

- Osiemnaście miliardów dolarów? - ocenił Pender.

- Właściwie dwadzieścia jeden.

- Gratuluję.

- Czego? Od chwili kiedy zarobiłem pierwszy miliard, jakie to ma znaczenie? Przecież kolejne dwadzieścia miliardów nie zmieni mojego stylu życia. Bardziej interesuje mnie raport.

Pender wskazał na lustro weneckie, za którym ciężko pracowały dziesiątki ludzi.

- Dla tego projektu przeznaczyliśmy nasze centrum dowodzenia. Trzydziestu ludzi, setki komputerów, olbrzymie bazy danych i taka infostrada, jakiej mógłby nam pozazdrościć Google.

- Jest pan absolutnie pewien, że nie pozostawicie za sobą żadnych śladów?

- Podjęliśmy nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, takie jak kradzież tożsamości elektronicznej setek stron i portali internetowych. Jeżeli nawet ktoś spróbuje nas wysledzić, to elektroniczne tunele doprowadzą go bezpośrednio do, powiedzmy, oficjalnej strony Watykanu albo Czerwonego Krzyża. A jednocześnie nasza strona pojawiła się pomiędzy stronami konkurentów.

- A więc jeśli ktoś pana wysledzi, to będzie pan mógł skarżyć się na kradzież tożsamości elektronicznej?

- Po co ukrywać igłę w stogu siana, skoro można tam wetknąć wiele igieł? - odparł zadowolony z siebie Pender.

- A pańscy ludzie?

- Doskonale opłacani i bezwzględnie mi oddani. Nie mają pojęcia o pańskim, hmm, zainteresowaniu tym tematem. Zresztą nic ich to nie obchodzi. Zatrudniamy tych ludzi i nie zajmujemy się ich sumieniem. Nie martwimy się o konsekwencje naszych działań. To jest zmartwienie klienta.

- Odpowiednie nastawienie. Pierwsze działania zrobiły na mnie wrażenie.

- Cóż, było to nieco bardziej skomplikowane niż podanie historyjki o brutalnych najeźdźcach, którzy porywali z inkubatorów beduińskie dzieci, żeby określone kraje przyłączyły się do wojny. - Pender uśmiechnął się z wyższością. - Dobrze pan wybrał, panie Creel. Musieliśmy tylko uruchomić lawinę, dalej toczy się już sama.

- Rosyjski niedźwiedź to łatwy cel. Skąd pan wziął tysiące martwych Rosjan?

- Na ogół dzięki Photoshopowi. Ale było też trochę prawdziwych ofiar z kupionych przez nas wcześniej archiwów dawnego KGB. Wystarczyło pięć autentycznych ofiar, żeby wszyscy uwierzyli, że pozostałe trzydzieści dwa tysiące też nie budzą wątpliwości.

- Cóż za zdolność przewidywania.

- To moja praca. Potrafię sobie wyobrazić rosnącego w mózgu prezydenta Gorszkowa tętniaka. Pozwolę sobie zauważyć, że nasza strategia jest lepsza od taktyki Wezuwiusza. Pan liczy na przecieki, prawda?

- Owszem, ale z mojego punktu widzenia wszystko, co przechodzi przez pańskie biurko, wygląda obiecująco. Bardzo mnie to zainteresowało.

- Właściwie pańskie motywacje nie powinny mnie obchodzić, ale czytałem, że Ares czwarty raz z rzędu nie osiągnął zakładanych wyników kwartalnych.

- To tylko wierzchołek góry lodowej. Mamy do czynienia z prawdziwym odpływem kapitału. Byłem przekonany, że Irak stanie się Armagedonem Bliskiego Wschodu, i dobrze się do tego przygotowałem. Ale po kilku miesiącach minął szok i trwoga, a wojna przerodziła się w długotrwałą potyczkę z użyciem najzwyklejszej broni. Nie po to zbudowałem firmę wartą sto pięćdziesiąt miliardów dolarów, żeby moi ludzie handlowali procami. To była największa obsuwa, jaką można sobie wyobrazić, i ja ponoszę za nią odpowiedzialność. Ale wyciągnę firmę z kłopotów. Dlatego korzystam z pańskich usług. Poradzimy sobie.

- Niewątpliwie - odparł Pender z fałszywą skromnością. - Sprawą zainteresowanych jest też wielu sławnych ludzi.

- Włożą T-shirty z napisem „Pamiętajcie o Konstantynie”, wylansują swój nowy film, uniosą zaciśniętą pięść z okrzykiem „Uwolnić Rosję!”. Może nawet pojedą do Waszyngtonu, gdzie użyją ich do swoich celów politycy.

- Jakież problemy?

- Trzy. - Pender spojrzął na ekran komputera. - W przyszłym tygodniu na całym świecie ukaże się sto czterdzieści osiem obszernych artykułów na temat zagrożenia ze strony czerwonych. Wszystkie oprócz dwóch są zgodne z naszymi założeniami. Jeden pisze gość z Hiszpanii, a drugi z Nowego Jorku. Facet z Hiszpanii jest szczególnie nieustępliwy, ale przez

dwa lata zajmował się skandalem dotyczącym rodziny królewskiej. Jutro powinien otrzymać materiały, które na nowo rozbudzą jego zainteresowanie tą historią.

- A ten z Nowego Jorku?

- Jego żona podejrzewa go od pewnego czasu o niewierność. Ona także otrzyma jutro prezent, który utwierdzi ją w przekonaniu, że miała rację. Dzięki temu jej mężulek wypadnie ostatecznie z gry. Rozwody są takie czasochłonne i kłopotliwe. Mówię to, niestety, na podstawie własnego doświadczenia.

- A skąd pan wziął te materiały?

- Mam teczki na prawie wszystkich znaczących dziennikarzy. Kolekcjonujemy różne sekrety, tworzymy półprawdy i rozpowszechniamy je anonimowo, kiedy może się to przysłużyć naszym klientom.

- Wspominał pan o trzech problemach.

- Mamy tu w Stanach takiego senatora, który uważa się za eksperta od spraw rosyjskich. Mówi się, że zamierza rozpocząć przesłuchania w Kongresie, a jest bardzo sceptyczny.

- I co zamierza pan z tym począć?

- Kiedy tylko zdarzy mu się wejść do publicznej toalety, zrobimy z nim to samo co z Larrym Craigiem.

- Więc senator Craig został wrobiony w ten skandal obyczajowy?

- Kto to wie? I kogo to obchodzi? Najważniejsze, że nasz senator będzie skończony.

- I jak pan nazwał tę operację?

- To manewr taktyczny o nazwie „Zostałem wypieprzony” - odparł z uśmiechem Pender.

- To odpowiednia nazwa.

- Właściwie wolę subtelniejsze metody, kiedy obiekt nie zdaje sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Przypomina pan sobie, jak posłano reporterów razem z żołnierzami do Iraku?

- Po to, żeby wszystko zobaczyli?

- Nie. Po to, żeby pisali relacje zgodne z punktem widzenia Pentagonu. To był mój pomysł, a potem wszyscy generałowie i urzędnicy administracji przychodzili i całowali mnie z wdzięczności w dupę.

- Zna się pan na swojej robocie, Dick.

- Uczyłem się od najlepszych.

- Gdzie?

- Zaczynałem w biurze prasowym Białego Domu.

Creel wskazał na znajdujący się w centrum dowodzenia ogromny stół, przy którym dwóch ludzi zajmowało się jakimiś dokumentami. - Co to?

- Niedawno dowiedzieliśmy się, że jeden z naszych konkurentów podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej dostał zadanie przygotowania dokumentów, które pomogłyby przekonać Zachód do obrony Kuwejtu. Zdziałało to doskonale. Postanowiliśmy więc skorzystać z tego pomysłu, ale zamiast drukować setki tysięcy egzemplarzy na błyszczącym papierze, przygotowujemy je odręcznie. To powinno uwiarygodnić spreparowane dokumenty. Przygotujemy ich może tylko tuzin, ale trafią do właściwych osób.

- Do żołnierzy - mruknął zamyślony Creel.

- Potrafię przekonać każdego, że kłamstwo jest prawdą. Ale nic nie zastąpi prawdziwego przelewu krwi.

- Wkrótce się pan przekona, co potrafię.

- A co z drugim końcem równania?

- To znaczy? - zapytał Creel.

- Powiedział pan, że doradzi nam, jaki moment będzie najwłaściwszy.

- A doradziłem już? - Nie.

- W takim razie jeszcze nie czas!

Chwilę później Creel wyszedł. Pender pomógł mu zarobić fortunę podczas zimnej wojny, a potem wspólnie wywołali kilka małych konfliktów. Wreszcie przyszedł czas na pierwszą wojnę w Iraku, a zaraz potem na drugą. Creel powiedział Penderowi, że niestety teraz Amerykanie mają dość, a Unia Europejska jest nastawiona wyjątkowo pokojowo i zamiast na zbrojenia przeznacza fundusze na edukację, infrastrukturę i służbę zdrowia. Ci idioci nie dostrzegają, że trudno będzie posyłać dzieci do szkoły albo babcię do lekarza, jeśli nie zaczną bronić swoich krajów przed zalewem islamu. Creel dodał jeszcze, że zamierza wygrać tę wojnę.

Pender doskonale wiedział, że Creel ma duże szanse.

## ROZDZIAŁ 20

Siergiej Pietrow szedł ulicą z podniesionym wysoko kołnierzem, który miał chronić go przed panującym od dwóch dni w Nowym Jorku dotkliwym chłodem. Skończył właśnie nagranie dla lokalnej telewizji, gdzie opowiadał o dramatycznych wydarzeniach, jakich był świadkiem za rządów Putina i Gorszkowa, zanim udało mu się uciec z kraju. Ludzie Zachodu bezkrytycznie przyjmowali wszystko, co mówił, i na dodatek płacili dużo lepiej, niż wynosiła jego pensja na stanowisku fagasa dyktatorów mieniących się prezydentami. Pietrow nie miał pojęcia, gdzie znajdowały się źródła kampanii „czerwona panika”, i wcale go to nie obchodziło. Gorszkow był złym człowiekiem. Ojczyzna Piętrowa zmierzała w niewłaściwym kierunku. Ale jego nie obchodziło też specjalnie, czy wszystkie ujawnione niedawno rewelacje są prawdą, czy nie. Pewnie niektóre były, i to mu wystarczało.

Namacał w kieszeni płaszcza swój pistolet. Pietrow był człowiekiem ostrożnym. Wiedział, że stał się celem. Jeżeli Gorszkow sporządził listę swoich największych wrogów, to Pietrow musiał znajdować się na jej czele. Z domu zawsze wychodził uzbrojony, trzymał się tylko uczęszczanych miejsc i bez przerwy bacznie obserwował okolicę. Nigdy nie pił ani nie jadł w towarzystwie innej osoby. Nie zamierzał umrzeć tak jak Litwinienko. Nikt nie podsunie mu filiżanki herbaty z polonem-210.

Doszedł do rogu i zatrzymał taksówkę. Kiedy stanęła przy krawężniku, przez okno wychylił się kierowca.

- Grand Central Station - powiedział Pietrow, wsiadając. Kiedy był już w środku, nagle otworzyły się drzwi z drugiej strony i do taksówki wskoczył jakiś mężczyzna. W tej samej chwili kolejny potężnie zbudowany człowiek usiadł obok Piętrowa. Drzwi zamknęły się i taksówka ruszyła.

Pietrow nie miał nawet czasu, żeby przyjrzeć się porywaczom. Ścisnęli go mocno swoimi ciałami, tak że nie mógł poruszyć rękami. Nadal w kieszeni miał swój pistolet. Ostrze noża przecięło mu tchawicę, a kolejne ostrze zatopiło się głęboko w jego boku.

Martwy runął na twarz.

Taksówka wyjechała z miasta i podążyła w kierunku Westchester. Zatrzymała się na niewielkim, nieoświetlonym parkingu. Trzej mężczyźni przesiedli się do czekającego na nich



samochodu. Ciało Piętrowa pozostało na podłodze taksówki. Na jego czole napisano po rosyjsku jedno słowo.

*Zdrajca.*

W drugim samochodzie Caesar zdjął czapkę i maskę. Ta akcja była pierwszą salwą wydziału specjalnego Nicolasa Creela. Caesar miał tego wieczoru do wykonania jeszcze jedno zadanie. Długo jechali do miejsca przeznaczenia. Wszystko zostało wcześniej przygotowane i opłacone, więc dotarli bez problemów. Samochód podjechał na skraj wykopanego w ziemi wielkiego krateru. Mężczyźni wysiedli, otworzyli bagażnik i wyjęli z niego worek na zwłoki.

Caesar rozpiął zamek i spojrzał na twarz człowieka o martwym spojrzeniu.

Biedny Konstantin, jego kariera w operze mydlanej nie miała szansy trwać długo. Caesar zamknął worek, przerzucił go sobie przez ramię, podszedł do skraju krateru i rzucił worek w dół. W tej samej chwili podjechała wywrotka i tony gruzu posypały się na „grób” Konstantina. Następnie pojawił się spychacz i zaczął zasypywać jamę w ziemi. Do rana po kraterze nie będzie śladu. Caesar zasalutował.

*Żegnaj, Konstantinie, nigdy cię nie zapomnimy.*

Odjeżdżając, Caesar wybrał prywatny numer telefonu i zameldował, że jego misja zakończyła się sukcesem.

Trzy tysiące kilometrów od tego miejsca Nicolas Creel skreślił kolejną linijkę z listy rzeczy do zrobienia. Dick Pender był bardzo dobry w rozgrywkach umysłowych, ale czasami jeden prawdziwy trup potrafił zdziałać więcej niż milion dusz. A w tego rodzaju rozgrywkach nie było nikogo lepszego od Nicolasa Creela. I skoro tak wiele można było osiągnąć z pomocą jednego martwego człowieka, co by się stało, gdyby było ich mnóstwo?

# ROZDZIAŁ 21

Katie James przedłużyła swój pobyt. Nie miała ochoty wracać do Nowego Jorku i zajmować się kolejnym nekrologiem. Wsiadła do pociągu linii First ScotRail jadącego z Glasgow do Edynburga i podczas pięćdziesięciminutowej podróży podziwiała surowy, a potem wiejski krajobraz Szkocji w miejscu, gdzie zatoka Firth of Forth wrzynała się głęboko w ląd.

Zameldowała się w hotelu Balmoral i przed wyjściem zjadła szybki lunch. W drzwiach zderzyła się z wysokim, barczystym mężczyzną. Przeprosił grzecznie i szybko odszedł. Katie rozmasowała stłuczone ramię i odprowadziła go wzrokiem. Miała wrażenie, że zderzyła się ze ścianą. Pewnie był rugbystą.

Minęła ubranego w tradycyjny kilt odźwiernego. Spędziła miło czas, przechadzając się po mieście i pijąc herbatę niedaleko pałacu Holy-roodhouse. Dzielnie omijała z daleka liczne puby, które starały się ją przyciągnąć niczym magnes, i wspięła się na szczyt, na którym znajdowała się prawdziwa perła w koronie miasta - Zamek Edynburski.

Mroczna grań wulkanicznego Castle Rock pięła się ku niebu. Katie minęła bramę wjazdową z posągami króla Roberta Bruce'a i sir Williama Wallace'a, dwóch bohaterów, którzy zasłynęli tym, że dali łupnia Anglikom. Nie zdążyła na wystrzał dwudziestopięciopudowej armaty o pierwszej po południu, ale za to widziała Kamień Przeznaczenia. Wykradli go w trzynastym wieku Anglicy i przechowywali u siebie aż do końca dwudziestego. Przez siedemset lat leżał w opactwie westminsterskim pod tronem, na którym wszyscy monarchowie od Edwarda II po Elżbietę II sadzali swoje królewskie zadki.

Następnie Katie powędrowała na szczyt Castle Rock, gdzie znajdowała się kaplica Świętej Małgorzaty, najstarszy ocalały budynek w Edynburgu. I właśnie tam, w kaplicy, zobaczyła go ponownie. Wielkoluda, który wpadł na nią z impetem w hotelu. Klęczał przy trzecim rzędzie ławek. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła obok niego drugiego mężczyznę. Wyglądał na zwyczajnego turystę. Miała się już odwrócić i odejść, ale coś zwróciło jej uwagę. Przyklęknęła szybko z tyłu kaplicy, wyjęła aparat fotograficzny i dzięki zoomowi potwierdziła to, co ujrzała wcześniej.

Tatuaż na prawym przedramieniu mężczyzny. Widziała bardzo podobny wiele lat temu, kiedy była korespondentem na którejś kolejnej wojnie. Jej zmysły wyostrzyły się, była pewna, że mężczyźni nie modlą się ani nie recytują katechizmu. Szeptali coś do siebie.

Nie słyszała ich słów na tyle wyraźnie, by zrozumieć, o czym rozmawiają, więc wyszła z kaplicy i zatrzymała się przed drzwiami. Dziesięć minut później mężczyzna z tatuażem opuścił kaplicę. Zastanawiała się właśnie, czy za nim iść, kiedy zniknął w grupie mijających ją turystów.

Minutę później z kaplicy wyszedł wysoki mężczyzna i Katie postanowiła właśnie nim się zająć. Jeżeli zamieszkał w hotelu Balmoral, to może tam będzie wracał. W zasadzie nie miała żadnego powodu, by go śledzić i wplątywać się w jakąś historię. Ale była przecież reporterką, w dodatku reporterką na dnie, i desperacko szukała sposobu, żeby się od tego dna odbić. Nie miała pojęcia, czy dokądkolwiek ją to doprowadzi, ale postanowiła spróbować. Zresztą nie miała nic innego do roboty.

Mężczyzna nie wrócił do hotelu, zamiast tego skierował się na północ, do położonej trzy kilometry od Edynburga miejscowości Leith, gdzie postanowił zwiedzić rozbity i zakotwiczony w porcie królewski jacht *Britannia*.

Katie zdjęła buty i rozmasowała obtarte stopy. Jej ofiara była wyjątkowo szybkim piechurem. Zapłaciła za bilet i weszła na trap. Bała się, że mężczyzna rozpoznają, starała się więc wtopić w tłum turystów. Przecież on sprawiał wrażenie tak silnego, że mógłby udusić byka.

Jednym uchem słuchała przewodnika opowiadającego o jachcie. Wsłuchała się uważniej w jego słowa dopiero wtedy, gdy wskazał na mahoniowy wiatrochron na pokładzie przy mostku. Skonstruowano go specjalnie po to, by nagłe porywy wiatru nie unosiły królewskich kiltów i nie eksponowały w ten sposób królewskich majątek. Katie odruchowo chwyciła ręką swoją spódnicę. Wysoki mężczyzna się oddalał. Poszła za nim. Stał przy relingu i patrzył na wodę. Po chwili ktoś do niego podszedł. Katie zbliżyła się tak blisko, jak to było możliwe. Zdołała usłyszeć tylko trzy słowa, ale to jej wystarczyło. „Dzisiaj” i „Lochy Gilmerton”.

Szybkim krokiem opuściła jacht i złapała taksówkę, którą wróciła do hotelu. Miała mało czasu na przygotowania. Najpierw musiała coś sprawdzić. Nie wiedziała jeszcze, na co trafiła, ale doświadczenie ją nauczyło, że najciekawsze historie, z jakimi miała do czynienia, zaczynały się zwykle od nieoczekiwanego spotkania.

## ROZDZIAŁ 22

Przy tej bandzie Irańczyk i jego żądni krwi chłopcy wyglądali jak czterolatki ssące jeszcze palucha, pomyślał Shaw. Siedział w samochodzie pomiędzy facetem z Tadżykistanu przypominającym posturą blok granitu a drugim Tadżykiem, który wyglądał jak zwalista góra. Shaw zastanawiał się, jakim cudem przednie koła mercedesa nie uniosły się w powietrze pod ciężarem pół tony mięsa na tylnym siedzeniu. Działo się tak pewnie dlatego, że na przednich fotelach siedziało dwóch niewiele mniejszych Tadżyków. Brakowało jeszcze jednego, żeby stworzyć porządną linię w lidze NFL.

Shaw nigdy nie spotkał Tadżyka, który nie wydawałby się wściekły. Może życie w prymitywnym, otoczonym górami kraju, którego Rosjanie używali jako składowiska toksycznych odpadów i w którym osiemdziesiąt procent mieszkańców cierpiało nędzę, było wystarczającym powodem, żeby być wkurzonym.

Powiedział coś po rosyjsku, ale w odpowiedzi usłyszał tylko coś, co można by opisać jako warknięcie. Tadżykowie nie uważali się za Rosjan; kulturowo i etnicznie bliżej było im do Irańczyków. Shaw nigdy nawet nie próbował nauczyć się tadżyckiego. Miał nadzieję, że nie będzie tego teraz żałował.

Rozparł się wygodnie w fotelu. Tadżykowie handlowali narkotykami, a dokładnie heroiną zrobioną z opium uprawianego w sąsiednim Afganistanie. Było to możliwe, ponieważ większość sił koalicyjnych opuściła Afganistan, żeby zaprowadzić demokrację w Iraku. Imperia handlarzy narkotyków dziękowały im co dnia za tę wspaniałomyślność. Bez opium nie da się wytworzyć heroiny, jednego z najbardziej popularnych narkotyków wszech czasów. Najgorsze było to, że ta chemiczna bomba z opóźnionym zapłonem była zupełnie nieprzewidywalna.

Shaw znalazł się tutaj, żeby kupić jedną tonę tego towaru, wartego na ulicach miast Stanów Zjednoczonych piętnaście milionów dolarów. Narkotyki miały być przetransportowane statkiem ze Szkocji do Nowego Jorku, ukryte w tysiącach piłek futbolowych. Tadżykowie odkryli, że import ze Szkocji jest znacznie mniej skrupulatnie kontrolowany niż wielkie paczki z Iranu czy Korei Północnej z napisem „śmierć Ameryce”.

Oczywiście, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ładunek, który Shaw miał dzisiaj kupić, zostanie skonfiskowany w Nowym Jorku. Przejęcie takiego transportu

zostałoby okrzyknięte przez prasę jako potężny cios zadany międzynarodowej szajce handlarzy narkotyków i dowód skuteczności światowych służb zajmujących się przestrzeganiem prawa. Tak się stanie, jeśli Shawowi się powiedzie i wyjdzie z tego w jednym kawałku. Z drugiej strony Shaw szczerze wątpił, czy Frank uważa jego przeżycie za warunek konieczny do ogłoszenia sukcesu.

Shaw nie znalazł się tu jednak po to, żeby agenci służb celnych Stanów Zjednoczonych dobrze się prezentowali w mediach. Chodziło o zapobieżenie czerpaniu zysków z handlu narkotykami przez międzynarodowy zbrodniczy syndykat, kierowany w dużym stopniu przez muzułmańskich fundamentalistów, od których roіło się w Tadżykistanie. Za udziały w dzisiejszym przedsięwzięciu mogliby kupić kilka brudnych bomb albo dziesięć tysięcy domowej roboty min przeciwpiechotnych. Ani jedno, ani drugie nie wróżyło cywilizacji nic dobrego.

Znajdowali się niedaleko od Edynburga, ale okolica była tu wyludniona. Daleko na północ rozciągała się zatoka Firth of Forth. Kiedy jeden z Tadżyków otworzył okno, żeby wypuścić dym z papierosa, Shawowi wydało się, że czuje zapach morza. Pół godziny później skręcili w szutrową drogę i zniknęli pomiędzy porastającą jej pobocza gęstwiną drzew.

Na widok stojącej na końcu drogi ciężarówka ich mercedes zwolnił, po czym się zatrzymał na znak dany przez jej kierowcę.

Shaw i czterech mężczyzn wysiadło z samochodu.

- Piłki futbolowe? - zapytał Shaw, wskazując na ładunek ciężarówka.

Mężczyzna stojący po jego lewej stronie chrząknął, co Shaw uznał za słowo „tak” po tadżycku.

Jedynym powodem, dla którego Shaw wciąż jeszcze pozostawał wśród żywych, było to, że ci ludzie uważali go za przyszłego dobrego klienta zza Atlantyku. Największym na świecie, amerykańskim rynkiem narkotykowym rządziły południowoamerykańskie kartele, ale Tadżycy od dawna mieli ochotę zająć ich miejsce. Gdyby tylko mieli okazję polecieć do Kolumbii i poderznąć gardła kilku tysiącom Latynosów, zrobiliby to z ochotą.

Shaw rozciął jedną z piłek nożem, który otrzymał od towarzyszącego mu Tadżyka. Wewnątrz znajdowały się plastikowe woreczki wypełnione białym proszkiem. Nie otworzył żadnego woreczka i nie spróbował towaru, tak jak to się robi w telewizji. Jedyną rzeczą gorszą od heroiny jest metamfetamina. Wystarczyło powąchać ją z odległości stu metrów, żeby stać się odpowiednim kandydatem na odwyk.

- I co, mam wam wierzyć na słowo, że to heroina i że wszystkie piłki są nią wypełnione?

Czterej mężczyźni spojrzeli na niego, ale żaden nie kwapił się z odpowiedzią. Wtedy otworzyły się drzwi ciężarówki od strony pasażera i drobny, szczupły mężczyzna zeskoczył lekko na ziemię. Miał przerzedzone jasne włosy, drogi garnitur i nieustający uśmiech odsłaniający cały rząd nowych implantów.

- Zajmujemy się tym od dawna - powiedział z ledwie zauważalnym akcentem i wyciągnął do Shawa rękę.

- Wszyscy nowi klienci zadają to samo pytanie. Ale nikt nie jest potem niezadowolony. - Wskazał na piłkę futbolową. - To jest najlepsza heroina na świecie. Gwarantowane siedemdziesiąt procent czystości, nawet po tym, jak dołożysz do niej jakieś świństwa przed wypuszczeniem na ulicę. Heroina u konkurencji jest znacznie gorsza. Czterdzieści procent czystości. To wielkie gówno. Z naszym towarem zarobisz podwójnie.

Shaw poczuł się, jakby go ktoś oprowadzał po fabryce i pokazywał nową linię produkcyjną.

- Dorzucam ci dziesięć kilo gratis. To milion dwieście na ulicy w Stanach. Promocja dla nowych klientów, żeby okazać naszą dobrą wolę. Ale tylko jeden raz - dodał z uśmiechem. - Sprzedajemy ci to za osiem milionów euro, a ty w Nowym Jorku, Los Angeles czy Miami wyciągniesz z tego dwanaście do piętnastu. To chyba niezłe przebicie. Możemy robić interesy co tydzień. Łatwe pieniądze.

- Transport do Ameryki jest bardzo ryzykowny - zauważył Shaw. Mężczyzna zachichotał.

- Nieprawda. Wszyscy Amerykanie są uzależnieni. Grubi, chciwi seksualni maniacy. No dobrze, widziałeś nasz towar, teraz ja chcę zobaczyć twoje pieniądze.

- Jak mam dostarczyć piłki do portu? - zapytał Shaw, grając na zwłokę.

*A jeśli Frank mnie oszukał? Tadźycy nakarmią mną wiewiórki*

- Dostarczymy ci je bezpośrednio na statek. W porządku? A teraz pieniądze. - Mężczyzna spojrział na mercedesa. - Nie widzę żadnej walizki. Osiem milionów euro zajmuje dużo miejsca, nawet w banknotach o dużym nominale. - Spojrział na Shawa pytająco. - Nie przyjmujemy czeków ani kart kredytowych - dodał z lekkim uśmiechem, ale zaraz jego twarz stężała. - Gdzie jest, do diabła, forsa?

- Przyniosą ją moi ludzie - powiedział ostrożnie Shaw.

- Twoi ludzie? Jacy ludzie? - Mężczyzna rozejrzał się wokół.

- Ty masz swoich ludzi, ja mam swoich.

- Nic nam o nich nie mówiłeś.

- Daj spokój. Myślisz, że wsiałbym do samochodu sam z tymi tyranozaurami i z ośmioma milionami euro w kieszeni? Gdybym był tak głupi, nie przeżyłbym w tym biznesie tygodnia.

Mężczyzna dał znak swoim ludziom, którzy z bagażnika mercedesa wydobyli cztery pistolety maszynowe MP 5. Metaliczny dźwięk, który dobiegł uszu Shawa z kabiny ciężarówki, świadczył o tym, że jej kierowca również był uzbrojony.

*Gdzie ty się podziewasz, Frank?*

## ROZDZIAŁ 23

Katie James wyregulowała lornetkę i położyła rękę na piersi, próbując powstrzymać gwałtowne bicie serca. Jechała za mercedesem od hotelu Balmoral. Ponieważ wcześniej w kaplicy Świętej Małgorzaty słyszała nazwę miejsca, mogła nawet kilkakrotnie wyprzedzić mercedesa, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Kiedy skręcili w szutrową drogę, pojechała za nimi, a potem zawróciła, licząc, że nie ujadą zbyt daleko. Zostawiła samochód za zakrętem, wspięła się na pagórek, przedarła przez mały zagajnik i przykucnęła w rowie.

Znajdowała się na tyle blisko, że słyszała urywki zdań. Wysoki mężczyzna z hotelu Balmoral zamierzał kupić narkotyki, to pewne. Zaskoczyło ją to głównie z powodu mężczyzny, którego widziała z nim w kaplicy. Tamten facet obnosił się z tatuażem, który, jak wiedziała, robili sobie tylko członkowie oddziału specjalnego Delta. Cóż, widocznie nawet tacy ludzie mogą zejść na złą drogę, pomyślała. Drugi człowiek tutaj był sprzedawcą. Narkotyki znajdowały się w piłkach futbolowych. Mężczyźni rozmawiali o pieniądzach i nagle pojawiły się pistolety maszynowe.

Katie zastanawiała się, czy przez telefon komórkowy nie wezwać policji, ale w końcu postanowiła zmienić taktykę. Kiedy zobaczyła broń, zaczęła uciekać. W pewnej chwili zamarła, słysząc jakiś dźwięk.

Daleko, po prawej stronie w lesie poruszała się jakaś czarna fala. Rzuciła się na ziemię, usiłując się ukryć. Kiedy rozległy się strzały, miała ochotę wykopać w ziemi jakąś jamę. Ale dziennikarski instynkt kazał jej podnieść głowę i spojrzeć przez lornetkę. Zobaczyła dwóch dilerów zakrwawionych i podziurawionych kulami jak sito. Padli martwi na ziemię, nie wydając żadnego dźwięku.

Wysoki mężczyzna zdołał wyrwać jednemu z wielkoludów pistolet maszynowy i ze zręcznością niezwykłą dla kogoś o takich rozmiarach kopnął przeciwnika najpierw w brzuch, a potem w głowę, powalając go na ziemię.

Odwrocił się i unióśł pistolet maszynowy, jakby się poddawał, ale zamiast tego zaczął strzelać w powietrze.

Kolejny wielkolud skrył się za ciężarówką. Obaj strzelali do wszystkiego, co im stało na drodze, do chwili gdy czarna tyraliera wyszła z lasu, minęła kryjówkę Katie i otworzyła ogień. Wysoki mężczyzna znalazł się w samym środku strzelaniny.



- Już nie żyje - szepnęła do siebie wystraszona Katie.

Shaw uskoczył za mercedesa, kiedy kolejne pociski minęły go zaledwie o kilka centymetrów. Z jednej strony strzelali do niego Tadźycy, a z drugiej jego ludzie. Czyżby Frank zapomniał powiedzieć grupie uderzeniowej, że mają pozostawić jednego człowieka przy życiu?

Oddał serię strzałów w kierunku Tadżyków i wskoczył za kierownicę mercedesa. Uruchomił silnik i wrzucił bieg. Kolejna kula rozbiła tylną szybę samochodu.

Wcisnął pedał gazu i mercedes S600 wystrzelił naprzód, wyrzucając spod kół grad żwiru. Shaw wystawił przez okno pistolet maszynowy i opróżnił cały magazynek, trafiając jednego z Tadżyków w twarz i tym samym kończąc jego karierę w narkotykowym biznesie.

Mercedesa zasypał grad pocisków, a spod maski zaczęła wyciekać woda i olej. Shaw wrzucił wsteczny bieg i zaczął cofać. W pewnym momencie obrócił samochód w miejscu i ruszył dalej przodem. I wtedy spod maski zaczął wydobywać się czarny dym. Silnik zgasł. Shaw omiół wzrokiem wnętrze samochodu. Pod dywanikiem pasażera znalazł dziewięćmilimetrowego sig sauera. Chwycił go, otworzył kopnięciem drzwi i zaczął uciekać.

Nie tylko on.

Zmienił kierunek, zatoczył koło i dopadł Katie, kiedy wsiadała do swojego mini coopera.

- Puść mnie! - krzyknęła, kiedy złapał ją za ramię.

- Dawaj kluczyki! - wrzasnął.

Wyrwał jej kluczyki z ręki, otworzył drzwi samochodu i wcisnął się do ciasnego wnętrza.

- Wskakuj! - zawołał, ponieważ Katie stała bez ruchu.

- Nie!

- Jeżeli cię tu znajdą, zabiją cię.

- To ty mnie zabijesz. - Patrzyła na broń w jego ręku.

- Gdybym zamierzał to zrobić, już byś nie żyła. Nie zapraszam cię na przejażdżkę.

- Mam zostać zakładniczką?

- Ci ludzie nie biorą zakładników. Wsiadaj. Oboje usłyszeli dochodzące z niedaleka dźwięki.

- Masz ostatnią szansę! - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Piętnaście metrów od nich zza drzew wyłoniła się ciężarówka. Za kierownicą siedział jeden z Tadżyków. Obok miejsce zajął drobny, wiecznie uśmiechnięty człowieczek, który nie

przyjmował zapłaty kartami kredytowymi ani czekiem. Dojrzał ich, uśmiechnął się szerzej, otworzył okno i wycelował prosto w Shawa i Katie.

- Uważaj! - wykrzyknął Shaw.

Dostrzegł to, czego Katie nie widziała. Chwycił jej rękę, wciągnął ją przez okno do środka i nacisnął pedał gazu. Kilka sekund później w miejsce, gdzie stała Katie, trafił pocisk granatnika.

Shaw przycisnął Katie do podłogi i dodał gazu. Silnik wył na wysokich obrotach, przekraczając normy narzucone przez producenta. Ale i to mogło nie wystarczyć.

Z tyłu znowu rozległy się strzały z broni maszynowej. Katie próbowała się podnieść, ale Shaw przycisnął ją mocniej do podłogi.

- Leż!

Spojrzał w lusterko. Zastanawiał się, czy nie zjechać z drogi i nie spróbować przedzierać się przez łąki, ale spostrzegł, że wzdłuż drogi ciągną się rowy na tyle głębokie, że mini cooper nie zdoła ich pokonać. A nawet gdyby ten manewr się udał, to ziemia była tu tak nierówna i miękka, że poradziłby sobie tylko wóz z napędem na cztery koła.

Cooper był o wiele bardziej zwrotny niż ciężarówka, ale na prostej drodze Shaw nie mógł się oddalić na odległość, z której Tadźycy nie trafiliby go z granatnika. Cały czas oczekiwał następnego pocisku.

- Trzymaj się! - krzyknął do Katie. Skręcił gwałtownie kierownicą i samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Shaw wcisnął gaz do dechy. Jechali teraz wprost na ciężarówkę.

Katie w tym czasie usiadła w fotelu.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła.

Pozostało jeszcze pięć sekund do chwili, gdy wielka ciężarówka i mały samochód osobowy się zderzą. Katie zamknęła oczy i chwyciła mocno deskę rozdzielczą.

Światła coopera zbliżały się coraz bardziej, a Tadźyk wytrzeszczał z niedowierzaniem oczy, nie rozumiejąc, co się dzieje. Jeżeli samochody się zderzą, ciężarówka też nie będzie się nadawała do dalszej jazdy, a przecież gonili ich jeszcze ludzie, którzy wyłonili się z lasu.

Skręcił kierownicą w lewo, chcąc wyminąć coopera. To był jego ostatni w życiu manewr.

Shaw trzykrotnie wystrzelił i w szybie ciężarówki po stronie kierowcy pojawiły się trzy dziury po kulach. Z twarzy małego człowieczka znikł uśmiech w tej samej chwili, gdy z jego kierowcy uszło życie. Shaw skręcił gwałtownie kierownicą w prawo, ominął ciężarówkę,

koła coopera zabuksowały na miękkim poboczu i samochód dopiero po dłuższej chwili udało się wyprowadzić z poślizgu.

Pozbawiona kierowcy ciężarówka przejechała jeszcze sto pięćdziesiąt metrów, stoczyła się z drogi, wpadła do rowu i przewróciła na bok. Dopiero teraz Katie otworzyła oczy.

## ROZDZIAŁ 24

Kiedy znaleźli się piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie czyhała na nich śmierć, Shaw zwolnił, otworzył okno i odetchnął głęboko. Katie spostrzegła na jego ramieniu czerwoną plamę.

- Postrzelili cię!

Spojrzał obojętnie na ranę. Myślał o czymś innym.

- To tylko draśnięcie.

- Posłuchaj, jeśli mnie puścisz, obiecuję, że nikomu nic nie powiem.

- Naoglądałaś się za dużo filmów.

- Naprawdę zamierzasz mnie tak po prostu puścić?

- Jestem pewny jak cholera, że nie zamierzam się koło ciebie kręcić.

- Kim byli ci ludzie ubrani na czarno?

- Podrzuciłem cię, zgoda, ale nie zamierzam ci się zwierzać. Spojrzała na niego z ciekawością.

- Nie jesteś handlarzem narkotyków, prawda?

- A spotkałaś kiedyś takiego?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Co ty tam robiłaś? - Nagle rozpoznał ją i spochmurniał. - Wpadłem na ciebie w hotelu Balmoral. Potem byłaś na jachcie. Śledziłaś mnie! - Chwyił ją za ramiona. - Dlaczego? Kto cię nasłał?

Złapała go za rękę.

- To boli. Proszę, puść.

- Co tam robiłaś?

- To był przypadek.

- Nie lubię, jak mnie się oszukuje.

- Już dobrze, dobrze. Zachowywałaś się podejrzanie, więc zaczęłam cię śledzić.

- Po co? Jesteś gliną?

- Nie. Jestem... jestem reporterką.

- Reporterką? I zajmujesz się handlarzami narkotyków w Szkocji?

- Nie. Ja...

- Mów prawdę, bo zmienię zdanie i cię nie puszczę.  
- Przyjechałam do Szkocji, żeby napisać specjalny nekrolog Andrew McDougala - powiedziała pośpiesznie.

- Dla jakiej gazety?

- „New York Tribune”.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Ty jesteś Katie James?

- Skąd wiesz?

- Czytałem ten nekrolog. Było tam twoje nazwisko. Ale McDougal umarł w Glasgow; co robisz w Edynburgu?

- Mam urlop. Reporterzy też go miewają od czasu do czasu.

- I w swoich planach wakacyjnych miałaś węszenie za handlarzami narkotyków?

- Wcale nie.

- Podejrzewam, że musiałaś nieźle podpaść, skoro wylądowałaś w dziale nekrologów przed siedemdziesiątką.

- Idź do diabła.

- Właśnie od niego wracam. W piekle rzeczywiście jest okropnie. Powiedział to z taką obojętnością, że Katie dłuższą chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Skoro jeszcze pytasz, to i tak nie zrozumiesz odpowiedzi.

Katie uważała, że wie, co Shaw miał na myśli, ale postanowiła się nie odzywać. Jechali dalej w milczeniu. Pół godziny później mini cooper zatrzymał się niedaleko hotelu Balmoral.

Shaw odwrócił się do Katie.

- A teraz uciekaj z miasta jak najszybciej.

- A co z tobą? Strzelali do ciebie.

- Potrafię o siebie zadbać.

Kiedy zaczął wysiadać z samochodu, złapała go za rękę.

- Jak się nazywasz?

- Wiem, że jesteś od lat wspaniałą reporterką, więc nie zadawaj głupich pytań.

- A możesz mi przynajmniej powiedzieć, co tam się stało? Zawahał się.

- Nie zamierzam pisać o tym artykule, jeśli o to ci chodzi. Zbyt mało wiem, żeby coś napisać.

- Jeśli to opiszesz, zmarnujesz kawał ciężkiej roboty i pomożesz złym chłopcom.

- Nigdy nie pomagałam złym chłopcom. Przyjrzał jej się badawczo.

- To była transakcja zakupu narkotyków. Staramy się, żeby pieniądze nie wpadły w ręce terrorystów. Teraz już wiesz wszystko.

- Dobrzy chłopcy nie strzelają w ten sposób.

- Wiem - zgodził się Shaw. - Nie mam pojęcia, dlaczego zaczęli strzelać.

Jego szczerość trochę rozwiała większość wątpliwości Katie. Zapytała jeszcze ostrożnie:

- A dlaczego twoi ludzie strzelali do ciebie?

- Zamierzam się tego dowiedzieć. - Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy. - Wyjedź z Edynburga. Dzisiaj udało ci się przeżyć. Szkoda byłoby to zmarnować - powiedział i w ułamku sekundy zniknął.

Katie usiadła wygodniej w skórzanym fotelu mini coopera. Wielokrotnie w swojej karierze widziała śmierć, ale tej nocy... to było coś niezwykłego. I nigdy wcześniej nie spotkała kogoś takiego jak ten facet.

Czy wszystko, co jej powiedział, było kłamstwem? Jako doświadczona dziennikarka zdawała sobie sprawę, że często tak się zdarza. Ale przecież puścił ją. I uratował jej życie. Poczula wyrzuty sumienia, że nawet mu za to nie podziękowała. Gdyby nie on, już by pewnie nie żyła.

Katie sięgnęła do leżącej na tylnym siedzeniu torebki i wyjęła z niej notes i długopis. Zanim zdecydowała się na dziennikarstwo, studiowała malarstwo. Otworzyła notes i szybko naszkicowała portret Shawa. Pod spodem zrobiła kilka notatek.

Pisząc, mówiła do siebie na głos.

- Ciemne włosy, wzrost około metra dziewięćdziesięciu pięciu, waga jakieś sto kilogramów. Ramiona szerokości Nebraski. Zachwycające błękitne oczy. - Odłożyła długopis.

*Zachwycające błękitne oczy? Skąd jej to się wzięło?*

Nieważne. Może go jeszcze kiedyś spotka...

Przeniosła się na fotel kierowcy, podjechała pod hotel, zostawiła samochód i weszła do środka wyjściem dla dostawców.

## ROZDZIAŁ 25

Shaw nie zamierzał zabierać z hotelu swoich ubrań. Większość rzeczy osobistych zostawił wcześniej w schowku bagażowym na stacji kolejowej. Kiedy tylko znalazł się z dala od hotelu, zadzwonił do Franka. Frank odebrał dopiero po czwartym dzwonku.

- W co ty, do diabła, grasz? - warknął Shaw do słuchawki.

- Powinieneś cieszyć się z sukcesu kolejnej misji. Mamy prochy, źli chłopcy nie dostali kasy, i został nam jeden żywy, który śpiewa jak z nut. Ja już otworzyłem butelkę szampana.

- Twoi ludzie pierwsi otworzyli ogień.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Co się z tobą dzieje? Straciłeś zimną krew?

- No, dobrze. Załatwiliśmy kilku Tadżyków, i co z tego? Wiesz, ile te bydlaki potrafią zżreć? Mam ograniczony budżet.

- Poza tym twoi ludzie strzelali do mnie.

- Powinieneś bardziej uważać.

- Na co?

- Nie lubimy emerytów, Shaw. Odejdiesz, kiedy ci na to pozwolimy. Jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

- Nasza umowa...

- Ta umowa jest gównem warta. Zawsze była gównem warta, ale ty zdawałeś się tego nie dostrzegać. Dzisiaj dostałeś ostrzeżenie, przyjacielu. Jedyne. Następnym razem mogą nie chybić. I tak powinieneś się uważać za szczęściarza. A propos, rozkazy dotyczące Heidelbergu czekają na lotnisku. Lot czarterowy, będziesz na miejscu ze dwie godziny. Przy głównym wejściu na lotnisku podejdzie do ciebie mężczyzna. A na razie życzę miłego popołudnia w Szkocji.

Frank rozłączył się, a Shaw stał na Princes Street, w samym środku Edynburga, otoczony przez tysiące ludzi. Nigdy nie czuł się bardziej samotny.

Katie wyjęła z torebki pusty notes, włożyła coś do środka i weszła do hotelu Balmoral. Recepcjonista był wysokim, szczupłym młodym człowiekiem. Katie podeszła do niego i położyła na kontuarze notes.

- Jakiś mężczyzna zostawił to w holu. Nie ma tu nazwiska, ale być może mieszka w tym hotelu. Wsiadł do taksówki, zanim zdążyłam go złapać. - Opisała szczegółowo Shawa.

- Tak, zatrzymał się u nas, proszę pani - powiedział młody Szkot. - To pan Shaw. Położę to w jego przegródce.

Katie patrzyła, jak recepcjonista kładzie notes w przegródce oznaczonej numerem pięćset pięć. Kiedy się odwrócił, jej już nie było.

Niech Bóg błogosławi Szkotów, pomyślała. Gdyby spróbowała takiego numeru w Nowym Jorku, rzuciliby ją na ziemię i szybko wezwali policję.

Spędziła dwie godziny w fotelu w holu. Popijała colę, obgryzając paznokcie do krwi, od czasu do czasu zerkała w stronę recepcji. Ożywiła się, kiedy młody Szkot przekazał obowiązki kobiecie w średnim wieku, którą Katie widziała po raz pierwszy w życiu. Gdy tylko recepcjonista zniknął z pola widzenia, Katie podeszła do kontuaru.

- Zatrzymałam się z moim narzeczonym w pokoju pięćset pięć - zaczęła. - Dałam mu swój klucz, bo on gdzieś zapodział ten drugi, ale obiecał, że włoży klucz do notesu, który zostawi dla mnie w recepcji.

Kobieta spojrzała na ścianę z przegródkami. Sięgnęła na półkę oznaczoną numerem pięćset pięć i wyjęła stamtąd notes.

- Czy to ten? - zapytała.

Katie skinęła głową i wzięła go do ręki. Przekartkowała notes i postarała się, żeby przedmiot, który tam wcześniej umieściła, wypadł wprost na kontuar. Recepcjonistka podniosła go. Było to amerykańskie prawo jazdy Katie. Kobieta spojrzała na zdjęcie, następnie na Katie.

- Wszędzie go szukałam. Musiał je znaleźć i włożył do notesu.

- A gdzie jest pani narzeczony? - zapytała recepcjonistka tonem grzecznym, ale dającym także do zrozumienia, że ma inne obowiązki.

- W Glasgow. - Przekartkowała ponownie notes. - Wraca jutro, ale nie zostawił klucza. Jak mogę się dostać do pokoju?

- Próbowала pani do niego zadzwonić?

- Tak, ale nie odbiera telefonów. Może nie ma zasięgu.

- No tak.

Recepcjonistka spojrzała ponownie na prawo jazdy i notes.

- No dobrze, przecież nie pozwolimy naszym gościom spać na ulicy. - Wyciągnęła z przegródki zapasowy klucz i wręczyła go razem z prawem jazdy i notesem Katie.

Katie zerknęła na identyfikator kobiety.



- Nie wiem, jak ci dziękować, Saro. Nie mogę uwierzyć, że zapomniał zostawić mi klucz.

- Wysłałam za Dennisa już dwadzieścia sześć lat temu, a ten gamoń wciąż zapomina o urodzinach, rocznicach, a czasem nawet nie pamięta, jak ma na imię piątka naszych dzieci. Więc jeśli pani narzeczony zapomina tylko o kluczach, to ja na pani miejscu szybko wychodziłabym za niego za mąż.

Katie ruszyła w stronę windy.

Minutę później otwierała drzwi pokoju pięćset pięć. Widziała wcześniej, że Shaw oddała się od hotelu, więc nie mogło go być w środku. Mimo to obiecała sobie, że ma tylko dziesięć minut na przeszukanie pokoju.

Po dziewięciu minutach przejrzała już prawie każdy centymetr kwadratowy pomieszczenia i kilka rzeczy, które tu pozostawił, ale nic to nie dało. No, może nie do końca. W kieszeni marynarki znalazła paragon za książkę kupioną w Dublinie, ale nie wydało jej się to w żadnym stopniu przydatne.

Przemierzała pokój tam i z powrotem, zatrzymała się przy stole i omiotła wzrokiem wszystkie znajdujące się tam przedmioty. I nagle spostrzegła. Usiadła, przysunęła do siebie bloczek bibuły, wzięła do ręki ołówek i potarła grafitem kartkę. Na papierze zaczęły się ukazywać litery. Shaw musiał tak mocno przyciskać ołówek do kartki, że na tej pod spodem pozostał ślad. Popęłnił błąd jak zwyczajny amator.

- Anna Fischer - odczytała Katie. Nazwisko było bardzo popularne, ale coś Katie przypominało.

Nagle przyszło jej coś do głowy. Ponownie wzięła do ręki paragon, który znalazła w kieszeni marynarki.

*Badania historyczne nadpaństwami policyjnymi* - przeczytała. I znowu coś zaczęło świtać w jej głowie.

Wyszła z pokoju i zadzwoniła do księgarni, która sprzedawała książkę. Nie spodziewała się, że ktoś odbierze, ale o dziwo usłyszała w słuchawce kobiecy głos. Katie zapytała, czy mają taką książkę. Owszem, usłyszała, ale pozostał już tylko jeden egzemplarz.

- Jak się nazywa autor? - zapytała. - Wyleciało mi z głowy.

- Anna Fischer - odpowiedziała kobieta.

## ROZDZIAŁ 26

Anna Fischer przechadzała się wolno ulicami Westminsteru w Londynie. Gromadziło się tu wielu turystów wyciągających szyję, żeby zobaczyć królową lub kogoś innego z rodziny królewskiej w Pałacu Buckingham, a przynajmniej obejrzyć w opactwie nagrobki dawno zmarłych monarchów. Niedaleko znajdował się West End ze swoimi teatrami, a admirał Nelson, nie bacząc na srające na niego ptaki, patrzył zadumany na Trafalgar Square ze szczytu wysokiego granitowego postumentu, na którym umieszczono jego posąg.

Weszła do St. James Park, mijając cudzoziemskie nianie i brytyjskie mamy popychające dziecięce wózki. Bezchmurne niebo było raczej rzadkością na tej niewielkiej wyspie otoczonej wielką wodą, dlatego też londyńczycy wylegli na ulice, żeby nacieszyć się słońcem.

Anna wlokła się noga za nogą, minęła King Charles Steps, zatrzymała się i spojrzała na Duck Island, wyspę pośrodku jeziora St. James Park. Usiadła na ziemi i owinęła spódnicę wokół długich nóg.

Czy nie była wobec Shawa zbyt surowa? Jakaś jej część mówiła tak, ale inna z kolei krzyczała głośno: Nie! Małżeństwo, przynajmniej dla Anny, było zobowiązaniem na całe życie. To prawda, powinna była poruszyć ten temat wcześniej, ale teraz, kiedy Shaw się oświadczył, sprawa stała się naprawdę pilna. Powinien zdać sobie z tego sprawę, a jeśli nie, to może lepiej będzie, jeśli się rozstaną.

Miała przez lata innych zalotników, wykształconych, elokwentnych, zajmujących poważne stanowiska, czasami wyjątkowo bogatych. Żaden z nich jednak nie wzbudził w niej tyle czułości, tyle uczucia co Shaw. Ale czy zdecyduje się pojechać do Durlach i odwiedzić jej rodziców?

Podniosła się i usiadła na parkowej ławce. Obok leżała gazeta, którą zostawił jakiś spacerowicz. Podniosła ją. „Guardian” opisywał dalszy ciąg mrocznej rosyjskiej historii. Nagłówek mówił już wszystko: *Ponownie „czerwona panika”?*

Coś, co nazwano Listą Ofiar, dotarło do przywódców świata i największych agencji prasowych. Najprostszy wizerunek i ziarniste zdjęcia rzekomo zamordowanych Rosjan, ich tragiczne losy opisane prostymi słowami przemawiały dobitniej, niż można to było sobie wyobrazić. Przeglądając artykuł, Anna zmarszczyła brwi. Autor powtarzał bezmyślnie znane

już wcześniej fakty. To przypominało zabawę w głuchy telefon - opowieść powtarzana szeptem na ucho przez grupę ludzi. W całej zabawie chodziło o to, żeby przekonać się, jak bardzo zmieni się treść, kiedy głośno opowie ją ostatni uczestnik gry. Na dodatek w opinii zachodniej prasy zamordowanie Siergieja Piętrowa i napis po rosyjsku na jego czole były wystarczającym dowodem winy prezydenta Gorszkowa.

Kiedy w kraju pojawiła się fala masowych demonstracji, rosyjski prezydent postawił siły zbrojne w stan gotowości. Wyglądało na to, że nastąpi zapaść. Anna słyszała nawet od swoich dawnych kolegów z ONZ plotki, że jeśli sytuacja nie zostanie szybko wyjaśniona, a Gorszkow oczyszczony z zarzutów, to pod znakiem zapytania stanie uczestnictwo Rosji w obradach Rady Bezpieczeństwa. Cokolwiek stało się z Konstantinem i jego rodziną, jedno było pewne: przyszła pora na odwet.

Ale czy ktokolwiek potrudził się o sprawdzenie wszystkich faktów? W przeciwieństwie do innych wąpiących w ich prawdziwość Anna dysponowała środkami, by zweryfikować doniesienia mediów. Postanowiła coś w tej sprawie zrobić, może po to, by zapomnieć choć na chwilę o kłopotach osobistych.

Weszła do swojego biura w mającym sto siedemdziesiąt pięć lat budynku stojącym przy spokojnej ślepej uliczce w pobliżu Buckingham Gate. Sąsiednie budynki były opustoszałe, ale w ciągu najbliższych sześciu miesięcy miały zostać odnowione. Póki nie wkroczą młoty pneumatyczne i inne hałaśliwe urządzenia, mogła cieszyć się spokojem i samotnością. W powietrzu unosił się zapach świeżej farby. Niedawno w jej budynku skończył się remont elewacji, który obejmował także malowanie futryn okien i drzwi.

Otworzyła ciężkie frontowe drzwi, na których znajdowała się złota tabliczka z nazwą firmy: Phoenix Group Limited. Kiedy zaczęła tu pracować, powiedziano jej, że firma jest wspierana finansowo przez pewnego tajemniczego, bogatego dżentelmena urodzonego w Stanach Zjednoczonych, a konkretnie w Arizonie. Był on tak tajemniczy, że nikt, kto pracował w Phoenix Group, nie znał jego nazwiska. Nigdy ich nie odwiedzał. Otrzymywali tylko od niego od czasu do czasu komunikaty i słowa wsparcia. Z Ameryki przyjeżdżali tylko jego przedstawiciele - spotykali się z nimi i zadawali im pytania. Annie opisano go jako człowieka zainteresowanego szeroko rozumianymi zagadnieniami dręczącymi ludzkość. Płacił ludziom takim jak Anna za rozwiązywanie problemów. Kimkolwiek był, dawał Annie i pozostałym wolną rękę w rozwijaniu zainteresowań. Niewiele istniało tak interesujących posad. Była to najbardziej inspirująca praca, jaką Anna kiedykolwiek wykonywała. Gdyby jeszcze udało jej się ułożyć życie osobiste...

Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła schodami na górę. Jej zagracony gabinet znajdował się na końcu korytarza najwyższego piętra. Mijała kolejne pokoje, wszystkie opustoszałe oprócz jednego, gdzie jej współpracownik Avery Chisholm, zręczliwy stary członek akademii, mozolił się nad swoim projektem, a jego siwą głowę ledwie było widać znad stosu książek leżących na biurku.

Odpowiedział na jej powitanie uniesieniem dłoni.

Anna zasiadła za dużym, pełnym książek i stosów papierów biurkiem. Jej zadaniem była próba zrozumienia współczesnego świata, element po elemencie. Anna wraz z kolegami zapisywali kartkę po kartce, publikowali kolejne książki, wygłaszali odczyty, przedstawiali precyzyjne, szczegółowe analizy, które powinny stać się prawdziwym skarbem dla rządów i korporacji od Stanów Zjednoczonych po Japonię. Niestety, zdawała sobie sprawę, że mało kto z rządzących zadał sobie trud, żeby je przeczytać.

Usiadła przy komputerze i weszła na kilka czatów. Ilekroć podała w wątpliwość winę Rosjan albo zapytała o prawdziwe pochodzenie „czerwonej paniki”, była atakowana ze wszystkich stron przez ludzi wątpiących w jej religijność i patriotyzm, choć nikt z nich nie wiedział, jaką wiarę wyznaje ani z jakiego kraju pochodzi. Otrzymała miano lizusa i wazeliniarza, zdrajcy ludzkości i zwykłej dziwki.

Wycofała się z tego cyberświata i rozszerzyła obszar poszukiwań, aż wreszcie trafiła na jakiegoś mało znanego blogera z odległej cybergalaktyki. On miał podobne wątpliwości jak Anna. Przesłała mu swój adres e-mailowy, mając nadzieję, że wkrótce otrzyma od niego odpowiedź.

I miała otrzymać, tyle że nie taką, jaką sobie wyobrażała.

## ROZDZIAŁ 27

Anna Fischer była kobietą niezwykle inteligentną i miała liczne tytuły naukowe najbardziej znanych uczelni. Ale tym razem popełniła fatalny błąd. Na jej usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że nie mogła wiedzieć o tym, że taki błąd popełnia.

Blogger, któremu ufnie i bez obaw przesłała swój adres e-mailowy, nie był tym, za kogo się podawał. Nie był nawet żyjącą istotą, tylko informatyczną zjawą.

Dick Pender i jego ludzie na bieżąco monitorowali to, co się dzieje na tysiącach cnatów na całym świecie. Błyskotliwe wymiany zdań kilobajt po kilobajcie przetaczały się po monitorach potężnych komputerów. Oczywiście określeniem kluczowym była „czerwona panika”. Pender uśmiechał się, porównując liczbę tych przekonanych, że stoją za tym Rosjanie, z tymi, którzy nie byli tego pewni. Wynik był zadowalający - blisko dziewięćdziesiąt osiem procent nie miało wątpliwości.

Pender ze złośliwą satysfakcją zauważył, że każdy, kto wypowie się przeciw „prawdzie”, którą on stworzył, był natychmiast atakowany przez całą armię internautów. Wysyłał na tysiące forów dyskusyjnych wcześniej napisane odpowiedzi, zasypywał internautów faktami, które nie miały nic wspólnego z prawdą, i uśmiechał się szeroko, kiedy okrzykiwano go bohaterem i osobą wyjątkowo mądrą.

Boże, jak łatwo jest popierać osąd popularny, choć nieprawdziwy, myślał Pender.

Chwilę później uśmiechnął się jeszcze szerzej. Właśnie sprawdził coś, co nazwał wnykami online. Jedną z takich pułapek był blogger, do którego Anna przesłała swoje pytanie. Stworzyli go, podobnie jak wielu innych, ludzie Pendera, a celem było namierzenie tych, którzy uważali, że „czerwona panika” jest zwykłą bujdą. Pender musiał mieć pewność, że nie pojawiają się na masową skalę żadne wątpliwości. Na wszelki wypadek przygotował strategię, która pomogłaby rozwiązać wszelkie wątpliwości. Zakładała ona wywołanie skandalu, który zdołałby odwrócić uwagę ludzi od głównego problemu.

Niewielu ludzi przesyłało swoje adresy e-mailowe na stworzone przez niego strony. Zdecydowana większość ludzi przyjęła za dobrą monetę zapewnienia, że to Rosjanie są winni. Ludzie dobrze się czuli w roli owiec w stadzie i właśnie dzięki temu interes Pendera rozkwitał. Zdarzały się oczywiście niedowiarki, ale ich karmił fragmentami prawd i półprawdami. Nietrudno było odgadnąć, jakie są ich oczekiwania. Zresztą media miały wiele

innych tematów, a on musiał zaspokoić żądania tylko jednego klienta - Nicolasa Creela. Swoją metodę Pender nazywał „regulacją kurka”. W odpowiednich chwilach, w zależności od potrzeb, przykręcał lub odkręcał kurek z informacjami. Utrzymywał w ten sposób media w stanie nieustannego zainteresowania.

Część ludzi, którzy zadawali niewygodne pytania na stronach stworzonych przez Penderà, została sprawdzona przez jego pracowników i okazała się zupełnie niegroźna. Pender nie miał pojęcia, kim jest Anna Fischer, ale zaintrygowała go nazwa domeny w adresie e-mailowym.

- Phoenix Group - powiedział do siebie, siadając przy biurku. Sprawdził już wcześniej, skąd dotarła wiadomość. Przejrzał szybko zgromadzone na temat firmy dane. Phoenix Group miała siedzibę w Londynie, w Westminsterze, niedaleko pałacu Buckingham i zatrudniała grono ekspertów. Właściciel pozostawał nieznany.

Penderowi przebiegały przez głowę różne pomysły. „Wall Street Journal” miał wkrótce opublikować artykuł podający w wątpliwość informacje o dziesiątkach tysięcy zabitych Rosjan. Pender znał dziennikarza, który go napisał. Był dziennikarzem dobrym, ale odrobinę leniwym i miał opinię człowieka, który nie zajmuje się tematami niebezpiecznymi lub niepopularnymi. Pender polecił swoim ludziom przygotowanie w sieci czterech artykułów, które wyjaśniałyby, że ewentualne nieścisłości w biografii zabitych Rosjan wynikają z błędów w dokumentach rządowych i nie mogą w żaden sposób umniejszyć znaczenia tego niewyobrażalnego holocaustu, gdyż rzucałoby to cień na ich pamięć. Pender wynajął także kilku wybitnych „ekspertów”, którzy potwierdzali tę tezę we wszystkich możliwych publicystycznych programach telewizyjnych.

Był pewien, że dziennikarz, by uniknąć etykiety cynicznej, sprzedanej świni, nigdy więcej nie tknie tego tematu. Zwiertzył także, że BBC przygotowuje program, ale producent waha się, czyją wziąć stronę. Opublikowano trzy artykuły napisane przez ludzi Penderà i wkrótce udręczony producent przyjął linię zgodną z punktem widzenia Creela. Pender nie mógł się doczekać, kiedy obejrzy ten program w telewizji.

W tym wypadku instynktownie czuł, że Phoenix Group może być tym, przed czym ostrzegał go Creel. Dlatego też przesłał wszystkie potrzebne informacje swojemu klientowi.

Potem wrócił do robienia tego, co potrafił najlepiej - sprzedawania prawdy łatwowiej ludzkości.

Nie istniała dla niego bardziej emocjonująca gra.

## ROZDZIAŁ 28

Nicolas Creel siedział w pełnym przepychu salonie na riwierze i oglądał końcówkę *Szeregowca Ryana*. Uwielbiał ten film, nie dlatego, że aktorzy i reżyser byli gwiazdami, ani dlatego, że tkwiło w nim ważne moralne przesłanie. Nie, kochał ten film dlatego, że widział w nim świat, gdzie śmierć uszlachetniała.

Creel zbił fortunę na konstruowaniu i sprzedawaniu maszyn, które potrafiły zabić tysiące, jeśli nie miliony istnień, a mimo to był człowiekiem nastawionym pokojowo. Nigdy nikogo nie uderzył w złości, nigdy nie strzelił z broni palnej. Nie znosił przemocy. Większą część fortuny zarobił, kiedy świat żył w pokoju, w pewnego rodzaju pokoju. Właściwie było to tylko poczucie, że panuje pokój, poczucie podszyte strachem, że w każdej chwili może wybuchnąć wojna. Dla Creela pokój, za którym czaił się strach przed wojną, był najlepszym możliwym rozwiązaniem.

Creel lubił *Szeregowca Ryana* z jeszcze jednego powodu. Druga wojna światowa była klasycznym konfliktem pomiędzy dobrem a złem, szlachetną wojną, która pozwoliła pokoleniu Amerykanów spełnić swoje nadzieje i uczynić z nich ludzi wielkich. Choć mało kto zdawał sobie z tego sprawę, taki sam konflikt rozgrywał się dzisiaj. Creel ustawiał tylko na swojej szachownicy niczego niepodejrzewających graczy, którzy mieli sprawić, by ten świat był bezpieczniejszy niż w ostatnich dziesięcioleciach. Na krótką metę wydawało się to zadaniem trudnym, niemniej w przyszłości powinno przynieść wymierne korzyści.

Wstał, przeszedł do sypialni i pocałował w policzek leżącą na łóżku, wyczerpaną po spełnieniu obowiązku małżeńskiego żonę.

Patrzył na nią i czuł, że zbliża się koniec. Girlasce spodobało się bogactwo, status społeczny i nieograniczony dostęp do alkoholu. Bez przerwy krzyczała na służących, potrafiła nawet sterroryzować dzieci Creela z poprzednich małżeństw, kiedy pojawiały się z wizytą. To akurat Creelowi specjalnie nie przeszkadzało, bo nie darzył głębokim uczuciem żadnego ze swoich dzieci.

W rzeczywistości jego droga żona pozwalała mu nabrać pewności siebie. Skończyła studia, ale ważniejsze było ciało supermodelki. Kiedy w Nowym Jorku po raz pierwszy zobaczył, jak się porusza na wybiegu, wiedział od razu, że musi ją mieć, choćby dlatego, że wszyscy wokół jej pragnęli. Creel zawsze chciał być pierwszy.

Jak to miał w zwyczaju, tego wieczoru też pojechał do swojego biura popracować. Gabinet nie był może tak duży, jak przystało na człowieka o jego statusie, ale jemu w zupełności wystarczał. Usiadł przy biurku, włączył komputer i odebrał pocztę, którą wraz z załącznikami przesłał mu Pender.

Z rosnącym zainteresowaniem przeczytał wszystkie e-maile. Phoenix Group? Nic mu to nie mówiło. Chwycił za słuchawkę i zażądał:

- Sprawdź dokładnie, kto stoi za Phoenix Group, firmą ekspercką z Londynu. Zrób to jak najszybciej.

Intuicja podpowiadała mu, że może to być jeden z brakujących elementów układanki. Gdyby tak było, okazałoby się, że nawet miliardrom handlującym śmiercią sprzyja czasem szczęście.

Po kilku godzinach ziściły się jego pobożne życzenia. Miał świetnych ludzi. Przedarli się przez kilka fasad mających skutecznie ukryć prawdziwego właściciela Phoenix Group. Udało im się pokonać wszystkie trudności i teraz Creel nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Phoenix Group nie miał żadnych związków z Arizoną. Słowo *phoenix* - feniks miało swoje źródło w Egipcie i symbolizowało moc zesłaną z nieba. Oznaczało także lojalność i szczerść. To było to.

Ponownie podniósł słuchawkę i wydał polecenie:

- Obserwujcie siedzibę Phoenix Group przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Potrzebuję też pełnych danych o wszystkich pracujących tam ludziach. Zdobądźcie plany każdego zakątka, każdej szczeliny w tym budynku. Żaden szczegół nie może pozostać nierozpoznany.

Następnie Creel zadzwonił do Caesara. Nadszedł czas, by jego prywatna armia ruszyła do boju.



## ROZDZIAŁ 29

Shaw stał w zamku w Heidelbergu przed największą na świecie beczką na wino. Poprzedniego wieczoru przyleciał z Edynburga do Frankfurtu, a rano dotarł samochodem do Heidelbergu. Tym razem jego zadanie wydawało się stosunkowo proste, miał przekazać jakiemuś mężczyźnie papiery.

Po skończonej robocie zamierzał pojechać do małego miasteczka Durlach i odwiedzić rodziców Anny. Czy powinien tam jechać? Frank dał Shawowi jasno do zrozumienia, że w najbliższym czasie nie ma mowy o zakończeniu służby. Wszystko wskazywało na to, że uwolnić go może tylko śmierć. Po co w takim razie jechać do Durlach? Nie mógł poślubić Anny i jednocześnie pracować dla Franka. Nie powinien być się oświadczać. Powinien jak najszybciej zniknąć z jej życia. Niech pojawi się w nim ktoś inny, kto da Annie to, czego on nie może.

Byłby to szlachetny i bezinteresowny uczynek, ale Shaw czuł, że nie zamierza być szlachetny i bezinteresowny. Nie chciał stracić Anny. Nie mógł jej stracić. Pojedzie do Durlach, może po drodze przyjdzie mu do głowy jakiś cudowny sposób, żeby wyplątać się z tego koszmaru.

Pół godziny później przekazał papiery młodemu mężczyźnie, który wyglądał jak student amerykańskiego college'u: miał na sobie niechlujne dżinsy, buty Nike'a i czapkę baseballową Red Soksów. Shaw dalej odgrywał rolę turysty, robił zdjęcia starego zamczyska i słuchał opowieści o historii najstarszej niemieckiej warowni i jej siedmiometrowej grubości murach. Kiedy mógł już bezpiecznie opuścić zabytek, puścił się biegiem w dół zbocza do wynajętego samochodu i pojechał do Durlach.

W drodze do Durlach minął przedmieścia Karlsruhe. Tak jak powiedziała Anna, przy głównej ulicy uroczego miasteczka bez trudu znalazł księgarnię.

W drzwiach przywitała go Natasza Fischer. Była mniej więcej wzrostu córki i dobrze wyglądała. Ale w przeciwieństwie do Anny, która była gadatliwa i otwarta, jej matka zachowywała się z rezerwą i nie spojrzała nawet w oczy Shawowi, kiedy się przedstawiał.

Księgarnia była niewielka, półki zrobiono ze starego drewna sosnowego i orzechowego. Przy ścianie zapelnionej starymi książkami stała drabina na kółkach, a przy drugiej ścianie duże, zavalone papierami biurko. Siedział przy nim mężczyzna jeszcze

potężniejszej postury niż Shaw. Wolfgang Fischer wstał i wyciągnął dłoń. Anna uprzedziła ich o jego przyjeździe. Natasza wywiesiła na drzwiach tabliczkę „zamknięte” i przekręciła klucz w zamku. Następnie poszła za mężem i Shawem do przylegającego do księgarni mieszkania.

Podobnie jak w księgarni było tu bardzo czysto. Wszędzie stały fotografie Anny od lat dzieciennych aż po współczesne. Natasza poszła zrobić herbatę, a Wolfgang wyjął z barku małą butelkę ginu.

- Taka okazja wymaga czegoś mocniejszego niż herbata, prawda? - powiedział po angielsku z ciężkim niemieckim akcentem, który utrudniał zrozumienie jego słów. Napełnił szklaneczki i spojrzał wyczekująco na Shawa, który nerwowo opierał się o grubo ciosany drewniany gzyms kominka.

- Anna dużo nam o tobie opowiadała - postanowił mu pomóc Wolfgang.

Wróciła Natasza z herbatą i talerzem ciastek. Spojrzała z dezaprobatą na szklaneczkę ginu w ręku męża.

- Jeszcze nawet nie ma czwartej - zauważyła z przyganą. Mąż uśmiechnął się szeroko.

- Shaw właśnie chciał coś powiedzieć.

Natasza usiadła i nalała herbatę, rzucając przy tym na gościa pełne niepokoju spojrzenia.

Shaw czuł, że zaczyna się pocić pod pachami. Nigdy wcześniej nie pocił się ze zdenerwowania, nawet kiedy do niego strzelano. Czuł się jak sztubak na pierwszej randce. Miał sucho w ustach, a nogi ledwo go dźwigały.

- Przyszedłem, żeby o coś poprosić - odezwał się w końcu, siadając naprzeciw nich.

Musiał to wreszcie wykrztusić. Spojrzał prosto w oczy ojcu Anny.

- Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym poślubił pańską córkę?

Wolfgang spojrzał na żonę, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Natasza otarła oczy chusteczką.

Wolfgang poderwał się, postawił Shawa na nogi i zamknął go w takim niedźwiedzim uścisku, że Shawa rozboleły zebra. Śmiejąc się, Wolfgang zagrzmiał:- Czy taka odpowiedź wystarczy?

Natasza szybko wstała, mocno uściśnęła dłoń Shawa, pocałowała go w policzek i powiedziała cicho:

- Sprawileś, że Anna jest szczęśliwa. Nigdy o nikim nie wyrażała się tak, jak o tobie. Nigdy. Prawda, Wolfie?

Wolfgang potrząsnął głową.

- Rozumiem, że ty też jesteś z nią szczęśliwy?

- Bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

- Kiedy ślub? - zapytała Natasza. - Oczywiście ślub będzie tutaj, gdzie jest jej rodzina, prawda?

Wolfgang spojrział na nią z rozdrażnieniem.

- A co z rodziną pana młodego? Może nie będą mieli ochoty przyjeżdżać do takiej małej miejsciny. - Klepnął Shawa w ramię, jak na złość w miejsce, gdzie drasnęła go kula w Szkocji. Mężczyzna zacisnął zęby, żeby nie zawyc z bólu.

- Może być tutaj - zgodził się. - Ja... cóż... nie mam rodziny. - Fischerowie spojrzeli na niego z zaciekawieniem. - Jestem sierotą.

Dolna warga Nataszy zadrżała.

- Anna nam nic nie powiedziała. Przepraszam.

- Teraz już masz rodzinę - odezwał się Wolfgang. - Mnóstwo rodziny. W samym Durlach mieszka dwudziestu Fischerów. Jeśli dodać do tego Karlsruhe i Wirtembergię, będzie nas ponad setka. W całych Niemczech tysiące, czyż nie tak, Tasza?

- Ale nie wszyscy przyjadą na ślub - dodała pośpiesznie Natasza.

- Wnuki - powiedział Wolfgang, patrząc na Shawa i uśmiechając się szeroko. - Nareszcie będę miał wnuki. Chyba zamierzacie mieć dzieci?

- Wolfgang - zgromiła go Natasza. - To nie jest nasza sprawa. Anna nie jest już tak młoda, poza tym robi karierę. Wszystko w rękach Boga. My chcieliśmy mieć dużo dzieci, a mamy tylko Annę.

- No dobrze, rodzina nie musi być duża - poprawił się Wolfgang.

- Nie więcej niż czworo czy pięcioro.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - odpowiedział z zażenowaniem Shaw.

- Anna mówiła, że jesteś konsultantem - ciągnął Wolfgang.

- A w jakiej dziedzinie?

Shaw zastanawiał się, czy córka zasugerowała im zadawanie takich pytań po to, by powiedział rodzicom prawdę.

- Stosunki międzynarodowe - odparł.

- Dużo jest przy tym roboty? - zapytał Wolfgang.

- Więcej, niż może pan sobie wyobrazić. A ostatnio jeszcze więcej.

- Oparł się o ścianę i widział, że patrzą na niego wyczekująco. Twarde drewno sprawiło, że wzrosła jego determinacja. - Pracuję dla agencji, która ma za zadanie uczynić świat bezpieczniejszym. Małżonkowie wymienili spojrzenia.

- Czyli pracujesz jak policjant.

- Coś w tym rodzaju. Ale po ślubie zamierzam rzucić tę pracę.

Na szczęście zadali już tylko kilka mało istotnych pytań. Zapewne obawiali się, żeby nie poruszyć jakichś tematów objętych klauzulą „tajne”.

*Gdyby znali prawdę.*

Shaw spędził z Fischerami ponad godzinę. Kiedy tylko zniknął z pola widzenia, do drzwi domu Fischerów podszedł jakiś mężczyzna i zapukał. Kiedy Natasza otworzyła, mężczyzna rzekł:

- Pani Fischer, muszę z panią porozmawiać na temat człowieka, z którym się państwo przed chwilą spotkali.

Nie czekając na zaproszenie, wślizgnął się do środka. Po chwili do żony dołączył Wolfgang.

- Lepiej będzie, jeśli państwo usiądziecie - powiedział mężczyzna.

## ROZDZIAŁ 30

Ku zadowoleniu Nicolasa Creela Rosja znowu zrobiła coś zupełnie przewidywalnego. Izolowana i postawiona pod ścianą, naprężyła mięśnie, zrzucając z samolotu TU 160 konwencjonalne bomby, których moc wynosiła łącznie pięćdziesiąt kiloton trotylu, czyli pięć razy więcej niż bomba atomowa zrzucona podczas drugiej wojny światowej przez Stany Zjednoczone. Po wybuchu pozostał krater średnicy pięciuset metrów, a nad ziemią unosiła się gęsta chmura, przypominająca grzyb atomowy, choć na szczęście nieradioaktywna. Eksplozję określono jako rutynowe sprawdzenie gotowości bojowej, zarządzane przez prezydenta Gorszkowa, który zresztą wkrótce potem postawił rosyjskie siły zbrojne w stan najwyższej gotowości. Prezydent Gorszkow twierdził także z naciskiem, że jeśli Rosji uda się ustalić, kto stoi za tą brudną kampanią propagandową, zostanie ona uznana za akt wojny.

„Współczuję temu krajowi czy organizacji, która za tym stoi, ktokolwiek to jest i jakkolwiek jest potężny” - dodał złowrogo Gorszkow, a zabrzmiało to jak pokazanie Stanom Zjednoczonym wyciągniętego środkowego palca, choć Stany uparcie zaprzeczały jakimkolwiek swoim związkom z antyrosyjską kampanią. W kręgach dyplomatycznych potraktowano tę wypowiedź niemal jak przyznanie się do winy, bo jakie inne państwo, jeśli nie Stany miało dość pieniędzy i motywację, żeby tak postępować.

Czytając te ostatnie doniesienia, Nicolas Creel śmiał się głośno. Znajdował się w sali konferencyjnej swojego boeinga dwanaście kilometrów nad Atlantykiem. Naprzeciwko niego siedział Caesar. Creel odwrócił gazetę tak, żeby Caesar mógł przeczytać nagłówek artykułu o Rosji zrzucającej bombę i groźbach Gorszkowa.

- Akt wojny? - zadrwił. - Żeby toczyć wojny, trzeba mieć armię, a Rosja jej nie ma. Siedzą na kupie pieniędzy ze sprzedaży ropy naftowej, ale przez idiotyczny dekret prezydenta nie mogą przeznaczyć na siły zbrojne więcej niż trzy i pół procent swojego PKB. To daje dwadzieścia dwa miliardy dolarów rocznie, z czego osiem miliardów na zakup broni. Za takie pieniądze nie zbuduje się żadnego porządnego systemu obronnego. Spójrz na Amerykanów. Wraz z budżetem uzupełniającym wydają rocznie na obronę siedemset miliardów dolarów, czyli około dwudziestu procent budżetu federalnego. Jankesi przebijają tę kwotę wszystkie pozostałe kraje świata razem wzięte. I tak właśnie powinno być. Statusu supermocarstwa nie dostaje się za darmo, to musi kosztować, i to dużo.

Creel wskazał palcem wykres przedstawiający siłę rosyjskiej armii.

- Rosjanie mogą mieć w pełnej gotowości pięć dywizji, i to przy odrobinie szczęścia. Kiedyś dysponowali trzecią co do wielkości flotą. Teraz nie mogą zbudować jednego lotniskowca, bo w swoim wielkim kraju nie mają żadnej stoczni. Kto to zaplanował, towarzyszu? Ponieważ rząd nie kupuje broni, ich fabryki zbrojeniowe muszą eksportować swój złom do Indii i Chin. Amerykanie, Brytyjczycy, Niemcy czy Francuzi nie nabędą przecież tego gówna. Tymczasem nawróceni komuniści od piętnastu lat nie zakupili dla swoich sił powietrznych ani jednego samolotu. Mają ponad trzy tysiące samolotów, ale wszystkie są przestarzałe, a w połowie baz brakuje do nich paliwa. Projekt budowy ich najnowocześniejszego myśliwca nie został sfinansowany. Mają wciąż broń atomową, ale nie mogą jej użyć. Gdyby wystrzelili jedną rakietę, Jankesi w odwecie wyślą im dziesięć.

Ich osławiona marynarka wojenna składa się z dwudziestu przerdzewiałych okrętów, w tym tylko jednego starego lotniskowca, nie licząc okrętów podwodnych, które mają tendencje do zanurzania się po to, by nigdy więcej nie wypłynąć na powierzchnię. Amerykanie mają trzysta okrętów, w tym atomowe lotniskowce klasy Nimitz. Ze nie wspomnę już o tuzinie okrętów podwodnych klasy Ohio. Każda z tych jednostek może samodzielnie pokonać jedno państwo. Wiem o tym, bo budowała je jedna z filii mojej firmy. Do diabła, Jankesi mogliby rozwiązać problem „czerwonej paniki” w tydzień i to bez większego trudu. - Creel zachichotał. - Mimo to jestem szczęśliwym człowiekiem.

Caesar skończył czytać artykuł.

- Dlaczego? Rosjanie na pewno nie kupią pańskiej broni. Creel wstrzymał się chwilę z odpowiedzią, bo przypalał cygaro.

- W ubiegłym roku prezydent Gorszkow w rzadkiej chwili przytomności umysłu zatwierdził nowy ośmioletni program zbrojeniowy wart blisko pięć bilionów rubli, czyli sto osiemdziesiąt sześć miliardów dolarów. To dużo więcej, niż wynosi obecny budżet resortu obrony.

- Już rozumiem, gdzie widzi pan swój interes.

- O tym właśnie myślałem, wysyłając tam moich ludzi, którzy mieli nieco ten temat popychać. Ale to mnie specjalnie nie podnieca. To dopiero początek.

- Przepraszam, że to mówię, panie Creel, ale nie rozumiem pana. Miliarder uśmiechnął się.

- Nikt mnie nie rozumie. Pozwól więc, że wyjaśnię ci mój plan. Większość tych pieniędzy będzie przeznaczona na nowy sprzęt. Ale jeśli Rosjanie chcą dorównać Stanom Zjednoczonym w wydatkach na zbrojenia, będzie to dodatkowych siedemdziesiąt miliardów

rocznie. Dodaj do tego to, co teraz wydają plus nowy program zbrojeniowy. Ich fabryki zbrojeniowe nie poradzą sobie z taką liczbą zamówień. A odpowiedni poziom uzbrojenia muszą osiągnąć w ciągu dziesięciu lat. To oznacza, że muszą zwrócić się do Zachodu, a konkretnie do mnie. Biorąc pod uwagę inflację, będzie to prawie bilion dolarów. Załóżmy, że Ares zgarnie siedemdziesiąt procent tego tortu. To daje siedemset miliardów dolarów. I to właśnie sprawia, że szybciej krąży mi krew w żyłach.

- Ale dlaczego Rosjanie mieliby chcieć dorównać Stanom?

- Zrobią to, kiedy poczują, że nie mają innego wyjścia.

- Konstantin? Chodzi o tę kampanię, którą pan rozpętał? Myśli pan, że to ich zmusi do powrotu do czasów Związku Radzieckiego?

- To nie takie proste. Kampania „czerwona panika” izolowała ich od reszty świata, to oczywiste. Teraz możesz powiedzieć, że Gorszkow na śniadanie zjada małe dzieci, i pół świata w to uwierzy. Ale moim planem jest jeszcze podniesienie poprzeczki. Rosjanie nie są głupcami. Jeśli mają płacić, to muszą mieć powód.

- I jak pan podniesie poprzeczkę?

- Właśnie dochodzimy do sedna. Potrzebuję tuzina Rosjan albo przynajmniej mężczyzn wyglądających jak Rosjanie.

- To żaden problem. Mają tam tak wysokie bezrobocie, że znajdę ich bez trudu. Będą zabijać za pomocą pistoletów, noży, a nawet gołymi rękami. Dla nich to bez różnicy.

- Nie o takich ludziach myślałem. Muszą być specami od komputerów.

- To także nie stanowi problemu. Rosja słynie ze swoich hakerów. Creel rozparł się wygodnie w fotelu i odłożył papiery.

- Świetnie. Nasza armia rozpoczyna walkę.

# ROZDZIAŁ 31

Anna Fischer miała właśnie otworzyć drzwi swojego londyńskiego mieszkania, kiedy za jej plecami stanął jakiś mężczyzna. Wyczuwszy jego obecność i mając jeszcze w pamięci napad w Berlinie, odwróciła się szybko. W palcach ścisnęła pojemnik z gazem pieprzowym, który służył jej jako breloczek do kluczy.

Mężczyzna trzymał w wyciągniętej ręce odznakę.

- Pani Fischer? Nazywam się Frank Wells. Chciałbym porozmawiać z panią na temat Shawa.

Przyjrzała się odznace, potem przeniosła spojrzenie na mężczyznę.

- Nie znam takiej agencji - powiedziała.

- Większość ludzi jej nie zna. Możemy wejść do środka?

- Nie wpuszczam obcych mężczyzn do mieszkania. Twierdzi pan, że zna Shawa. A może pan kłamie?

- Znam. Przecież kobieta z tyloma tytułami naukowymi nie jest głupia.

- Z tytułami naukowymi? Skąd pan to wie?

- Mam pięciocentymetrowej grubości teczkę na temat Anastasii Brigitty Sabeny Fischer. Pani rodzice, Wolfgang i Natasza, mieszkają w Durlach, w Niemczech i prowadzą tam księgarnię. Jest pani jedynaczką. Mistrzynią w pływaniu. Absolwentką między innymi Cambridge. Pracowała pani w ONZ, a teraz zatrudniona jest pani w Phoenix Group w Londynie. - Spojrzał na pierścionek na jej palcu. - A w tej chwili jest pani zaręczona z Shawem. - Przeniósł spojrzenie z jej twarzy na drzwi. - Czy teraz możemy wejść do mieszkania? To ważne.

Usiedli w niewielkim salonie, którego okna wychodziły na ulicę. Frank rozejrzał się wokół. - Ładne mieszkanie.

- Po co pan przyszedł?

- Jak powiedziałem, chcę porozmawiać o naszym wspólnym znajomym. Moi ludzie zrobili to samo z pani rodzicami.

- Z rodzicami? Nie, myli się pan. Zadzwoniliby...

- Prosiliśmy, żeby tego nie robili. Chciałem najpierw sam z panią porozmawiać. Oświadczył się pani w Dublinie, prawda?



- Nie wiem, dlaczego miałyby to pana interesować. Frank zignorował jej uwagę.

- Mówił, że odchodzi z pracy. Anna bezwiednie przytaknęła.

- Powiem pani całą prawdę, zgoda?

W oczach Anny pojawiły się łzy. Wytarła je dłonią i zebrała się w sobie.

- Jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, proszę mówić. Sama ocenię, czy to prawda.

Frank zachichotał i skinął głową.

- Zgoda. - Pochylił się do przodu i skrzył głowę, tak że widoczne stało się wgłębienie w jego czaszce. - Widzi pani tę dziurę? Zawdzięczam ją pociskowi wystrzelonemu przez Shawa, kiedy próbowałem go aresztować.

Anna spojrzała na niego lodowato.

- Aresztować? Za co?

- To tajne. Ale zapewniam panią, że nie chodziło o niezapłacony mandat. Kiedy wyzdrowiałem i spotkaliśmy się ponownie, zaczął dla nas pracować.

- Pracować dla was? Po tym, jak o mało pana nie zabił? Chciał go pan aresztować. Skoro jest przestępcą i strzelał do pana, to dlaczego nie siedzi w więzieniu?

Frank wyjął cygaro.

- Mogę zapalić? - Nie.

Odłożył cygaro.

- W moim świecie nie ma ścisłego podziału na dobro i zło. Shaw siedziałby teraz w więzieniu, gdyby niejedna rzecz.

- Jaka? - zapytała ostrym tonem.

- Pani narzeczony ma niezwykle umiejętności. Nikt nie może dać mu rady. Potrafi wejść do pokoju pełnego gotowych na wszystko terrorystów, rozebrać ich do naga, ukraść turbany i wyjść z tego cało. Jest jedyny w swoim rodzaju. Dla takich ludzi robimy wyjątki. - Poklepał się po zniekształconej czaszce. - Nawet jeśli o mało nie przyplącałem tego życiem.

- Więc pracuje dla pana. Mówił, że pracuje w agencji zajmującej się egzekwowaniem prawa.

- Tak powiedział? A powiedział też, że wędruje po całym świecie i nigdy nie wie, czy z kolejnej misji wróci żywy? - Spojrzał na nią uważnie.

Anna nerwowo wykręciła palce.

- Powiedział... powiedział, że teraz pracuje za biurkiem.

- Za biurkiem? - Frank uśmiechnął się szeroko. - I pewnie jeszcze mówił, że odchodzi z pracy? - Zbliżył swoją twarz tak bardzo, że czuła zapach tytoniu. - Pozwoli pani, że coś powiem. Ludzie tacy jak Shaw nie rzucają pracy i nie przechodzą na emeryturę. Będzie

pracował tak długo, aż zginie albo zostanie przez nas uznany za nieprzydatnego. Jeśli spróbuje odejść wcześniej, wyląduje w najbardziej wszawym więzieniu, jakie zdołam znaleźć.

- Dlaczego pan przyszedł i mnie to mówi?

- Bo pomyślałem sobie, że powinna pani znać całą prawdę.

- Człowiek, którego pan opisał, to nie ten sam, którego znam ja. Ocalił mi życie w Berlinie. Jest najmilszym, najwspanialszym facetem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

- On zabija ludzi, pani Fischer. Złych ludzi, to prawda, niemniej zabija ich. Ja też zabijam. A właściwie zabijałem. Widzi pani, w tej chwili to ja pracuję za biurkiem. Pani narzeczony jest odważnym człowiekiem, muszę to przyznać. Ma nerwy ze stali. Ale widziałem też, jak patroszy ludzi. Odtąd dotąd. - Frank przeciągnął palcem od pępka po szyję.

- Inna sprawa, że tamten sobie na to zasłużył.

Frank przerwał, przyjrzał się jej uważnie, w kąciku ust błąkał mu się uśmiech.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Byłem przekonany, że rozplacze się pani już pięć minut temu.

- Kochał pan kiedyś kogoś, panie Wells? - zapytała nieoczekiwanie Anna.

Frank zmrużył oczy, zniknął gdzieś jego żartobliwy ton. - Co?

- Panu wydaje się to wszystko w jakiś sposób zabawne. Tak pana cieszy cierpienie innych? Tego właśnie szukacie w swoich pracownikach? Mają być bezduszni? Nie wiedzieć, co to współczucie?

- Przyszedłem tu, żeby powiedzieć pani prawdę. Anna podeszła do drzwi i otworzyła je.

Frank stał chwilę bez ruchu, a potem wzruszył ramionami.

- W porządku. Proszę pamiętać, że panią ostrzegałem. Kiedy ją mijał, Anna zapytała:

- Dlaczego tak go pan nienawidzi?

- Strzelił mi w głowę, proszę pani!

- To chyba nie jest jedyny powód.

- Bawi się pani w psychoanalitkę?

- Nigdy pan nie miał nikogo w swoim życiu, prawda? Nikogo, o kogo musiałby się pan troszczyć? Nikogo, kto troszczyłby się o pana.

- Tu nie chodzi o mnie!

- Tylko pan jeden potrafi sobie odpowiedzieć na te pytania. Dobranoc, panie Wells.

Anna zamknęła za nim drzwi, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.

Zadzwonił telefon.

- Chciałbym rozmawiać z Anną Fischer - odezwał się głos w słuchawce.

- Przy telefonie - odparła Anna z wahaniem. - Kto mówi?

- Zna pani człowieka o nazwisku Shaw? Anna zeszywniała.

- Dlaczego pani pyta?

- Jest wysoki, ma ciemne włosy i błękitne oczy?

Poczuła, że coś ściska ją za gardło. *Boże, proszę, tylko nie to... To zbyt wiele dla mnie.*

- Tak. Znam - zdołała wykrztusić.

- W takim razie musimy się spotkać.

- Czy wszystko z nim w porządku?

- Kiedy się z nim żegnałam, był cały, ale teraz nie wiem.

- Co to ma znaczyć? Kim pani jest?

- Nazywam się Katie James. Wydaje mi się, że Shaw ma poważne kłopoty.

## ROZDZIAŁ 32

Obie kobiety siedziały naprzeciwko siebie w kawiarni przy Victoria Street. Było chłodne, wilgotne, deszczowe popołudnie, pogoda tak dobrze znana wszystkim londyńczykom.

Katie James mieszała łyżeczką kawę, a Anna Fischer utkwiała wzrok w oknie, za którym paradował tłum ludzi z parasolami w ręku. Po policzku płynęła jej łza. Katie udawała, że jej nie dostrzega.

- Opowiedziała mi pani, co się zdarzyło Shawowi w Edynburgu, ale nie wiem, jak mnie pani znalazła - powiedziała Anna.

- Kilka lat temu w Hadze wygłaszała pani referat na temat ochrony praw obywatelskich w czasach walki z terroryzmem. Napisałam o tym artykuł dla mojej gazety. Pracowałam wtedy na Bliskim Wschodzie i temat pasował do sytuacji panującej w tamtym regionie. Potem znalazłam paragon za pani książkę, którą Shaw kupił w Dublinie. Przypomniałam sobie, że opowiadała pani o niej na wykładzie. To była wspaniała prelekcja.

- Tak, szkoda tylko, że nikt nie słuchał.

- Na pewno wielu słuchało, pani Fischer.

Anna oderwała wzrok od resztek ledwie tkniętego przez nią lunchu.

- Anno. Po tym, co mi opowiedziałas o człowieku, z którym jestem zaręczona, powinniśmy zwracać się do siebie po imieniu - dodała tonem pełnym rezygnacji.

- Nie miałaś o tym pojęcia?

- Oczywiście, że coś tam wiedziałam. Coś podejrzewałam.

- Ale nigdy nic z niego nie wydusiłaś?

- Owszem. Po tym, jak poprosił mnie o rękę - dodała zdławionym głosem. Kiedy zaczęła pochlipywać, kilka osób odwróciło się w jej stronę z zaciekawieniem.

- Może pójdziemy w jakieś bardziej ustronne miejsce? - zaproponowała ściszym głosem Katie.

Anna wytarła oczy i wstała.

- Chodźmy do mojego biura. To niedaleko.

Kilka minut później obie kobiety siedziały w wypełnionym po brzegi książkami gabinecie Anny. Sekretarka przyniosła im gorącą herbatę i szybko się wycofała. Katie rozejrzała się z zainteresowaniem po pomieszczeniu.

- Czym się tutaj zajmujecie? - zapytała.

- Myślimy - odparła Anna. - Rozpatrujemy najważniejsze globalne problemy, którymi większość ludzi się nie zajmuje z powodu braku czasu, ochoty lub przygotowania. Następnie nasze analizy zapisujemy w białej księdze, publikujemy ją w setkach egzemplarzy, wygłaszamy referaty do prawie pustych sal, a cały świat i tak zupełnie nas ignoruje.

- Naprawdę jest tak źle?

- Owszem. - Anna upiła łyk herbaty. - Mówiłaś, że Shaw został ranny? - Zadrżały jej policzki, choć starała się zachowywać obojętnie.

- Wcale się tym nie przejął. Powiedział, że to draśnięcie, czy coś w tym rodzaju. Ale strzelali do niego. Jego ludzie, ci dobrzy.

- Albo tylko tak mówił, że są dobrzy - zauważyła Anna. Katie wydawała się zaskoczona.

- Właściwie mogę polegać tylko na jego słowie. Nie miałam okazji sprawdzić ich dokumentów.

Anna wstała i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju.

- Być może Shaw wcale nie jest tym, za kogo go uważałam.

- On mi ocalił życie, Anno. A potem puścił mnie wolno. Wyczerpana nerwowo Anna osunęła się na krzesło i zaczęła szlochać.

Katie wstała i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Jest jeszcze coś?

Anna westchnęła głęboko i otarła chusteczką łzy.

- Shaw pojechał do moich rodziców do Niemiec. Zrobił to na moją prośbę. Miał poprosić ojca o moją rękę. - Spojrzała na Katie. - Wiem, że to głupie, ale chciałam...

- Sprawdzić, czy to zrobi? - Anna przytaknęła. - I co się stało?

- Mój ojciec z radością się zgodził.

- To w czym problem?

- Kiedy Shaw wyszedł, pojawił się jakiś człowiek. Opowiedział im coś o Shawie. Coś złego. Potem, tego wieczoru, kiedy zadzwoniłaś, u mnie też pojawił się jakiś mężczyzna. Był z międzynarodowej agencji, o której wcześniej w ogóle nie słyszałam. Powiedział, że Shaw pracuje dla niego.

- Więc jednak jest po stronie tych dobrych! - wykrzyknęła Katie.

Ale Anna potrząsnęła głową.

- On powiedział, że Shaw został zmuszony do współpracy z nimi.

- Zmuszony? Jak?

- Żeby uniknąć więzienia za popełnione przestępstwa. Ten człowiek powiedział mi, że Shaw strzelił mu w głowę. O mało go nie zabił.

- Skoro tak zrobił, dlaczego nie wsadzili go po prostu do więzienia? Dlaczego zaproponowali mu układ?

- Zadałam to samo pytanie. Ten facet - mówił, że nazywa się Frank Wells - powiedział, że Shaw jest doskonały w tym, co robi. Jest odważny i ma stalowe nerwy. Potrafi wyjść cało z najbardziej niebezpiecznych sytuacji.

- Z tego, co widziałam, to prawda. A więc pracuje dla dobrych chłopców.

- Wells powiedział także, że Shaw zabija ludzi.

- Kiedy oni próbują zabić jego.

- Dlaczego go tak bronisz? - niespodziewanie zapytała wściekła Anna. - Nie znasz go. Spotkałaś się z nim, jak sama przyznałaś, tylko raz.

- Zgadza się, ale co to było za spotkanie! W takich sytuacjach można dobrze poznać człowieka. Nie ma mowy o pomyłce. Uratował mi życie i puścił mnie wolno, Anno. Czuję, że jestem mu coś winna. Ale to, co ja o nim myślę, nie ma znaczenia. Ważne jest, co ty o nim sądzisz.

- Myślałam, że znam Shawa - przerwała. - Mój ojciec cofnął swoją zgodę.

- Jesteś już dużą dziewczynką, nie potrzebujesz zgody ojca na ślub.

- A wyszłabyś za mąż w takich okolicznościach?

- Porozmawiałabym z nim przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji.

- Ja... ja się boję - przyznała.

- Anno, jeżeli miał zamiar cię skrzywdzić, już dawno by to zrobił.

- Nie boję się, że skrzywdzi mnie fizycznie. Ale jeśli rzeczywiście popełnił te wszystkie przestępstwa, o których mówił mi Wells? Co będzie, jeśli mi o tym powie? Nie potrafię z tym żyć. Nie chcę nic wiedzieć.

- W takim razie nie dasz mu szansy, żeby powiedział, jak to wyglądało z jego punktu widzenia. To nie fair.

- Poza tym mówił, że ma pracę biurową. Z twojej opowieści wynika, że to nieprawda. A więc mnie okłamał. Mówił, że zamierza stamtąd odejść. Frank Wells powiedział, że nie ma o tym mowy. Jeżeli odejdzie, trafi do więzienia.

- Anno, nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale coś ci doradzę. Porozmawiaj z Shawem. On cię teraz potrzebuje. Jego koledzy próbowali go zabić. Może rzeczywiście próbuje od nich odejść, a oni mu dali ostrzeżenie. Musisz z nim porozmawiać.

Anna wzięła się w garść.

- Chciałam ci podziękować za to, że przyszedłaś i powiedziałaś mi to wszystko.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Katie z lekką urazą w głosie. - I co, nie zamierzasz z nim porozmawiać?

- Proszę cię, to nie twoja sprawa.

Otworzyły się drzwi i w progu stanął jakiś mężczyzna.

- Anno, Bill chce zamienić z tobą kilka słów. Anna odwróciła się do Katie.

- Zaraz wracam.

- Niewiele już chyba mamy sobie do powiedzenia, prawda?

Anna wyszła z pokoju, a Katie zaczęła wkładać płaszcz przeciwdeszczowy. W pewnej chwili zatrzymała wzrok na papierach leżących na biurku. Zawsze była ciekawska, więc podeszła bliżej.

„Czerwona panika” - przeczytała nagłówek. Całe biurko było zavalone materiałami na temat największego hitu medialnego ostatnich czasów. Wpatrywała się uważnie w dokumenty, starając się jak najwięcej zapamiętać - nazwiska, daty, miejsca, strony internetowe. Miała doskonałą pamięć krótkotrwałą. Kiedy już wyjdzie na zewnątrz, wszystko sobie zapisze. Sama nie wiedziała, po co to robi. A właściwie wiedziała, przecież to był jej zawód.

Potem wzrok Katie spoczął na czymś innym. Podniosła z biurka fotografię. Shaw i Anna wyglądali na szalenie zakochanych, kiedy tak stali objęci na tle Łuku Triumfalnego.

Paryż to idealne miejsce do zakochania się, pomyślała.

Do pokoju wróciła Anna.

- Robisz analizę „czerwonej paniki”? - zapytała Katie, wskazując na biurko.

- Tak z ciekawości.

W następnej chwili Anna zauważyła, co Katie trzyma w ręku.

- Odlóż to, proszę.

Mijając Annę, Katie wcisnęła jej w rękę fotografię i powiedziała:

- Nie oczekuj, że jeszcze kiedykolwiek trafi ci się taka miłość. Większość ludzi nigdy czegoś takiego nie przeżywa. Wiem to z własnego doświadczenia. - Wręczyła Annie wizytówkę z zapisanym na odwrocie adresem. - Tu się zatrzymuję, kiedy jestem w Londynie. Na wypadek gdybyś chciała jeszcze kiedyś porozmawiać.

Katie zostawiła Annę ściskającą kurczowo zdjęcie i zbiegła po schodach.



## ROZDZIAŁ 33

Shaw siedział w saloniku British Airways na lotnisku we Frankfurcie. Podobnie jak reszta pasażerów oglądał wiadomości pokazywane w kilku rozstawionych wokół pomieszczenia telewizorach. Na jednym z ekranów grupa oburzonych senatorów Stanów Zjednoczonych w sali czcigodnej izby rzucała oskarżenia na Rosjan oraz ich autokratyczne państwo, które bezwzględnością dorównywało machinie stworzonej przez ojca narodów Józefa Stalina.

Na innym ekranie BBC pokazywało obrady parlamentu brytyjskiego, które przebiegały w podobnym tonie. Na kolejnym niemiecka pani kanclerz też próbowała dorzucić swoje trzy grosze. I choć nawoływała do ostudzenia emocji i niewyciągania pochopnych wniosków, to dała jednocześnie jasno do zrozumienia, że Rosjanie powinni się wstydić. Podobną taktykę przyjął francuski prezydent, choć on w porównaniu z pozostałymi grzeszył nadmiarem ostrożności.

Shawa nie interesowały dzisiaj specjalnie główne wyzwania polityki międzynarodowej. Podjął decyzję. Leci do Londynu i powie Annie całą prawdę o tym, jak zarabia na życie. Jeżeli w dalszym ciągu będzie chciała za niego wyjść, w co wątpił, to znajdzie jakiś sposób, żeby rzucić tę robotę. Najbardziej dziwiło go, że od chwili spotkania z jej rodzicami nie odezwała się do niego. Zadzwoił i zostawił jej wiadomość, że przylatuje do Londynu, ale nie oddzwoniła. To niezwykle. Zastanawiał się nad tym, kiedy podeszli do niego jacyś ludzie. Nie musieli się przedstawiać, poznał ich od razu.

Zbiry Franka.

Kilka minut później, gdzieś w labiryncie portu lotniczego, Shaw wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Przy jednym końcu stołu siedział Frank, przy drugim jakiś nieznany mężczyzna. Prócz nich w pokoju znajdowało się czterech dobrze zbudowanych, uzbrojonych mężczyzn.

- Załatwiłem sprawę Heidelbergu. Frank pokiwał głową.

- Wiem. Świetna robota, zupełnie jak ta w Szkocji. A jak tam wyprawa do Durlach?

Udana?

Shaw nie był zaskoczony. Wiedział, że Frank śledzi każdy jego ruch.

- Prawdę mówiąc, tak.

Frank zerknął na mężczyzn stojących przy ścianie i skinął głową. Podeszli bliżej, aby utworzyć żywy mur pomiędzy Frankiem a Shawem.

- Fischerowie to mili ludzie, prawda? - zagaił Frank. - Mój człowiek bardzo sympatycznie sobie z nimi pogawędził. Ja też odbyłem miłą rozmowę z Anną, kiedy odwiedziłem ją w Londynie. Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony, jak mało o tobie wie. Ale teraz, jak się domyślasz, wie znacznie więcej.

Przez pełną minutę panowała absolutna cisza. Shaw wpatrywał się we Franka, a Frank się uśmiechał.

Shaw w jednej chwili ocenił sytuację. Zabiją go, nim zdąży doskoczyć do Franka. Ale ostatnie sześć lat nauczyło go na pewno jednego - cierpliwości.

Odwrócił się w stronę niskiego, kędzierzawego człowieka o grubym karku, siedzącego przy stole.

- Kto to jest, Frank? Twój szef czy kolejny sługa?

Jeżeli nawet Frank był zawiedziony, że Shaw nie próbował go zaatakować, to tego nie okazał. Z przyklejonym do warg uśmiechem kiwnął nieznanemu mężczyźnie ręką.

- Nie jestem ani jednym, ani drugim - odezwał się tamten. - Nazywam się Edward Royce i jestem z MI 5. - Wręczył Shawowi wizytówkę.

- Cóż takiego ważnego się stało, że oderwał mnie pan od butelki guinnessa, panie MI 5?

Royce zerknął na Franka i lekko uniósł brwi.

- Przykro mi z powodu tych niedogodności - powiedział.

- Wcale nie jest panu przykro, więc proszę się pospieszyć. Muszę złapać samolot - rzekł Shaw, patrząc Frankowi prosto w oczy.

Royce uniósł jeszcze wyżej brwi.

- Szczerze mówiąc, panie Shaw, gdyby to zależało ode mnie, wcale by mnie tu nie było. MI 5 współpracuje z Interpolem w wyjaśnianiu tego fenomenu nazywanego „czerwoną paniką”. Myślę, że panujemy nad sytuacją, choć to nie jest moja działka. Moi szefowie poprosili o pomoc pana Wellsa. On z kolei polecił mi pana. Stąd nasze spotkanie.

- Co miałbym zrobić? - zapytał bez ogródek Shaw.

- Słyszałem, że ma pan świetne kontakty w Moskwie, mówi płynnie po rosyjsku i znakomicie radzi sobie w niebezpiecznych sytuacjach. Jest pan po prostu wyjątkowy.

- W Rosji spędziłem sporo czasu wbrew własnej woli. Dlatego niech pan poszuka sobie jakiejś innej wyjątkowej osoby.

- Nie chce się pan dowiedzieć, kto stoi za „czerwoną paniką”?

- Czyżby to, co mówi się o Rosji, nie było prawdą? - zapytał Shaw.

- A kto to, do cholery, wie?! - wykrzyknął Royce. - Cóż, część na pewno jest prawdą. Ale nie o prawdę tu chodzi. Nie prawda jest nam potrzebna. Jak pan zapewne wie, MI 5 chroni Wielką Brytanię przed terrorystami, szpiegami, ekstremistami i tym podobnymi. Cała ta „czerwona panika” otworzyła istną puszkę Pandory. Świat jest teraz w kiepskiej kondycji. Wiele państw siedzi dosłownie na beczce prochu, która w każdej chwili może wybuchnąć.

- Naprawdę? Musiałem w takim razie przeoczyć znaki ostrzegawcze - odparł Shaw. Ta odpowiedź wywołała krótkie parsknięcie rozbawionego Franka.

Royce tłumaczył dalej.

- Cała ta kampania wiedzie Rosję w kierunku, który nie podoba się ani nam, ani reszcie Unii Europejskiej. Zaszczuty rosyjski niedźwiedź stanowi dla wszystkich zagrożenie, panie Shaw. Musimy załagodzić sytuację, ale żeby to zrobić, najpierw trzeba dowiedzieć się, kto za tym wszystkim stoi.

- Dlaczego nie współpracujecie z Amerykanami? Oni potrafią wyrwać niedźwiedziowi pazury.

- Amerykanie, jak zwykle, prowadzą własną politykę w tej sprawie. Frank zgodził się, żeby pan współpracował z nami. Podobno nawet znał pan Siergieja Piętrowa, tego, którego właśnie zamordowano.

Shaw rzucił spojrzenie wpatrującemu się w niego niewzruszenie Frankowi.

- To bardzo szlachetnie ze strony Franka, że zaoferował moje usługi, ale, z całym szacunkiem, muszę odmówić.

- Świetnie. To już nie moja sprawa - warknął wściekły Royce.

- Posłuchaj, Shaw, jak to zrobisz, to może pogadamy na inne interesujące cię tematy.

- Naprawdę? - Shaw zdołał tylko tyle z siebie wykrztusić, powstrzymując się przed rzuceniem się Frankowi do gardła.

Frank podciągnął spodnie.

- Naprawdę. Stawiam sprawę jasno. Jak zwykle.

- Muszę ci odmówić.

- Co takiego? Dlaczego?! - wykrzyknął Frank.

- Mam teraz coś ważniejszego do roboty.

- Coś ważniejszego niż ratowanie świata przed zagładą?

- Owszem.

- A cóż to takiego? - zapytał Royce.

- Muszę się zobaczyć z pewną kobietą - odpowiedział, wpatrując się w twarz Franka, po czym wyszedł z pokoju.

Royce spojrział na Franka.

- Nie tego oczekiwałem, Wells - warknął. Frank patrzył na oddalającego się Shawa.

- Mnie też zaskoczył, ale z zupełnie innego powodu.

- Dlaczego? Czego się spodziewałeś?

- Ze spróbuje mnie zabić.

- Dobry Boże! I taki człowiek dla was pracuje! Obaj jesteście stuknięci.

- W gruncie rzeczy ten facet nie pracuje dla nikogo, Royce.

- Ale przecież mówiłeś...

- Tak, tak... ale to wyjątkowy gość.

- Masz kogoś innego, kto mógłby to zrobić?

- Nikogo tak dobrego jak on.

## ROZDZIAŁ 34

Anna obudziła się w swoim łóżku i o mało nie zaczęła krzyczeć, widząc pochylonego nad nią mężczyznę. Usiadła i owinęła się prześcieradłem.

- Co tutaj robisz? - zapytała. Shaw przysiadł na brzegu łóżka.

- Chyba wiesz - odpowiedział cicho.

- Jak się tu dostałeś?

Pokazał trzymane w ręku klucze.

- Dałaś mi je, nie pamiętasz?

- Pamiętam - odparła półprzytomnie.

- Byłem u twoich rodziców, ale pewnie już o tym wiesz.

- A ty wiesz o człowieku, który pojawił się u nich po twoim wyjściu? I o człowieku, który odwiedził mnie?

- Co ci powiedział?

- Nie domyślasz się? To wcale nietrudne. Chciałabym tylko wiedzieć, czy to prawda?

- Anno, przepraszam. Nie sądziłem, że zdarzy się coś takiego.

- Powinieneś wiedzieć, że kłamstwa ranią.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana. Może mnie nawet teraz nienawidzisz. Masz do tego pełne prawo. Ale przyszedłem, żeby powiedzieć ci prawdę.

- A ja mam ci tak po prostu uwierzyć?

Shaw rozejrzał się po sypialni. Spędzili tu tyle szczęśliwych chwil. Znał każdy centymetr kwadratowy jej mieszkania lepiej niż jakiegokolwiek miejsca, które kiedykolwiek nazywał domem.

- Chciałbym spróbować.

- Daj mi się ubrać. Zaczekaj w drugim pokoju.

- Przecież widziałem cię nagą tysiące razy.

- Ale dzisiaj mnie nie zobaczysz. Wyjdź!

Po kilku minutach przyszła owinięta w długi do kostek szlafrok, na bosaka. Usiedli przy małym stoliku pod oknem, tym samym, przy którym siedziała, gdy rozmawiała z Frankiem.

- A teraz mów - rzuciła krótko.

- Frank Wells jest moim szefem w organizacji, o której już ci opowiadałem.

- W tej, w której pracujesz za biurkiem? I jak ci leci? Ciekawa jest ta praca za biurkiem?

Shaw wbił wzrok w podłogę.

- Moje zajęcie jest wyjątkowo niebezpieczne. Zwykle, kiedy wyruszam na misję, nie jestem pewny, czy wrócę żywy. Taka jest prawda.

Anna głośno jęknęła, ale zaraz się pozbierała.

- I robisz to z zamiłowania?

- Siedem lat temu w Istambule strzeliłem Frankowi w głowę. Mierzył do mnie z pistoletu. Myślałem, że zamierza mnie zabić. Kiedy zdałem sobie sprawę, kim jest, zawiozłem go do szpitala. Inaczej już by nie żył. O tym pewnie zapomniał wspomnieć.

- Za to powiedział, że zamierzał cię aresztować za jakieś przestępstwa.

- To jego wersja, w dodatku nieprawdziwa.

Anna odchyliła się na krześle i owinęła ciasniej szlafrokiem.

- A jaka jest twoja wersja? Kim byłeś, kiedy do niego strzelałeś?

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Na pewno nie byłem tym, za kogo uważał mnie Frank. Ale nie zdołam ci tego udowodnić.

Anna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Mam ci uwierzyć na słowo? Ostatnio wiarygodność nie jest twoją najmocniejszą stroną.

Shaw przez długą chwilę rozważał jej słowa.

- No dobrze, ale nie możesz tego nikomu powtórzyć, Anno. Mówię poważnie. Nikomu. - Anna szybko skinęła głową, na jej twarzy widoczne było napięcie. - Tamtego dnia byłem w Istambule, żeby dowiedzieć się, kto próbuje mnie zrobić we współpracy z kartelem narkotykowym z Tadżykistanu. Byłem wtedy wolnym strzelcem. Pracowałem dla Amerykanów, Francuzów, Izraelczyków i nie byłem przestępcą.

- Kto próbował cię zrobić? - zapytała Anna bardziej pojednawczym tonem.

- Było całe mnóstwo potencjalnych podejrzanych. Moje działania nieraz pokrzyżowały plany złych chłopców. Do sprawy wtrąciła się organizacja Franka, jego ludzie uznali, że zszedłem na złą drogę, a ja myślałem, że Frank jest jednym z tych, którzy mnie wrobili. Że zastawili na mnie w Istambule pułapkę, a on przyjechał, żeby dokończyć dzieła. Strzeliłem do niego, nim on zdążył wycelować we mnie.

- Dlaczego później zgodziłeś się dla niego pracować?

- Ujmę to tak: gdyby sprawa trafiła do sądu, pewnie już nigdy nie ujrzałbym słońca. Nie miałem dowodów, wszystko przemawiało przeciwko mnie. Praca dla Franka nie jest łatwa, ale nie miałem wyboru. Teraz myślę, że Frank i jego ludzie podejrzewali, że zostałem wystawiony, ale nie zrobili nic, żeby dowieść mojej niewinności. Zamiast tego wykorzystali okazję, żeby mnie zmusić do współpracy.

- Dlaczego w takim razie wasi ludzie strzelali do ciebie w Szkocji?

- Kto ci o tym powiedział? - zapytał ostro.

- Chyba Frank.

- Nie kłam, Anno.

- Zabawnie to brzmi w twoich ustach.

- Tak naprawdę nigdy cię nie okłamałem. Co najwyżej nie mówiłem ci wszystkiego.

- Ty chyba żartujesz - odparła.

Shaw przez chwilę sprawiał wrażenie wściekłego, ale szybko się opanował.

- Masz rację. W każdym razie zgodzili się na to, że będę dla nich pracował przez pięć lat i, jeśli przeżyję, znów stanę się wolnym człowiekiem. Dla pewności spędziłem z nimi prawie sześć lat.

- Dlaczego pracowałeś dla nich przez dodatkowy rok? Przecież to absurd.

- Zrobiłem to, bo chciałem zyskać pewność, że pozwolą mi w końcu odejść. Musiałem być pewny, miałem bardzo ważny powód.

- W takim razie kiedy podjąłeś decyzję, że przepracujesz dla nich dodatkowy rok?

- Trzy lata temu o północy w Berlinie.

Ich spojrzenia się spotkały. Anna wstrzymała oddech. Północ to była godzina, o której się spotkali po raz pierwszy, kiedy przyszedł jej z pomocą. Pamiętali to oboje, bo akurat zegar na ulicy wybijał godzinę.

- Wells powiedział mi, że nie jesteś wolny, że wciąż dla niego pracujesz. I że tego rodzaju pracy nie rzuca się tak po prostu. Nigdy.

- Sam to właśnie odkryłem.

W jego głosie brzmiała taka rozpacz, że ujęła jego dłoń.

- Nie możesz po prostu przestać, odejść? - W oczach Anny pojawiły się łzy.

- Mogę, ale wtedy albo będę martwy, albo natychmiast wyładuję w więzieniu.

- Przecież ci ludzie powinni szanować prawo! Jak mogliby to zrobić?

- Oni kierują się własnym prawem. Kiedy cel uświęca środki, zabijają. Świat stał się bardzo niebezpieczny, zmieniły się reguły.

- To bardzo wygodne wytłumaczenie.

- Chcesz czuć się bezpiecznie?

- Za wszelką cenę? Nie!

- No to jesteś w mniejszości.

- Dokąd nas to doprowadzi?

- Zapytałem, czy za mnie wyjdiesz. Powiedziałaś „tak”. Miałem poprosić o twoją rękę ojca. Zrobiłem to. Ale nie byłem wobec ciebie szczery. Nie mogę przestać pracować dla Franka. Nie mogę w takim razie oczekiwać, że w tych okolicznościach wyjdiesz za mnie. To byłoby nieuczciwe. Zbyt mocno cię kocham, żeby ci to zrobić. Dlatego muszę zrobić najtrudniejszą rzecz w moim życiu.

- To znaczy? - zapytała głucho.

- Odchodzę z twojego życia. Shaw zaczął się podnosić z krzesła.

- Zaczekaj! - zawołała. Usiadł z powrotem. Anna otarła oczy rękawem szlafroka.

- Nadal chcesz się ze mną ożenić?

- Anno, to już nie ma znaczenia. Kiedy będę wychodził z domu, nigdy nie będziesz pewna, czy wrócę żywy.

- A jaki jest los żon żołnierzy i policjantów?

- Anno, to łatwo powiedzieć, ale...

Usiadła mu na kolanach i położyła jego dużą dłoń na pierścionku zaręczynowym.

- Musisz sobie zadać jedno pytanie. Tylko jedno. Czy nadal mnie kochasz? Jeśli nie, to twój problem, odejść.

Przytulił się do niej i powiedział:

- W takim razie mam duży problem.



## ROZDZIAŁ 35

Nicolas Creel nigdy nie był człowiekiem przesadnie religijnym, choć szczęśliwy traf, jaki go wciąż spotykał w życiu, musiał wiązać się z Bogiem. Pewna równowaga pomiędzy dobrymi uczynkami a sprzedażą śmiertelnej broni zaowocowała właśnie wspaniałą okazją, która spadała mu wprost z nieba.

Przeglądał właśnie nagrania z rozpracowania budynku Phoenix Group, kiedy ze zdumieniem zobaczył, że kobieta zidentyfikowana jako Anna Fischer wchodzi do gmachu razem z legendą dziennikarstwa, Katie James.

Właśnie dostał do ręki brakujący kawałek swoich puzzli. Creel miał dossier dziesiątków obiecujących kandydatów, ale Katie James była poza jego zasięgiem, z tego prostego powodu, że jakiś czas temu zniknęła ze sceny. Wystarczyła jednak godzina i miał przed sobą jej teczkę. Ucieszyło go to, co w niej znalazł.

Spadła z piedestału z dnia na dzień. Podejrzenie o alkoholizm, nieudane albo nigdy nieukończone artykuły. Kilka lat przed czterdziestką przeniesiona do działu nekrologów. Nie pomogły nawet dwie Nagrody Pulitzera. Pilnie potrzebowała sukcesu.

Creel mógł być dla niej mężem opatrnościowym. Mógł dostarczyć jej temat, który wyniesie ją z powrotem na szczyt.

Zadzwoił do Caesara i powiedział mu, że ma być za dwa dni gotowy do podróży. Odłożył słuchawkę i rozsiadł się wygodniej w fotelu. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła, goła jak ją pan Bóg stworzył, mała Miss Seksu z butelką szampana w ręce.

- Uwielbiam twoje biuro - powiedziała. - Jest takie jak ty. Przychodzę tu czasem i chłonę jego atmosferę. - Usiadła mu na kolanach i napiła się szampana wprost z butelki.

- Cóż za miła niespodzianka - odezwał się Creel, przesuając dłonią po jej nagim udzie. - Tego nie było w planach, skarbie.

- To dzięki temu zajebistemu pierścionkowi, który mi dałeś, kochanie - wybełkotała. Była pijana i sądząc po zwężonych źrenicach, naćpana. Ale wtedy była najlepsza w łóżku.

- To naprawdę niezwykle, ile potrafi zdziałać dwadzieścia karatów. - Creel westchnął, kiedy Miss Seksu przysiadła na jego biurku.

Shawa obudził dźwięk dzwonka. Bezwiednie usiadł na łóżku i rozejrzał się wokół, nim zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Obok niego spała Anna. Potarł dłonią policzek i spojrzał na swój telefon. To dzwonił Frank. Złapał telefon, przeszedł do drugiego pokoju i wyrzwał przez okno w bezksiężycową londyńską noc. Deszcz przestał już padać, w powietrzu unosiła się zimna mgiełka.

- Czego chcesz? - zapytał Shaw.

- Jak tam noc? Ta pani musi cię naprawdę kochać.

- Spróbuj się do niej zbliżyć, a zabiję cię, Frank.

- Nie obiecuj, skoro nie będziesz mógł dotrzymać słowa, przyjacielu.

- Czego chcesz? - warknął Shaw.

- Skoro nie wykazałeś zainteresowania propozycją MI 5, to ja muszę ci znaleźć jakieś zajęcie. Mam nadzieję, że raz na zawsze wybiłeś sobie z głowy marzenia o wolności. Bo jeśli nie, to ta kobieta będzie cię odwiedzać w najgorszym pierdlu, jaki uda mi się dla ciebie załatwić.

Pogodzenie się Shawa z Anną było tak pełne euforii, że teraz czuł się odporny nawet na groźby Franka.

- Gdzie? - uciął.

- W Paryżu. Jutro wieczorem. Dziś po południu pojedziesz tunelem pod kanałem La Manche. Instrukcje na dworcu Waterloo. Reszta, kiedy dotrzesz do miasta.

- Jedna rada, Frank, często oglądaj się za siebie. Ale Frank już się rozłączył.

Shaw uśmiechnął się i zrobił to samo. Miał Annę. Tylko to się liczyło. Spadł mu z serca taki ciężar, że mógłby latać.

Zjadł z narzeczoną śniadanie, pocałował ją na pożegnanie i już miał wyjść z mieszkania w czasie, kiedy ona brała prysznic, kiedy przypomniał sobie, że zostawił swoją marynarkę w zagraconym pokoju obok jadalni.

Wkładając marynarkę, zauważył na biurku wizytówkę. Podniósł ją.

- Katie James, „New York Tribune” - przeczytał na głos i czuł, jak narasta w nim wściekłość.

Obrócił kartonik i zobaczył napisany ołówkiem londyński adres. To dlatego Anna wiedziała, co się działo w Szkocji. Spojrzał na zegarek i włożył wizytówkę do kieszeni.

## ROZDZIAŁ 36

Shaw wyraźnie czuł, jak czyjeś oko obserwuje go przez wizjer. Mógłby się założyć, że nie zechce go wpuścić. I przegrałby zakład. Katie przeszła od razu do rzeczy.

- Widziałeś się z Anną?

Usiadła na sofie i podkurczyła nogi. Miała na sobie hotelowy szlafrok i kapcie. Proste włosy były zupełnie mokre. Z łazienki wciąż jeszcze buchała para.

Wyczuł zapach szamponu, choć ledwie na to zwrócił uwagę. Był tak wściekły, że z trudem nad sobą panował.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Wal.

- Co ty sobie, do cholery, myślisz, wtrącając się w moje życie?! Katie odchyliła się do tyłu, skrzyżowała ramiona i powiedziała lodowatym tonem:

- O jakim życiu mówisz? O tym, kiedy do ciebie strzelają i zastawiają na ciebie pułapkę? Czy o tym, w którym występuje zakochana w tobie kobieta, bez przerwy zastanawiająca się, czy jesteś jej rycerzem w lśniącej zbroi, czy może zwykłym psychopatą?

- To nie twój interes, nie masz prawa się do tego mieszać.

- Poradziłam Annie, żeby z tobą porozmawiała, zanim podejmie decyzję. Powiedziałam jej, że uważam cię za porządnego faceta. I co, jesteś porządnym facetem czy nie?

- Na razie trudno mi zebrać myśli.

- Dlaczego?

- Bo mam ochotę cię udusić.

- Świetnie. A może zamiast tego napijesz się kawy?

Dopiero teraz zauważył wózek ze śniadaniem.

- Nie.

- Jak chcesz. Mam nadzieję, że pozwolisz mnie się napić. Nalała sobie filiżankę kawy i ugryzła kawałek bułki

- I?

- I co? - warknął.

- Rozmawiałaś z Anną?

- Tak.

- I?

- To nie twój zakichany interes.

- Tylko po to tu przyszedłeś? Żeby mnie przywołać do porządku? Kiepsko ci to wychodzi - rzekła rozbawiona.

Wykonał ruch tak szybki, że Katie ledwie zdążyła go dostrzec. Stolik na kółkach z głośnym hukiem roztrzaskał się o ścianę. Katie, niewzruszona, dopiła kawę i odstawiła filiżankę.

- Skończyłeś już to przedstawienie?

- Trzymaj się ode mnie z daleka. - Odwrócił się, zamierzając wyjść.

- Mam do ciebie jedno pytanie. I nie dotyczy ono Anny - dodała szybko.

Zatrzymał się w drzwiach i rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że byłeś w piekle i rzeczywiście wygląda ono tak strasznie, jak je opisują?

- Już ci mówiłem, nie zrozumiesz tego.

W odpowiedzi Katie zsunęła z ramienia szlafrok i jego oczom ukazała się czerwona blizna na prawym ramieniu.

- A może zrozumiem.

Shaw przyjrzał się starej ranie.

- Postrzał?

- Myślałam, że się na tym znasz. Zrobił mi to pewien wkurzony Syryjczyk. Całe szczęście, że był marnym strzelcem. Mówił później, że celował w głowę.

Podniosła z podłogi cudem ocalałe filiżankę i dzbanek i naląła mu kawy. Wręczyła mu filiżankę ze słowami:

- Ilekroć Clint Eastwood obrywa na filmie, przemywają mu ranę whisky, zakładają temblak, a on wsiada na swojego wiernego wierzchowca i odjeżdża. Nikt nie zastanawia się, co dzieje się z pociskiem, który został w ciele, przemieszcza się, rozrywa naczynia, uszkadza mięśnie i ścięgna albo lewą komorę serca. Spędziłam trzy miesiące na rehabilitacji, nim wreszcie odłączyli mnie od respiratora i całej tej maszynierii podtrzymującej życie. Musieli mi zrobić małą śliczną dziurkę na plecach, żeby wyjąć ze środka to świństwo. Pocisk był płaski jak naleśnik.

- Z miękkim płaszczem. Przeznaczony do koziołkowania w twoim ciele i niszczenia wszystkiego po drodze. Żeby go wyjąć, chirurg musi cię rozkroić w innym miejscu.

Obrzuciła go spojrzeniem znad brzegu filiżanki.

- Ile masz ran postrzałowych? Pokaż mi je, nikomu nie powiem.

- Dobry chirurg plastyczny mógłby coś z tą blizną zrobić.

- Wiem. Proponowano mi to, kiedy wróciłam do Stanów.

- Dlaczego nie poddałaś się operacji?

- Zrezygnowałam.

- Dlaczego?

- Bo chciałam, żeby ta blizna została. Czy takie wytłumaczenie wystarczy?

Rysy jej twarzy złagodniały i odezwała się cieplejszym tonem:

- Wiem, masz prawo być na mnie wściekły. Gdybyś to ty wtrącał się do mojego życia, chociaż nie mam takiego, też nie byłabym zadowolona. Może to nic nie znaczy, ale chciałam pomóc. Znalazłeś wspaniałą kobietę, która bardzo cię kocha.

Shaw popijał bez słowa kawę.

- Już koniec z wtrącaniem się. Obiecuję. Mam nadzieję, że wszystko się wam jakoś ułoży.

Dopił kawę i wstał, wyglądał na zakłopotanego.

- Między mną i Anną jest wszystko w porządku. Powiedziałem jej... powiedziałem jej to, co powinienem powiedzieć już dawno. - Zrobił kilka kroków w kierunku drzwi, nie oglądając się za siebie. - Cieszę się, że wydostałaś się z Edynburga cała i zdrowa.

- Co prawda z dużym opóźnieniem, ale chciałabym ci podziękować za uratowanie mi życia. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

- Jak się dowiedziałaś o istnieniu Anny?

- Jestem przecież nagradzanym reporterem śledczym. Zostawiłaś ślady w pokoju hotelowym. Jej imię na bloczku papierów. Paragon z księgarni w marynarce. Kilka lat wcześniej słuchałam wykładu Anny Fischer i zrobiła wtedy na mnie duże wrażenie. Uznałam, że warto wykonać kilka telefonów, żeby się upewnić, że to ta sama osoba. No i widzę, że takiego wyjątkowego faceta jak ty interesują tylko wyjątkowe kobiety.

Shaw wydawał się nieco zaskoczony tym komplementem, ale nie odezwał się ani słowem.

Rzucił za to okiem na biurko stojące przy drzwiach. Leżał tam stos papierów i wycinków prasowych. Na ekranie laptopa najświeższe informacje z Rosji.

- Szykujesz się na następnego Pulitzera?

- Trzeba próbować. A wychodzi mi to lepiej niż moim kolegom.

- Mówisz jak Anna.

Shaw zawahał się, w końcu wyjął coś z kieszeni i wręczył Katie. Była to wizytówka. Bez nazwiska. Sam numer telefonu.

- Niewielu ludzi taką ode mnie dostaje.

- Domyślam się.

- Jeśli spotkasz się jeszcze raz z Anną, to człowiek, dla którego pracuję, może się tobą zainteresować.

- Jeśli go zauważę, zadzwonię do ciebie.

- Uważaj na siebie. Wątpię, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

- Też tak sądziłam ostatnim razem, i proszę. Pijemy razem kawę. Chwilę później

Shaw wyszedł.

## ROZDZIAŁ 37

Kiedy Shaw wyjeżdżał do Paryża, Rosjanie ogłosili publicznie, że skoro są tacy okropni, to świat nie powinien korzystać z ich bogactw naturalnych i w związku z tym redukują eksport ropy o połowę. To nie był tylko pusty gest. Rosja była drugim co do wielkości, tuż za Arabią Saudyjską, eksporterem ropy, a poza tym posiadała najbogatsze na świecie złoża gazu ziemnego. Eksportowała więcej ropy niż Norwegia, Iran i Zjednoczone Emiraty Arabskie razem wzięte. Całe światowe wydobycie z trudem zaspokajało potrzeby cywilizacji, a teraz jeśli Rosja zmniejszy eksport, nie będzie szansy na pokrycie niedoborów.

Światowe rynki zareagowały nerwowo. Cena baryłki w ciągu kilku godzin od rosyjskiej deklaracji skoczyła do stu dwudziestu dolarów, a na wszystkich światowych giełdach odnotowano ogromne, bezprecedensowe spadki. Ceny benzyny i biletów lotniczych poszybowały w górę. A ponieważ mnóstwo przedmiotów codziennego użytku było wyprodukowanych z użyciem materiałów ropopochodnych, podróżało wszystko, od zabawek po samochody.

Wciąż odgrywający istotną rolę na światowej scenie ekonomicznej OPEC próbował choć trochę uzupełnić niedobory, ale bezskutecznie. Świat arabski nie stał się z powodu wysokich cen ropy bogatszy, gdyż w przeciwieństwie do Rosji te pustynne kraje musiały importować wszystkie produkty. I tak, jeśli ropa zdrożała o czterdzieści procent, to ceny produktów pochodnych wzrosły dwukrotnie więcej. Wysokie ceny ropy, zasoby gotówkowe Rosji i zagraniczne inwestycje w tym kraju przy stosunkowo niewielkim imporcie i niskim poziomie spożycia na głowę pozwalały sądzić, że Moskwa może stosunkowo długo radzić sobie z kryzysem.

Jakby tego na jeden tydzień było za mało, Rosjanie mieli jeszcze coś w zanadru. Ich minister spraw zagranicznych obwieścił, że z opanowanej przez Talibów części Afganistanu, przez Uzbekistan i Kazachstan, prowadzi szlak przemytu narkotyków do Rosji. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę, że to prawda, ale Rosjanie nigdy wcześniej nie poruszali tego tematu. Minister dodał, że Rosjanie nie zamierzają rozwiązywać tego problemu na drodze dyplomatycznej. Afganistan dawał przyzwolenie przemytnikom i wreszcie Moskwa uznała, że czas z tym skończyć.

Następnego dnia z rosyjskiego okrętu podwodnego wystrzelono pięć samonaprowadzających się pocisków dalekiego zasięgu. Pociski trafiły w obóz szkoleniowy Talibów, który, jak później twierdził rosyjski minister, odgrywał kluczową rolę w przemytniczym procederze. W ułamku sekundy zginął tysiąc talibańskich bojowników i została zniszczona cała ich broń. Rosjanie ostrzegli wszystkie kraje arabskie na Bliskim Wschodzie, że w razie próby odwetu wymierzonej w rosyjskie interesy mogą się spodziewać podobnego potraktowania, tyle że ze stukrotnie większą siłą.

Prezydent Afganistanu wydał oficjalne oświadczenie potępiające „niczym nieuzasadnione wtargnięcie na terytorium suwerennego państwa”. W kręgach dyplomatycznych jednak treść oświadczenia została odczytana jako sygnał, że Talibowie usiłują cały czas obalić afgański rząd i już dwukrotnie dokonywali zamachu na życie prezydenta.

Teheran wystosował ostrą notę, w której napisano, że rząd irański jest zbulwersowany, jak to określono, barbarzyńskim postępowaniem Rosjan, i zwrócił się z prośbą o pomoc do ONZ.

Stany Zjednoczone również natychmiast przesłały do ONZ stanowczy protest przeciwko postępowaniu Rosji i zaczęły wycofywać swoje wojska z Iraku i Afganistanu. Pentagon twierdził, że wycofanie wojsk nie ma nic wspólnego z atakiem na Talibów i jest tylko rezultatem wcześniej zaplanowanej polityki amerykańskiego rządu. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że konsolidacja sił wojskowych ma bezpośredni związek z narastającym zagrożeniem ze strony Rosji. Bliski Wschód przestał być w tej chwili tak istotny. Generałowie wszystkich krajów należących do NATO powyciągali z szuflad stare plany obrony przed sowiecką agresją.

Jeden z wielkich dzienników zwięźle i nieco melodramatycznie obwieścił dziesięciocentymetrowej wysokości literami w nagłówku: POWRÓT ZIMNEJ WOJNY.

Prywatnie wojskowi i rządowi oficjele w Stanach Zjednoczonych cieszyli się, że jednym uderzeniem Rosjanie w znacznym stopniu ograniczyli możliwości terrorystycznych działań Talibów. Pewien czterogwiazdkowy generał powiedział do swojego bliskiego współpracownika: „Gdybyśmy my potrafili zrobić coś takiego”.

Kiedy rozpoczęło się na dużą skalę wycofywanie amerykańskich wojsk z Iraku, nasiliły się wzajemne ataki szyitów i sunnitów.

Zapowiadało to długo oczekiwaną i chyba nieuniknioną wojnę domową. Wiadomości o sytuacji w Iraku lądowały jednak na dalszych stronach gazet, a stacje telewizyjne w swoich informacjach nie podejmowały tego tematu. Irak, do niedawna główny temat doniesień



prasowych, zszedł na drugi plan. Terroryzm islamski w ostatnich sondażach uplasował się dopiero na jedenastym miejscu, tuż za nadmierną ilością seksu i przemocy w telewizji.

Z oczywistych przyczyn tematem numer jeden była teraz Rosja. Terrorysty mieli niewiele bomb; Rosja dysponowała całymi tonami ładunków jądrowych. Poza tym chyba wszyscy Rosjanie postradali rozum.

Tym pilniejsza stała się potrzeba wyjaśnienia, kto stoi za sprawą Konstantina.

A co będzie, jeśli okaże się, że za całą kampanią stoją Stany Zjednoczone? - zastanawiało się wielu ludzi ze strachem. Rosjanie przecież ostrzegli, że będzie to dla nich równoznaczne z aktem wypowiedzenia wojny. Czy to rzeczywiście był początek końca? Czy Amerykanie mogli tak bardzo pomylić się w swoich kalkulacjach? Ludzie na całym świecie przygotowywali się na następny etap kryzysu.

Nie musieli długo czekać.

## ROZDZIAŁ 38

Ostatnie przygotowania do misji we Francji zajęły niezwykle dużo czasu. Zazwyczaj Shaw pojawiał się na miejscu na dzień lub dwa przed akcją, otrzymywał instrukcje i zaczynał działać. Nie wiadomo było tylko, czy przeżyje, czy nie. Tym razem było inaczej.

Na miejscu pojawił się nawet Frank ze swoim zespołem, żeby dopracować wszystkie szczegóły planu. Podczas ostatniego spotkania przed akcją siedzieli wszyscy w niewielkim mieszkaniu trzydzieści kilometrów od Paryża i Frank wbijał Shawowi do głowy szczegół po szczególe.

Ostrzegł go:

- Ci ludzie są naprawdę dobrzy w swoim fachu. Nie ufają nikomu, a jak komuś nie ufają, to go zabijają.

- Poprawiłeś mi humor, Frank. Jestem ci bardzo wdzięczny. - Shaw siedział naprzeciwko niego i unikając spojrzenia Frankowi w oczy, powoli pocierał dłońią o dłoń.

Frank patrzył na zachowanie Shawa i w końcu rąbnął pięścią w stół.

- Zrobiłeś się nerwowo! Shaw spojrzał na niego.

- O co ci, do diabła, chodzi?

- Chodzi mi o to, że potrzebuję dawnego Shawa, człowieka, który nigdy nawet się nie pocił. Jak ci ludzie poczują twój smród, to wpakują ci tu kulkę, nim zdążysz pomyśleć „o cholera”. - Frank wskazał palcem środek swojego czoła. - A potem porąbią cię na kawałki, gaworząc sobie przy tym o pogodzie i ładnych dupach.

- Dam sobie radę, Frank.

- To z powodu tej kobiety, prawda? Żenisz się i wreszcie masz coś do stracenia. - Frank potrząsnął głową i zaczął przyglądać się Shawowi. - Zapamiętaj, kochasiu, że jeśli jutro coś spieprzysz, to zamiast wesela będą cztery pogrzeby. Po jednym dla każdej części, na które cię te sukinsyny porąbią.

- Od jak dawna się tym zajmuję? Zawsze wychodzę cało z takich akcji.

- Zawsze jest ten pierwszy i ten ostatni raz. Niech to nie będzie ostatni, jeszcze z tobą nie skończyłem.

Shaw sięgnął ręką i ścisnął ramię Franka.

- Powiedz, po co właściwie poszedłeś do Anny.

- Już ci mówiłem. Chciałem być fair. Przecież to ty powinieneś jej powiedzieć, nie ja. Miała prawo wiedzieć, w co się pakuje.

- Ona nie jest dzieckiem, Frank.

- Powiedziałeś jej, że nie odchodzisz z roboty? Że w każdej chwili możesz się znaleźć dwa metry pod ziemią?

- A co cię to obchodzi?

Frank wydawał się zakłopotany. Wzruszył ramionami.

- Wydaje się miła. Zastanawiałeś się, czym dla niej będzie twoja śmierć? Albo co się stanie, jeśli jeden ze świrów, z którymi mamy do czynienia, trafi na jej ślad?

- Nigdy nie pozwolę, żeby cokolwiek się stało Annie.

- To nie zależy od ciebie. W tej robocie wystarczy jeden błąd i już się jest na tamtym świecie. I co, nadal uważasz, że nie miała prawa poznać prawdy?

Shaw nie odezwał się, gdyż w jego głowie rodziła się myśl, że Frank, ten znienawidzony Frank, może mieć rację.

Frank podniósł się, wziął płaszcz i ruszył w kierunku drzwi.

- Powodzenia, Shaw. Gdybyśmy się już mieli nie zobaczyć, to, cóż, będę musiał poszukać kogoś na twoje miejsce.

- Nie znajdziesz nikogo równie dobrego jak ja.

Frank zastanawiał się nad jego słowami, wkładając jednocześnie sfatygowany kapelusz.

- Pewnie masz rację. Więc będę szukał prawie tak dobrego. A kiedy będą cię zabijać, nim kula roztrzaska ci mózg, zadaj sobie jedno pytanie: Czy ta kobieta jest tego warta?

Frank zatrzasnął za sobą drzwi, pozostawiając Shawa sam na sam z jego myślami.

- Tak - powiedział Shaw do pustego pokoju. - Jest tego warta.

## ROZDZIAŁ 39

Shaw szedł szybko. Magazyn znajdował się w tej części Paryża, do której praworządni obywatele nie zaglądali. Ten niewielki skrawek francuskiej ziemi nie był nawet patrolowany przez policję; w całości należał do ludzi, którzy nazywali go domem. I nie lubili gości.

Shaw stał przy końcu magazynu oświetlonego przez blade światło czterech zwisających z sufitu żarówek. Z mroku wyłoniło się czterech skinheadów. Młodzi mężczyźni otoczyli go; nie schowali nawet broni. Nie rozstawali się z nią pewnie przy śniadaniu, obiedzie i kolacji i byli z nią bardziej zżyci niż z jakąkolwiek kobietą, którą zaciągnęli do łóżka.

Mieli na sobie bezrękawniki, choć na dworze panował chłód. Byli biali, choć trudno to było orzec z całą pewnością, bo ich ciała pokrywało mnóstwo tatuaży. Każdy z nich miał inny wzór, ale jeden tatuaż, na prawym tricepsie, był u wszystkich czterech taki sam - przedstawiał swastykę. Jeden ze skinów, wyglądający na jakieś dwadzieścia lat, miał wytatuowanego na torsie smoka w kolorach czarnym, zielonym i łososiowym. Jego kły zachodziły na policzki młodzieńca. Chłopak trzymał w ręku samopowtarzalną strzelbę kalibru.12. W jego brązowych oczach, które patrzyły na Shawa z mieszaniną nienawiści i pogardy, można było wyczytać motto, którym się kierował w życiu: „Gówno mnie wszystko obchodzi”. Przeładował broń i splunął wprost pod nogi Shawa.

*Matka musi być ciebie dumna.*

Shaw odwrócił się w stronę nadchodzącego mężczyzny. Przybysz był ubrany w marynarkę, wyprasowane dżinsy i mokasyny z frędzlami, a nie w czarne spodnie, ciasny podkoszulek i wojskowe buciory. Ale zachowywał się tak, jak pozostali jego ludzie. Szedł tak pewnym siebie krokiem, że Shawa aż korciło, żeby dla dobra ludzkości odstrzelić mu łeb albo przynajmniej stłuc go na kwaśne jabłko.

Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, ale pokryta bliznami twarz i pełne ekspresji zachowanie zdradzały, że musi mieć spore doświadczenie życiowe.

Uścisnął rękę Shawa i zaprowadził go do niewielkiego stolika w narożniku. Usiedli, a skini otoczyli ich w koło wianuszkami. Byli niczym wierne psy czekające tylko na rozkaz, by zabić.

*- Je suis Adolf, monsieur.*

- Mam wszystko, czego potrzebujecie - powiedział Shaw.

- Nie rozmawialiśmy o cenie - odezwał się Adolf. - To niezwykle, prawda?

Shaw pochylił się nieco.

- Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

- Większość rzeczy jest ważniejsza od pieniędzy, ale pieniądze są potrzebne, żeby te rzeczy zdobyć. - Mężczyzna uśmiechnął się i zapalił papierosa. - Gdyby żył Sartre, dałby nam odpowiednią filozoficzną wykładnię albo po prostu powiedział *c'est la vie*.

- Chcecie zabić prezydenta Beniste'a - zaczął Shaw. - We Francji zapanuje anarchia.

Adolf potrząsnął głową.

- Przecenia pan zamiłowanie Francuzów do polityki. Twierdzi pan, że chcę zabić Beniste'a? To pańska opinia. Ale nawet gdybym to zrobił, to tylko jeden martwy prezydent. Naród wybierze kolejnego idiotę.

- Francja jest ojczyzną politycznej rewolucji - odparł Shaw.

- *Au contraire*. Była ojczyzną rewolucji. Zostaliśmy zupełnie zamerykanizowani. Wszyscy moi współobywatele martwią się teraz tylko o to, czy mają najnowszą wersję iPhone'u. Ale my jesteśmy prawdziwymi rewolucjonistami, *mon ami*.

- A o co zamierzacie walczyć?

- A jak myślisz? - warknął niespodziewanie i chwytając jednego ze swoich ludzi za rękę, podetknął Shawowi pod nos tatuaż ze swastyką. - W przeciwieństwie do pozerów, którzy nosili swastykę na mundurach, my zrobiliśmy ją sobie na skórze. To nasz dokument tożsamości. I sam sobie nadałem imię wodza.

- A więc Żydzi są przyczyną wszelkiego zła?

- Żydzi, muzułmanie, chrześcijanie, wszyscy ponoszą równą winę. Agatka Beniste'a była Żydówką, choć on stara się ten fakt ukryć. Powiedziałeś, że masz informacje i dokumenty, dzięki którym wejdziemy do hotelu, gdzie będzie przebywał Beniste?

- Owszem. Wszystkiego tu nie przyniosłem. Ale pokażę wam próbkę na dowód, że można mi ufać. - Powoli sięgnął do kieszeni i wyjął wyglądającą na autentyczną legitymację prasową i zaproszenie na spotkanie z prezydentem w jednym z paryskich hoteli. Adolf był pod wrażeniem.

- *C'est bon. Bienfait!*

- Mam jeszcze pięć takich - dodał Shaw. - Poza tym znajdziecie się na oficjalnej liście VIP-ów.

- A broń? - zapytał Adolf.

- Francuzi nie są takimi paranoikami jak Amerykanie. VTP-y nie przechodzą przez bramkę magnetyczną. - Spojrzał na skinów. - Ale musicie wyglądać i zachowywać się jak VTP-y.

Adolf roześmiał się głośno.

- Ci tutaj to moja osobista ochrona. Dorastaliśmy razem na ulicach Paryża. Każdy z nich gotów jest poświęcić dla mnie życie. Ja jestem wybranym. Oni to wiedzą.

Shaw spojrzał krytycznie na skina z wytatuowanym smokiem. *Faktycznie, wygląda na kretyna gotowego umrzeć za tego megalomańskiego dupka.*

- Więc do dokonania bohaterskiego czynu masz innych ludzi? Adolf potwierdził skinieniem głowy.

- Kiedy możemy otrzymać resztę dokumentów?

- Jak tylko się dogadamy co do ceny.

- No, wreszcie do tego doszliśmy. - Adolf założył nogę na nogę i wypuścił kółeczko dymu w stronę znajdującego się trzydzieści metrów nad ich głowami sufitu magazynu. - Powiem bez ogródek, monsieur. Nie mamy dużo pieniędzy.

- Chyba się wyraziłem jasno, że nie zależy mi na pieniądzach.

- Każdy tak mówi, a potem każe sobie płacić. Nie handlujemy narkotykami ani nie mamy dochodów z ropy do finansowania ataków terrorystycznych. Nie mam miliardów euro w bankach szwajcarskich. Jestem biednym człowiekiem ze szczytnymi ideami.

- W zeszłym roku we francuskim więzieniu zmarł mój ojciec. Adolf wyprostował się na krześle i spojrzał z zainteresowaniem na Shawa.

- W którym więzieniu?

- Sante.

Mężczyzna pokiwał głową i zgniótł niedopałek obcasem buta.

- To jedno z najgorszych. Zresztą wszystkie francuskie więzienia są do niczego. W Sante siedzi teraz kilku naszych ludzi. Ich jedyną winą było to, że robili na ulicach porządek. I za to zamykają ich jak zwierzęta? Ten świat jest szalony.

Shaw usłyszał za plecami, jak jeden ze skinów chrząka. Odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, i znowu tuż obok swojego buta zobaczył ślinę.

- W Sante siedział brat Victoria - wyjaśnił Adolf. - W zeszłym roku popełnił samobójstwo. Byłeś bardzo związany z bratem, prawda, Victor?

Victor splunął jeszcze raz i uniósł strzelbę.

- Więc twój ojciec zmarł w więzieniu. Za co siedział?

- Mój ojciec był Amerykaninem, wyemigrował do Francji, żeby otworzyć tu biznes, który konkurowałby z firmami należącymi do przyjaciół Beniste'a. Niestety, konkurował zbyt mocno. Kiedy Beniste był prokuratorem generalnym, zrobił mojego ojca w przestępstwa. Chciał go po prostu zniszczyć. Wszystko to było szyte grubymi nićmi i Beniste o tym doskonale wiedział. Ojciec spędził dwadzieścia lat w tym piekle, a kiedy już miał wyjść na wolność, umarł na atak serca. To tak, jakby sam Beniste wbił mu nóż w serce.

- Sprawdzimy tę historię; chyba mówisz prawdę?

- Mówię prawdę - powiedział Shaw z naciskiem, patrząc prosto w oczy Adolfowi. - Inaczej bym tu nie przychodził.

- Więc chcesz odwetu. O to ci chodzi?

- Czy to nie wystarczy? Ja ci dam informacje, ty zabijesz Beniste'a. - Przerwał. - I kogoś jeszcze - dodał powoli.

- Kogo? - zapytał Adolf.

- Jego ojca. Ja straciłem swojego ojca, niech on straci swojego. Adolf zastanawiał się chwilę.

- Rozumiem, że ojciec jest też chroniony.

- Planowałem to od lat. - Obejrzał się na skinów. - Ci ludzie mogą to zrobić. Potrzeba tylko trochę odwagi i pewnej ręki.

- Jak zdobyłeś te wszystkie informacje? To mnie interesuje najbardziej.

- Dlaczego?

- Bo krążą plotki, że Beniste lubi zastawiać pułapki.

Dał znak swoim ludziom, którzy chwycili Shawa, postawili go na nogi i zdjęli mu marynarkę. Victor wyjął nóż i rozciął koszulę Shawa w poszukiwaniu podsłuchu. Potem zdjęli mu spodnie. Po dokładnych poszukiwaniach, które przypominały chwilami wizytę u proktologa, pozwolono mu się ubrać.

- Dziwię się, że czekałeś tak długo z obszukaniem mnie - powiedział Shaw.

- Co za różnica? Gdybyś był *poseur* i miał podsłuch, i tak byś zginął. A nim tamci idioci by się tu pojawili, już dawno bym zniknął.

- Przecież mogli otoczyć magazyn. Adolf uśmiechnął się protekcyjnie.

- Nie, monsieur. Nie mogą tu podejść na odległość dziesięciu przecznic, żebym o tym nie wiedział. Żandarmi pilnują tych dzielnic Paryża, gdzie są turyści. Tutaj ich nie ma.

Shaw usiadł z powrotem na krześle.

- Znam Beniste'a. Ufa mi.

- Jak to? Po tym co zrobił twojemu ojcu?

- Nie wie, że to był mój ojciec. Wyjechałem z Francji, zmieniłem nazwisko, przybrałem nową tożsamość i dopiero wtedy wróciłem. Wykonuję dla niego zakulisowo brudną robotę. Ufa mi jak własnemu synowi. Cóż za ironia losu, prawda?

- Twoja nienawiść jest inspirująca.

- Umowa stoi?

- *Vive la revolution, monsieur.*



# ROZDZIAŁ 40

Anna Fischer siedziała w swoim gabinecie w budynku należącym do Phoenix Group i ślęczała nad dokumentami. W tej chwili przychodziło jej do głowy więcej pytań niż odpowiedzi na temat „czerwonej paniki”. Każdego dnia, z każdą godziną, wychodziły na jaw nowe rewelacje, niczym fale wtórne po tsunami.

Najbardziej martwiło ją to, że R.I.C., Niezależny Kongres Rosji, zdawał się nie mieć twarzy. Doniesienia prasowe na jego temat opierały się wyłącznie na materiałach znalezionych w Internecie. Nikt nie wyszedł przed szereg i nie zadeklarował: R.I.C. to ja. Teraz, po zamordowaniu Piętrowa i po ataku na Afganistan, Anna rozumiała dlaczego. Gorszkow zapowiedział wyraźnie, że ten, kto stoi za całą kampanią, zostanie surowo ukarany, a przecież mało które państwo ma takie doświadczenie w karaniu jak Rosja.

Czy cała kampania obróciła się przeciw jej twórcom? Czy zaczęli się bać i nie wiedzieli, co dalej począć? Anna nie umiała odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Pewne było tylko to, że cały plan był wyjątkowo starannie przygotowany. Tylko jakimi motywami kierowali się jego twórcy: szlachetnymi czy złymi? Szlachetne cele byłyby zrozumiałe; Rosja nie miała dobrych notowań, jeśli chodzi o przestrzeganie praw człowieka, i zapewne znalazłoby się sporo ludzi, którzy chcieliby kwestię ich łamania nagłośnić. Dużo trudniej było określić, jakie mogłyby być złe motywy. Jaki cel można osiągnąć, izolując Rosję od reszty świata? Byłoby to równoznaczne z daniem w prezencie Korei Północnej broni atomowej i zachęcaniem, żeby jej użyła.

Anna potarła skronie. Nie mogła poświęcać całego swojego czasu tej sprawie, chociaż była przekonana, że wielu ludzi na całym świecie robi w tej chwili to samo. W końcu ktoś musi dotrzeć do prawdy. Spojrzała na zegarek, dochodziła trzecia. Dzisiaj miało się odbyć spotkanie całego zespołu pracującego w firmie. Nie miała specjalnej ochoty siedzieć tam i przysłuchiwać się nudnej dyskusji. Pozostało jej pół godziny na zajęcie się jakąś ważniejszą sprawą. A wieczorem miała jeszcze coś bardzo ważnego do zrobienia.

Wybierała się do sklepu, żeby kupić suknię ślubną. Ona w sukni ślubnej. Uśmiechnęła się na tę myśl i poczuła na skórze przyjemne mrowienie. Jeszcze przyjemniej będzie popatrzeć na Shawa w smokingu. Nie miała wątpliwości, że będzie mu w nim do twarzy.

Może to niedorzeczne myśleć o sukience i ślubie, kiedy świat stoi w obliczu kryzysu, ale z drugiej strony, skoro ludzkość miała się wkrótce unicestwić, to Anna tym bardziej nie miała zamiaru czekać na zalegalizowanie związku z mężczyzną, którego kochała.

Po chwili tak bardzo skupiła się na pracy, że nie słyszała tego, co dzieje się na dole.

W tym samym momencie otworzyły się z hukiem frontowe i tylne drzwi do budynku i do środka wpadło dwunastu mężczyzn w długich płaszczach. Wyjęli ukrytą broń wyposażoną w tłumiki i zaczęli strzelać.

Recepcjonistka zdołała jeszcze podnieść słuchawkę telefonu, ale odpowiedziała jej głucha cisza. Chwilę później leżała martwa, a z dziury w czole sączyła się krew. Jej ciało bezwładnie runęło na biurko. Pewien analityk, mężczyzna w średnim wieku, wybrał niewłaściwy moment na pojawienie się w foyer. Po chwili też leżał martwy. Kilku napastników skierowało się do piwnicy. Część zaczęła przeszukiwać pokoje na piętrze. Otwierali kopniakiem kolejne drzwi i zabijali wszystkich, którzy znajdowali się w środku. Pozostali napastnicy ruszyli na drugie piętro. Tego dnia w budynku znajdowało się dwadzieścia osiem osób. Żadna z nich nie miała wrócić do domu.

Kiedy Anna usłyszała krzyki, pomyślała, że ktoś się zranił. Zerwała się z miejsca i podbiegła do drzwi. Usłyszała jakieś stłumione odgłosy, ale nie od razu zorientowała się, co one oznaczają. Gdy rozległy się ponownie, dotarła do niej okrutna prawda.

*To był wystrzał z broni!*

Potem usłyszała kolejne.

Zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz, podbiegła z powrotem do biurka i chwyciła telefon. W słuchawce panowała cisza. Zabrała z półki torebkę i wyjęła z niej telefon komórkowy. Odgłosy kroków na korytarzu stawały się coraz wyraźniejsze. Słyszała kolejne wystrzały, krzyki i głucho odgłosy padających na ziemię ciał. Starła się zachować spokój, ale ręce tak mocno jej drżały, że ledwie zdołała utrzymać w dłoni telefon.

Wybrała numer alarmowy i z niedowierzaniem patrzyła, jak komórka próbuje się połączyć. Bez rezultatu. Przecież wcześniej często zdarzało jej się rozmawiać przez komórkę w tym budynku. Spojrzała na wyświetlacz. Nie było zasięgu. Spróbowała ponownie, i jeszcze raz. Nadaremno. Cisnęła telefonem o podłogę i podbiegła do okna. Znajdowała się na trzecim piętrze, ale nie miała wyboru. Usłyszała na schodach tupot nóg. Jej gabinet znajdował się na samym końcu korytarza. Miała minutę, może mniej.

Zaczęła się siłować z oknem, ale nie mogła go podnieść. Niedawno malowano fasadę budynku i Anna zdała sobie nagle sprawę, że jakiś idiota zamalował futrynę okna. Wbiła

paznokcie w drewnianą ramę i ze wszystkich sił spróbowała raz jeszcze. Okno nawet nie drgnęło. Odgłosy dochodziły już z korytarza.

Mimo przerażenia wpadła na pomysł. Wzięła z biurka grubą książkę i zbiła nią szybę, a potem oczyściła framugę ze sterczących odłamków szkła. Wychyliła się przez okno i zaczęła krzyczeć:

- Na pomoc! Na pomoc! Wezwijcie policję!

Niestety, to była spokojna uliczka. Po obu stronach stały niezamieszkane budynki, a na dole nie było żywego ducha. Zobaczyła tylko zaparkowaną przy krawężniku furgonetkę. Krzyknęła jeszcze raz, ale najwidoczniej w samochodzie nikogo nie było. Zamierzała czymś rzucić w furgonetkę, kiedy nagle spostrzegła na jej dachu niewielki talerz anteny satelitarnej, wycelowany wprost w ich budynek.

Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Wreszcie do niej dotarła okrutna prawda. To dlatego jej telefon komórkowy nie miał zasięgu. W furgonetce znajdowało się urządzenie zagłuszające. Spojrzała w głąb ulicy i zobaczyła, że jest ona zagrodzona barierkami.

Zdjęła buty, wspięła się na parapet i spojrzała w dół. Na wysokości pierwszego piętra była rozpięta markiza. Jeśli na nią skoczy, uda jej się zsunąć potem na ulicę.

Nie miała pojęcia, czy ktoś siedzi w furgonetce. Wiedziała tylko, że zginie, jeśli zostanie dłużej w tym pokoju. Przygotowała się do skoku. Słyszając otwierane z hukiem drzwi do sąsiedniego pokoju, czuła, jak po policzkach płyną jej łzy. Krzyk, huk, a potem głuchy odgłos. To biedny Avery. Już po nim.

Boże, gdyby tu był Shaw...

Odmówiła modlitwę i przygotowała się do skoku. Kiedy będzie już bezpieczna, pobiegnie co sił w nogach po pomoc. Choć pewnie prócz niej nie było już w budynku nikogo żywego.

Dwa pociski wystrzelone zza zamkniętych drzwi trafiły ją w plecy, przeszły na wylot i poszybowały w dal. Siedziała w kucki na parapecie nieświadoma jeszcze tego, że została trafiona, tymczasem krew trysnęła na podłogę i okno. Zamglił się jej wzrok, błękitne niebo stało się brązowe, zielony trawnik po drugiej stronie ulicy w jednej chwili pożółkł. Nie słyszała już śpiewu ptaków za oknem ani odgłosów przejeżdżających w oddali samochodów. Trzymała się kurczowo drewnianej futryny, ale upływ krwi sprawił, że straciła siły.

Anna Fischer upadła na plecy. Leżała na podłodze z rozpostartymi ramionami i wzrokiem utkwionym w suficie.

Otworzyły się z hukiem drzwi, do środka weszło dwóch mężczyzn i stanęło nad nią. Jeden z nich zdjął z twarzy maskę, przyjrzał się Annie i pokręcił głową.

- Co za strzał - powiedział. - A chciałem tylko rozwalić zamek w drzwiach.

Po chwili drugi mężczyzna zdjął maskę i spojrzał na Annę.

- Co jest, do cholery? - odezwał się Caesar. - Dwa strzały w plecy, a ona wciąż oddycha?

- Poczekaj chwilę, zaraz umrze - odezwał się drugi.

- Nie ma czasu. Spójrz na okno. Próbowła uciec. Obaj przyglądali się rozbitej szybie w oknie.

Caesar wymierzył, choć oddech Anny już stawał się urywany.

Pocisk trafił w sam środek czoła.

Umierając, cicho wypowiedziała jeszcze „Shaw”.

Caesar czubkiem buta trącił jej ramię, choć nie było żadnych wątpliwości, że Anna już nigdy nie wystąpi jako świadek przeciwko nim.

Drugi mężczyzna rozmawiał przez krótkofalówkę. Słuchał chwilę, a potem skinął głową.

- Wszyscy martwi - powiedział do Caesara.

- Wszyscy martwi - powtórzył Caesar. - A komputery zhakowane?

- Już kończą.

- Powiedz im, że mają dwie minuty. Wyślij kogoś na ulicę, niech sprawdzi, czy nikt nie widział tej laski w oknie. Jeśli tak, to wiedzą, co robić. Samolot już czeka. Jak na niego nie zdążą, ich problem. Dalej.

Obaj zdjęli z ramion plecaki, wyjęli z nich papiery, wykresy, mapy i inne dokumenty i zaczęli na nie nanosić odciski palców Anny. Już mieli porzucić je na biurku, kiedy nagle Caesar zaklął:

- Cholera jasna. - Dopiero teraz zauważył, jakie dokumenty już na biurku leżały.

- Co się stało? - zapytał jego towarzysza.

Caesar wskazał na dokumenty, które wcześniej wydrukowała Anna.

- Ta pani była bardzo ciekawska. Ale to wszystko razem dobrze się komponuje.

Caesar wyjął aparat i zaczął robić zdjęcia gabinetu.

Po chwili otrzymali meldunek, że nikt nie zauważył Anny stojącej w oknie, chociaż jej krew znalazła się na trawniku po lewej stronie od drzwi frontowych budynku.

Do pokoju wszedł trzeci mężczyzna. Usiadł przy komputerze Anny i włożył do napędu płytę DVD. Jego palce w rękawiczkach tak szybko przemykały po klawiszach, że nie

sposób było domyślić się, co pisze. Słysząc było tylko klekotanie przypominające stukot kół pociągu.

Minęło może sześćdziesiąt sekund i mężczyzna wyjął płytę z napędu.

- Wszystko zgrane - powiedział i wyszedł w pośpiechu.

Pół minuty później w budynku nie było już nikogo żywego.

# ROZDZIAŁ 41

W chwili gdy prezydent Beniste po wygłoszeniu przemówienia opuszczał hotel Ritz Carlton w Paryżu, pod zarzutem próby zamordowania go aresztowano sześciu mężczyzn. Media okrzyknęły akcję policji jako wielki sukces, ponieważ niedoszli zamachowcy, którzy dostali się do hotelu dzięki doskonale podrobionym dokumentom, zostali zatrzymani, nim zdolali znaleźć się w pobliżu swojej ofiary. Pojawiły się także doniesienia, że próbowano porwać ojca prezydenta, ale przestępców schwytano, zanim zdążyli zrealizować swój plan. Dwóch z napastników zostało zastrzelonych przez stróżów prawa.

Jak się okazało, zatrzymani mężczyźni byli członkami dobrze znanego neonazistowskiego ugrupowania działającego na przedmieściach Paryża. Według wiarygodnych źródeł należało oczekiwać kolejnych aresztowań. Władze oznajmiły, że być może uda się zupełnie rozbić ultraradykalną grupę.

Shaw słuchał tych wiadomości w pokoju hotelowym, pakując jednocześnie swoją walizkę. Kiedy zadzwonił jego telefon, podniósł słuchawkę.

- Gratulacje - usłyszał głos Franka. - Jednak sobie poradziłeś.
- Zawsze byłeś mocny w gębie.
- Jesteś gotów na nowe wyzwania?
- Nie, wyjeżdżam.
- Niech zgadnę, do Londynu?
- A nie mogę mieć przed tobą żadnych tajemnic?
- Masz dwa dni. Potem będziesz mi potrzebny.
- Trzy. I ciesz się, że tylko tyle.

Rozłączył się, wziął walizkę i ruszył do wyjścia. Nim zdążył dotknąć klamki, drzwi się otworzyły.

Shaw cofnął się do środka, widząc wycelowany prosto w jego pierś pistolet.

Victor splunął mu prosto w twarz.

Za Victorem do pokoju wślizgnął się jeszcze jeden mężczyzna z plecakiem w rękę i zamknął drzwi na zasuwkę.

W kieszeni Shawa zaczął wibrować telefon. To pewnie Frank próbował go ostrzec, ale było już za późno.

Adolf uśmiechnął się szeroko.

- Nie, nie, *mon ami*. Nie możesz tak po prostu wyjechać z Paryża. Przedstawienie jeszcze nie skończone.

Shaw cofnął się jeszcze o krok, aż wreszcie oparł się o ścianę. Przenosił spojrzenie z wylotu lufy pistoletu na Adolfa i z powrotem na broń. Po policzku spływała mu strużka śliny Victora.

Adolf wyjął z plecaka piłę do metalu i niewielką siekierę. W tym czasie Victor przykręcał tłumik do pistoletu.

- Zostało was tylko dwóch - odezwał się Shaw.

- Zawsze mogę zwerbować nowych - odpowiedział Adolf. - Na miejsce jednego mam od razu pięciu chętnych.

- Francuzi naprawdę muszą coś zrobić z bezrobociem. Adolf uniósł siekierę.

- Jesteś Żydem?

Shaw zerknął na narzędzie.

- A co, będziesz mnie kroił koszernie?

- Chcę wiedzieć, dlaczego mnie wystawiłeś. Chcę to wiedzieć, zanim umrzesz. Oczyszcz w ten sposób swoją duszę. Powiedz. Wypowiadaj się przed ojcem Adolfem.

- Powiem ci jedno. Masz ostatnią szansę, żeby stąd zniknąć. Potem nie odpowiadam za siebie.

Adolf spojrział na Victora i roześmiał się głośno.

- My mamy broń, ty nie masz nic. A to znaczy, że pieprzysz głupoty. - Adolf zaczął wymachiwać siekierą, uśmiechając się złośliwie. - Jesteś zwykłą kupą gówna.

Shaw wcisnął niepostrzeżenie przycisk znajdujący się obok zamka walizki. Chwilę później wokół rozległ się głośny dźwięk syreny.

Adolf i Victor spojrzeli w stronę okna, sądząc zapewne, że nadjeżdża policja.

W następnej chwili Shaw, kryjąc się za walizką, ruszył do ataku. Victor wycelował i strzelił w stronę walizki, sądząc, że pocisk z łatwością przebije materiał i trafi Shawa w głowę. Jednak się mylił.

Pocisk trafił w walizkę, odbił się od wyjątkowo wytrzymałego materiału kompozytowego i wbił w sufit. Siła uderzenia sprawiła, że Shaw się zachwiał. Z impetem uderzył swoją nietypową tarczą Victora, który stracił w tym momencie nie tylko pistolet, ale także zakleszczony w kabłąku spustu palec.

Victor zawył z bólu i chwycił kurczowo krwawy kikut. Zamilkł dopiero wtedy, gdy kolejny cios zadany walizką w głowę posłał go nieprzytomnego na sofę.

Zanim Shaw zdążył się obrócić, Adolf wbił mu głęboko w lewe ramię ostrze piły do metalu. Shaw zatoczył się do tyłu, ale zanim Adolf zdołał zamachnąć się siekierą, silnym kopniakiem został powalony na ziemię. Siekiera wypadła mu z rąk. Podczołgał się do niej szybko i rzucił nią w Shawa. Na szczęście w udo Shawa trafił trzonek, a nie ostrze, choć i tak bolało jak diabli.

Shaw nie poczuł wibracji telefonu w kieszeni, gdyż znowu nacierał na niego Adolf z piłą w ręku, a Victor ze zmasakrowaną, zakrwawioną połową twarzy stanął na drżących nogach i rozglądał się za swoim pistoletem.

Shaw skoczył na Adolfa, próbując uderzyć go pięścią w żołądek. Obaj wylądowali na łóżku, przetoczyli przez nie i spadli na podłogę. Adolf sięgnął do twarzy przeciwnika, próbując wylupić mu oczy. Na wpół oślepiony, obolały i nienaturalnie skręcony, Shaw zdołał ostatkiem sił zacisnąć ramię na tchawicy Adolfa. Kiedy chciał wzmocnić chwyt i udusić go, poczuł, że traci siły. Ze zranionego ramienia obficie lała się krew.

Ostrze musiało uszkodzić naczynia krwionośne. Poczuł, że traci czucie w palcach.

Oderwał się od Adolfa i zdołał jakoś wstać. Obrócił się i zamarł.

Victor mierzył mu wprost w głowę, na języku spustowym spoczywał jego środkowy palec.

Złowrogi uśmieszek na ustach skina był ostatnią rzeczą, jaką Shaw zapamiętał, nim stracił przytomność.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Frank i sześciu jego ludzi. Frank błyskawicznie ocenił sytuację i dwukrotnie strzelił prosto w głowę Victora. Skinhead padł martwy na podłogę.

Adolf z krzykiem rzucił się na Shawa i chwycił go za gardło.

- Bierzcie go! - wrzasnął Frank i czterech ludzi siłą oderwało Adolfa od ciężko rannego mężczyzny.

- Zabierzcie stąd tę kupę gówna - rozkazał Frank i Adolf został wyprowadzony z pokoju.

Kiedy Frank się obrócił, ujrzał kredowobiałą twarz Shawa, który po chwili runął na podłogę.

- Shaw! - Frank podbiegł do Shawa i przyklęknął przy nim. - Wezwijcie natychmiast karetkę! - ryknął.

Frank ułożył ostrożnie głowę Shawa na swoim ramieniu.

- Shaw? Słyszysz mnie? Shaw!



Głowa Shawa zakołysała się w przód i w tył. Frank spojrział na głębokie rozcięcie na ramieniu, zerwał z szyi krawat i zrobił z niego opaskę uciskową.

- Trzymaj się. Karetka już tu jedzie. Potem zaczął wrzeszczeć na swoich ludzi.

- Jak te bydlaki go znalazły?! Miał mieć przecież ochronę!

- Frank? - rozległ się słaby szept.

Frank pochylił głowę; Shaw patrzył na niego.

- Wszystko będzie dobrze. Już słyszę lekarza na schodach.

- Zadzwoń do Anny. - Jego oddech stał się bardzo płytki. - Zadzwoń do Anny...

W pokoju pojawiła się załoga karetki. Frank chciał odsunąć się od rannego, ale ten go przytrzymał.

- Zadzwoń do Anny. Proszę.

- Zadzwoń. Zaraz zadzwonię.

Shaw stracił przytomność i jego ręka opadła bezwładnie na podłogę.

Kilka minut później sanitariusze wynosili go z pokoju na noszach.

Victor, skinhead z wytatuowanym na torsie smokiem, swoją ostatnią podróż odbył w plastikowym worku.

Frank patrzył przez okno na odjeżdżający ambulans. Pokój zaraz zostanie dokładnie wysprzątnany, a wiadomość o tym, co tu zaszło, nigdy nie trafi do prasy. Frank zastanawiał się teraz, jak to wszystko zorganizować.

- Kto to jest Anna? - zapytał jeden z jego ludzi.

Frank wyjął z kieszeni palmtopa i po raz czwarty przeczytał niedawno otrzymany e-mail: „Pilne. Atak na siedzibę Phoenix Group w Londynie. Nikt nie przeżył”. To właśnie dlatego dzwonił do hotelu. Ponieważ Shaw nie odebrał telefonu, wsiadł do samochodu i postanowił przekazać mu tę wiadomość osobiście. Frank westchnął głęboko, rozglądając się po spustoszonej pokoju.

- Kobieta, z którą Shaw był bardzo blisko.

## ROZDZIAŁ 42

Katie James siedziała w swoim niewielkim mieszkaniu na West Side w Nowym Jorku i wpatrywała się w butelkę ginu, którą postawiła na blacie kuchennym. Obok stała pusta szklaneczka. Wrzuciła do szklanki pięć kostek lodu i nalała na dwa palce toniku. Usiadła wygodniej i spojrzała na to, co do tej pory zrobiła. Zamieszała tonik łyżeczką. Kostki lodu zagrzechotały głośno o ścianki naczynia. Zerknęła na butelkę ginu. Jeden drink. Tyle wystarczy. Ale czy zasłużyła na niego?

Na początek o mało nie straciła życia. Potem wróciła do domu do Nowego Jorku i dowiedziała się, że pod pretekstem cięć budżetowych wywalono ją z pracy w dziale nekrologów. Zastąpił ją blisko osiemdziesięcioletni wolny strzelec.

Kiedy ochrona wyprowadzała ją z budynku redakcji, usłyszała na pożegnanie rubaszne „Powodzenia, Katie!”. Miała ochotę wrócić, wziąć Nagrody Pulitzera, które zdobyła, i wepchnąć im je do gardła.

Zamiast tego wróciła do domu i wpatrywała się teraz w butelkę ginu. Potrafi zatrzymać się po pierwszym drinku. Wiedziała, że potrafi. Czowała, że ma w sobie dość sił, żeby przestać pić dalej. Odkręciła nakrętkę, poczuła piękny zapach ginu. Wrzuciła do szklaneczki plasterk limonki i zamieszała. Pozostał już tylko ten ostatni krok - wlać gin. Wzniesie nim toast za swoją nową karierę. Nie wiedziała tylko jeszcze, w jakiej dziedzinie.

Ale to nie była cała prawda. Kiedy była trzeźwa, widywała w swoich snach Benhama. Afgański chłopiec, który zginął po to, by ona mogła otrzymać Pulitzera, zawsze przychodził do niej podczas snu. Wyglądał jak żywy, jego kręcone włosy rozwiewał gorący pustynny wiatr. Uśmiech na jego twarzy potrafił każdego rozmiękczyć. Ale każdy taki sen kończył się tą samą sceną - jak leży martwy w jej ramionach.

Nie widywała go tylko wtedy, gdy była pijana. To oznaczało, że przez ostatnie sześć miesięcy widywała go niemal codziennie. Umierał w jej snach setki razy, potem powstawał z martwych, by umrzeć po raz kolejny. I tak trzy, cztery razy w ciągu jednej nocy. Była już tym zmęczona. Miała ochotę się napić. Nie, miała ochotę się upić. Nie chciała znów patrzeć na śmierć Benhama.

Miała na sobie tylko starą wyciągniętą sportową bluzę. Usiadła na krześle i wyjrzała przez okno. W Central Parku trwała właśnie antyrosyjska demonstracja. Dziesiątki tysięcy

ludzi maszerowało i wymachiwało transparentami „Pamiętajcie o Konstantynie”. Katie nie mogła wiedzieć, że transparenty dostarczyła organizatorom demonstracji podstawiona firma mająca ściśle związki z Pender & Associates.

Na potrzeby tej i innych podobnych, odbywających się na całym świecie demonstracji uszyto dwadzieścia milionów transparentów.

Katie postanowiła, że nie weźmie udziału w proteście. Miała co innego na głowie.

Odwróciła wzrok od okna i patrzyła teraz na ekran telewizora przez niebieskie szkło butelki z ginem.

Wiadomość z ostatniej chwili. Jasne. Co chwila są wiadomości z ostatniej chwili. Kolejny wielki temat. Kiedyś już by siedziała na pokładzie samolotu i leciała z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę tam, gdzie działo się coś ważnego. Uwielbiała to. Uwielbiała każdą chwilę spędzaną w ten sposób. Póki nie pojawiał się kolejny wielki temat. I jeszcze jeden, i jeszcze.

Znowu Londyn. Cóż, Londyn często był tematem programów informacyjnych, choć gdy ona tam była, akurat nic się nie działo. Takie już jej szczęście. Patrzyła na budynek otoczony policyjną taśmą i wstrzymała oddech. Budynek wyglądał znajomo. Wyprostowała się na krześle, zapomniała nawet o ginie.

Co ta kobieta mówiła? Westminster? Jaka grupa? Katie zerwała się na równe nogi, pobiegła do salonu i podkreśliła dźwięk.

Reporterka stała w deszczu, obok niej biegali w kółko policjanci i ludzie w białych kitlach. Przenośne bariery powstrzymywały napierający tłum gapiów. Na ulicy stały wozy transmisyjne stacji telewizyjnych z antenami satelitarnymi, przesyłającymi wieści bezpośrednio w świat.

- Phoenix Group było chyba ostatnim miejscem na ziemi, gdzie można by się spodziewać czegoś takiego - mówiła reporterka. - Położona przy spokojnej londyńskiej ulicy firma zatrudniała grono ekspertów prowadzących badania nad globalną polityką. Wszyscy pracujący tu ludzie byli naukowcami, część nawet członkami akademii nauk, trudno więc sobie wyobrazić, że to właśnie oni stali się celem brutalnego ataku. Do czasu powiadomienia rodzin nie zostanie opublikowana oficjalna lista ofiar. Choć szczegóły tej tragedii pozostają wciąż zagadką, wydaje się, że masakra...

*Masakra? Czy ta kobieta powiedziała „masakra”?*

Katie zsunęła się na dywan, serce waliło jej jak młot. Czowała się odrętwiała.

Reporterka kontynuowała swoją relację.

- W chwili obecnej władze potwierdzają tylko, że w budynku znajdują się ciała około trzydziestu ofiar. Nic nie wskazuje na to, by ktokolwiek przeżył.

*Nic nie wskazuje na to, by ktokolwiek przeżył?*

Katie zerknęła na zegarek, szybko obliczyła, która godzina jest teraz w Londynie. Był wieczór. Minęło kilka godzin od chwili znalezienia ciał. To się musiało wydarzyć około trzeciej, czwartej po południu. Nagle owładnęło nią przerażenie.

*Nikt nie przeżył.*

Poderwała się, pobiegła po telefon, po drodze złapała wizytówkę, którą dostała od Anny, i wybrała numer. Od razu zgłosiła się poczta głosowa. Słyszając głos Anny proszący, by po sygnale zostawić wiadomość, z gardła Katie wydostał się krótki szloch. Katie rozłączyła się, nie nagrywając wiadomości.

Nagle coś jej przyszło do głowy.

- Shaw! - wykrzyknęła.

Zadzwoiła pod numer, który jej zostawił. Po czterech dzwonekch pomyślała, że pewnie zgłosi się poczta głosowa, ale jednak ktoś odebrał.

- Alo?- Usłyszała kobiecy głos mówiący po francusku.

Zaskoczona Katie odezwała się po dłuższej chwili.

- Czy mogę rozmawiać z Shawem?

Kobieta po drugiej stronie znów odezwała się po francusku.

Katie próbowała przypomnieć sobie francuszczyznę z college'u i to, czego nauczyła się, podróżując po świecie. Zapytała kobietę, czy mówi po angielsku i gdzie jest Shaw.

Kobieta nie знаła tego nazwiska.

- Ma pani jego telefon.

Kobieta wydawała się zakłopotana, ale po chwili zapytała, czy Katie jest członkiem rodziny.

To nie brzmi dobrze, pomyślała Katie. Przez myśl przemknęło jej podejrzenie, że Shaw był razem z Anną w budynku Phoenix Group i też zginął. Ale skoro do masakry doszło w Londynie, to dlaczego jego telefon miała Francuzka?

- Tak - odpowiedziała Katie. - Jestem jego siostrą. A kim pani jest?

Kobieta powiedziała, że jest pielęgniarką i ma na imię Marguerite.

- Pielęgniarką? Nie rozumiem.

- Ten człowiek, Shaw, jest w szpitalu - wyjaśniła Marguerite.

- Co mu się stało?

- Jest ranny. Właśnie go operują.

- Gdzie?

- W Paryżu.

- W którym szpitalu?

Kobieta podała Katie nazwę szpitala.

- Wyjdzie z tego? Marguerite odparła, że nie wie.

Katie pobiegła się pakować. Dzięki milionom kilometrów zgromadzonym w programie lojalnościowym udało jej się zabukować bilet na samolot Air France odlatujący wieczorem z lotniska JFK.

W samolocie próbowała zasnąć, ale bez powodzenia. Wszyscy pasażerowie wokół drzemali, a ona nie mogła oderwać oczu od ekranu z programem informacyjnym. Pojawiło się co prawda trochę świeżych informacji na temat masakry w Phoenix Group, jak nazwali to wydarzenie dziennikarze, ale żadna z nich nie wniosła niczego nowego. Przed wejściem na pokład samolotu Katie próbowała jeszcze raz zadzwonić do Anny, ale znowu zgłosiła się poczta głosowa.

Lecąc nad Atlantykiem, zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie to robi. Przecież ledwie знаła Annę i Shawa. Zresztą on dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie ma prawa wtrącać się w ich życie.

*Co ty tutaj robisz, Katie?*

Odpowiedź była pewnie prostsza, niż mogłoby się wydawać. Choć słabo znała Annę i Shawa, to okoliczności, w których się ze sobą zetknęli, sprawiły, tych dwoje stało się dla niej kimś więcej niż tylko znajomymi. Martwiła się o nich. Chciała, żeby byli szczęśliwi. A teraz? A teraz czuła się tak, jakby zmarł jej bardzo bliski przyjaciel.

Wylądowała o siódmej rano lokalnego czasu, przeszła odprawę celną i złapała taksówkę, która zawiozła ją do mieszczącego się w centrum Paryża szpitala.

Zapłaciła taksówkarzowi za kurs i weszła do środka. Używając swojej łamanej francuszczyzny, szybko znalazła kogoś mówiącego po angielsku i zapytała, gdzie znajduje się sala Shawa. Okazało się, że w szpitalu nie leży nikt o takim nazwisku.

*Psiakrew!* Dlaczego nie zapytała tamtej pielęgniarki, pod jakim nazwiskiem Shaw został przyjęty do szpitala?

- Jest ciężko ranny. Przeszedł wczoraj operację. To postawny mężczyzna, metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, ciemne włosy, błękitne oczy.

Kobieta patrzyła na nią tępo.

- To jest duży szpital, madame.

- Rozmawiałam o nim z pielęgniarką stąd. Miała na imię Marguerite.

- Ach, Marguerite, *bon*, to już lepiej - powiedziała kobieta. Zadzwoiła dokądś, rozmawiała dobrą minutę, wreszcie kiwnęła na Katie. - Monsieur Ramsey leży w sali osiemset pięć.

Kiedy Katie ruszyła w stronę windy, ciągnąc za sobą niewielką walizkę na kółkach, kobieta w recepcji odprowadzała ją zaniepokojonym spojrzeniem i znów zaczęła coś mówić do słuchawki.

## ROZDZIAŁ 43

Godzinę po tym, jak została zamordowana Anna Fischer, zabrzęczał palmtop Nicolasa Creela. Przekręcił się na łóżku, wziął do ręki urządzenie, wcisnął przycisk i na ekranie pojawiła się wiadomość: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”. To Caesar. Któż by pomyślał, że człowiek jego pokroju może być miłośnikiem Szekspira. Creel spojrzął na zegarek. W Londynie jest popołudnie, więc wszystko poszło zgodnie z planem. Odwrócił się na drugi bok i zasnął.

Tego samego dnia wieczorem Creel wstał, wygładził poły smokingu, poprawił spinki w mankietach koszuli i witany burzliwymi oklaskami podszedł do mównicy. Uścisnął rękę gubernatora, który przedstawił go zgromadzonym licznie gościom. Każdy z zaproszonych zapłacił pięć tysięcy dolarów za przywilej zobaczenia na własne oczy Nicolasa Creela, człowieka, który otrzymał zaszczytny tytuł filantropa roku. Przyczyniła się do tego dotacja w wysokości osiemdziesięciu milionów dolarów, za które zbudowano i wyposażono najnowocześniejszy oddział onkologii dziecięcej w jednym z dużych szpitali. Mimo to oddział nie został nazwany jego imieniem. Dość już było na świecie takich budynków. Creel nazwał oddział imieniem swojej matki.

Gubernator Kalifornii rozplýwał się w zachwytach nad gościem honorowym, nazywając bogatego producenta broni człowiekiem wyjątkowym, niezrównanym i bezgranicznie oddanym innym. Gdyby matka Creela żyła, na takie słowa na pewno zalałaby się łzami ze wzruszenia. Oczy Creela nigdy nie były nawet wilgotne. Jak wszystko inne w życiu, każde działanie wynikało ze splotu różnych motywów. Dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem. Faktycznie wydał pieniądze. Nie było nic dziwnego w tym, że pomagał chorym dzieciom. O mało nie stracił najstarszego syna, kiedy ten zachorował na białaczkę. Od tamtej pory interesował się badaniami nad rakiem i poszukiwaniem skutecznego leku. Może był bardziej chciwy i ambitny niż inni, ale odnosił też większe sukcesy.

Creel rzeczywiście był wielkoduszny. I co więcej, miał mnóstwo pieniędzy. Przez kilka dziesięcioleci przeznaczył na cele charytatywne miliardy dolarów, dużo więcej niż wszyscy pozostali bogacze razem wzięci. Rozdawanie majątku sprawiało, że on czuł się lepiej, obdarowani czuli się lepiej i w ogóle wszyscy byli zadowoleni. Był to też dobry sposób na uhonorowanie matki, zapewnienie jej nieśmiertelności, na którą z całą pewnością

zasługiwała. Czynienie dobra zjednuje też przyjaciół w najwyższych kręgach, a tacy przyjaciele mogą być w pewnej chwili bardzo potrzebni. Creel miał wrażenie, że gubernator Kalifornii i cały stan będą do końca życia jego przyjaciółmi. Warto było poświęcić osiemdziesiąt milionów dolarów. Wszyscy na tym wygrali.

Wyjął z kieszeni kartkę ze swoim przemówieniem i omiół wzrokiem salę pełną zachwyconej publiczności, zastanawiając się, czy gdzieś w tym tłumie kryje się jakiś nowy, świeższy model Miss Seksu. Między innymi dlatego zostawił żonę w domu. Zdecydowanie nadszedł czas na zmianę. Ona była już nim znudzona. Zastanawiał się, czy tym razem nie postawić raczej na intelekt, pod warunkiem, że warunki zewnętrzne też będą odpowiednie. Creel był człowiekiem, który lubił otaczać się pięknem.

Rozpoczął od uwagi na temat tego, co media bezdusznie nazwały londyńską masakrą. Następnie poprosił zebranych o chwilę ciszy dla uczczenia jej ofiar. Wydawało mu się to zgrabnym zagranem. Pochylił głowę i nawet pomyślał przez chwilę o ofiarach i ich rodzinach. Poczuł, że wilgotnieją mu oczy. To straszne. Było mu przykro, że musiał to zrobić. Gdyby istniał inny sposób... Co za tragedia. Świat stał się tak okropnie skomplikowany; zatarty się granice pomiędzy dobrem a złem.

Podniósł wzrok i spojrzął na wpatrzone w niego, lśniące od łez oczy tłumu. To była naprawdę magiczna chwila. Przez te kilkanaście sekund czuł się tak mocno związany z ludźmi na widowni. Przeżywali to razem. Ta tragedia zbliżyła do siebie ludzi. Nieszczęścia i katastrofy potrafią sprawiać cuda. Nie było kwestią przypadku, że najwybitniejsi amerykańscy prezydenci to ci, którzy rządzą w czasach wojny. Takie jest właśnie działanie konfliktu zbrojnego. Albo stajesz się wielki, albo jesteś nikim. Nie ma nic pośredniego, nie ma miejsca, gdzie można się ukryć. Creel był przekonany, że dopiero w obliczu straty ludzie potrafią ocenić wartość życia.

Dziesięć minut później zakończył swoje przemówienie i wrócił na miejsce odprowadzany burzą oklasków, owacją na stojąco. Przypomniawszy sobie wiadomość, jaką przesłał mu Caesar.

To był naprawdę niezwykły wieczór.



## ROZDZIAŁ 44

Katie wysiadła z windy na ósmym piętrze. Nagle poczuła na swoim ramieniu czyjąś ciężką dłoń. W pierwszej chwili chciała ją po prostu strącić, ale kiedy podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy barczystego mężczyzny, szybko zmieniła zdanie.

- Chodź ze mną - powiedział z brytyjskim akcentem.

- Dlaczego?

W odpowiedzi zacisnął mocniej dłoń na jej ramieniu. W tej samej chwili dołączył do nich jeszcze potężniejszy mężczyzna. Machnął swoją odznaką przed oczami Katie tak szybko, że nie zdążyła z niej niczego odczytać.

- Mam do ciebie kilka pytań - powiedział.

- Świetnie, bo ja mam mnóstwo pytań do was.

Wzięli ją pomiędzy siebie i ruszyli korytarzem. Otworzyły się drzwi, Katie została wprowadzona do środka i kazano jej usiąść. Postanowiła stać; z arogancką miną skrzyżowała ręce na piersi. Jeden z mężczyzn westchnął.

- Wrócimy za minutę.

Po sześćdziesięciu sekundach wrócili z jeszcze jednym mężczyzną, starszym, łysym, w zmiętym garniturze wymagającym szybkiej wizyty w pralni.

Mężczyzna usiadł i gestem zaprosił Katie do uczynienia tego samego.

- Napije się pani czegoś?

- Nie - odparła, siadając naprzeciw niego. - Chcę się zobaczyć z Shawem.

Frank przyglądał jej się uważnie.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, że zapytam, skąd go pani zna?

- Owszem, mam.

Dał znak jednemu z mężczyzn, który natychmiast wyrwał jej z rąk torebkę. Próbowała jej bronić, ale drugi osiłek ją przytrzymał. Wyjęli z torebki portfel i paszport i położyli je przed Frankiem.

Frank przejrzał dokumenty.

- Katie James, nazwisko brzmi znajomo. Jest pani reporterką, prawda? Pisze pani artykuł na temat Shawa?

- Nie, on jest moim przyjacielem.

- To zabawne, znam wszystkich jego przyjaciół. Pani nie ma na liście.

- To świeża znajomość. A propos, mogę zobaczyć pańską odznakę albo inne dokumenty? Potrzebne mi są wiarygodne fakty do artykułu, który mam zamiar napisać na pański temat, jeśli natychmiast nie puści mnie pan wolno!

- Jak świeża? - zapytał niewzruszony Frank. Zawahała się.

- Poznałam go w Edynburgu.

- Nic o tym nie wspominał. - Frank przestudiował jeszcze raz jej paszport, tym razem uważniej. - Więc przyleciała pani specjalnie z Nowego Jorku, żeby odwiedzić świeżo poznanego przyjaciela? Dlaczego?

- Kim pan, do diabła, jest?

- Po co pani tu przyleciała? - powtórzył Frank.

- Czy on żyje?

- Żyje, ledwo żyje. A teraz proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Zadzwoiłam do niego wczoraj. Odebrała jakaś kobieta. Powiedziała, że jest w szpitalu i przechodzi operację. Dlatego tu jestem.

- Rozumiem. A dlaczego pani do niego dzwoniła?

- A może pan odpowie choćby na jedno moje pytanie?

- Dlaczego pani do niego dzwoniła?

Katie rozejrzała się nerwowo po pokoju. Dwaj pozostali mężczyźni patrzyli na nią beznamiętnie.

- Ponieważ usłyszałam wiadomość o tym, co się stało z Phoenix Group.

Franka ta odpowiedź nie zadowoliła.

- A co się stało?

- Niech pan przestanie się wygłupiać. Nie wierzę, że nie słyszał pan o masakrze w Londynie.

- A jaki to ma związek z Shawem?

- Chodzi o Annę Fischer. Widzę po pańskiej minie, że doskonale pan wie, o czym mówię, więc proszę nie strugać wariata.

- Skąd pani zna panią Fischer?

- Czy ona nie żyje?

- Skąd ją pani zna, pani James?

Katie zastanawiała się chwilę, czy powiedzieć całą prawdę. W końcu postanowiła skłamać, starając się, by zabrzmiało to wiarygodnie.

- Przygotowywałam artykuł na temat Phoenix Group. W ten sposób poznałam Annę. A przez nią Shawa. Zaprzyjaźniliśmy się.

- Powiedziała pani wcześniej, że spotkała Shawa w Edynburgu. Skąd pani wiedziała, że tam będzie?

- Anna mi to powiedziała.

- Nieprawda. Ja też potrafię poznać, kiedy ktoś kłamie. Albo natychmiast dowiem się prawdy, albo trafi pani do francuskiego aresztu śledczego. Uprzedzam, że francuskie sądy są wyjątkowo powolne. Mogą minąć lata, nim ktoś przypomni sobie, że należy panią postawić przed sądem. Zresztą francuskie więzienia też nie słyną ze schludności.

- Wiem o tym. Sama pięć lat temu napisałam artykuł na ten temat i zdobyłam za niego najwyższą nagrodę dziennikarską. A tak przy okazji, jakie zostaną mi postawione zarzuty? W końcu nawet Francuzi potrzebują takich informacji, nim wsadzą kogoś do więzienia.

- Czy głupota i niechęć do współpracy wystarczą?

- A może przejedziemy się do ambasady amerykańskiej? Tak się składa, że pamiętam adres.

- Widzę, że znaleźliśmy się w impasie. - Postukał palcami w blat stołu. - Powie mi pani prawdę w zamian za to, że pozwolę pani zobaczyć się z Shawem?

Teraz Katie przestała być już tak arogancka i pewna siebie. Tym razem ona musiała wybrać prawdę.

- Dobrze, byłam w Edynburgu na urlopie. Zobaczyłam Shawa i jeszcze jednego mężczyznę w kaplicy zamkowej. Ich zachowanie wydało mi się podejrzane. - Katie opowiedziała, co działo się dalej, jak Shaw ocalił jej życie i jak ona potem podążyła za nim po śladach, które pozostawił w hotelu. Na koniec zdała relację ze swojego spotkania z Anną.

- Dziwię się, że mi o tym nie powiedział.

- Tamtego wieczoru ledwie uszedł z życiem. Poza tym do niedawna nie zdawał sobie sprawy, że wytropiłam Annę. Kiedy już się dowiedział, nie był zadowolony. Prawdę mówiąc, wściekł się.

- Wcale mu się nie dziwię.

- Teraz wie pan już wszystko. - Katie zawahała się przed zadaniem tego pytania, ale wciąż tliła się w niej nadzieja. - Czy Anna nie żyje?

- Tak. Podobnie jak wszyscy, którzy znajdowali się wewnątrz. Katie wbiła wzrok w swoje dłonie.

- Dlaczego? Przecież to była tylko grupa ekspertów. Anna mówiła, że nikt nie traktuje poważnie ich pracy.

- A jednak ktoś potraktował ją poważnie.  
- Czy Shaw wie, co stało się z Anną? - Spojrzała mu w oczy.  
- Nie. - Frank starał się unikać jej spojrzenia.  
- Czy on wyjdzie z tego?  
- Stracił dużo krwi, ale lekarze mówią, że dobrze zniósł operację i najgorsze już minęło. To twarde.

Katie odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu.  
- Ale kiedy dowie się o Annie...  
- Ktoś musi mu to powiedzieć.  
- Nie jestem pewien, czy już przyszła na to pora - powiedział otwarcie Frank.  
- A co będzie, jeśli dowie się z telewizji, gazet, jeśli ktoś powie mu o tym przez telefon?

Frank potrząsnął przecząco głową.

- Panujemy nad tym.  
- Nie będzie się dopytywał, dlaczego nie ma jej przy nim w szpitalu?  
- Powiem, że kazałem jej się trzymać z daleka.  
- Ale będzie chciał z nią porozmawiać, choćby przez telefon. - Przerwała na chwilę. -  
Jak pan się właściwie nazywa?

- Frank - odpowiedział po chwili wahania.

- To imię czy nazwisko?

- Po prostu Frank.

- No dobrze, panie Po prostu Frank, oni byli zaręczeni, mieli się pobrać. Shaw nie zadowolony z dawkowej informacją, że nie może z nią porozmawiać ani jej zobaczyć.

- W porządku! Nie upieram się! Może to rzeczywiście nie jest najlepszy pomysł! -  
wybuchnął Frank. - Kiedy zdawało mu się, że umiera, prosił, żebym do niej zadzwonił.  
Obiecałem, że to zrobię, choć wiedziałem, że ona nie żyje. - Zerwał się z miejsca i zaczął  
nerwowo przechadzać się po pokoju z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie i wzrokiem  
wbitym w czubki własnych butów.

- Czy mogę się z nim zobaczyć? Powiedział pan, że jeśli powiem prawdę, to będę  
mogła go zobaczyć.

Frank zatrzymał się w pół kroku. Nie patrząc na Katie, dał znak swoim ludziom.

Kiedy wyprowadzali ją z pokoju, Frank zawołał:

- Proszę mu powiedzieć! Katie odwróciła się. - Co?

- Ma pani rację. Proszę powiedzieć mu o Annie. Katie wydawała się zaskoczona.

- Ja? Ja... ja nie mogę. Ja...

- Powiedziała pani, że uratował pani życie. Ze jest pani jego przyjaciółką. Więc proszę zachować się jak przyjaciółka.

Przeżona Katie próbowała jeszcze coś powiedzieć, ale Frank zatrzasnął drzwi. Nie pozostało jej nic innego, jak ruszyć w kierunku sali, na której leżał Shaw.

Przypominało to ostatnią drogę skazańca.

## ROZDZIAŁ 45

Po całonocnym locie na pokładzie swojego prywatnego jumbo jęta Nicolas Creel zmienił miejsce pobytu z Los Angeles na Włochy i teraz odgrywał rolę kapitana na swoim jachcie *Shiloh*. Olbrzymi jacht miał ponad sto pięćdziesiąt metrów długości, dwadzieścia szerokości i dziewięć leżących jeden nad drugim pokładów. Mógł zabrać trzydziestu gości i zapewnić im najwyższe luksusy, takie jak kryty basen, kino, dyskotekę, salę gimnastyczną, piwnicę win, boisko do koszykówki, wszelkie możliwe wodne zabawki, lądowiska dla śmigłowców, gorące kąpiele i mieszczącą trzydzieści osób prywatną łódź podwodną. Do łodzi podwodnej można było się dostać przez dno kadłuba, więc Creel mógł pojawiać się na jachcie zupełnie niepostrzeżenie. Załoga *Shiloh* składała się z trzydziestu doskonale wyszkolonych ludzi, których jedynym celem było wiernie służyć. Sam apartament Creela miał pięćset metrów kwadratowych, czyli dużo więcej niż przeciętny amerykański dom.

*Shiloh* był bezpiecznym jachtem. Zainstalowano na nim najnowocześniejsze systemy bezpieczeństwa, czujniki ruchu, a nawet specjalny system wykrywania torped. Jacht cumował zwykle we Włoszech i włoski rząd, mając na względzie pozycję Creela i jego działalność charytatywną, oddelegował na stałe kilka policyjnych łodzi do patrolowania portu.

Mimo olbrzymich rozmiarów *Shiloh* rozwijał prędkość dwudziestu pięciu węzłów, co wystarczało, by uciec przed każdym sztormem.

Creel kupił ten jacht po okazyjnej cenie trzystu milionów dolarów. Lubił go bardziej niż wszystkie rozsiane po całym świecie rezydencje. Jako nastolatek marzył skrycie o zamustrowaniu się na statek handlowy i opłynięciu świata.

Żeby być w zgodzie z modą, miał na sobie ciemnoniebieską dwurzędową marynarkę, jasnokremowe spodnie i białą marynarską czapkę. Patrzył, jak nad spokojnymi wodami wybrzeża zbliża się do jachtu z prędkością stu węzłów helikopter. Maszyna zwolniła, zawisła nad pokładem, wreszcie usiadła na lądowisku. Ze środka wyszedł Dick Pender z twarzą osłoniętą kapeluszem z szerokim rondem i okularami przeciwsłonecznymi. Na sobie miał długi skórzany płaszcz. W ręku niósł płaską teczkę, która w podmuchach wywołanych przez wirnik śmigłowca obijała mu się co chwila o kolana.

Creel przywitał go na pokładzie rufowym i zaprowadził szerokimi wypolerowanymi schodami z drewna tekowego do dużego wyłożonego orzechowymi panelami pomieszczenia

na śródkręciu. Za oknem widać było w oddali wybrzeże Włoch, a bliżej ciemne złowrogie wody Morza Śródziemnego.

- Czy żona jest tu z panem? - zapytał Pender, zdejmując kapelusz i rzucając płaszcz na oparcie krzesła.

- Nie. Załoga była zbyt zaabsorbowana, kiedy opalała się nago na pokładzie. Odmladza się w jakimś spa w Szwajcarii.

Pender spojrział na płaski ekran telewizora wiszącego na ścianie, na którym pokazywano zdjęcia z masakry w Londynie.

- Ależ tam było zamieszanie - powiedział Pender. - Pan jest bardzo pracowitym człowiekiem.

Creel miał dostatecznie dużo informacji, żeby pogrążyć Pendera, i dlatego nie bał się go. Poza tym nikt nie wiedział, że Pender tu jest. Przyleciał w tajemnicy i w tajemnicy stąd zniknie. Tak właśnie działał Creel. Nic trudnego, kiedy jest się właścicielem prywatnej linii lotniczej.

- Przyjrzyjmy się temu.

Pender rozłożył przed nim zawartość teczek.

- Mam nadzieję, że w Phoenix Group zostały podrzucone odpowiednie materiały?

- Zgadza się.

- Mamy jakieś potwierdzenie, że policja wpadła na ich trop? - Jeszcze za wcześnie, ale trudno będzie ich nie zauważyć. To tylko kwestia czasu. Ma pan tam jakąś wtyczkę? Creel skinął głową.

- Kiedy pan do mnie zadzwonił i powiedział, co odkrył w związku z Phoenix Group, wydawało mi się to zbyt piękne, by było prawdziwe.

- Też tak myślałem - zgodził się Creel. - Ale wszystko zostało wcześniej sprawdzone, inaczej nie zająłbym się tą sprawą. A teraz opowiedz mi, jak planujesz przekazać opinii publicznej naszą następną „prawdę”.

Pender wziął do ręki kartkę papieru.

- Dla jej lepszego rozpropagowania proponuję zacząć od Internetu. Wielkie sieci telewizyjne niechętnie się do tego przyznają, ale bez przerwy przeglądają błogi, szukając tam ciekawych tematów. W ten sposób informacje staną się bardziej wiarygodne. Nikt nie będzie podejrzewał manipulacji.

Creel kiwnięciem głowy dał znak, że się zgadza.

- Pokażemy światu w ten sposób, kto jest prawdziwym właścicielem Phoenix Group, i zrobimy przeciek, który wyjaśni, co stało się w Londynie.

- Właśnie tak to chciałem rozegrać. Najpierw ujawnienie, kto kryje się za Phoenix Group, a potem wstrząsające relacje o tym, czym się firma zajmowała. Wprowadzimy też elementy polemiki.

- Zgoda, to tylko bardziej uwiarygodni nasze działania.

- Pańscy ludzie załatwili to perfekcyjnie.

- To jeszcze nie koniec - odparł Creel zagadkowo.

- Kiedy nastąpi przeciek?

- Wszystko jest gotowe. Dam sygnał do rozpoczęcia, kiedy uznam, że nadszedł właściwy czas.

- Można jej ufać?

- To nie jest kwestia zaufania.

- A co z nią się stanie, kiedy już zrobi przeciek?

- Podejmę decyzję we właściwym czasie.

- Z mojego doświadczenia... - zaczął Pender, ale Creel przerwał mu, zapalił cygaro i sięgnął po karafkę.

- Szklaneczkę porto? Porto to najodpowiedniejszy trunek przy podejmowaniu ważnych decyzji.

- Ma pan pewnie najlepszy rocznik - rzekł z uśmiechem Pender. Zawyła syrena okrętowa.

Pender wyjrzał przez iluminator akurat w chwili, gdy na pokład wciągana była ośmiometrowa szalupa z grupą podekscytowanych dzieciaków.

Pender spojrzał na Creela z podziwem.

- Urządza pan rejsy wycieczkowe na *Shiloh*, panie Creel? Dorabia pan sobie przewożeniem tej śródziemnomorskiej ciemnoskórej hałustry?

- To są włoskie dzieci z sierocińca i nic ich ta przejażdżka nie kosztuje. Zawsze kiedy tu jestem, zabieram je na pokład. Dostają dobre jedzenie, nowe ubrania, zabawki i mogą się bawić. To przecież dzieci, należy im się coś od życia, Dick.

- To bardzo szlachetne z pana strony.

- Dlatego nie zabrałem tutaj żony. Ta kobieta nie wytrzymałaby, żeby się nie rozebrać, i wcale nie przeszkadzałyby jej obecność dzieci. Dorośli to co innego. Jeśli załoga ma ochotę pożerać ją wzrokiem, to proszę bardzo, ale dzieci? To jest przerażająca strona jej osobowości. A czy wiedziałem o tym przed ślubem? Nie.

- Mała rysa na otaczającej pana aurze wszechwiedzy - zauważył Pender, nie starając się nawet ukryć uśmiechu.



- Dick, zauważyłem, że od czasu do czasu pozwalasz sobie na zbyt dużą poufałość wobec mnie.

Pender wystraszył się.

- Przepraszam, panie Creel. Nie chciałem... Creel postawił przed nim szklaneczkę porto.

- To jest naprawdę najlepszy rocznik.

Poblądły Pender poszedł w ślady gospodarza i uniósł szklaneczkę.

- Za lepszy świat - wygłosił toast Creel.

- Za lepszy świat - wymamrotał nerwowo Pender.

- Nie bądź taki ponury, Dick. Nie mówiłem tego śmiertelnie poważnie.

Słowa Creela wcale nie poprawiły Penderowi nastroju.

- Wrócę za kilka minut, tylko posadzę dzieciaki w jadalni. Potem mam zamiar zabrać je na wycieczkę łodzią podwodną.

- Ma pan łódź podwodną?!

- Ja mam wszystko, Dick. Powinieneś o tym wiedzieć.

- No tak, ale żeby zabierać włoskie sieroty do łodzi podwodnej?

- Kiedy ma się wszystko, to człowiek chce się tym podzielić - dodał poważnym tonem Creel.

Creel wyszedł na górny pokład do swoich małych gości, a tymczasem Pender zabrał się do pracy. Trudno było mu się skupić, gdyż wciąż powracała myśl o tym, jak dziwaczna jest natura ludzka, a natura bogaczy w szczególności. Przyrzekł sobie, że nigdy, przenigdy nie będzie się już spoufalzał z miliarderem. Wiedział już teraz, że może to się źle skończyć. Fakt, tylko kilku ludzi na świecie potrafiło dokonać tego, co Dick Pender. Ale prawdą było również to, że ktoś taki jak Nicolas Creel był tylko jeden.

## ROZDZIAŁ 46

Shaw powoli otworzył oczy. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była ściana i stojąca przy niej niewielka szafa. Przeniósł spojrzenie na prawo i teraz miał w polu widzenia parę długich zgrabnych nóg stojących w drzwiach.

Uśmiechnął się, choć środki przeciwbólowe przestawały już działać i miał wrażenie, jakby mu amputowano lewe ramię.

- Anna? - zapytał, próbując wyciągnąć do niej prawą rękę. Nogi zbliżyły się.

- Jestem Katie. Katie James. Pamiętasz mnie? - odpowiedziała zakłopotana.

*Boże, pomylił ją z Anną!*

Katie zatrzymała się tuż obok łóżka. Shaw powoli uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał niepewnie.

Katie zamarła. O tym nie pomyślała. Przecież była tu tylko z powodu Anny. Szybko się pozbierała.

- Zadzwoiłam na twoją komórkę i odebrała pielęgniarka. Powiedziała, że jesteś ranny, więc przyleciałam, żeby zobaczyć, co się z tobą dzieje. Ale widzę, że masz się całkiem dobrze.

- Przyleciałaś do Paryża?

- Byłam właśnie w Londynie - skłamała. - To niedaleko.

Katie przysunęła sobie krzesło, usiadła i położyła torebkę na szafce przy łóżku. Wsunęła rękę pomiędzy pręty barierki, ujęła wielką dłoń Shawa i uściśnęła. Spostrzegła, że lewe ramię ma całe obandażowane, a brzegi opatrunku przesiąkły krwią. Twarz i szyję miał mocno podrapaną.

- Chłopie, wyglądasz jakbyś się zderzył z lokomotywą, ale lekarze mówią, że wszystko będzie dobrze.

- Gdzie jest Anna? - zapytał półprzytomnie.

Zamierzała mu powiedzieć, ale nie mogła wydusić z siebie słowa. Nie potrafiła. Ta wiadomość mogła go zabić.

- Nie wiem. Nie kontaktowała się z tobą? Shaw zaprzeczył; jego spojrzenie było nieobecne.

- Prosiłem Franka. Miał się tym zająć - odpowiedział wymijająco.

Skrzywił się nagle i złapał za lewe ramię. Musiał bardzo cierpieć.

Katie w panice rozejrzała się po pokoju, znalazła przycisk i zadzwoniła po pielęgniarkę. Po chwili z kroplówki do żył Shawa zaczął się sączyć środek przeciwbólowy. Shaw zasnął.

Katie pochyliła się nad barierką łóżka i trzymając Shawa za rękę, patrzyła, jak równomiernie wznosi się i opada jego pierś.

Siedziała tak, nie czując upływu czasu. Była zmęczona po podróży i niewyspana. W końcu opadły jej powieki. Przez długi czas oboje twardo spali. Kiedy Katie wreszcie otworzyła oczy, poczuła na sobie wzrok Shawa. Puściła jego rękę i wyprostowała się na krześle.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Dlaczego przyleciałaś? - Ton jego głosu był twardy, nieustępliwy.

- Już ci mówiłam. Dowiedziałam się, że jesteś ranny. Przecież wcześniej uratowałeś mi życie. Odplacam ci za dobry uczynek - dodała nieprzekonująco i modliła się, żeby przypadkiem nie palnąć czegoś głupiego. Miała wrażenie, że jego wzrok przenika jej skórę i trafia wprost do najskrytszych zakamarków duszy, tam gdzie ona sama rzadko zaglądała. Była zupełnie zbita z tropu.

- Jesteś głodny? Może chcesz się napić? - zapytała szybko, by odwrócić jego uwagę i zająć go sprawami bardziej przyziemnymi.

- Gdzie jest Frank? Musiałaś się z nim widzieć, skoro cię tu wpuscili.

- Gdzieś się tu kręci.

Shaw próbował podnieść się z łóżka, ale Katie łagodnie zmusiła go, by leżał.

- Jesteś podłączony do mnóstwa urządzeń - ostrzegła. - Leż spokojnie, bo naprawdę zrobisz sobie krzywdę.

- Chcę się widzieć z Frankiem - powiedział z naciskiem. - Chcę wiedzieć, gdzie jest Anna!

- Pójdę i postaram się go znaleźć. - Idź!

Poczuła suchość w gardle, widząc jego oskarżycielskie spojrzenie, zupełnie jakby popełniła jakąś zbrodnię. Katie rzeczywiście tak się czuła. Okłamała go i wiedziała, że on to wyczuł.

Prawie biegiem opuściła salę.

- Nie powiedziałaś mu? - Ton głosu Franka był równie oskarżycielski jak Shawa.

- On jest ranny i przygnębiony - warknęła Katie. - To nie jest odpowiednia pora, żeby mu o tym mówić.

Frank nie wydawał się przekonany, ale nie nalegał.

- Chce się z tobą zobaczyć - powiedziała Katie.

- Pewnie, że tak, ale nie mogę mu powiedzieć tego, co chce usłyszeć.

- Więc co zrobimy?

- Na razie musi wydobrzeć. - Jak to się stało?

Frank spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Oczekujesz, że zdam ci szczegółową relację?

- Jeśli nadal będzie dla ciebie pracował, to w końcu zginie. Wiesz o tym, prawda?

- To ryzykowna profesja, ale staramy się być ostrożni.

- I właśnie dlatego twoi ludzie strzelają do niego?

Frank obrócił się i spojrzał jej w oczy. Miał zamiar coś powiedzieć, ale w tym momencie ich uszu dobiegł jakiś hałas. Katie i Frank wybiegli z pokoju i ruszyli w stronę sali Shawa. Z oddali słychać było krzyki i dźwięk przewracanego stolika. Potem trzaskanie drzwi i liczne szybkie kroki na korytarzu.

Pośród wszystkich dźwięków wyróżniał się szczególnie jeden głośny krzyk.

- To Shaw! - zawołał Frank. - Co się, do cholery, dzieje? Katie spojrzała na swoje ręce i zbladła.

- O Boże!

- Co jest? - zapytał Frank.

- Moja torebka. Zostawiłam torebkę w jego pokoju. Tam była moja komórka. Połączyłam się z Internetem. - Katie była biała jak ściana.

- Sukinsyn! - wrzasnął Frank, przyspieszając kroku. Skręcili za rogiem i stanęli jak wryci.

Na drugim końcu korytarza stał Shaw, jego piżama była cała porwana, z ramienia ciekła krew. Katie zauważyła w jego zakrwawionej dłoni telefon komórkowy.

Spojrzała na twarz Shawa i nie mogła już oderwać od niej wzroku. Było na niej wymalowane tak ogromne cierpienie, jakiego w życiu nie widziała.

- Shaw! - zawołała i pobiegła w jego kierunku. Nim znalazła się przy nim, osunął się na kolana. Objęła go ramionami, po jej twarzy płynęły łzy.

- Anno! - krzyczał w kółko - Anno! - Nawet nie zauważył, że Katie jest obok niego.

- Tak mi przykro - szepnęła mu do ucha. - Boże, tak mi strasznie przykro. Czyjeś ręce próbowały oderwać ją od Shawa. Jacyś ludzie krzyczeli do niej po francusku, ale ona nie wypuszczała go z objęć. W końcu ktoś warknął po angielsku:

- Puść go! Wykrwawi się na śmierć! Zabijesz go!

Katie puściła Shawa, odsunęła się o krok, ale cały czas obserwowała, jak personel szpitala kładł go na wózku i odwoził do sali.

Frank zerknął na Katie, pochylił się, podniósł z podłogi telefon i wcisnął jej do ręki.

- Dziękuję za nieocenioną pomoc, James! - powiedział cierpko. - Następnym razem przynieś po prostu broń i strzel mu w łeb. Tak będzie szybciej. - Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Katie odprowadziła go wzrokiem, a potem spojrzała na ekran wyświetlacza. Widniał tam nagłówek: „Masakra w Londynie”. Rzuciła telefon na podłogę, usiadła na ziemi i wybuchnęła płaczem.

## ROZDZIAŁ 47

Shaw powoli, uważając na zranione ramię, włożył luźną koszulę. Rozcięcie było tak głębokie, że chirurg musiał pozszywać strzępy skóry. Potem ręką zajął się chirurg plastyczny. Lekarze uprzedzili, że mimo wszystko pozostanie blizna, ale wcale się tym nie przejął.

- Po zdjęciu szwów spróbujemy zmniejszyć rozmiar blizny - zaoferowała się jedna z lekarek.

- Nie - odparł bez wahania Shaw. Najważniejsze, że będzie mógł w tej ręce trzymać broń.

Na szczęście ostrze piły ominęło ścięgna i nie uszkodziło nerwów.

- Gdyby ostrze wbiło się o centymetr na prawo, to pewnie byśmy teraz nie rozmawiali - powiedział lekarz.

Shaw czuł się jeszcze słabo, ale lekarze zapewniali go, że w pełni dojdzie do siebie.

- Chcę polecieć do Londynu, jeszcze dzisiaj - oznajmił Frankowi, kończąc pakowanie swoich rzeczy.

Frank usiadł na krześle z markotną miną.

- Niech zgadnę, po co.

- Jak najszybciej mogę się tam dostać?

- Pociągiem będzie szybciej niż samolotem. Będziesz w Londynie wtedy, gdy kończyłbyś dopiero odprawę na lotnisku w Paryżu.

- A prywatny samolot?

- Przykro mi, nie mam akurat żadnego wolnego.

- Więc kup mi miejscówkę na popołudniowy pociąg.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

- Kup mi miejscówkę, Frank.

- W porządku. I co potem?

- Gdzie jest Katie James? Frank wydawał się zaskoczony.

- Dlaczego pytasz?

- Chcę jej podziękować.

- Czy ty zupełnie zgłupiałeś? Po tym, co zrobiła?

- Przeleciała pół świata, żeby zobaczyć, czy ze mną wszystko w porządku. Gdzie ona jest?

- A skąd ja mam wiedzieć? Nie jestem jej aniołem stróżem. Dość mam teraz roboty z tobą.

- Mów, gdzie ona jest - nalegał Shaw.

- A może się umówimy, że to jednak ja wydaję polecenia, a tyje wykonujesz - odparł złośliwym tonem Frank.

- Od śmierci Anny to już nieaktualne. Gdzie jest Katie?

- Mówiłem ci, że...

Shaw przerwał mu w pół zdania.

- Przecież nie puściłbyś jej tak po prostu. Gdzie ona jest? - warknął.

Frank wyrzwał przez okno.

- Zatrzymała się w mieszkaniu jakiegoś znajomego przy Rue De Rivoli, niedaleko hotelu De Ville.

- Potrzebuję dokładnego adresu. Dasz mi samochód?

- A możesz prowadzić z tą uszkodzoną ręką?

- Tak, pod warunkiem że masz automatyczną skrzynię biegów.

- Posłuchaj - zaczął Frank - bardzo mi przykro z powodu Anny. Naprawdę. I możesz mi wierzyć lub nie, zamierzałem dać ci spokój po waszym ślubie. A teraz masz tyle wolnego, ile potrzebujesz.

Shaw zachmurzył się.

- Dlaczego teraz mi o tym mówisz? I dlaczego właściwie zdejmujesz mi z szyi łańcuch?

Frank podszedł do okna i odwrócił się do niego.

- Poszukam sobie do współpracy skinheadów - odpowiedział z uśmiechem.

- Dlaczego, Frank? Ty nienawidzisz mnie. Ja nienawidzę ciebie. Może to nie jest idealny układ, ale przynajmniej reguły były proste.

Frank usiadł z powrotem na krześle i wbił wzrok w ścianę.

- A jak myślisz, jak ja się znalazłem w tej organizacji?

- Powiedz.

Frank przeniósł spojrzenie na Shawa.

- Miałem taki sam wybór jak ty. I jak widzisz, wciąż w tym tkwię po uszy.

- Więc zostałeś zmuszony! A potem powtórzyłeś ten numer ze mną!

- Tak. I co z tego? A tak między nami, wciąż cię nienawidzę.

- Dzięki, Frank. A myślałem, że już nie spotka mnie w życiu nic miłego.

Frank przyglądał się swoim pulchnym dłoniom.

- Ona musiała naprawdę bardzo cię kochać. Ja nigdy w życiu nie miałem nikogo takiego.

- Ani ja. - Shaw zatrzymał się w drzwiach. - Czy ciało Anny wciąż jest w kostnicy w Londynie?

Frank niespiesznie pokiwał głową.

- Wszystkie tam są. Trwa śledztwo - dodał zupełnie niepotrzebnie.

- Anna chciałaby być pochowana w Niemczech. Pewnie jej rodzice już wszystko załatwiają. - Dziwił się, że z takim spokojem i tak racjonalnie mówi o zbliżającym się pogrzebie Anny.

Frank wyszedł za nim.

- Jedziesz teraz odwiedzić tę James? - Tak.

- Mam jechać za tobą?

- Nie. - Zatrzymał się nagle i chwycił za obolałą rękę. Frank położył mu dłoń na ramieniu.

- Przykro mi, że tak to wyszło z tymi popieprzonymi nazistami. - W jego głosie brzmiała nuta szczerości. - To się już nie powtórzy.

Kiedy wychodzili ze szpitala, Frank zadzwonił i pod drzwiami czekał już samochód. Napisał coś na skrawku papieru i wręczył go Shawowi.

- To jest adres James.

- Dzięki.

Shaw wszedł do samochodu i wystawił głowę przez boczne okno.

- Daj mi znać, co z biletem kolejowym. Frank z posępną miną pokiwał głową.

- Chcesz zobaczyć ciało Anny, tak? I nie będziesz się kręcił tam, gdzie to się stało, zgoda?

- Do zobaczenia.

- Cholera, Shaw, masz się trzymać z daleka od siedziby Phoenix Group. Zrozumiałeś?

- Zawrzyjmy umowę, Frank. Korzystną dla ciebie, więc nie powinieneś odmówić.

Chcesz usłyszeć moją propozycję?

- Sam nie wiem. - Frank patrzył na niego podejrzliwie.

- Pozwolisz mi trochę powęszyć przy Phoenix Group.

- Shaw... - zaczął Frank, ale Shaw go nie słuchał.

- Jeśli mi pozwolisz, to ja będę współpracował z tym Royce'em z MI 5.



- To chyba nie jest... Shaw przerwał mu.

- Dam ci jeszcze coś na osłodę. Ty się zgodzisz, a ja będę dla ciebie pracował do końca życia.

Frank milczał długą chwilę, wreszcie wycedził:

- A co z twoją emeryturą?

Shaw spojrział na niego wzrokiem, w którym kryła się bezradność i strach.

- A po co mi teraz emerytura, Frank? Jak? Umowa stoi?

Frank zawahał się.

- Stoi.

Frank chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Shaw ruszył już z piskiem opon.

Frank odwrócił się i ruszył ulicą w poszukiwaniu najbliższego baru. Musiał się napić.

## ROZDZIAŁ 48

Smuga światła wschodzącego słońca wślizgnęła się przez szczelinę w żaluzjach, powędrowała po podłodze i dotarła w końcu do wystającej spod kołdry nagiej łydki. Potem przemierzyła całą długość łóżka, zsunęła się z powrotem na podłogę i oświetliła leżącą tam pustą butelkę po ginie.

Demony wreszcie dopadły Katie James. Ostatnie kilka dni spędziła na takiej ostrej popijawie, że jedyną rzeczą, jaką pamiętała, był głęboki wstyd. I najgorszy w jej życiu kac. W ferworze walki z koszmarami zerwała z siebie kołdrę i leżała teraz w T-shircie z długimi rękawami i wyciągniętych szortach. Ubranie było mokre od potu. W końcu jej oddech wyrównał się, uspokoiła się, leżała bez ruchu i jedynie zaróżowiona skóra świadczyła o tym, że żyje.

Nie słyszała dzwonka do drzwi ani towarzyszącego mu pukania, nie słyszała potem głośnego walenia pięścią i wołania po imieniu. Nie słyszała otwierających się drzwi wejściowych, odgłosu kroków przemierzających niewielki salon, otwieranych drzwi do sypialni. Nie poczuła obecności drugiej osoby w pokoju, nie wiedziała, że przybysz podniósł z podłogi kołdrę i nakrył ją.

Nie obudziło jej nawet skrzypnięcie sprężyn łóżka, kiedy obcy usiadł na jego brzegu. Zawołał ją po imieniu. Bez skutku. Potrząsnął ramieniem. Żadnej reakcji.

Pomogła dopiero szklanka wody wylana na twarz.

Usiadła na łóżku, plując i przecierając oczy.

- Co jest, do... - zaczęła z wściekłością i dopiero wtedy spostrzegła siedzącego na skraju łóżka z pustą szklanką w ręce Shawa.

Zakasłała, wyrzucając z tchawicy resztki wody, które się tam przypadkiem dostały.

- Jak tu wszedłeś?

- Dzwoniłem do drzwi, waliłem pięścią, wołałem cię. To samo robiłem po wejściu do środka. Nawet nie pisnęłaś. Myślałem już, że nikogo nie ma w domu, aż w końcu zobaczyłem cię leżącą na łóżku.

Potarła pulsujące skronie.

- Ja... ja twardo spałam.

Shaw podniósł pustą butelkę po ginie.

- Nic dziwnego. - Znalazł drugą pustą butelkę, potem trzecią i czwartą.

- Mieszasz gin, bourbona i szkocką?

- Tylko kiedy jestem w Szkocji.

- Jesteśmy we Francji - rzekł, marszcząc brwi. Przesunęła dłonią po jasnych włosach i ziewnęła.

- Masz rację, w Paryżu - powiedziała nieprzytomnie. Nagle przez opary alkoholu dotarła do niej jakaś myśl. - O Boże, faktycznie. - Zerwała się w pośpiechu z łóżka. - Shaw, przepraszam. Za wszystko. Przykro mi z powodu tej głupiej komórki, przykro mi, że cię okłamałam. - Przerwała na chwilę. - I przykro mi z powodu Anny. - Spojrzała bezradnie na swoje bose stopy.

Shaw układał puste butelki na stojącej pod ścianą komodzie.

- To ja chciałem ci podziękować za to, że przyleciałaś się ze mną zobaczyć.

Katie wydawała się zaskoczona.

- Nie musisz dziękować, zwłaszcza po tym, co stało się wczoraj w szpitalu. To było wczoraj, prawda?

- Nie. Pięć dni temu. Katie była zdumiona.

- Pięć dni! Żartujesz?

Shaw spojrzał na rząd pustych butelek.

- A co ci podpowiada twoja głowa?

Spojrzała na niego, potem na butelki i usiadła ciężko na łóżku.

- Nie wypilałam ani kropli przez ostatnie sześć miesięcy, możesz w to uwierzyć?

Shaw ponownie spojrzał na butelki.

- Nie, nie mogę. Jęknęła głośno.

- Naprawdę. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Nie mogę uwierzyć, że znów zaczęłam pić.

- Zaczekam w drugim pokoju. Weź prysznic i ubierz się. Potem zjesz jakieś śniadanie.

- Ruszył w kierunku drzwi.

- Zaczekaj chwilę. Dlaczego nie jesteś w szpitalu?

- Dostyc leżenia.

- Jesteś pewien? - zapytała z powątpiewaniem.

- Dziś po południu jadę pociągiem do Londynu, ale najpierw chciałem porozmawiać z tobą o Annie.

- Co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego ktoś mógłby chcieć ją zabić. Katie spojrzała na niego zdziwiona.

- Ale przecież ja nic na ten temat nie wiem.

- Tak może ci się wydawać, ale być może widziałaś albo słyszałaś coś, kiedy ją odwiedziłaś w pracy.

- Shaw, na pewno czujesz się na siłach, żeby się tym zająć? Odwrócił się i spojrzał na nią tymi swoimi błękitnymi oczami z taką determinacją, że Katie wstrzymała oddech i zacisnęła pięści.

- Moje życie już się skończyło, Katie - odparł spokojnie - ale ten, kto to zrobił, musi umrzeć. I to szybko.

Słyszając te słowa, Katie poczuła, jak na jej ciele pojawia się gęsia skórka. W głowie zaczęło jej huczeć, a żołądek fiknął kozła.

- A teraz ubierz się, proszę.

Kiedy tylko wyszedł, pobiegła pod prysznic i zmyła z siebie pięciodniowe alkoholowe piekło.

## ROZDZIAŁ 49

Śniadanie zjedli w malej kafejce, przez której okna, za Quai De Gesvres, widać było Sekwanę. Gdyby Katie zadarła nieco wyżej głowę, zobaczyłaby wieże katedry Notre Dame. Niecały kilometr na wschód znajdował się Luwr, a odrobinę dalej na zachód Bastylia.

Kawa była mocna, bułeczki gorące, a jajecznica tak dobra, jak potrafią ją przyrządzić tylko Francuzi.

- Spotkałaś się z nią w Londynie - powiedział Shaw. - W jej biurze? W mieszkaniu?

- Spotkałyśmy się w kawiarni, potem poszłyśmy do biura.

- Czy coś cię uderzyło w wyglądzie jej gabinetu?

Katie delikatnie nabrała porcję jajecznicy na widelec i wzruszyła ramionami.

- Cała firma wyglądała zarazem zwyczajnie i niezwyczajnie. Piękny stary gmach przy spokojnej uliczce w samym centrum miasta, a w nim grupa naukowców piszących rzeczy, których nikt potem nie czytał, tak przynajmniej twierdziła Anna. - Spojrzała na Shawa. - Byłeś tam kiedyś?

Shaw skinął głową.

- Jakiś rok temu sprawdzałem księgi wieczyste, żeby się dowiedzieć, ile ten budynek jest wart. Zgadniesz?

Katie odgryzła kawałek tostu i potrząsnęła przecząco głową. Patrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Szesnaście milionów funtów. Tost o mało nie wypadł Katie z ust.

- To ponad trzydzieści milionów dolarów.

- Zgadza się. To jest cena zakupu sprzed dziesięciu lat. Teraz na pewno jest wart dużo więcej.

- Od jak dawna Anna tam pracowała?

- Od pięciu lat. Była starszym analitykiem, jednym z najlepszych w firmie.

- Nie wątpię. Opowiedziała mi ogólnikowo, czym się zajmują. A kto jest właścicielem Phoenix Group?

- Kiedyś mi mówiła. Jakiś bogaty Amerykanin z Arizony, stąd nazwa. Ale powiedziała też, że nazwa może pochodzić od mitologicznego ptaka, feniksa.

- Tego, który odradza się z popiołów - dodała Katie i zaczerwieniła się, widząc spojrzenie Shawa.

- Niezbyt trafna nazwa, prawda? - zauważył.

- Za Phoenix Group musi się kryć coś jeszcze - powiedziała szybko. - Dlatego musimy ustalić, kto lub co za nim stoi.

- Nie musimy, a muszę.

- Myślałam, że zajmiemy się tym razem.

- Źle myślałaś.

- Ja też chcę ustalić, co się stało z Anną. Shaw tylko potrząsnął głową.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

- Dlaczego miałabym ci cokolwiek mówić?

- Bo cię o to grzecznie proszę.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że zadrżała.

- No dobrze, kiedy już miałam wychodzić, zauważyłam, że na biurku leżą jej notatki.

- Co w tym dziwnego? Taka była jej praca.

- Chciałam powiedzieć, że wszystkie papiery dotyczyły tylko jednego tematu, tak zwanej czerwonej paniki.

- Zapytałaś ją o to? Czy zajmowała się tym na zlecenie Phoenix Group?

Zaprzeciła ruchem głowy.

- Anna powiedziała, że robi to ze zwykłej ciekawości. Wydaje mi się, że zajmowała się „czerwoną paniką” w wolnym czasie.

- Kiedy byliśmy w Dublinie, bardzo zainteresowała ją organizacja R.I.C. Próbowала nawet znaleźć coś na jej temat w Internecie, ale bez rezultatu.

- Wygląda na to, że ciekawość jej nie opuszczała. - Katie zamyśliła się. - Nie sądzisz, że jej pracodawca może mieć z tym coś wspólnego? Że naprawdę chcieli ustalić, kto stoi za całą tą kampanią, że im się udało i dlatego zginęli?

Shaw wyjął z portfela wizytówkę i przeczytał nazwisko. Edward Royce, MI 5. Człowiek, z którym na prośbę Franka miał prowadzić dochodzenie w sprawie „czerwonej paniki”. Royce pracował w Londynie. Shaw ani przez chwilę nie wierzył, że Phoenix Group zajmowało się kampanią i z tego powodu nastąpiła masakra. Ale Royce miał na pewno takie znajomości, że ułatwi mu dostanie się do budynku, jeśli zgodzi się z nim współpracować.

- Anna powiedziałałaby mi, gdyby Phoenix Group zajmowało się „czerwoną paniką”.

Katie oblizwała nerwowo wargi.

- Spójrz na to z innej strony. Shaw podniósł wzrok.

- To znaczy?

- Czy Anna mogła ukrywać coś przed tobą, to znaczy to, czym naprawdę się zajmuje?

- dodała szybko, widząc, jak spochmurniał. - Ty też nie byłeś wobec niej szczery. Tak mi tylko przyszło do głowy...

- Może masz rację. Zapamiętam to. Dziękuję.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Wkrótce.

Shaw poczuł wibracje palmtopa. Miał trudności z wyjęciem go z kieszeni, w końcu musiała mu pomóc Katie.

- Mam ci pomóc? - zapytała, widząc, jak męczy się, próbując jedną ręką obsłużyć urządzenie.

- Poradzę sobie - odparł, podejrzewając zapewne, że to wybieg Katie, by przeczytać jego wiadomości. Spojrzał na ekran. Miał zarezerwowany bilet w pierwszej klasie pociągu Eurostar, odjeżdżającego z Gare du Nord i kończącego bieg na dworcu Waterloo w Londynie. Zatrzyma się w Savoyu. Na szczęście Frank nie był sknerą. Luksus był przynajmniej częściową rekompensatą za wykonywanie zadań, które w każdej chwili groziły gwałtowną śmiercią.

- Może przynajmniej zadzwonisz i dasz mi znać, co ustaliłeś? Shaw zostawił na stole kilka euro zapłaty za śniadanie i wstał z krzesła.

- Przykro mi, ale nie zrobię tego.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę. Czy takie wytłumaczenie ci wystarczy?

Katie po chwili zdała sobie sprawę, że odpowiedział jej tak samo, jak ona na jego pytanie, dlaczego nie zrobiła operacji plastycznej blizny na ramieniu.

- Nie, ale chyba nie mam wyboru.

- Dziękuję za zrozumienie. A teraz wracaj do domu i zajmij się własnym życiem.

- Och tak, wspaniale! - zawołała kpiąco. - Słyszałam, że „New York Times” szuka nowego redaktora naczelnego. A może zajmę miejsce Christiny Amanpour w CNN? Zawsze chciałam przejść do telewizji. Zarobię miliony. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie zrobiłam tego już kilka lat temu.

- Uważaj na siebie, Katie. I stróż od drinków.

Wyszedł, zostawiając ją przy stole. Minęło pięć minut, a ona nie poruszyła się, tylko siedziała, patrząc bezmyślnie w pustkę, bo to jej właśnie pozostało - pustka. Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Dzwonił ktoś ze Stanów, ale nie znała tego numeru.

- Halo?

- Katie James?

- Tak.

- Tu Kevin Gallagher, redaktor „Scribe’a”. Jesteśmy nowym dziennikiem wydawanym w Stanach.

- Czytałam kilka waszych artykułów. Macie dobrych reporterów.

- W ustach dwukrotnej zdobywczyni Pulitzera to jest prawdziwy komplement. Wiem, że jest pani zajęta, ale dostałem pani numer od faceta z „Trib”. Rozumiem, że już pani u nich nie pracuje.

- Zgadza się - powiedziała Katie i szybko dodała: - Mieliśmy zbyt duże różnice zdań. Dlaczego pan dzwoni?

- Nie trzeba być geniuszem, żeby zdawać sobie sprawę, że reporter tej klasy co pani rzadko bywa wolny. Chciałbym, żeby napisała pani dla naszej gazety artykuł.

- Artykuł?

- Artykuł na jedyny temat, który ostatnio wszystkich poruszył.

- Chodzi o „czerwoną panikę”?

- Nie. Tym już się zajmuje nasz zespół. Miałem na myśli londyńską masakrę.

Serce Katie zaczęło bić szybciej.

- Katie, jest pani tam?

- Tak, tak. Jak się dogadamy?

- Pewnie nie możemy zapłacić pani tyle co „Trib”, ale zapłacimy za każdy artykuł dobrą stawkę plus pokrycie koniecznych wydatków w rozsądnych granicach. Ma pani wolną rękę, jeśli chodzi o treść. Co pani na to?

- To brzmi całkiem rozsądnie. Tak się składa, że akurat jestem w Europie.

- Cóż za zbieg okoliczności.

- Niekoniecznie.

- Wyślę pani e-mailem umowę i inne niezbędne rzeczy. Rozmawiali jeszcze kilka minut, aż wreszcie Katie się rozłączyła.

Nie mogła uwierzyć w tak niespodziewany obrót zdarzeń. Spojrzała na zegarek. Zdąży jeszcze złapać Eurostara do Londynu, odjeżdżającego o trzynastej.



# ROZDZIAŁ 50

Żółto-niebieski Eurostar ruszył ze stacji punktualnie i kiedy minął przedmieścia Paryża, rozpędził się do ponad dwustu kilometrów na godzinę. Tory były przystosowane do jazdy z dużą prędkością, dlatego pociąg pokonywał trasę gładko, jeśli nie liczyć lekkiego kołysania, które sprzyjało ucięciu sobie drzemki.

Shaw siedział w wagonie pierwszej klasy, gdzie miał zapewniony szeroki wygodny fotel i trzydaniowy obiad z winem profesjonalnie podany przez eleganckiego stewarda biegle władającego francuskim i angielskim. Shaw jednak nie jadł ani nie pił. Wyglądał tylko w zamyśleniu przez okno.

Rzadko zdarzało mu się myśleć o przeszłości, ale teraz, kiedy pociąg pędził przed siebie, zaczął o niej myśleć, może dlatego, że przed sobą nie widział żadnej przyszłości. Życie zatoczyło pełne koło. Zostawiony w sierocińcu przez kobietę, która była jego biologiczną matką, a której nie pamiętał; potem przetrzucany od jednej rodziny zastępczej do drugiej, co też nie wyszło mu na dobre; w końcu wkroczył w dorosłe życie i został samotnikiem. Nim został wbrew własnej woli włączony do ekipy Franka, przez lata uganiał się po całym świecie, wykonując polecenia innych. Nigdy nie zważał na grożące mu niebezpieczeństwo ani skutki swoich poczynań. Krzywdził ludzi i był przez nich krzywdzony. Część jego poczynań sprawiła, że świat stał się bezpieczniejszy, część zwiększyła tylko zagrożenie dla sześciu miliardów ludzi na tej planecie. Niemniej każdy jego krok był autoryzowany przez poszczególne rządy lub organizacje za tymi rządami stojące. Taki właśnie był bilans jego życia.

Aż do chwili gdy pojawiła się w nim Anna.

Nim ją poznał, wiedział, że jego życie zakończy się wtedy, gdy nie powiedzie się jedna z misji zleconych przez Franka. Pogodził się z tą myślą. Raz się żyje, raz się umiera. Jego życiem kierował wyłącznie instynkt samozachowawczy. Ale kiedy wiedzie się tylko takie niby-życie, nawet ten instynkt ulega przytępieniu. Gdy pojawiła się Anna, Shaw nagle miał po co żyć. Przygotowywał się staranniej do każdej akcji, bo chciał z niej wrócić cało. Do niej.

Potem wpadł na pomysł, żeby się wyrwać z łap Franka. Planował wspólne życie z Anną. Wydawało się, że jest już tak blisko celu. Mimo że znał Franka, wszystko wydawało się możliwe, dopóki Shaw pozostawał wśród żywych.

A teraz bezduszna ironia losu sprawiła, że znów nie ma celu w życiu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że to nie on, ale Anna może zginąć gwałtowną śmiercią.

Patrzył, jak za oknem przesuwały się zapierające dech w piersiach piękne krajobrazy. Nie urzekło go to piękno w przeszłości, nie urzekło i teraz. Jedyne piękno, jakie ujrzał w swoim życiu, spoczywało teraz w chłodni kostnicy w Londynie. To piękno żyło już tylko w jego myślach, wspomnieniach. Wspomnienia powinny ukoić jego ból, ale tak nie było. Czy z otwartymi, czy z zamkniętymi oczami, bez przerwy miał przed sobą obraz tej jedynej osoby, którą kiedykolwiek pokochał. Ten obraz pozostanie w nim na zawsze jako pokuta za nadzieję, że dane mu będzie prowadzić normalne życie. I być szczęśliwym.

Miał teraz tylko jeden cel. Zabić. Potem może zakończyć życie, tak jak je zaczął. W samotności.

Katie siedziała kilka wagonów dalej, choć wcale o tym nie wiedziała. Za oknem przewijały się malownicze krajobrazy Francji, a ona zamiast myśleć o właśnie zdobytym zajęciu, krążyła myślami wokół pogrążonego w rozpacz Shawa i tego, co zrobi po przyjeździe do Londynu. Pewnie uda mu się dzięki znajomościom dostać do siedziby Phoenix Group. Na pewno odwiedzi mieszkanie Anny. Musi tam pójść, pomyślała.

Katie tak była pogrążona w myślach, że nawet nie zauważyła, kiedy pociąg minął Calais, wjechał do tunelu i mknął teraz pod dnem kanału La Manche. Patrzyła przez okno na jaskrawo oświetlony tunel, nie myśląc o tym, że nad jej głową znajdują się miliardy ton wody.

Po dwudziestu pięciu minutach pociąg znowu znalazł się w promieniach słońca. Byli już w Anglii. Cała podróż zajmowała tylko około dwóch i pół godziny. Katie wciąż miała naładowaną baterię w laptopie i zasięg w telefonie komórkowym, tyle że nie wpadł jej do głowy nikt, do kogo by mogła zadzwonić. Po epizodzie w szpitalu w ogóle nie miała ochoty korzystać z telefonu.

Myślała też o słowach Shawa: „Moje życie się skończyło, ale ktokolwiek to zrobił Annie, musi zginąć”. Nie miała wątpliwości, że nie żartował.

Tylko co potem? Co zrobi później? A jeżeli zginie, próbując kogoś zabić? Ktoś, kto zaplanował morderstwo blisko trzydziestu osób, nie da się tak łatwo podejść.

Poza tym miała napisać artykuł. Co pomyśli Shaw, kiedy zorientuje się, że ona pisze relację z morderstwa i zarabia na życie, żerując na śmierci Anny? Z drugiej strony była przecież dziennikarką. Mimo to Shaw będzie pewnie wściekły. Bardzo wściekły.

Tak rozmyślając, dostrzegła w pewnym momencie małą butelkę czerwonego wina, którą podano do obiadu. Zatrzymała ją, kiedy steward zabierał tacę z naczyniami. Katie przyglądała jej się uważnie. Dwadzieścia minut później, kiedy Eurostar dojechał do przedmieść Londynu i z okien pociągu widać było stare zabudowania z wyjątkowo pięknymi kominami, ona wciąż nie spuszczała wzroku z butelki wina. Odkręciła nakrętkę, powąchała i wzięła jeden szybki łyk. W pierwszej chwili poczuła zadowolenie, a zaraz potem pojawiło się gwałtowne poczucie winy. Mimo to wzięła kolejny łyk. Sumienie odezwało się z tysiąckrotną siłą. Zakręciła butelkę i włożyła ją do koszyka przed sobą.

- Psiakrew!

Facet siedzący obok niej usłyszał to, spojrzał na nią, potem na butelkę i zapytał z uśmiechem:

- Kiepski rocznik?

- Kiepskie życie! - odpowiedziała, rzucając mu jadowite spojrzenie. Mężczyzna szybko wrócił do lektury gazety.

Katie zdawała sobie sprawę, że nie powinna tak postępować. Nie da sobie sama rady z alkoholizmem. Nie wolno jej rozczulać się nad sobą, choćby nie wiadomo jak było to kuszące. Kiedy w pobliżu przechodził steward, zatrzymała go i poprosiła, żeby zabrał niedokończoną butelkę.

Kilka minut później pociąg wjechał na dworzec Waterloo. Katie wysiadła i szybkim krokiem udała się na postój taksówek.

Podobnie jak Shaw, zamierzała zatrzymać się w Strand, choć nie w tak eleganckim miejscu jak Savoy. Londyn nigdy nie był tanim miastem, ale ktoś taki jak Katie, ktoś, kto przemierzył cały świat, umiał znaleźć dobrą okazję. Jeżeli jej pobyt w Londynie miał potrwać dłużej, a miała nadzieję, że tak się stanie, wystarczyło zrobić to samo co w Paryżu, czyli zainstalować się w mieszkaniu znajomej korespondentki, której i tak nigdy nie było w domu.

Zameldowała się w swoim niby-hotelu, zostawiła walizkę w pokoju i taksówką pojechała do siedziby Phoenix Group. W pewnym momencie spodziewała się spotkać Shawa. Wiedziała już, jak ma postępować.

# ROZDZIAŁ 51

W drodze do dawnego biura Anny Shaw wyjął wizytówkę i zadzwonił do agenta Edwarda Royce'a z MI 5. Mężczyzna odebrał telefon po drugim dzwonku. Shaw wyjaśnił mu, że jest właśnie w Londynie i ponownie przemyślał sprawę pomocy w śledztwie dotyczącym „czerwonej paniki”.

Royce zapytał o przyczynę zmiany zdania.

- To długa historia, nie warto jej wspominać. Z Frankiem wszystko już ustaliłem.

- Dzwonił do mnie.

- Naprawdę? I co powiedział?

- Żebym panu pomógł w miarę możliwości. Powiedział o... pańskich osobistych związkach z masakrą w Londynie.

- Załatwi mi pan wstęp do budynku?

- Cóż, może upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Odpowiada to panu?

- O czym pan mówi? - zapytał zaciekawiony Shaw.

- Przekona się pan na miejscu.

- To znaczy gdzie?

- W siedzibie Phoenix Group. Shaw zaniemówił.

- Co pan tam robi?

- Spotkamy się na miejscu - odparł krótko Royce.

Shaw odłożył telefon, usiadł wygodniej w fotelu i zaczął rozcierać obolałe ramię.

*Co tu się, do diabła, dzieje?*

Po tym jak skorzystał z telefonu Katie i dowiedział się o śmierci Anny, następne dwa dni spędzone w szpitalu były znacznie gorsze niż jakakolwiek misja, w której zdarzyło mu się uczestniczyć, gorsze od najokropniejszego koszmaru, jaki mogła mu podsunąć podświadomość. Pamiętał, że faszzerowano go bez przerwy środkami uspokajającymi po tym, jak nie wytrzymał i rzucił kimś o ścianę. Taki sposób na rozładowanie gniewu, wściekłości i żalu niewiele pomógł. Wszystkie te złe emocje narastały coraz bardziej, aż wreszcie stały się nie do zniesienia. I wtedy się załamał. Myślał, że już jest martwy. I co gorsza, marzył o tym.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny nie poruszał się ani nie odzywał. Patrzył tylko na białą szpitalną ścianę, podobnie jak to robił jako dziecko w sierocińcu, próbując

stworzyć inną, fałszywą rzeczywistość. Kiedy w końcu podniósł się z łóżka, nic się nie zmieniło, Anna wciąż nie żyła.

Teraz przy życiu podtrzymywała go tylko jedna myśl - żeby znaleźć i ukatrupić tego, kto zabił Annę. Gdyby nie wyznaczył sobie takiego celu, nic pewnie by go nie ochroniło przed zupełnym załamaniem. Mówiąc Katie, że jego życie już się skończyło, nie wpadał wcale w melodramatyczne tony. Jego życie naprawdę się skończyło.

Pozostało już tylko godnie odejść, pomściwszy Annę. Złapał taksówkę i pojechał tam, gdzie umarła.

## ROZDZIAŁ 52

Royce przywitał Shawa w drzwiach wejściowych, gdzie wciąż jeszcze były rozciągnięte policyjne taśmy. Wewnątrz tłum policjantów i techników kryminalistycznych badał każdy centymetr kwadratowy budynku w poszukiwaniu śladów. Shaw ostrożnie mijał pracujących ludzi i patrzył na plamy zaschniętej krwi i obrysy leżących wcześniej ciał.

Royce zauważył jego zabandażowane ramię.

- Co się panu stało?

- Ugryzł mnie pies. Co pan miał na myśli, mówiąc o upieczeniu dwóch pieczeni na jednym ogniu? I co pan robi tutaj, na miejscu zbrodni?

- Chcę, żeby pan to najpierw sam zobaczył.

Zaprowadził Shawa do pokoju na pierwszym piętrze, gdzie mieściło się tymczasowo biuro śledcze. Na stole stał komputer. Royce usiadł i zaczął stukać w klawiaturę.

- Mamy nagranie z kamery monitoringu zainstalowanej na ulicy. Oto co zarejestrowała w dniu morderstwa.

Shaw spojrział przez ramię Royce'a na ekran monitora. Kamera była zainstalowana na wysokim maszcie i dlatego obejmowała cały front budynku. Pod gmach zajechała furgonetka ze sterzącą na dachu anteną satelitarną. Wysiadło z niej dwóch mężczyzn.

- Mieli mundury londyńskiej drogówki - wyjaśnił Royce.

Mężczyźni wyjęli z furgonetki kilka przenośnych barierek i zagrodzili nimi ulicę i chodnik po obu stronach. W tej samej chwili zaczęła poruszać się antena na dachu furgonetki.

- Zakłócają sygnał telefonii komórkowej - domyślił się Shaw. Royce potwierdził skinieniem głowy.

- Wcześniej przecięli kable telefonii stacjonarnej.

Shaw zeszytniał, kiedy w następnej scenie zobaczył pół tuzina mężczyzn wyskakujących z furgonetki i wbiegających do budynku. Wszystko działo się tak szybko, że trudno było wyraźnie dostrzec ich ruchy. Nawet gdyby ktoś akurat wyglądał przez okno albo przechodził obok chodnikiem, mógłby niczego nie zauważyć.

- Niech pan to puści wolniej - poprosił Shaw.

Chwilę później scena rozegrała się jeszcze raz, tyle że dużo wolniej i w większym zbliżeniu. Wszyscy mężczyźni byli wysocy i dobrze zbudowani. Twarze zasłaniały im

realistycznie wyglądające maski, a broń mieli ukrytą pod połami długich płaszczy. Shaw przyglądał się uważnie każdej postaci z osobna w poszukiwaniu jakiejś cechy charakterystycznej, jakiegoś znaku, który pomógłby w identyfikacji. Niestety, bez rezultatu.

Royce, który go obserwował, pokiwał głową ze współczuciem.

- Wiem, przeglądaliśmy tę taśmę z dziesięć razy i nic nie znaleźliśmy. To byli zawodowcy. Wiedzieli, że tam jest kamera.

- Założę się, że obraz z kamery nie jest obserwowany na żywo.

- Niestety nie. Gdyby tak było, zapewniam, że policja natychmiast wkroczyłaby do akcji. O tym napastnicy też musieli wiedzieć.

- Nie powinienem nawet pytać.

- Tablice rejestracyjne i furgonetka prowadzą donikąd. Furgonetka została tydzień wcześniej skradziona ze złomowiska w Surrey; tablice zginęły z rozbitego samochodu stojącego w warsztacie w Londynie. Tylne drzwi do budynku zostały wyważone, więc z pewnością tamtędy też grupa szturmowa dostała się do środka.

- Trafił pan w samo sedno, grupa szturmowa. Od frontu, z tyłu, piętro po piętrze, pokój po pokoju. Mieli pewnie listę pracowników i dokładny plan budynku. - Shaw powiedział to wszystko bardziej do siebie niż do Royce'a. - Dobrze, proszę puścić dalej.

Shaw powtórnie zeszywniał, kiedy odłamki wybitej szyby spadły na ulicę. Zobaczył, jak w oknie pojawia się czyjaś głowa i postać zaczyna krzyżeć. Nie mógł usłyszeć tego krzyku, bo nie było dźwięku.

- To Anna!

- Tak mi się wydaje - przyznał Royce. Shaw spojrział na niego surowo.

- Jak dużo opowiedział panu Frank o niej i o mnie?

- Trochę. Wystarczająco dużo. Poza tym byłem w gabinecie pani Fischer i widziałem wasze zdjęcie. Przykro mi. Długo byliście razem?

- Za krótko.

- Naprawdę mi przykro. Mogę sobie wyobrazić, co pan czuje. - Niech pan nawet nie próbuje sobie tego wyobrażać - odparł Shaw.

Royce odchrząknął i ponownie spojrział na ekran monitora.

- Futryna okna została przypadkiem zamalowana i dlatego musiała wybić szybę.

- Przypadkiem? Jest pan pewien?

- Sprawdziliśmy firmę remontową. Są czyści. Remontują domy w okolicy od dziesięcioleci. A tandetna robota może się zdarzyć każdemu. Moje mieszkanie było odnawiane trzy lata temu, a do tej pory nie mogę otworzyć cholernego okna.

Shaw nie słuchał go. Patrzył na Annę krzyczącą w oknie, wołającą o pomoc, która nigdy nie miała nadejść. Chwilę później zobaczył, jak wdrapuje się na parapet.

- Zamierzała wyskoczyć? - zastanawiał się głośno.

- Pewnie na tę na markizę poniżej.

- Ale nie wyskoczyła - powiedział głucho Shaw. - Dlaczego?

- Muszę pana ostrzec, że następna scena będzie... Cóż, trudno będzie na to patrzeć. - Royce odwrócił się i spojrzał Shawowi w oczy. - Na pewno chce pan oglądać to dalej?

- Muszę to zobaczyć.

Kolejna scena potoczyła się szybko. Anna stała na parapecie, trzymając się oburącz futryny.

W duchu Shaw wołał do niej: skacz, skacz, aż w końcu było za późno. Dla niego to był przejmujący moment, a cóż dopiero dla niej.

W następnej scenie zobaczył, jak pocisk przeszywa jej ciało, a z piersi tryska krew i kawałki tkanki. Chwilę później kolejna porcja krwi rozbryzguje się w świeżym londyńskim powietrzu. Kiedy jej ciało wpadało z powrotem do pokoju, Shaw odwrócił wzrok.

- Możemy dokończyć innym razem - zaproponował Royce.

- Nie trzeba, wszystko w porządku.

Kilka minut później mężczyźni wyszli drzwiami frontowymi na ulicę i furgonetka odjechała.

- Nikt niczego nie widział ani nie słyszał? - zapytał Shaw. - Nikt nie zauważył krzyczącej w oknie kobiety? Przecież padały strzały, krew pochlapała ulicę!

- Budynki po obu stronach tego gmachu są przeznaczone do remontu i stały puste. Domy naprzeciwko są zamieszkane, ale lokatorzy zostali ostrzeżeni, że tego dnia będzie przeprowadzany remont instalacji gazowej na ulicy i należy opuścić mieszkania przed południem.

- Nikt się nie pofatygował, żeby zadzwonić i sprawdzić, czy to nie żart?

- Na ulotce był numer telefonu. Kilku lokatorów zadzwoniło i wszystkich zapewniono, że to prawda.

- Tyle że numer był fałszywy...

- Właśnie. Bandy ci wstrzymali ruch kołowy i pieszy. Poza tym to jest ślepa ulica. Nigdy nie było tu dużego ruchu.

- Więc Phoenix Group pozostała sama. Nieźle pomyślane - niechętnie przyznał Shaw.

- Chciałbym teraz zobaczyć gabinet Anny.

- Najpierw przedstawię pana właścicielowi Phoenix Group.



- Jest tutaj?

- Jeden z nich przyleciał, kiedy tylko się dowiedział.

- Skąd?

- Co pan wie o symbolu feniksa?

- To ptak, który odradza się z popiołów. Symbol pochodzenia egipskiego.

- Pański opis jest trafny. Ale feniks ma swoje źródła także w innych kulturach. Jest to symbol egipski, ale także arabski, japoński i... jeszcze jeden.

- Jaki? - zapytał zniecierpliwiony Shaw.

W drzwiach pojawił się niski mężczyzna. Był ubrany w ciemny garnitur. Royce wstał na jego powitanie.

- Panie Shaw, pozwoli pan, że przedstawię mu pana Feng Hai. Z Chin.

## ROZDZIAŁ 53

Kiedy Shaw znajdował się wewnątrz budynku, Katie była zajęta na zewnątrz. Dotarła na miejsce przed nim i widząc, jak nadjeżdża taksówką, ukryła się za rogiem. Machnęła od dawna nieważną legitymacją prasową przed nosem policjanta stojącego na służbie w drzwiach wejściowych i zasypała go gradem pytań, na które nie udzielił odpowiedzi.

- Proszę odejść - powiedział, a na jego mięsistej twarzy pojawiły się oznaki irytacji.

- Nie lubi pan wolnej i niezależnej prasy? - zapytała.

- Lubię, jak nie przeszkadzacie nam w wykonywaniu naszej cholerniej roboty ciągłym wtykaniem ciekawskiego nosa.

- Nie zdradzę pańskiego nazwiska. Pozostanie pan anonimowym źródłem.

- Pewnie, że pani nie zdradzi. A teraz proszę odejść!

Katie powoli ruszyła ulicą, wpatrując się w okna budynku. Shaw był w środku i zbierał informacje, a ona stała na ulicy z niczym.

*Gdyby tak znowu... jeszcze raz być na topie. Kolejny Pulitzer.*

Była tak zajęta swoimi myślami, że aż podskoczyła, kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Obróciła się błyskawicznie i zobaczyła człowieka, który ścisnął w rękę filcową czapkę i nerwowo spoglądał na boki.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała podejrzliwie.

- Pani jest dziennikarką, prawda? - Głos miał piskliwy, mówił niepewnie. Domyśliła się, że angielski nie jest jego ojczystym językiem. Był niski i przeraźliwie chudy. Miał krzywe i pożółkłe zęby. Ubranie bardziej przypominało łachmany.

- A kto pyta? - Spojrzała mu przez ramię, jakby spodziewała się tam zobaczyć kogoś jeszcze.

Mężczyzna obejrzał się na budynek Phoenix Group.

- Przychodzę codziennie, żeby popatrzeć na to miejsce. - Mimowolnie wzdrygnął się.

- To niepokojące... - Katie przyglądała mu się nieufnie. Chyba wyczuł jej zakłopotanie.

- Nazywam się Aaron Leśnik. Jestem z Krakowa. To w Polsce - dodał.

- Wiem, gdzie jest Kraków - odpowiedziała Katie. - Byłam tam. Czego pan chce?

- Widziałem, jak rozmawiała pani z policjantem. Słyszałem, jak pani mówi, że jest dziennikarką. To prawda? Naprawdę jest pani dziennikarką?

- Tak. I co z tego?

Leśnik jeszcze raz spojrzął na budynek. Kiedy odwrócił się do niej, jego oczy były pełne łez.

- Tak mi przykro z powodu tych ludzi. To byli dobrzy ludzie, a teraz nie żyją. - Wytarł oczy rękawem i spojrzął na nią żałośnie.

- Tak, to prawdziwa tragedia. A teraz przepraszam. - Katie zaczęła się zastanawiać, dlaczego wciąż przyciąga takich świrów, ale jego następne słowa kazały jej szybko o tym zapomnieć.

- Byłem tam. Tamtego dnia - rzekł ochryple Leśnik.

- Co takiego? - Katie nie dosłyszała słów mężczyzny. - Gdzie tam? Leśnik wskazał budynek.

- Tam, w środku - powtórzył udręczonym głosem.

- Tam gdzie zamordowano ludzi?

Leśnik kiwał głową jak wyznające grzechy dziecko.

- Co pan robił w tym budynku?

- Szukałem pracy. Mój angielski nie jest dobry, ale znam się na komputerach. Poszedłem tam, bo słyszałem, że szukają ludzi, którzy znają się na komputerach. Byłem umówiony. Tamtego dnia... tamtego okropnego dnia.

- Niech pan powie wprost. - Katie daremnie próbowała ukryć podekscytowanie. - Był pan na spotkaniu w sprawie pracy wtedy, gdy zaczęto mordować tych ludzi?

Leśnik skinął głową.

- Tak. - Jego oczy znów napelniły się łzami.

- Więc dlaczego pan przeżył? - zapytała podejrzliwie.

- Usłyszałem strzały. Znam odgłos wystrzałów. Byłem małym chłopcem, kiedy do Krakowa wkroczyli Sowieci. Ukryłem się.

Podejrzliwość Katie nieco zmaląła. Na Bliskim Wschodzie też musiała się nieraz chować przed uzbrojonymi ludźmi.

- Gdzie pan się ukrył? Poproszę o szczegóły.

- Na drugim piętrze jest maszyna w takim małym pokoju, używają jej do robienia kopii z dokumentów. Z tyłu ma takie drzwiczki. To szafka do przechowywania różnych rzeczy. Była pusta. Nie jestem duży. Wszedłem do środka. Zostałem tam, póki nie ustały

strzały. Potem wyszedłem. Myślałem, że mnie też zastrzelą, jak mnie znajdą. Ale nie znaleźli. Miałem szczęście.

Katie nie mogła ustać w miejscu.

- Chyba nie będziemy tu rozmawiać. Może pójdziemy gdzie indziej? Leśnik natychmiast zaczął się wycofywać.

- Nie, już dość powiedziałem. Przychodzę tu codziennie. Przychodzę, bo nie mogę się z tym pogodzić. Ci ludzie, wszyscy zginęli. Wszyscy prócz mnie. Ja też powinienem nie żyć.

- Proszę tak nie mówić. Widocznie jeszcze nie przyszła pańska pora. Sam pan powiedział, miał pan szczęście. Poza tym dobrze będzie zrzucić z barków ten ciężar - przekonywała go.

- Nie! Nie! Podszedłem do pani, bo usłyszałem, że pani jest dziennikarką. W Polsce dziennikarze są bohaterami. Stawiali czoło Sowietom. Jednym z nich był mój ojciec. Zabili go, ale jest bohaterem - dodał z dumą.

- Na pewno. Ale nie może pan milczeć. Musi pan zgłosić się na policję.

Leśnik cofnął się o kolejny krok.

- Nie! Żadnej policji. Nie lubię policji. Katie spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jest pan w Anglii nielegalnie?

Leśnik nie odpowiedział. Odwrócił tylko wzrok.

- Żadnej policji. Muszę już iść. Chwyliła go za ramię.

- Proszę zaczekać. - Katie pospiesznie myślała. - A jeśli obiecuję, że nie ujawnię źródła informacji, powie mi pan przynajmniej, co tam się stało? Obiecuję, przysięgam na Biblię, że nikomu nie zdradzę, kto mi o tym opowiedział. W końcu to pan do mnie podszedł. Przecież chciał pan, żebym jakoś panu pomogła.

Leśnik wydawał się niezdecydowany.

- Sam nie wiem, dlaczego do pani podszedłem. Obiecuję pani? Nie powie pani nikomu?

- Obiecuję. - Popatrzyła na jego udręczoną twarz, chude ciało, obdarte ubranie. Z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, jak przerażony ukrywa się w szafce pod kserokopiarką, kiedy wokół świszczą kule. - Kupię teraz panu coś do jedzenia i porozmawiamy. Jeżeli pan się nie zgadza, trudno. - Wyciągnęła do niego rękę. - Umowa stoi?

Nie podał swojej ręki.

- Jestem pewna, że pański ojciec chciałby ujawnienia prawdy. Mordercy muszą zostać ukarani.

Powoli zacisnął palce na jej dłoni.

- Dobrze, pójdę z panią.

Po drodze Katie zadała jedno pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Widział pan, kto to zrobił? - czekając na odpowiedź, wstrzymała oddech.

Pokiwał głową.

- Słyszałem ich. Dobrze ich słyszałem. Znam język, którym mówili.

- Język? Więc to byli cudzoziemcy? Leśnik zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- To byli Rosjanie.

- Jest pan pewien? Absolutnie pewien?

Po raz pierwszy na jego twarzy zagościł wyraz pewności siebie, nawet arogancji.

- Jestem Polakiem. Z Krakowa. Znam rosyjski.

## ROZDZIAŁ 54

Nazwa firmy pochodzi od chińskiego feniksa, *Feng Huang* - powiedział Feng Hai, kiedy usiedli w gabinecie. - W chińskiej mitologii feniks symbolizuje cnotę, siłę i dobrobyt. Twierdzi się także, że ptak symbolizuje moc zesłaną z nieba na cesarzową. Nazwa *Feng* oznacza męskiego feniksa.

- Feng to także pańskie nazwisko - zauważył Shaw. W przeciwieństwie do ludzi Zachodu, Chińczycy umieszczali nazwisko przed imieniem. Dlatego Hai to było imię mężczyzny.

Feng skinął głową.

- Jakie są związki Phoenix Group z Chinami? - zapytał Royce.

- To, podobnie jak wiele innych, chińska firma działająca w Londynie.

- Pańscy pracownicy byli przekonani, że właścicielem jest bogaty Amerykanin z Arizony - zauważył Shaw.

Feng wzruszył ramionami.

- To zwykłe plotki.

- A ja myślę, że to coś więcej niż tylko plotki. To była całkiem niezła przykrywka - rzekł Shaw.

Feng wpatrywał się uważnie w Shawa, tymczasem pytanie zadał Royce:

- Więc pan i pańscy wspólnicy powołaliście do życia firmę zatrudniającą grupę ekspertów, którzy mieli badać globalne problemy ludzkości? Czy tym właśnie zajmowano się w firmie?

Feng przytaknął.

- Skąd taki pomysł? - zapytał Royce.

- Szukaliśmy odpowiedzi na najbardziej skomplikowane pytania - odparł Feng. - Chińczycy też są zainteresowani rozwiązywaniem globalnych problemów. Nie jesteśmy tylko bezdusznymi trucicielami środowiska, którzy produkują dziecięce zabawki z niebezpiecznych materiałów, panowie. - Zdobył się na słaby uśmiech.

- Czy Phoenix Group zarabiała na sobie? - zapytał Shaw.

- Nie robiliśmy tego dla pieniędzy.

Shaw powiódł wzrokiem po elegancko wykończonym wnętrzu gabinetu.

- Sam budynek jest wart jakieś trzydzieści milionów funtów.

- To była dobra inwestycja. Ale jak powiedziałem, nie o pieniądze tu chodziło. My, moi wspólnicy i ja, jesteśmy biznesmenami. Zarabiamy pieniądze w innych dziedzinach. Dzięki Phoenix Group chcieliśmy zrobić coś dobrego.

- I nie ma pan pojęcia, kto mógłby chcieć zaatakować to miejsce i wymordować wszystkich pracowników? - zapytał z nieukrywanym sceptycyzmem Royce.

- Żadnego. Kiedy się o tym dowiedziałem, byłem wstrząśnięty. Ja... nie mogłem uwierzyć, że coś takiego mogło się stać. Ci ludzie tutaj to byli naukowcy, intelektualiści. Zajmowali się gospodarką wodną, globalizacją światowych gospodarek, globalnym ociepleniem będącym skutkiem używania paliw węglowych, sprawami pomocy międzynarodowej dla krajów Trzeciego Świata. Tematami czysto intelektualnymi.

- Anna Fischer napisała książkę o państwach policyjnych - zwrócił uwagę Shaw. - To nie jest temat czysto intelektualny.

- Pani Fischer była doskonałym ekspertem.

- Znał ją pan?

- Słyszałem o niej.

- Czy spotkał się pan z którymś z tutejszych pracowników? - zapytał niespodziewanie Shaw.

- Moi wspólnicy i ja woleliśmy stać na uboczu. Ale otrzymywaliśmy regularne raporty.

- Nie wątpię - mruknął do siebie Shaw.

- Znaleźliście panowie jakieś ślady, które mogą doprowadzić do sprawców tej zbrodni? - zapytał zniecierpliwiony Feng.

Royce potrząsnął głową.

- Żadnych odcisków palców, żadnych łusek, żadnych śladów. - Nie wspomniał o nagraniu z kamery.

- To nie nastraja optymistycznie.

- Ale za to znaleźliśmy coś bardzo ciekawego, panie Feng - powiedział Royce. - Ze chce pan na to spojrzeć? To naprawdę rewelacja.

# ROZDZIAŁ 55

Aaron Leśnik pochłonął w pośpiechu kanapkę i dużymi łykami wypił kawę. Katie współczuła mu, ale przy stole zachowywał się okropnie. Musi być przerażony, pomyślała. Przerażony, splukany, głodny nielegalny imigrant.

Leśnik otarł usta i cicho westchnął. Zauważył, że Katie go obserwuje, i zmieszał się.

- Dziękuję za jedzenie.

- Nie ma za co. Mogę użyć tego? - Wyjęła z torebki dyktafon.

- Nie. Powiem pani, ale nie chcę, żeby ktoś słyszał mój głos. - Rozejrzał się nerwowo wokół siebie. - Boję się.

Odłożyła dyktafon.

- Dobrze, będę robić notatki. Odprężył się i usiadł wygodniej.

- Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co pan widział i słyszał. Cała opowieść zajęła Leśnikowi tylko kilka minut. W sprawie pracy spotkał się na drugim piętrze ze starszym mężczyzną, Billem Harrisem.

- Jak to się stało, że pan nie zginął? - zapytała Katie.

- Kiedy opuściłem jego gabinet, poszedłem do łazienki - wyjaśnił Leśnik. Gdy wracał, usłyszał strzały i krzyki. Wpadł do jakiegoś pustego pokoju, zobaczył kopiarzkę i schował się w szafce pod nią. Padało coraz więcej strzałów, ludzie krzyczeli. Słyszał tupot nóg na korytarzu. Myślał, że go zaraz znajdą. Powiedział Katie, że był już przygotowany na śmierć. Kilkakrotnie przerywał swoją opowieść, żeby się napić wody i nieco uspokoić. Katie wszystko skrupulatnie zapisywała.

- Co się stało potem?

- Myślałem, że już sobie wszyscy poszli, to znaczy ci, którzy strzelali. Ale potem coś usłyszałem.

- Co pan słyszał?

- Rozmowę dwóch mężczyzn. Weszli do pokoju, w którym się ukrywałem. Rozmawiali po rosyjsku.

- Co mówili?

- Mówili, że mają listę i wszyscy z tej listy nie żyją.

- Czyli wiedzieli, kto pracuje w budynku?



- Myślę, że tak.

- Co jeszcze mówili?

- Mówili jeszcze o kimś, kto miał przyjść do tego budynku, ale nie znali jego nazwiska.

Katie szybko się domyśliła.

- Oni mówili o panu! Leśnik pokiwał głową.

- Też tak myślę. Podejrzywałem, że przeszukają budynek jeszcze raz i w końcu mnie znajdą. Znalazłem się w pułapce. Wiedziałem, że teraz już na pewno zginę. - Po twarzy pociekły mu łzy.

Katie naląła mu kawy.

- Dlaczego w takim razie pana nie znaleźli?

- Jeden z nich powiedział, że muszą już iść. W jednym z pokoi jakaś kobieta wybiła szybę w oknie i wołała o pomoc. Bali się, że zaraz zjawi się policja.

- I rzeczywiście wyszli?

- Tak, ale idąc, wciąż ze sobą rozmawiali. Jeden z nich powiedział, że Gorszkow będzie zadowolony, kiedy usłyszy, że misja się powiodła.

Katie z wrażenia o mało nie zrobiła długopisem dziury w kartce papieru.

- Gorszkow? Rosyjski prezydent Gorszkow? Leśnik ponownie skinął głową.

- Kiedy usłyszałem to nazwisko, bardzo się przestraszyłem. Wszyscy wiedzą, że Gorszkow, podobnie jak Putin, pracował kiedyś w KGB. Ma w nosie demokrację. Wszyscy w Polsce o tym wiedzą.

- Dlaczego Gorszkow miałby obrać sobie za cel grupę ekspertów z Londynu? - zastanawiała się Katie.

- Nie wiem.

- Jak się pan stamtąd wydostał?

- Czekałem, aż ci mężczyźni wyjdą. Usłyszałem zamykanie drzwi, dla pewności jeszcze chwilę odczekałem. Potem wyszedłem tylnymi drzwiami. Tymi samymi, którymi wszedłem.

- Dlaczego nie frontowymi?

- Tak kazał mi zrobić ten człowiek, z którym rozmawiałem, pan Harris. - Jego twarz spochmurniała. - A nie wyszedłem drzwiami frontowymi, ponieważ... ponieważ tam leżały dwa ciała. Starszy mężczyzna i młoda kobieta. Strzelili im prosto w twarz. - Wskazał palcem swoje prawe oko. - Nie mogłem obok nich przejść. Wszedłem tylnymi drzwiami. Potem biegłem. Biegłem aż do miejsca, gdzie mieszkam.

- I nie powiedział pan o tym nikomu? Leśnik potrząsnął przecząco głową.

- Gdybym powiedział, ci ludzie mogliby mnie zastrzelić. Poszedłem tam, żeby znaleźć pracę. Nie chcę umierać.

- W porządku, już dobrze. - Katie położyła uspokajająco dłoń na jego szczupłym ramieniu.

- Pani napisze artykuł, tak? Ale nie poda pani mojego nazwiska?

- Upewniał się.

- Obiecałam przecież. Gdzie mogę pana znaleźć, jeśli będę miała jeszcze jakieś pytania?

- Mieszkam w małym hoteliku nad rzeką. - Zapisał jej na serwetce adres. - Tylko na to mnie stać.

Katie spojrzała jeszcze raz na jego zniszczone ubranie i wychudzone ciało. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej kilka funtów.

- To niewiele, ale spróbuję zdobyć więcej.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Leśnik wstał od stołu.

- Ma pan może telefon? Uśmiechnął się ze znużeniem.

- Nie mam telefonu. Mieszkam w tanim hotelu. Powodzenia. Kiedy zniknął, Katie oparła się ciężko o krzesło.

- I co ja mam teraz zrobić? - Nie do końca była przekonana, że wszystko, co usłyszała, jest prawdą. Polak mówiący jako tako po angielsku podchodzi do niej na ulicy. Do niej! I zaczyna zdawać jej relację, na którą czeka cały świat. Relację z wydarzeń, którymi miała się właśnie zająć. Nikt nie mógł mieć aż takiego szczęścia, a już na pewno nie ona.

Z drugiej strony, jeśli wziąć pod uwagę to wszystko, o czym wiedziała już wcześniej, jego opowieść brzmi wiarygodnie. Podał sporo szczegółów, które Katie musi teraz zweryfikować. Wydawał się autentycznie przerażony, a jeśli mówił prawdę, to miał ku temu powody. Zresztą dlaczego miałby kłamać? A jeśli był wariatem czekającym na swoje pięć minut sławy? Nie chciał jednak, żeby ujawniono jego nazwisko, więc nie szukał sławy. Był naprawdę przerażony. A jeśli mówił prawdę?

Katie poderwała się z miejsca i pobiegła z powrotem do siedziby Phoenix Group. Był tylko jeden człowiek, który mógł potwierdzić opowieść Polaka - Shaw. Nie cieszyła jej perspektywa spotkania z Shawem, ale dziennikarska pasja kazała jej teraz za wszelką cenę wykonać najważniejsze zadanie - dojść prawdy.

## ROZDZIAŁ 56

Na stole leżały starannie poukładane przedmioty. Obok stał komputer. Royce pokazywał coś na ekranie Shawowi i Fengowi. Feng siedział na krześle z mocno zaskoczoną miną, a tymczasem Shaw przeglądał leżące obok dokumenty.

- Więc twierdzi pan, że nic o tym nie wiedział? - W głosie Royce'a słychać było wyraźnie niedowierzenie.

Feng potrząsnął głową.

- Zgadza się. Nie miałem o tym pojęcia.

- Panie Feng, powiem wprost. W całym budynku jest porzucanych pełno dokumentów świadczących o tym, że Phoenix Group uczestniczyła w kampanii propagandowej wymierzonej w Rosję. Na wszystkich tych papierach są odciski palców pańskich pracowników. Na twardej dyskach komputerów znajdują się tysiące plików dotyczących „czerwonej paniki” i Konstantina. Jest tam też lista ponad trzydziestu tysięcy Rosjan; to te same nazwiska, które od dawna krążą w sieci, nazwiska potencjalnych ofiar rosyjskich władz.

- Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło - wyjąkał Feng.

- Nie nadzoruje pan prowadzonych tutaj prac?

- Pozwalamy naszym ludziom prowadzić badania w takim zakresie, jaki im najbardziej odpowiada - obruszył się Feng. - Nasz wpływ jest minimalny. Nigdy wcześniej nawet nie byłem w tym gmachu.

- Cóż, wszystko wskazuje na to, że badania pańskich pracowników nieco wymknęły się spod kontroli. Czy zdaje pan sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy?

Feng spojrzał na Royce'a pytająco.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi?

- Czy łączy pana coś z chińskim rządem?

- Nie bardzo rozumiem, co to ma do...

Shaw przerwał mu.

- Gorszkow zapowiedział, że ten, kto rozpoczął tę kampanię oszczerstw, będzie przez Rosję uważany za stronę, która wypowiedziała wojnę. Jeżeli coś pana łączy z chińskimi

władzami, to być może właśnie rozpoczyna pan wojnę pomiędzy Chińską Republiką Ludową a Federacją Rosyjską.

- To niedorzeczne! - Feng zerwał się gwałtownie z krzesła.

- Dla reszty świata nie będzie to niedorzeczne! - wykrzyknął Royce, a po chwili Shaw dodał nieco łagodniejszym tonem:

- Czy coś pana łączy z chińskim rządem? Lepiej będzie, jeśli dowiemy się o tym teraz.

Feng zmieszał się i usiadł z powrotem na krześle.

- Można by to tak rozumieć... to znaczy... niektórzy mogą uważać, że...

Shaw pochylił się nisko nad Fengiem.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie ma pan innego wyboru, jak tylko powiedzieć nam prawdę.

Feng oblizwał wargi i nerwowo bawił się obrączką na palcu.

- Część naszych prac jest finansowana przez rząd. Moi wspólnicy i ja współpracowaliśmy z partią komunistyczną dla dobra rozwoju ekonomicznego Chin i innych krajów. Phoenix Group powstała tylko po to, by lepiej zrozumieć globalne problemy i pomóc Chinom w odgrywaniu znaczącej roli w świecie. Nie ulega wątpliwości, że w pewnym momencie nasza gospodarka stanie się największą światową potęgą. Niesie to ze sobą odpowiedzialność, którą my traktujemy bardzo poważnie. I dlatego chcemy wiedzieć jak najwięcej o najważniejszych problemach tego świata. Utworzenie zespołu ekspertów wydawało nam się zupełnie rozsądnym rozwiązaniem.

- Dlaczego w takim razie ukrywaliście swoje powiązania z chińskim rządem za fasadą jakiegoś milionera z Arizony? - warknął Shaw.

- W wielu zakątkach świata nasze intencje bywają źle zrozumiane.

- Zerknął na agenta MI 5. - W pańskim kraju również, panie Royce. Chcieliśmy uniknąć powtarzających się nieporozumień i wątpliwości, które mogłyby zdyskredytować naprawdę ważne badania, jakie przeprowadzała Phoenix Group.

- Czy ktokolwiek z pracujących tu ludzi wiedział o tych związkach?

- zapytał Royce.

Shaw już znał odpowiedź na to pytanie. Anna powiedziała mu przecież.

- Nie - odparł Feng. - Uznaliśmy, że nie ma to żadnego znaczenia dla prowadzonych przez nich prac. Jakie mogło mieć znaczenie, dla kogo pracują, skoro cel był szlachetny?

- Jest pan członkiem partii komunistycznej? - zapytał Royce.

- Nie widzę związku...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Musicie panowie zrozumieć, że...
- Jest pan czy nie?! - ryknął Royce.
- Tak, jestem, podobnie jak wielu obywateli Chin - odpowiedział niechętnie Feng.  
Agent MI 5 podniósł gwałtownie rękę.
- No, nie! Wpadliśmy w gówno po same uszy!
- Panowie, to niedorzeczne - zaczął tłumaczyć się pobladły Feng.
- Phoenix Group nie miał nic wspólnego z kampanią „czerwonej paniki”. To zupełnie absurd.
- Sam pan mówił, że jest tu po raz pierwszy, więc skąd może pan, do cholery, to wiedzieć? - odparł Royce.
- Dlaczego mieliby to robić? - wyjęczał Feng.
- Ilu pan ma współników?
- Czterech.
- Może ich trzeba zapytać - zasugerował Royce i spojrzał na Shawa.
- Na razie wszystko pozostaje między nami. Jeżeli nastąpi jakiś przeciek, trudno mi nawet wyobrazić sobie konsekwencje, jakie spadną na pański kraj, panie Feng.
- Chyba pan nie wierzy w to, że Rosja nas zaatakuje.
- Gorszkow postawił wszystko na jedną kartę. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zapytać rząd Afganistanu.
- Kto jeszcze wie? - zapytał Shaw.
- Kilka osób z zespołu kryminalistycznego. Kiedy zaczynało się śledztwo, nikt nie przypuszczał, co tu znajdziemy. Kiedy technicy zobaczyli, z czym mają do czynienia, natychmiast mnie wezwali i odcięli dostęp postronnym osobom.
- Dziwię się, że mnie pan tu wpuścił - powiedział otwarcie Shaw.
- Frank przysięgał, że jest pan absolutnie najlepszy. Pomyślałem zatem, że mogę polegać na pańskiej dyskrecji, a pańska pomoc jest mi bardzo potrzebna.
- Dziękuję.
- Poproszę o pański paszport - Royce zwrócił się do Fenga. Feng pociemniał na twarzy.
- Pan nie ma prawa...
- Proszę mi go dać. - Royce wyciągnął rękę.
- Nie popełniłem żadnego przestępstwa.
- To się dopiero okaże.
- Chce pan wywołać incydent międzynarodowy?

- Jeden więcej, jeden mniej - odparł Royce.

- Chcę pojechać do chińskiej ambasady. Natychmiast.

- Najpierw paszport, a potem zobaczę, czy mogę pana podzucić. - Mówiąc to, Royce uśmiechnął się lekko.

Feng powolnym ruchem oddał swój paszport.

- To jest skandal!

- Oczywiście - zgodził się Royce. - Wszystko, co tu odkryliśmy, jest ednym wielkim skandalem.

Kiedy Feng wychodził w towarzystwie Royce'a, Shaw rzucił:

- Idę do gabinetu Anny.

- Shaw, my tylko zabraliśmy stamtąd zwłoki. To nie jest dobry...

- Wiem o tym.

## ROZDZIAŁ 57

Shaw wbiegł po schodach, a potem ruszył pokrytym wykładziną korytarzem. Drzwi po lewej stronie były szeroko otwarte. Zamknął na chwilę oczy, próbując skoncentrować się na zadaniu, które miał do wykonania - znalezieniu śladu mogącego doprowadzić go do zabójców Anny.

Wszedł do pokoju i poczuł przejmujący chłód. Omiatał wzrokiem niewielkie pomieszczenie, jego spojrzenie wędrowało po książkach, starym biurku, krześle, na którym siadywał, gdy odwiedzał Annę, leżącym pośrodku pokoju orientalnym dywanie. Na oparciu krzesła wciąż wisiał jej sweter. Wziął go do ręki, a gdy poczuł jej zapach, jego zimny profesjonalizm legł w gruzach. Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy spojrzał na półkę nad biurkiem, na której stały ich fotografie. Szerokie radosne uśmiechy zdawały się przytłaczać go jak ziarno w silosie, które choć lekkie, w całej swej masie waży tony.

Kiedy spojrzał na podłogę i ujrzał krew, która wsiąkła w drewnianą podłogę, musiał usiąść. W tej ciemnej plamie zobaczył w jednej chwili swoją przeszłość, teraźniejszość, a nawet ponurą, samotną przyszłość. Kiedy raz oddało się komuś serce, już nigdy nie będzie się wolnym.

Wybite okno zostało zaklejone taśmą. Mimo to podszedł i zaczął mu się uważnie przyglądać. Zdawał sobie sprawę, że jeśli się teraz załamie, nie zdoła pomścić śmierci Anny. Spostrzegł rysy, jakie Anna wydrapała paznokciami w futrynie, desperacko próbując otworzyć okno. Od skoku musiały ją dzielić sekundy. Odwrócił się i zauważył w drzwiach dwa otwory po kulach. Doświadczonym okiem obliczył trajektorię. Faktycznie, pociski mogły ją trafić na wysokości piersi, tak jak to było widać na filmie. Ale skoro drzwi były zamknięte, strzelec nie mógł wiedzieć, że Anna będzie próbowała wyskoczyć przez okno.

Ślepy traf, pomyślał z goryczą.

Upadła na plecy w pokoju. Przyklęknął i spojrzał na plamy krwi. Z zewnątrz dochodziły normalne odgłosy wielkiego miasta. Tymczasem tutaj panowała śmiertelna cisza, choć czasem śmierć potrafi głośno przemawiać.

*Powiedz mi, Anno. Powiedz mi, co się tutaj stało.*

Przyjrzał się uważniej i wydawało mu się, że widzi nikły ślad odcisku buta. Był zbyt mały, by mógł posłużyć do identyfikacji, i pewnie dlatego Royce w ogóle mu o nim nie

wspomniał. Podeszedł do biurka i usiadł. Komputer został zabrany do ekspertyzy przez ludzi Royce'a, ale na biurku wciąż leżały rzeczy, którymi zajmowała się Anna. Jedyna różnica polegała na tym, że każdy przedmiot, każda kartka znajdowały się teraz w torebce foliowej.

Shaw wziął do ręki stos dokumentów. Przez plastik widział na marginesach zadrukowanych stron staranne pismo Anny. Nieraz żartował z niej, że bez przerwy bazgroli swoje komentarze na marginesach wszystkich książek, jakie jej wpadną w ręce. Odłożył papiery i sięgnął po kolejną stertę.

Te dokumenty świadczyły o tym, że Anna zajmowała się analizą kampanii propagandowej „czerwona panika”. Choć przypuszczalnie na wszystkich papierach były jej odciski palców, Shaw nie mógł uwierzyć, by pomagała nagłaśniać propagandowe hasła. Jego wątpliwości budził też fakt, że na tych papierach nie było żadnych dopisków sporządzonych jej ręką. Każdy, kto znał dobrze Annę, zwróciłby na to uwagę. Z drugiej strony Shaw zdawał sobie sprawę, że to nie jest żaden dowód.

*Musieli odcisnąć ich ślady palców, kiedy wszyscy byli już martwi. Ktokolwiek to zrobił, był zimnym, bezdusznym bydlakiem. Zabicie takiego drania będzie czystą przyjemnością.*

Shaw podejrzewał też, że do komputerów pracowników Phoenix Group skopiowano podejrzane pliki. Gdyby im się dokładnie przyjrzeć, mogłoby okazać się, że zostały skopiowane do komputerów w dniu masakry, chyba że robił to prawdziwy fachowiec, który zatarł za sobą wszystkie ślady.

Shaw nie zamierzał na razie dzielić się swoimi wątpliwościami z Royce'em, nie wiedział bowiem, jaki obrót przybierze śledztwo. Choć zgodził się współpracować z Royce'em, to zdawał sobie sprawę, że w pewnych punktach ich cele będą różne. Royce chciał aresztować sprawców. Shaw chciał ich zabić.

Feng przyznał, że Phoenix Group była powiązana z chińskim rządem. Czy w takim razie ktoś próbował wykazać, że za kampanią „czerwona panika” stoją Chiny? Ale kto i w jakim celu miałby to robić? Rosja kontra Chiny? Komu mógł przyjść do głowy taki szalony pomysł?

W samym centrum tego wszystkiego znalazła się Anna. Ale dlaczego wybrali właśnie Phoenix Group? Czy powiązania tej firmy z chińskim rządem to zwykły zbieg okoliczności? Nie, niemożliwe.

Napastnicy na pewno wiedzieli o powiązaniach, a zdobycie takich informacji musiało ich kosztować sporo zachodu. Przecież na całym świecie dziesiątki tysięcy firm miało coś wspólnego z Chinami. Dlaczego akurat Phoenix Group? Dlaczego Anna?



Podszedł do półki i wziął do ręki jedną z fotografii. Zdjęcie zostało zrobione tego wieczoru, kiedy się oświadczył. Anna poprosiła kelnera o zrobienie zdjęcia i na pierwszy plan wysunęła dłoń z pierścionkiem zaręczynowym. Jej uśmiech, tak promienny na myśl o wspólnej przyszłości, sprawił, że Shaw zapomniał teraz o bólu ramienia. Czym bowiem jest ból fizyczny w obliczu cierpienia duszy?

Nagle zdał sobie sprawę, że nie może w tym pomieszczeniu spędzić ani minuty dłużej. Zbiegł po schodach i otworzył gwałtownie drzwi wyjściowe. Klatkę piersiową przygniatał mu niewiarygodny ciężar, nie mógł oddychać. Oczami wyobraźni widział, jak Anna pada na podłogę, jak jej zabójca stoi nad nią, a tymczasem on jest daleko i nie może nic zrobić.

Minął stojącego w drzwiach policjanta i wypadł na ulicę, taranując i przewracając na chodnik jakiegoś człowieka.

Pochylił się, by pomóc wstać i już zamierzał głośno przeprosić, kiedy nagle zaniemówił.

- Katie powoli podniosła się z chodnika. - Musimy porozmawiać. Natychmiast.

## ROZDZIAŁ 58

Ten dzień był bardzo pracowity, nawet dla Nicolasa Creela. Przyleciał swoim odrzutowcem z Włoch do Nowego Jorku, a potem udał się do Houston, skąd zabrał na pokład kilku członków zarządu swojej firmy. Podczas lotu omawiali ostatnie szczegóły mającej się wkrótce odbyć w Pekinie olbrzymiej prezentacji dorobku firmy.

Creel siedział teraz w saloniku i patrzył na zdjęcie, które wraz z kilkoma informacjami dopiero co otrzymał. Człowiek na zdjęciu nazywał się Shaw i zajmował się masakrą w siedzibie Phoenix Group. Miał powiązania z pewną supertajną międzynarodową agencją zajmującą się utrzymywaniem porządku prawnego, choć, jak poinformowano Creela, sama agencja często wykraczała w swoich działaniach poza granice prawa. Shaw był jej jednym z najlepszych agentów operacyjnych, a poza tym miał osobiste powody, by rozwikłać zagadkę masakry. To było kłopotliwe. Jeszcze bardziej rozżłościł Creela e-mail, który przed chwilą otrzymał od Caesara. Jego ludzie obserwowali oczywiście budynek Phoenix Group i właśnie donieśli, że widzieli idących razem Shawa i Katie James. Creel polecił Caesarowi ich śledzić. Nie życzył sobie, żeby Shaw wmieszał się w jego plan, w którym pewną rolę miała odegrać James.

Wrócił do sali konferencyjnej na pokładzie odrzutowca, gdzie jego dyrektorzy uzgadniali ostatnie szczegóły prezentacji, która powinna doprowadzić do podpisania największego w historii Chin kontraktu na dostawę broni. Tylko Creel wiedział, że to będzie dopiero pierwszy krok. Kiedy świat pozna więcej szczegółów o wydarzeniach w Londynie, Chińczycy zrozumieją, w jak niebezpiecznym znaleźli się położeniu. Okaze się, że Azjatycki Smok jest głównym celem dla Rosyjskiego Niedźwiedzia. A wtedy, by ustrzec się przed szalonym Gorszkowem, komuniści potroją swoje zamówienia na broń. Przy odrobinie szczęścia zwiążą się z firmą Ares Corp. co najmniej na dwadzieścia lat.

Większości biznesmenów taka perspektywa w zupełności by wystarczała. Ale nie Nicolasowi Creelowi. Kontrakt z Chinami był tylko częścią większej całości.

Creel nadal będzie odwiedzał Moskwę. Spodziewał się, że Rosjanie będą mieli opory przed zakupem najnowocześniejszych zdobyczy techniki wojskowej. Jeszcze nie widzieli potrzeby. Podobnie jak reszta świata, oddali pole Amerykanom, którzy prześcignęli wszystkich w wydatkach na zbrojenia. Creel był jednym z niewielu, jeżeli nie jedynym, który

uważał, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie. Imperia powstają i upadają. Amerykanie byli na szczycie już bardzo długo. Czas, by ktoś ich wyprzedził. Czy to będą Rosjanie, czy Chińczycy, czy jedni i drudzy razem, dla Creela nie miało to większego znaczenia. Dla niego ważne było tylko to, by to on uzbroił nowe supermocarstwo.

Nie mógł powiedzieć wprost Gorszkowowi czy chińskiemu ministrowi obrony, że napięcie pomiędzy obydwojoma krajami będzie się zwiększać. Wybrał więc inną taktykę. I jeden, i drugi kraj usłyszy od niego zapewnienie, że oto nadszedł jego czas. Ze trzeba wykorzystać okazję, bo może się nie powtórzyć.

Dał swoim podwładnym jeszcze trochę czasu na omówienie szczegółów. Niedługo wybierze się w podróż, żeby wyjaśnić obu krajom, o jaką stawkę toczy się gra. A chodziło o biliony dolarów dla firmy Ares, bo jeżeli Rosja i Chiny zaczną się na potęgę zbroić, to samo uczynią wszystkie inne kraje. Dotyczyło to także Ameryki, której pozycja lidera zostanie zagrożona.

Creel szybko przeliczył w pamięci. Dług publiczny to około dziesięciu bilionów dolarów, nie licząc szachrajstw z ubezpieczeniami społecznymi. Same odsetki od zadłużenia na kartach kredytowych to ponad trzysta miliardów dolarów rocznie. Dodając do tego siedemset miliardów wydawanych co roku na obronność, otrzymujemy równy bilion dolarów rocznie, czyli jedną trzecią całego budżetu kraju. Ubezpieczenie społeczne, emerytalne i zdrowotne kosztuje łącznie bilion dolarów. Opieka społeczna i wydatki na zwalczanie bezrobocia to około czterystu miliardów. Na całą resztę pozostaje marne kilkaset miliardów dolarów. To dlatego Amerykanie bez przerwy nadstawiali pusty kapelusz, zebrząc u takich państw jak Chiny, Japonia czy Arabia Saudyjska o sfinansowanie ich wydatków. I choć Amerykanie cieszyli się zasłużoną dobrą opinią, jeśli chodzi o swoją pomysłowość i prężność gospodarki, to taki doświadczony biznesmen jak Creel wiedział, że dolar nie kłamie.

*Jeżeli nie nastąpi zdecydowany przełom, za trzydzieści lat, a może mniej, Ameryka będzie skończona. To dlatego inwestuję w euro i w jenach i staram się rozszerzyć grono swoich klientów, nie zadowolając się tylko interesami z ojczyzną wolności i męstwa. Nikt, kto jest zadłużony po uszy, nie może czuć się wolny. Ameryka żyje chwilą obecną, ale przyszłe pokolenia dostaną rachunek do wyrównania.*

Było oczywiste, że kilka innych dużych firm zbrojeniowych też uszczknie coś z tego tortu, ale przedsiębiorstwo Creela powinno zgarnąć największy kawałek. Ta transakcja będzie ukoronowaniem jego życia. Firma zostanie uratowana, spuścizna zabezpieczona. A co najważniejsze, znów zapanuje w świecie naturalna równowaga sił.

Tylko tyle zamierzał osiągnąć. Tylko tyle i aż tyle.

Wrócił myślami do fotografii przesłanej przez Caesara. Nie spodobały mu się oczy tamtego wysokiego mężczyzny. Nieraz zdobył fortunę, prawidłowo odczytując intencje przeciwnika z jego pokerowego spojrzenia. Wzrok mężczyzny ze zdjęcia za bardzo przypominał mu jego własny. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze wiszącym na ścianie. *Ten człowiek przypomina mnie.*

Creel usiadł i w milczeniu przysłuchiwał się dyskusji podwładnych, a samolot z zawrotną prędkością kierował się do miejsca, gdzie kolejnemu zadowolonemu klientowi sprzedadzą pokój i bezpieczeństwo zagwarantowane lufami czołgów.

Znów zaczął rozmyślać o fotografii i oczach tego mężczyzny. To był tylko jeden człowiek. Ale czasem wystarczy jednostka, żeby wszystkie plany diabli wzięli.

Creel nie może do tego dopuścić. Nie obawiał się niczego prócz niepewności. Właśnie dlatego zatrudnił Pendera, on sprawił, że świat uwierzył w to, w co, zdaniem Creela, powinien wierzyć. I właśnie dlatego każde państwo miało na swoich usługach takich ludzi jak Pender. To była często wojna pozycyjna. Tworzyło się sztuczną rzeczywistość, a prawdę ukrywało tak głęboko, że nikt nie mógł się do niej dokopać. Właściwie wszyscy już się z tym oswoili, nikt nie miał czasu dociekać prawdy. Trzeba było przecież płacić rachunki, robić zakupy, niańczyć dzieci i oglądać mecze. Kto miałby czas na cokolwiek innego? A jednak czasem znajdował się ktoś, kto docierał do sedna sprawy.

Ale nie tym razem.

## ROZDZIAŁ 59

- Zabierz mnie ze sobą, chcę zobaczyć tego faceta - odezwał się Shaw do Katie, kiedy siedzieli w jego pokoju w Savoyu. Skończyła właśnie swoją opowieść o spotkaniu z Polakiem.

- Nie mogę - odparła. - Obiecałam.

- Nie obchodzi mnie, co obiecałaś. On jest kluczowym świadkiem w sprawie o morderstwo.

Katie spojrzała na znajdujący się za oknem Big Ben, wieże parlamentu i olbrzymie koło London Eye.

- Myślisz, że nie wiem?

- Okay, powiedz mi w takim razie, jak on się nazywa.

- A może jeszcze mam ci dać jego zdjęcie i adres e-mailowy?

- Ja nie żartuję. Zginęli ludzie. Katie obróciła się.

- Przestań pieprzyć. Ja zarabiam dziennikarstwem na życie. Słyszałeś kiedyś zdanie „ochrona źródła informacji”? Dziennikarze używają go codziennie. Niektórzy nawet trafiają za to do więzienia. Mnie zresztą kiedyś też się to przytrafiło, więc nie próbuj budzić we mnie poczucia winy.

Shaw spuścił głowę i Katie zorientowała się, że posunęła się za daleko. Usiadła naprzeciw niego i powiedziała łagodnie:

- Słuchaj, nie ma na całym świecie nikogo, komu bardziej zależy na odnalezieniu morderców Anny niż tobie. Ja też tego chcę. Ale mam swoją robotę. Mam napisać na ten temat artykuł i dlatego muszę postępować jak profesjonalistka.

- Zdradziłaś mi, co ten facet ci naopowiadał, i oczekujesz, że to mi wystarczy? Po co w ogóle mi o tym mówiłaś, skoro nie chcesz mnie do niego zaprowadzić?

Katie zacisnęła dłonie na udach.

- Chciałabym dać ci jakąś błyskotliwą odpowiedź, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Chciałam, żebyś wiedział, żebyś potwierdził jego słowa.

- Wierzysz mu?

- A możesz sprawdzić szczegóły, o których opowiadał? Kopiarka, ciała przy głównym wejściu, Bill Harris?

- Kopiarka na drugim piętrze i zwłoki przy wejściu, to się zgadza. Muszę sprawdzić, czy w szafce pod kopiarką jest dość miejsca, żeby zmieścił się tam człowiek. Nie mam pełnej listy zabitych, więc nie mogę nic powiedzieć o tym Harrisie, ale to da się sprawdzić. Mówisz, że wszedł i wyszedł tylnym wejściem? - Katie przytaknęła. - Dlatego nie zarejestrowała go kamera.

- Więc wygląda na to, że mówi prawdę.

- Mógł też wiedzieć o wszystkim, jeśli sam brał udział w morderstwie.

- Przyszło mi to do głowy, ale on nie wygląda na takiego. To chudy, przerażony Polak.

- Który akurat podchodzi do ciebie na ulicy tuż przy miejscu zbrodni. Cóż za zbieg okoliczności.

- Może i tak, ale słyszał moją rozmowę z policjantem. Uznał, że jestem dziennikarką. Nie ma też nic dziwnego, że tam wraca. Ma poczucie winy, to wszystko.

- Widzę, że starasz się przekonać samą siebie.

- Wierz mi, że zamierzam go sprawdzić na wszelkie możliwe sposoby. Na dodatek on chyba przebywa tu nielegalnie. To tylko pogarsza sytuację. Pewnie dlatego nie chce pójść na policję.

- Nielegalnie? I szukał pracy?

- Nie ma w tym nic dziwnego. Mógł sfalszować dokumenty, żeby znaleźć pracę, ale z policją to już inna sprawa. Gliniarze są bardziej dociekliwi. Sam zresztą wiesz.

- Czego w takim razie oczekujesz ode mnie? - zapytał Shaw. Katie westchnęła głęboko.

- Sam potwierdziłeś, że mógł być w środku. W takim razie zaczynam pisać artykuł.

Shaw wstał i spojrzał na nią z góry.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Jaki artykuł?

Katie odwzajemniła spojrzenie. W jej oczach widoczne było niedowierzanie.

- Naoczny świadek londyńskiej masakry. Nie uważasz, że to dobry materiał?

- Katie, on powiedział, że mordercy rozmawiali po rosyjsku.

- I co z tego?

Shaw poczuł się zakłopotany, widząc, jak Katie patrzy na niego podejrzliwie.

- Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś?

- Powiem, jeśli obiecasz, że nie napiszesz tego artykułu.

- Nie mogę, Shaw. Nie mogę. I nie chcę! To jest prawdziwy news!

- A jeśli z powodu tego artykułu wybuchnie wojna światowa?

- Jaka wojna?! - wykrzyknęła.

- Powiem ci pod warunkiem, że nigdy nikomu o tym nie wspomnisz. Zgadzasz się?

Katie zawahała się i w końcu kiwnęła głową.

- Zgoda.

- W budynku znaleziono dowody, które mogłyby świadczyć o tym, że to Phoenix Group stała za kampanią „czerwona panika”.

Katie zerwała się z krzesła.

- Co takiego?! Jesteś pewny?

- Czy jestem pewny, że znaleziono dowody? Tak. A co to naprawdę oznacza, jeszcze nie wiem.

- Mój świadek podsłuchał, jak mordercy rozmawiali po rosyjsku. Mówili, że wykonują rozkazy Gorszkowa.

- Cholera, dlaczego nie powiedziałaś mi o Gorszkowie?

- I to ty masz mi za złe, że coś ukrywam? Podobnie jak ty, nie lubię się dzielić informacjami. Ale jeżeli Phoenix Group stała za kampanią „czerwona panika”, to wyjaśniałoby atak Rosjan.

- Tyle że to nieprawda. Dowody zostały podrzucone.

- Skąd to wiesz? Sama widziałam dokumenty na biurku Anny. Może ona wcale nie prowadziła badań, tylko kierowała kampanią?

- I zostawiła porozrzucane na biurku dokumenty, żebyś mogła sobie na nie popatrzeć?

- zapytał z niedowierzaniem Shaw.

Katie straciła pewność siebie.

- No dobrze, może to nie ma sensu, ale gdzie tu wojna?

- Gorszkow zapowiedział przecież, że potraktuje tego, kto stoi za kampanią jako agresora.

- No i zaatakował Phoenix Group, a nie całe państwo. Shaw wziął głęboki wdech.

- Phoenix Group jest zarządzana przez Chińczyków, a przynajmniej ma ścisłe związki z chińskim rządem.

- Z chińskim rządem? Jesteś pewny?! - wykrzyknęła Katie.

- Tak. Poznałem nawet właściciela. Potwierdził to.

- Naprawdę wierzysz w to, że Rosja mogłaby zaatakować Chiny?

- Kto wie? Przecież nie chcemy się o tym przekonać.

- Ale skoro Rosjanie przysłali tu swoich morderców, żeby ukarać Phoenix Group, i wiedzieli o związkach firmy z Chinami, to to już był akt wojny. Dziwię się, że Gorszkow do tej pory nie wystąpił oficjalnie i nie przyznał, że to jego robota.

- Nie może. Większość zabitych to obywatele brytyjscy. Wysadzić w powietrze bandę Talibów w Afganistanie to jedno, a wysłać swoich agentów do Londynu i zabić prawie trzydziestu Brytyjczyków, a potem jeszcze się tym przechwalać, to zupełnie inna sprawa. Pamiętaj, że Anglicy też mają broń atomową, a ich najbliższym sojusznikiem jest Ameryka. Gorszkow nie będzie ryzykował. Poza tym wcale nie wiemy, czy Rosjanie wiedzieli o związkach z Chińczykami.

- Nic z tego, co powiedziałaś, nie przekonało mnie, żeby zaniechać napisania artykułu. Naoczny świadek twierdzi, że masakry dokonali ludzie przysłani przez Gorszkowa. Nie wspomnę o „czerwonej panice” i związkach z Chinami, bo ci to obiecałam. Ale świat ma prawo dowiedzieć się, że to Rosjanie zaatakowali Phoenix Group.

- Daj spokój! Każdy przeczyta to między wierszami. A jeśli Chińczycy dowiedzą się, że to Rosjanie zaatakowali ich firmę, mogą chcieć wziąć odwet.

- Sam przecież mówiłeś, że dowody zostały sfabrykowane. Więc to nie Chińczycy stoją za „czerwoną paniką”.

Shaw zamachał ze złością rękami.

- No właśnie, Katie. Nie rozumiesz? Rosjanie nie preparowaliby dowodów, gdyby wiedzieli, że firma ma powiązania z Chinami. Oba kraje są zbyt silne. Przecież wystarczyło wybrać mniejszy, bardziej bezbronny kraj. Zacznij od początku alfabetu - chociażby Albanie. Wojna skończyłaby się po dwudziestu czterech godzinach. Ale Chiny? Mają trzy razy więcej żołnierzy niż Rosja i broń atomową.

Katie miała mętlik w głowie.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

- Ze Rosjanie tego nie zrobili. A Phoenix Group ani tym bardziej Chińczycy nie stoją za „czerwoną paniką”.

- W takim razie kto? - zapytała niepewnie.

- Jest tu jeszcze ktoś trzeci. Ktoś, kto prowadzi własną grę i bardzo chce doprowadzić do konfrontacji pomiędzy Rosją a Chinami.

- Więc uważasz, że moje źródło kłamie?

- Jeżeli on twierdzi, że podsłuchał ludzi mówiących po rosyjsku, którzy twierdzili, że pracują dla Gorszkowa, to tak, myślę, że kłamie. Nie wierzę, żeby zabójcy pracowali dla Rosji. Albo inaczej, mogli wiedzieć, że on jest w budynku, i zostawili go w spokoju, żeby usłyszał to, co chcieli.

Katie zaczęła wyłamywać sobie palce.



- On mówił, że podsłuchał Rosjan, czy może fałszywych Rosjan, jak twierdzisz, mówiących o kimś, kto powinien znajdować się w budynku. Gdyby obserwowali tył budynku, musieliby go widzieć wchodzącego.

Ale nie szukali go dłużej, bo jakaś kobieta wybiła szybę i wołała o pomoc. Wystraszyli się, że zaraz pojawi się policja. Shaw, słysząc te słowa, spochmurniał.

- Czy to prawda? - zapytała Katie. Powoli pokiwał głową.

- Tą kobietą była Anna. To ona wybiła szybę i próbowała uciec, ale wcześniej zdążyli ją zastrzelić.

- Skąd to wiesz?

- Z nagrania z ulicznej kamery.

- Mój Boże, widziałeś to? - Położyła mu rękę na dłoni. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że nie napiszesz tego artykułu.

- Nie mogę. Świat musi się dowiedzieć.

- Naprawdę? Nawet jeżeli to są wierutne kłamstwa? A może po prostu Katie James za wszelką cenę chce znowu wrócić na piedestał? Nawet za cenę końca świata?

Katie poczerwieniała i odsunęła się od Shawa.

- Nie dlatego to robię!

- W takim razie wytłumacz dlaczego?

- Jestem dziennikarką. Mam temat. Temat stulecia! Nie mogę zrezygnować tylko dlatego, że ty masz jakieś teorie.

- A jeżeli mam rację? Jesteś gotowa zaryzykować?

- Tak - odpowiedziała, choć jej głos lekko zadrżał.

- W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. - Wstał i otworzył jej drzwi.

- Shaw, proszę, nie rób tego.

- Nie mamy o czym rozmawiać - powtórzył z naciskiem.

Katie wyszła na korytarz, a Shaw zamknął za nią z hukiem drzwi.

## ROZDZIAŁ 60

Podróż Nicolasa Creela do Chin i Rosji okazała się sukcesem. Nie podpisano co prawda żadnych kontraktów, ale Creel przygotował grunt do szybkiej finalizacji rozmów. Kiedy tylko wyjdzie na jaw „prawda” o wydarzeniach w Londynie, a liczył na to, że Katie James wkrótce opublikuje odpowiedni artykuł, stosunki pomiędzy Rosją i Chinami przerodzą się ze zwykłej rywalizacji w jawną wrogość. Dzięki temu do kasy firmy Ares popłyną miliardy dolarów.

Mimo sukcesu Creel wciąż miał jeden problem.

Siedział na górnym pokładzie swojego superjachtu *Shiloh*, podczas gdy jego żona opalała się nago na pluszowym szezlongu na pokładzie rufowym. Creel miał tego w końcu dosyć i kazał jej na siebie coś włożyć. Kategorycznie odmówiła, twierdząc, że nawet skromne bikini zepsuje jej opaleniznę.

- Mam idealne ciało, Nicky - powiedziała z nadąsaną miną. - Idealnie równą opaleniznę. Nie możesz mi tego zepsuć.

Cóż można było odpowiedzieć na taką logikę, taki narcyzm? Creel o mało nie wybuchnął śmiechem. Nie, to małżeństwo nie mogło długo potrwać. Zadzwoił jego telefon. To był kapitan. Powiedział, że pani Creel nareszcie zasnęła.

- To nakryj ją od stóp do głów kocem - polecił Creel i rozłączył się.

Kobieta, którą poznał na wręczeniu nagród dla filantropów w Los Angeles, pracowała jako kustosz w Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Ukończyła Yale, była błyskotliwie inteligentna, obyta w świecie, atrakcyjna, dobrze zbudowana i pewnie nie przejmowała się zbyt białym, nieopaloną paskiem na tyłku. Spędził z nią czarujący wieczór, choć do niczego między nimi nie doszło. Kiedy wrócił z Los Angeles do domu, kazał swoim prawnikom przygotować papiery rozwodowe.

Ale to nie ta zbliżająca się zmiana w jego życiu stanowiła dla Creela problem.

Wpatrywał się w zdjęcie przedstawiające Katie James i mężczyznę. Doniesiono mu, że Katie James wyszła z hotelu Shawa zapłakana. Czyżby ten człowiek zamierzał popsuć mu szyki? Na pewno szukał odwetu. Był doskonale wyszkolony. Tak, stanowił potencjalny problem. Dlatego jego dni były policzone.

Creel zapatrzył się w spokojne wody Morza Śródziemnego i palące słońce zniżające się powoli ku połyskliwej tafli wody. Choć sprzedawał najbardziej śmiertelną broń, miał pokojowe usposobienie. Nigdy nikogo nie uderzył w złości. Owszem, kazał zabijać ludzi, ale nie z premedytacją.

Konflikty zbrojne były częścią ludzkiej cywilizacji od zarania dziejów, od czasów gdy ludzie biegali z maczugami po dzień dzisiejszy, kiedy bomba atomowa może w ułamku sekundy pozbawić życia miliony. Creel wiedział jednak, że wojna ma swoje zalety. Ludzie zapominają wtedy o błahych sprawach i jednoczą się dla ogólnego dobra.

Najlepszym tego przykładem była druga wojna światowa. Walczących wtedy ludzi nazwano Wspaniałym Pokoleniem z jednego tylko powodu: przeżyli największy konflikt zbrojny w historii. Kosztowało ich to więcej wysiłku i wyrzeczeń niż kiedykolwiek kogokolwiek innego.

Czuł się oczywiście winny przez to, co zrobił. Zobowiązał się przeznaczyć dziesięć milionów dolarów na fundusz dla rodzin ofiar londyńskiej masakry. Uważał, że przynajmniej tyle powinien dla nich zrobić. I podczas gdy w Anglii ludzie próbowali odnaleźć sens w tym, co bezsensowne, on klęczał na podłodze wartego sto siedemdziesiąt pięć milionów dolarów jachtu i błagał swojego boga o wybaczenie. Kiedy w końcu wstał z wyłożonej wełnianym dywanem podłogi, wrócił do luksusowego łóżka i zgasił wartą dziesięć tysięcy dolarów lampkę nocną, był święcie przekonany, że jego bóg go wysłuchał.

Kiedy Pender fabrykował i puszczał w świat coś, co miało uchodzić za Drawdę, Creel wiedział, jak wygląda rzeczywista prawda.

*Świat był bezpieczniejszy, gdy potężni korzystali ze swojej siły, a mniej bezpieczny, gdy tego nie robili.*

Stany Zjednoczone mogłyby rozwiązać problem Bliskiego Wschodu w ciągu kilku dni. Oczywiście zginęliby także niewinni ludzie. Ale cóż to za różnica, czy miliony zginą w ciągu dziesięciu minut, czy dziesięciu lat? I tak by zginęli, a uniknęłyby się w ten sposób całej dekady nędzy i niepewności. Creel z przyjemnością dostarczyłby broń potrzebną do uciszenia dzikusów. Przecież to była ciągła konfrontacja - my albo oni. Zwyciężyć musiał silniejszy.

- A słaby zginąć. - Te słowa skierował do zachodzącego słońca, które zabarwiło wodę i pobliskie włoskie wybrzeże na szlachetny bordowy kolor. Słabi zawsze ginęli. Taki był naturalny porządek rzeczy.

Kiedy Creel gdzieś szedł, za jego plecami maszerowali dobrze zbudowani chłopcy. Skrót MAD, *mutual assured destruction*, wzajemne zagwarantowane zniszczenie, był terminem pochodzącym z czasów zimnej wojny i wywoływał powszechny strach. Obecnie

MAD był najpotężniejszą siłą stabilizującą, choć wielu ludzi niemających pojęcia, jakimi prawami rządzi się ten świat, mogło być zbulwersowanych. MAD gwarantował pewność i przewidywalność. A także unicestwienie części ludzkości dla wyższych celów.

Podszedł do relingu górnego pokładu i spojrzał na śpiącą żonę. Podobnie jak większość ludzi była idiotką skoncentrowaną na własnej osobie. Nie miała żadnej wizji. Była prostacka, słaba, leniwa. Spojrzał ponownie na zdjęcie Shawa. On nie wyglądał na słabego, leniwego prostaka. Bo nim nie był.

Szkoda go zabijać, ale skoro nie ma innego wyjścia...

Podniósł słuchawkę telefonu. Po drugiej stronie odezwał się energiczny kapitan jachtu, człowiek, który od trzydziestu lat pływał po morzach i służył różnym bogatym właścicielom.

- Przywieź jutro wszystkie dzieci. I zabierz ze sobą matkę przełożoną. Chcę jej wręczyć czek.

- Tak jest, panie Creel. Czy uruchomimy łódź podwodną? Ostatnim razem dzieciakom sprawiło to wielką frajdę.

- Świetny pomysł. Przygotuj ją. Ma też być gotowy śmigłowiec. Jutro rano zabierze panią Creel. Niech pokojówka przygotowuje jej odpowiednie ubranie. Odpowiednie, rozumiesz?

- Tak jest, sir.

Creel odłożył słuchawkę. Kapitan pewnie nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, co Creel zrobił, bo był Brytyjczykiem, urodził się i wychował w Londynie.

Nazajutrz pojawią się dzieci. Życie Creela utrzymywało się we względnej równowadze. Po złym uczynku następował dobry. Tak, nie mógł się doczekać, kiedy na pokładzie pojawią się dzieci.

I kiedy zbuduje im wreszcie nowy sierociniec.

# ROZDZIAŁ 61

Stalowe łoże wyjechało z chłodni ze zgrzytem, który sprawił, że Shawowi przeszły ciarki po plecach. W pomieszczeniu śmierdziało chemikaliami, uryną i innymi rzeczami, o których Shaw wolał nie myśleć.

Obok niego stał Frank.

- Posłuchaj, Shaw, nie musisz tego robić. A właściwie nie powinieneś. Dlaczego chcesz zapamiętać ją właśnie taką? W tym miejscu? - Ogarnął ruchem ręki antyseptyczną salę.

- Masz rację - odparł Shaw - ale muszę to zrobić. Frank westchnął i dał znak sanitariuszowi.

Przez krótką chwilę, kiedy palce mężczyzny zaciskały się na prześcieradle, Shaw chciał uciec, wybiec stąd na otwartą przestrzeń, nim będzie za późno. Zamiast tego jednak stał w miejscu. Prześcieradło uniosło się i Shaw spojrzał na Annę. A właściwie na to, co z niej pozostało.

Starał się omijać wzrokiem ranę na środku czoła, szwy w kształcie litery V pozostawione przez lekarza sądowego i otwory wylotowe dwóch pocisków na piersi. Nie mógł spojrzeć nawet w jej zielone oczy, bo miała zamknięte powieki.

Skinął głową sanitariuszowi i odwrócił się.

Łoże zniknęło, zatrzasnęły się drzwi chłodni i Shaw na drżących nogach, podtrzymywany przez Franka, wyszedł z sali śmierci.

- Chodź, upijmy się - zaproponował Frank. Shaw pokręcił przecząco głową.

- Muszę iść do mieszkania Anny.

- Słuchaj, czy ty jesteś masochistą? Widziałeś ją na stole sekcyjnym, a teraz chcesz się jeszcze dobić? Co się z tobą dzieje? Ona nie wróci.

- Nie proszę cię, żebyś szedł ze mną. Ja muszę. Frank zatrzymał taksówkę.

- Idę z tobą.

Wsiadli do taksówki; Shaw podał kierowcy adres i wystawił głowę przez okno, walcząc z nawracającą falą nudności.

Nie powinien przychodzić do kostnicy. Nie powinien widzieć Anny w takim stanie.

Nie powinien, ale musiał.

Kilka minut później otworzył drzwi mieszkania, wszedł i usiadł na podłodze. Frank stał obok i przyglądał się. Shaw rozglądał się po znajomym pomieszczeniu i stopniowo się uspokajał. Tu była żywa, oddychająca Anna, a nie pokrojone ciało leżące na bezlitośnie zimnym stalowym łożu.

Wstał i wziął do ręki stojącą na kominku fotografię. Przedstawiała Annę i jego w Szwajcarii. Ona świetnie jeździła na nartach, on nieco gorzej, ale bawili się znakomicie. Kolejne zdjęcie, tym razem z Australii. Jeszcze jedno, kiedy siedzą na grzbiecie słonia. Słoń miał na imię Balzac z racji miłości do kawy, którą wypijał wprost z filiżanek.

Wszędzie tu wokół pełno było jej rzeczy, jej drobiazgów.

Usiadł ponownie. W ułamku sekund przemknęły przez głowę miliony myśli, jakie zwykle towarzyszą śmierci bliskiej osoby. Ból po zadanych przez Adolfa ciosie był niczym w porównaniu z tym, co czuł teraz. Bolało go ciało i dusza, bolała każda myśl. I nie było na to lekarstwa.

Frank musiał zauważyć zmianę na jego twarzy.

- Chodź już, napijmy się - zaproponował.

W końcu Shaw zdał sobie sprawę, że nie może tu zostać dłużej. Nie wiedzieć czemu wciąż żywa w tym pokoju Anna była dla niego gorszym koszmarem niż martwa w kostnicy. Dotarło do niego, jak wiele stracił, jak wiele stracili oboje.

Podniósł się, ale nim Frank zdążył wyciągnąć rękę do klamki, drzwi otworzyły się.

Shaw i Frank stanęli oko w oko z rodzicami Anny.

Twarz Wolfganga pociemniała ze złości. Próbował chwycić Shawa, ale ten odsunął się.

- Wolfgang, nie! - krzyknęła jego żona.

- Ten bydlak, ten bydlak... - Wolfgang był tak wzburzony, że zaczął się jąkać. Rzucił przy tym cały czas Shawowi groźne spojrzenia.

- Proszę się uspokoić - wtrącił się Frank. - On też cierpi.

- Co ty tu robisz? - zapytała Natasza, powstrzymując męża.

- Nie rozmawiaj z tym śmieciem! - wrzasnął Wolfgang. - On zabił naszą córkę. Zabił Annę.

Shaw zrobił krok do przodu, w oczach zabłysła mu złość.

- O czym wy mówicie? Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Anny.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - zaproponował Frank. Wolfgang wyciągnął w kierunku twarzy Shawa swój pulchny palec.

- Anna żyłaby, gdyby nie ty. To ty ją zabiłeś.

- Zaraz, chwileczkę! - krzyknął Frank. - To jakaś bzdura!

Shaw próbował ominąć Wolfganga, ale ten rzucił się naprzód, złapał go za gardło i obaj mężczyźni runęli na przeciwległą ścianę. Natasza krzyknęła i próbowała odciągnąć męża.

- Nie! Wolfgang, nie!

Frank też próbował go odciągnąć, ale Wolfgang był zbyt ciężki.

Wolfgang przygniótł do ściany zranione ramię Shawa, który zaklął z bólu i zdołał się wyswobodzić, wbijając kolano w żołądek napastnika. Wolfgang ruszył ponownie na Shawa, który był jednak znacznie szybszy i zręczniejszy i zdążył odskoczyć w bok. Wolfgang tak ciężko dyszał i miał tak czerwoną twarz, że Shaw bał się, czy nie dostanie zaraz ataku serca. Napastnik trafił w ścianę. Zanim zdążył się obrócić i zaatakować ponownie, Shaw dłonią ucisnął nerw na grubej szyi mężczyzny. Wolfgang runął na ziemię, wyjąc z bólu.

Teraz z kolei Natasza uderzyła Shawa ciężką torebką w twarz, rozcinając mu policzek. Shaw poczuł spływającą po policzku krew. Frank wyrwał kobiecie torebkę i rzucił ją na podłogę w drugim końcu pokoju. Natasza przyklękła przy mężu i objęła go troskliwie.

Shaw stał nad nimi, ciężko dysząc.

- Nic mu nie jest?

- Idź! Idź stąd! - wrzasnęła Natasza. - Zostaw nas w spokoju. Dosyć już narozrabiałeś. Dosyć!

- Ja nic nie... - Shaw urwał w pół słowa. *Jaki to miało sens?* Frank popychał go w kierunku drzwi.

- Chodźmy stąd, nim komuś naprawdę stanie się krzywda.

Shaw starł krew z twarzy, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Nikt im nie mówił, że jesteś bydlakiem - tłumaczył się Frank, kiedy schodzili po schodach. - My tylko...

Shaw zatrzymał się nagle, usiadł na stopniach schodów i zaniósł się szlochem tak głośnym, że zadrzały ściany. Resztki krwi z jego twarzy zmył potok łez. Przez dziesięć następnych minut płakał, kiwając się z boku na bok.

Frank stał i w milczeniu patrzył na niego. Miał zaciśnięte pięści i wilgotne oczy.

I wtedy Shaw przestał płakać równie szybko, jak zaczął. Wstał i wytarł twarz.

- Shaw? - zapytał niepewnym głosem Frank. - Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedział mechanicznie i ruszył schodami w dół, zostawiając za sobą zaskoczonego Franka.

Kiedy znalazł się na ulicy, zaczął biec. Miał w tym swój cel. Koniec z żałobą. Jaki był sens obnosić się z nią? I tak nigdy nie pogodzi się ze śmiercią Anny. Musiał się teraz zająć tym, co było naprawdę ważne - odwetem. Nie spocznie, póki nie skończy swojego dzieła.

Wiedział też, od czego zacząć.

Katie James.

Tym razem nie pozwoli, żeby mu odmówiła.



## ROZDZIAŁ 62

- Sprawdziłam twoją opowieść o Krakowie i ojcu - powiedziała Katie. Siedzieli w ciasnym pokoju hotelu nad Tamizą, w mało ciekawej dzielnicy Londynu. W trakcie rozmowy pożerał jedzenie, które mu wraz z kawą przyniosła.

- Sprawdziła pani? - zapytał z ustami pełnymi kanapki z szynką.

- Oczywiście, że sprawdziłam. Dziennikarze wszystkich ludzi uważają za kłamców.

- Ja nie kłamię! - zawołał Leśnik i upił duży łyk kawy. Katie zerknęła do swoich notatek.

- Twój ojciec nazywał się Elisaz Leśnik i wydawał gazetę codzienną w Krakowie. Został zamordowany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

- Sowietci go zabili. Polska wtedy walczyła o wolność. Mieliśmy Lecha Wałęsę, naszego wyzwoliciela. Mój ojciec pisał prawdę i Sowietom to się nie podobało. Przyszli w nocy, byłem wtedy małym chłopcem, i potem on nie żył.

- Nigdy tego nie dowiedziono - zauważyła.

- Ja nie potrzebuję dowodów! Ja wiem! - Leśnik uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę.

- Masz w takim razie żal do Rosjan. Spojrzał na nią.

- Nie wierzy mi pani? Myśli pani, że to wszystko wymyśliłem, bo nienawidzę Ruskich? Widziałem trupy. Wszędzie była krew. Niech pani pyta, będę mówił prawdę. - Spojrzał na nią wyzywająco i ugryzł kęs kanapki.

- Nie odpowiedziałeś mi poprzednio. Jesteś tu nielegalnie?

- Mam wizę. - Wyjął paszport i pokazał go Katie.

- W takim razie dlaczego boisz się pójść na policję?

- Jak się do nich zgłoszę, to pomyślą, że mam z tym coś wspólnego. Dla nich Polak czy Rosjanin, to to samo. Zaczną o tym głośno gadać i tamci mordercy trafią do mnie. Widziałem, co zrobili mojemu ojcu. Nie chcę tak umierać.

- Mówiłeś, że znasz się na komputerach. Nie masz nic przeciwko temu, żebym ci zadała kilka pytań?

- Proszę pytać.

Zasypała go czysto technicznymi pytaniami, których sama zupełnie nie rozumiała, a które podał jej znajomy informatyk. Leśnik odpowiedział na wszystkie pytania bezbłędnie.

- Ma pani komputer, żeby mnie dalej sprawdzać? - zapytał z rozdrażnieniem.

- Nie dziw mi się - odparła słodkim tonem. - A teraz opowiedz mi o tym Harrisie. -  
Znała już jego rysopis i była ciekawa, czy Leśnik dobrze go opíše.

- Fajny facet. Stary. Miał siwe włosy i pachniał cygarami. Rozmawialiśmy o posadzie.  
Chyba mnie polubił. Powiedział, że Phoenix Group to dobre miejsce pracy. Wypiłem trochę  
wody i poszedłem do łazienki w korytarzu. Jak wracałem, usłyszałem piętro niżej strzały.  
Schowałem się.

Katie zapisywała każde jego słowo.

- Dobrze, a teraz opowiedz mi o...

Nie dokończyła zdania, bo nagle drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich...

- Shaw! Skąd wiedziałeś...? - Patrzyła na niego zdumiona. - Śledziłeś mnie!

Nie wysilił się na odpowiedź. Wpatrywał się w Leśnika, który skulił się w kącie,  
rozlewając przy okazji kawę.

Podszedł do małego człowieczka, który najchętniej wtopiłby się w ścianę.

- Nie pozwól mu, żeby mnie skrzywdził! Proszę, nie pozwól mu!

- Shaw, wystraszyłeś go.

Shaw chwycił Leśnika za koszulę.

- I dobrze. Powinien się bać.

- Mówiłaś, że nikt o mnie nie wie! - wrzasnął Leśnik, spoglądając żałośnie na Katie.

- Puść go, Shaw.

- Powiesz mi wszystko, co widziałeś i słyszałeś tamtego dnia. I lepiej dla ciebie  
będzie, jeśli o niczym nie zapomnisz! Tę część, kiedy idziesz do kibla i chowasz się, już  
słyszałem. Mów dalej!

Pod Leśnikiem ugiwały się nogi, wydawało się, że za chwilę zemdleje.

- Shaw! Katie chwyciła go za ramię i próbowała odciągnąć, ale wyglądało to jak walka  
komara ze słoniem.

- Nie wchodź mi w drogę, Katie! - rzucił groźnym tonem Shaw. Leśnik wykorzystał  
moment nieuwagi, zebrał się na odwagę i uderzył pięścią wprost w obandażowane ramię  
Shawa.

Shaw zgiął się wpół z bólu.

Polak ominął go, odepchnął Katie i ruszył biegiem do drzwi. Shaw doszedł do siebie i  
trzymając się za bolące ramię, pobiegł za nim. Zaraz za Shawem ruszyła Katie. Zbiegli po  
schodach. Shaw starał się biec jak najszybciej, ale o wiele drobniejszy Leśnik był niczym

błyskawica. Dopadł drzwi i wskoczył na ulicę w chwili, kiedy Katie i Shaw wciąż jeszcze znajdowali się piętro wyżej.

Gdy Shaw znalazł się na ulicy, zatrzymał się raptownie, szukając wzrokiem uciekiniera. Po chwili wpadła na niego Katie i złapała go za marynarkę.

- Czyś ty do reszty oszalał?! - wrzasnęła.

Shaw spostrzegł Leśnika po drugiej stronie ulicy. Wbiegł na jezdnię, roztrąbiły się klaksony samochodowe, taksówki wykonywały gwałtowne zwroty, żeby go ominąć. Do tego wszystkiego Katie krzyczała do niego, żeby się zatrzymał, zanim zginie pod kołami.

Shaw krzyknął do biegnącego chodnikiem Leśnika. Polak obejrzał się za siebie, na jego twarzy malowało się przerażenie.

Pocisk trafił go prosto między oczy. Zatrzymał się na moment najwyraźniej nieświadomy tego, że jego życie właśnie dobiegło kresu. Potem cofnął się o krok i przechylił przez barierkę. Kilka chwil później jego ciało uderzyło o gładką taflę Tamizy i zniknęło w mętnej wodzie.

Na odgłos wystrzału Shaw instynktownie się schylił. Gdy dobiegła do niego Katie, złapała ją za nogę, przewrócił i pociągnął za sobą za zaparkowany w pobliżu samochód.

- Leż! - rozkazał. - Ktoś strzelał. - Wychylił głowę zza zderzaka i rozejrzał się, szukając snajpera, ale niczego nie wypatrzył.

Popatrzył na roztrzęsioną Katie.

- Już dobrze. - Objął ją ramieniem.

- Wcale nie - warknęła, strącając z ramienia jego rękę. - Musiałeś się pojawić. Musiałeś się wtrącić. Zginął niewinny człowiek. Przez ciebie!

- Ani ty, ani ja nie wiemy, czy był niewinny - odpowiedział spokojnie Shaw. - Na razie musimy stąd zniknąć. Policja...

- Jak chcesz, możesz uciekać. Ja zamierzam porozmawiać z policją. To mi się nawet przyda w pisaniu artykułu.

- Nadal zamierzasz go napisać? - zapytał z niedowierzaniem.

- Pewnie, że tak. Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Nim zdążyłeś się wtrącić, postanowiłam to odłożyć na jakiś czas. Ale teraz? - Spojrzała w miejsce, gdzie zniknęło ciało Leśnika. - Teraz zmieniłam zdanie.

- Katie, posłuchaj mnie... Ponownie mu przerwała.

- Nie, to ty posłuchaj. Wiem, że zabito kobietę, którą kochałeś. Wiem, że cierpisz. Wiem, że masz bardziej przesrane życie niż ja, ale przekroczyłeś pewną granicę. Gorzej, zlikwidowałeś ją. Już nigdy ci nie zaufam.

Ich uszu dobiegł dźwięk syren. Shaw obejrzał się, potem przeniósł spojrzenie na Katie.

- Idź już. Lepiej, żebyś się nie spotkał z policją.

- Katie, chyba nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz.

- Zamierzam dowieść prawdy, ty głupi sukinsynu. A teraz spieprzaj stąd.

Shaw popatrzył na nią jeszcze raz, ale jego magia już na nią nie działała.

- Już cię tu nie ma! - krzyknęła, a kiedy wstał, dodała: - Nie martw się, nie wspomnę o tobie w artykule. Potraktuj to jako pożegnalny prezent.

## ROZDZIAŁ 63

Katie zadzwoniła do Kevina Gallaghera i poinformowała go, co się stało. Kiedy Gallagher w końcu złapał oddech, zadał tylko jedno pytanie:

- Kiedy możesz dostarczyć nam artykuł?

- Jest już gotowy. Mogę go przesłać e-mailem. Sprawdźcie fakty i wydrukujcie go.

- Twój informator nie żyje?

- Tak. Policja prowadzi śledztwo.

- Przesłuchiwali cię?

- Powiedziałam im trochę ogólników, ale nie zdradziłam, co mi mówił. To będzie na pierwszej stronie, prawda, Kevin?

- Na pierwszej stronie! Oczywiście! Dziesięciocentymetrowej wysokości nagłówek! Jakby to była wiadomość o wypowiedzeniu wojny. Wyślij mi artykuł, oddzwonię, jak go przeczytam.

Odłożyła słuchawkę, zawahała się chwilę, potem nacisnęła klawisz „wyślij” i e-mail powędrował do adresata. *Wiadomość o wypowiedzeniu wojny*. Przypomniała sobie teraz słowa Shawa. A jeśli faktycznie artykuł spowoduje wybuch wojny? Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Dwadzieścia minut później zadzwonił Gallagher. Wprost czuła, jak się oblizuje.

- Puścimy to w porannym wydaniu - obiecał. - Mamy trochę czasu. Chyba nikt nie opublikuje tego wcześniej - dodał z troską.

- Jeśli chodzi o Leśnika, to na pewno z nikim innym nie rozmawiał. Ale posłuchaj, nie potrafię udowodnić, że mój informator był w tym czasie w budynku Phoenix Group. To tylko poszlaki. Nie mam innego źródła, które by to potwierdziło. Zwykle tak nie postępuję.

- Nie znałby tyłu szczegółów, gdyby go tam nie było, Katie. Londyńska policja nie podaje żadnych informacji, choć, wierz mi, próbowaliśmy coś od nich wyciągnąć. A to, że ktoś go zabił, to kolejny dowód na jego prawdziwość. Zdarzało mi się puszczać mniej wiarygodne artykuły, jak choćby o Richardzie Jewelu.

- Właściwym słowem będzie tu fiasko, Kevin. - Katie nagle przestała być tak pewna siebie.

- Nie martw się. To materiał na trzeciego Pulitzera. Wypij za moje zdrowie.

Katie wzdrygnęła się.

- Jeśli o to akurat chodzi, to mam pewien problem. Pewnie już o tym słyszałeś.

- Słyszałem, i co z tego? Pal to sześc. Taki artykuł zasługuje na toast.

Czy sprawiła to jego bezduszna uwaga, czy w duszy Katie zrodził się nagle jakiś niepokój, w każdym razie nastąpił w niej przełom.

- Zaczekaj chwilę, Kevin!

- Co jest?

- Nie możesz tego wydrukować, jeszcze nie teraz.

- Żartujesz?

- Zaczekaj, aż oddzwonię i powiem, że się zgadzam. Muszę najpierw coś sprawdzić.

- Katie! Intuicja mi podpowiada, że...

- Zamknij się i posłuchaj! - krzyknęła do słuchawki. - Nie masz żadnej intuicji. To ja nadstawiałam tyłek, wędrując po świecie i pisząc artykuły, podczas gdy tacy jak ty siedzieli sobie bezpiecznie przy biurkach. Nie znasz się na niczym innym prócz sprzedawania gazety. Wstrzymasz ten artykuł, dopóki nie powiem ci inaczej. A jeśli mnie nie posłuchasz, to osobiście pojawię się w twoim domu i odstrzelę ci ten twój łeb. Teraz się rozłączę i pójdę na drinka, którego mi zasugerowałeś, bydlaku!

Rzuciła z niesmakiem słuchawkę, odetchnęła głęboko i starała się opanować drzenie rąk. Kilka minut później znalazła się w hotelowym barze, gdzie zamówiła whisky z wodą sodową. Potem jeszcze jedną. Wypiłaby trzecią, gdyby nie widok siedzącego obok niej zaślinionego i spitego do nieprzytomności mężczyzny.

Wyszła przed hotel i ruszyła ulicą, mijając po drodze dom Karola Dickensa. Była to jedna z rezydencji, w jakich pisarz mieszkał w Londynie. Zastanawiała się, czy nawet ogromna wyobraźnia Dickensa zdołałaby wymyślić taki koszmar, w jakim znalazła się teraz Katie. Pewnie powinna raczej sięgnąć do Kafki.

Dotarła do niewielkiego parku, usiadła na ławce, sięgnęła po telefon i zadzwoniła.

Odebrał po drugim dzwonku. - Możemy porozmawiać?

- Wydawało mi się, że dziś jasno określiłaś swoje stanowisko.

- Chcę się z tobą zobaczyć.

- Po co?

- Proszę cię, Shaw. To ważne.

Kawiarnia znajdowała się w pobliżu stacji King Cross. Usiadła na zewnątrz i czekając na niego, obserwowała przejeżdżające „przegubowce”, jak nazywali je londyńczycy.

Zastąpiły dotychczasowe „piętrusy” i składały się z dwóch części połączonych elastycznym przegubem. Londyńczycy nie przepadali za nimi, bo na zakrętach blokowały wąskie uliczki.

Oto całe moje życie, pomyślała. Tuzin przegubowców zatarasował wszystkie drogi ucieczki.

Dostrzegła go pierwsza. Mimo zranionego ramienia poruszał się bez wysiłku, zdawał się płynąć nad chodnikiem. Wstała i pomachała mu.

Zamówiła coś do jedzenia, on tylko kawę i ciastko.

- Rozmawiałś z policją? - zapytał.

- Krótko. Powiedziałam tylko to, co widziałam. Nie mówiłam im, że przeprowadzałam z nim wywiad. Nie chciałam otwierać puszek Pandory. Dowiedzieli się tylko, że byłam przypadkowym przechodniem.

- Kiedy ukaże się artykuł, zorientują się, że kłamałaś. A propos, kiedy się ukaże? Na pewno już go napisałaś.

- Tak. I dlatego chciałam z tobą porozmawiać. Usiadł wygodnie i patrzył na nią wyczekująco. - Mów.

- Nie zamierzam wywołać trzeciej wojny światowej.

Shaw wziął łyk kawy, a Katie napoczęła swoją sałatkę. Przez minutę żadne z nich nie odezwało się słowem.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć? - zapytał. - Ze nie powinnaś publikować tego artykułu? Już ci to mówiłem.

- Naprawdę uważasz, że ujawnienie prawdy narobi więcej szkód?

- Owszem, tak uważam. Ale zacznijmy od tego, że nie wiadomo, czy twój artykuł mówi prawdę.

Katie najeżyła się.

- Skąd wiesz, nawet go nie przeczytałaś.

- Bo mi go nie dałaś do przeczytania - odparł i dodał nieco łagodniej: - Posłuchaj, Katie, przykro mi z powodu tego, co spotkało Leśnika. Nie mam pojęcia, czy miał coś wspólnego z tymi bandziorami, czy nie.

- Skoro ktoś go zastrzelił w biały dzień na ulicy, to chyba oznacza, że nie miał z nimi nic wspólnego. Znał prawdę, namierzyli go i zabili.

- Widzę w tej teorii kilka słabych punktów. Jak go namierzyli? I dlaczego go zabili? Dlatego że mógł opowiedzieć o Rosjanach?

- Rozmawialiśmy już o tym poprzednim razem.

- Tak, rozmawialiśmy. - Starał się unikać jej spojrzenia.

- Dlaczego wpadłeś do tego hotelu?
- Powiedzmy, że miałem zły dzień. Popatrzyła na niego zaciekawiona. Odwzajemnił spojrzenie.
- Poszedłem do kostnicy zobaczyć Annę.
- Po co to zrobiłeś? - zapytała z niedowierzaniem.
- Sam nie wiem. Czuję, że muszę. Potem poszedłem do jej mieszkania i wcale nie zrobiło mi się lepiej.
- Wspomnienia.
- Natknąłem się tam na jej rodziców, ojciec się na mnie rzucił.
- Dobry Boże!
- Ale nie to było najgorsze. Najgorsze jest to, że on obwinia mnie o śmierć Anny. Katie była zaskoczona.
- Dlaczego?
- Jeśli spojrzeć z jego punktu widzenia, ma to sens. Wie, że podróżuję po świecie i walczę z różnymi ludźmi, którzy noszą broń. Poza tym powiedziano mu, że jestem zwykłym przestępcą. Potem ginie Anna.
- Więc co? Moja wina.
- Na kilka sekund zapadła cisza.
- Posłuchaj, zamierzam wstrzymać druk tego artykułu. Przynajmniej na razie, dopóki nie dowiem się więcej.
- To bardzo mądre posunięcie, Katie - przerwał na chwilę. - Doceniam to.
- Co zamierzasz teraz robić?
- Dopaść mordercę Anny.



# ROZDZIAŁ 64

Nicolas Creel zaczynał się niecierpliwić. Spodziewał się, że Katie James opublikuje już swój artykuł. Leśnik nie żył, wcześniej zdążył jej wszystko opowiedzieć. To był temat stulecia. Dzięki temu artykułowi mogła trafić z powrotem na sam szczyt. Co zatem się stało?

Jego ludzie zaczęli się dyskretnie wypytywać, nie omieszkali też zadzwonić do nowej gazety Katie, „Scribe’a”. Creel był cichym inwestorem gazety i to on zasugerował redakcji zlecenie napisania artykułu Katie. Musiało dojść do jakiegoś spięcia, domyślał się. Zastanawiał się, czy Katie złożyła artykuł, a jeśli tak, to z jakich powodów redakcja wstrzymuje się z drukiem.

Zadzwonił do Pendera i opisał całą sytuację swojemu menedżerowi prawdy, jak go nazywał.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek zarzucił mi, że naciskam na redakcję, więc ty postaraj się za wszelką cenę wydobyć od nich ten artykuł.

- Nie ma obaw, panie Creel. Wiem, jak to zrobić.

Pender odłożył słuchawkę. Rzeczywiście był jeden sprawdzony sposób na przyspieszenie publikacji. Wystarczyło dać im do zrozumienia, że ktoś ich może uprzedzić. W dobie Internetu zadanie było wyjątkowo łatwe.

Jeszcze tego samego wieczoru Pender umieścił na różnych popularnych portalach zapowiedź rychłego ukazania się rewelacji na temat londyńskiej masakry.

Zaskakujące rewelacje - tak brzmiała zapowiedź na jednym z blogów. - Relacja naocznego świadka wkrótce ujrzy światło dzienne.

Inny tytuł brzmiał: „Morderstwa w Anglii mogą przynieść globalne konsekwencje”. W podtytule dodano, że ze sprawą ma związek kolejne morderstwo popełnione w Londynie. Artykuł według zapowiedzi miał się ukazać lada chwila.

Pender umieścił zapowiedzi na stronach często odwiedzanych przez redakcje gazet w poszukiwaniu materiałów.

Teraz pozostawało czekać na odzew „Scribe’a”. I nie trzeba było czekać długo.

Kevin Gallagher dowiedział się o publikacjach w sieci już po godzinie od ich pojawienia się. Podobnie jak inne redakcje „Scribe” zatrudniał pracowników, którzy bez przerwy obserwowali, co się dzieje w Internecie. Gallagher poczuł ucisk w żołądku.

Doskonale pamiętał słowa swoich szefów, którzy dali mu jasno do zrozumienia, że jeśli jakaś redakcja opublikuje artykuł Katie wcześniej, to będzie ostatni dzień jego pracy w „Scribie”. Szefowie dodali też, że nie interesuje ich, w jaki sposób Gallagher nakłoni Katie James do wyrażenia zgody na publikację.

Myśląc o swojej karierze i kolejnym Pulitzerze dla redakcji, który z każdą chwilą się oddalał, Gallagher zrobił to, co uważał za stosowne, a potem zadzwonił do Katie.

- Musimy opublikować ten artykuł, Katie - zaczął. - Za chwilę ubiegnie nas konkurencja.

- To niemożliwe. Nikt inny o tym nie wie.

- Właśnie mam przed sobą cztery strony internetowe, na których napisano coś innego.

- Kevin, nie będziemy tego publikować.

- Dlaczego?

- Dlatego że to byłoby nie w porządku. - *I dlatego, że dałam słowo Shawowi.*

- Przykro mi, Katie.

- Co to znaczy, że ci przykro? - zapytała ostro. Czują, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

- Nie dzwonię po to, żeby prosić cię o zgodę.

- Kevin!

- Artykuł ukaże się jutro w porannym wydaniu.

- Zabiję cię! - wrzasnęła do telefonu.

- Inaczej wyleją mnie z roboty. Przykro mi, Katie. Na pewno wszystko będzie dobrze.

Rozłączył się. Katie siedziała bez ruchu i wpatrywała się w ścianę swojego londyńskiego mieszkania. Boże, jak bardzo teraz potrzebowała drinka.

Nagle przerwała rozmyślania o alkoholu. *Shaw!*

Zadzwoniła, mając cichą nadzieję, że nie odbierze telefonu. Odebrał.

- Mam złe wieści - zaczęła nieprzekonywająco. Kiedy skończyła, Shaw milczał.

- Shaw? Jesteś tam?

Połączenie zostało przerwane. To nie wróżyło niczego dobrego.

Następnego dnia świat dowiedział się, że według naocznego świadka sprawcami zbrodni w Londynie byli Rosjanie przysłani rzekomo przez prezydenta Gorszkowa. Motywy ich działania były na razie nieznane. Określenie, że wiadomość wstrząsnęła światem, byłoby niedopowiedzeniem.

Brytyjskie sądy zostały zasypane dziesiątkami pozwów wniesionych przez rodziny ofiar przeciwko rosyjskiemu rządowi, mimo że sądy nie miały jurysdykcji do ich

rozpatrzenia. Przed rosyjską ambasadą w Londynie eksplodował niewielki ładunek wybuchowy. Wzmocniono ochronę ambasady, przed którą manifestowali protestujący londyńczycy, a ambasador zaszył się w najdalszym zakątku budynku i bez przerwy naradzał się przez telefon z Gorszkowem. Na ulicach Londynu tysiące ludzi wznosiło transparenty z napisem „Gorszkow - morderca”. Emocje dyskretnie podsycali ludzie Pendera.

Rodziny ofiar pojawiły się w BBC, wszystkich większych sieciach amerykańskich, a także innych krajów. Widok ich zalanych łzami twarzy doprowadził ludzi na całym świecie do furii.

Oliwy do ognia dołała jeszcze wiadomość, że świadek zbrodni, Aaron Leśnik, został zamordowany w biały dzień na ulicy Londynu. Katie James znów znalazła się w ścisłej czołówce dziennikarzy.

Rosjanie ponownie stanowczo wszystkiemu zaprzeczyli, tyle że ich oświadczenie przeszło bez echa. Gorszkow został ponoć doprowadzony do takiego szału, że krążył po swoim gabinecie z bronią w ręku i odgrażał się, że zaraz strzeli albo sobie, albo komuś innemu w łeb.

Wszyscy chcieli odnaleźć Katie James. Przede wszystkim londyńska policja, która zdała sobie sprawę, że została przez dzielną dziennikarkę wpuszczona w maliny. Tyle że Katie zniknęła. Krążyły plotki, że Gorszkow kazał ją zabić.

Czy jest już martwa? - zastanawiało się kilka miliardów ludzi na całym świecie.

Kiedy tylko Shaw przerwał połączenie telefoniczne, Katie spakowała się i uciekła. Znalazła pokój w rozlatującym się pensjonacie, w którym można było płacić gotówką i nie zadawano zbędnych pytań. Zamieszkała tam, a może właściwsze byłoby określenie, że się tam zaszyła. Przysięgła sobie, że jeśli uda jej się przeżyć, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie zakup kija baseballowego, którym połamie nogi Kevinowi Gallagherowi.

# ROZDZIAŁ 65

Podstawiona spółka Nicolasa Creela posiadała akt własności tysiączkowej posiadłości w hrabstwie Albemarle w stanie Wirginia, niedaleko ukochanego przez Thomasa Jeffersona Uniwersytetu Wirginii. Była to farma ze stadniną, w której trzymano konie wyścigowe i reproduktorów. Było też trochę krów, trochę upraw i rezydencja tak wielka, że mogłaby pomieścić kilka posiadłości rozmiarów Ponticello\*.\* Monticello - posiadłość Thomasa Jeffersona. Wcześniej pojawił się tu Creel, teraz jego śmigłowiec przywiózł Dicka Pendera. Mieli omówić następny krok ich planu.

Mężczyźni usiedli przy niewielkim stole konferencyjnym w pokoju doskonale zabezpieczonym przed jakimikolwiek podsłuchami.

- Czy żona wróciła z panem z Europy? - zapytał Pender.

- Nie. Ten związek dobiegł kresu.

Miss Seksu pozostała w południowej Francji i właśnie w tej chwili powinna otrzymać papiery rozwodowe, policzył po cichu Creel. Były duże szanse, że będzie je odbierała jak zwykle kompletnie naga. Ciekaw był, czy wystarczy jej na wydatki pięciomilionowa roczna „pensja” wypłacana zgodnie z przedślubnym kontraktem przez dziesięć lat po rozwodzie. Na pewno dzięki swojej skłonności do paradowania nago sporo zaoszczędzi na ubraniach. Więcej już o byłej Miss Seksu nie myślał.

- Rozumiem.

Pender zauważył leżące na stole plany architektoniczne.

- Buduje pan jakiś kolejny pałac?

- Nie. To będzie sierociniec we Włoszech.

- Nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać rozmach pańskich interesów, panie Creel.

- Oczywiście wiesz, gdzie ukryła się pani James - powiedział Creel i to wcale nie było pytanie.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Zaszła się w Londynie, ale mamy na nią oko od chwili, kiedy musieliśmy zaopiekować się Leśnikiem.

- Aaron Leśnik. Nie ufam ludziom, którzy działają z pobudek altruistycznych. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie im do głowy naprawić wyrządzone zło i spieszyć sprawę.

- Miał bzika na punkcie swojego starego, którego zabili Sowieci, to pewne. Czy chce pan, żebyśmy zabili tego Shawa?

- Nie. Przynajmniej na razie. Poczekaj, aż dam sygnał.

- A co z James?

- Odegrała już swoją rolę i nie widzę powodu, żeby ją trzymać w odwodzie. Ujawniła zaangażowanie Rosjan i na tym jej rola się kończy. - Spojrzał znacząco na Caesara.

- Tylko nie polon-210 - zaprotestował Caesar. - To gówno jest niebezpieczne i musiałbym mieć trochę czasu, żeby je zdobyć.

- To byłoby zbyt oczywiste. - Creel pochylił się i spojrzał prosto w oczy Caesara. - Ale był kiedyś taki bułgarski dysydent, Georgi Marków, który, jak na ironię, został zamordowany za pomocą parasola. Mam nadzieję, że znasz tę historię?

Caesar uśmiechnął się szelmowsko.

- Oczywiście.

- Więc zrób to.

Creel machnął ręką i Caesar zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

- Miło mi to słyszeć - odparł lodowatym tonem miliarder.

- Jeden artykuł pani James dokonał więcej niż wszystkie nasze dotychczasowe wysiłki - dodał Pender. - Nigdy wcześniej nie widziałem tak rozgorączkowanych mediów. Nigdy.

- Zaczekajmy na koniec tej historii.

- Niech zobaczę, chodzi o to, że Phoenix Group należy do Chińczyków - rzekł Pender, zaglądając do notatek. - I o znalezienie w siedzibie firmy materiałów świadczących o jej zaangażowaniu w kampanię „czerwona panika”, które policja, bojąc się kryzysu międzynarodowego, po prostu ukryła. - Pender przeczytał to, jakby mówił o liście zakupów na następny dzień. Spojrzał na Creela i uśmiechnął się. - To będzie prawdziwy przebój. Jeszcze nigdy nie zaszedł pan tak wysoko, i to wcale nie jest pusty komplement.

- Tego wymaga sytuacja, Dick - odpowiedział Creel. - Jak szybko możesz to rozpowszechnić?

- Wystarczy jedno pańskie słowo i ta relacja znajdzie się na wszystkich stronach internetowych. Pięć minut później wszystkie ważniejsze stacje będą się nią zajmować.

- Jesteś pewien, że nie wystraszą się albo nie spróbują sprawdzać u źródła?

Pender roześmiał się.

- Sprawdzać? W dzisiejszych czasach? Kto myślałby o sprawdzaniu? Chodzi tylko o prędkość przekazu. Kto pierwszy, ten lepszy. Sam pan to wie.

- W takim razie do dzieła.

Pender wystukał na klawiaturze swojego palmtopa jedno słowo. *Ognia*. Pisząc, wypowiedział je na głos.

- Pomyślałem o haśle odpowiednim dla kogoś z branży zbrojeniowej - powiedział z uśmiechem do Creela.

- Jestem wzruszony - odparł głucho Creel.

Obaj mężczyźni pracowali jeszcze kilka godzin, w końcu Pender zaczął pakować swoją teczkę.

- Co dalej? - zapytał miliardera.

- Kolejna akcja - odparł Creel. - Miłej podróży do Waszyngtonu. Aha, jeszcze jedno, Dick. Kiedy podpiszemy oficjalnie kontrakty z Rosją i Chinami, otrzymasz specjalny bonus.

Pender nie potrafił ukryć zadowolenia.

- Ja tylko robię, co do mnie należy.

- Czy to znaczy, że nie chcesz ekstrapremii?

Obaj roześmiali się, tylko że Pender nieco nerwowo.

- Dziękuję, panie Creel.

Kiedy Pender wyszedł, otworzyły się drugie drzwi do sali konferencyjnej. Naprzeciw swojego szefa usiadł Caesar.

## ROZDZIAŁ 66

Shaw patrzył w milczeniu, jak ludzie Royce'a przeszukują miejsce zbrodni w poszukiwaniu śladów. Agent MI 5 poszedł na jakieś spotkanie, zostawiając Shawa, który zastanawiał się, czy sprawy mogą potoczyć się jeszcze gorzej. Royce był wściekły z powodu artykułu Katie James, ale nie winił za to Shawa, który nie wspomniał mu słowem o swoich związkach z dziennikarką i Aaronem Leśnikiem.

Ciało Leśnika wyłowiono z Tamizy. W mózgu wciąż tkwił pocisk, który zakończył jego życie. Jedno było pewne - nie odpowie już na żadne pytanie. *Czy Katie też była już martwa?*

W głębi korytarza pojawił się Frank i podszedł do Shawa.

- Nie mówiłeś mi, dokąd pójdziesz po wyjściu z mieszkania Anny.

- Zgadza się, nie mówiłem.

- Czy to miało coś wspólnego z Katie James albo jej informatorem?

- Nie umawiam się na randki z tą kobietą, Frank.

- Pewnie. To skąd, do diabła, wzięła ten artykuł z Polakiem w roli głównej? I kto go zabił?

- Nie mam pojęcia - odparł ponuro Shaw, widząc gniewne spojrzenie Franka.

Obok przeszedł technik kryminalistyczny, którego Shaw widział po raz pierwszy. Chwilę wcześniej słyszał, jak na dole zamknęły się drzwi frontowe.

- Przepraszam. Chciałbym skorzystać - powiedział technik. Shaw spojrział przez ramię i zdał sobie sprawę, że stoi w drzwiach łazienki. Odsunął się na bok i mężczyzna chwycił za klamkę.

Na schodach dało się słyszeć kroki. Shaw usłyszał wrzask Royce'a. Agent był na kogoś wściekły i jak Shaw zdążył się zorientować, tym kimś był on.

Technik szarpał się z klamką, a korytarzem przechodził akurat sierżant w policyjnym mundurze, który pełnił tu służbę od chwili zbrodni.

- Chyba jesteś tu nowy - odezwał się sierżant. - Musisz skorzystać z kibla na parterze, chłopcze. Ten jest zepsuty.

Shaw słyszał teraz wyraźnie krzyki Royce'a.

- Shaw! Shaw, do cholery!

U szczytu schodów pojawił się zziębnięty i czerwony na twarzy agent. Zaczął wymachiwać w kierunku Shawa kartką papieru.

- Możesz mi powiedzieć, co to znaczy?! - wrzeszczał Royce.

Shaw przeczytał. Był to wydruk z internetowego serwisu informacyjnego. Artykuł był krótki, ale treściwy. Rząd chiński był właścicielem albo miał powiązania z Phoenix Group. Siady odnalezione w budynku miały świadczyć o tym, że firma stała za kampanią „czerwona panika”, co oznaczało oczywiście, że w całą sprawę zamieszani są Chińczycy. Właśnie dlatego zdaniem niewymienionego z nazwiska redaktora ludzie Gorszkowa zaatakowali. Wy tłumaczenie było proste i logiczne.

- Pełno jest tego w sieci! - krzyczał Royce, wskazując palcem Shawa. - A teraz wie już o tym cały świat.

Frank przeczytał tekst przez ramię Shawa.

- A dlaczego to miałyby być jego wina?

- To nie ja sprzedałem tę informację dziennikarzom - powiedział spokojnie Shaw. - Nikomu nic nie mówiłem o tym, czego się tu dowiedziałem.

Wyraz twarzy Royce'a wskazywał, że nie wierzy w ani jedno jego słowo.

- Nawet swojej przyjaciółce James?

- Nie wiem, o czym mówisz! - zawołał rozgorączkowany Shaw.

- Zaprzeczysz, że ją znasz? Shaw zawahał się.

- I tak znam odpowiedź, więc nie próbuj kłamać.

- Skąd wiesz? - zapytał beznamiętnie Shaw i spojrzał z zainteresowaniem na sierżanta.

- Bo mam swój rozum, oto dlaczego.

- Nie zauważyłem tego wcześniej. Poza tym nie mam pojęcia, gdzie ona... - Shaw zamarł na widok mijającego go i schodzącego po schodach technika.

Teraz na Royce'a natarł Frank.

- Jeśli masz problemy z przeciekami, Royce, to może najpierw porozmawiasz ze swoimi ludźmi? Nie ma takiej możliwości, żeby to Shaw był źródłem przecieku.

- Nie wierzę, żeby którykolwiek z moich chłopców miał z tym coś wspólnego - odparł z oburzeniem Royce.

Podczas gdy Frank i Royce spierali się, Shaw złapał za rękaw sierżanta i zapytał go po cichu:

- Od jak dawna ta toaleta jest zepsuta? Sierżant uśmiechnął się ze znużeniem.

- Odkąd tu jesteśmy, sir. To duża niedogodność. Była zamknięta na klucz. Pękła jakaś rura. Sprawdziłem to, kiedy udało mi się w końcu otworzyć drzwi. To stary budynek.



Wygląda na to, że nie zdążyli tego naprawić. Dlatego znowu ją zamknąłem na klucz. Teraz faceci muszą chodzić na parter, bo na pierwszym piętrze jest tylko toaleta dla kobiet. Ale i tak niektórzy chłopcy tam chodzą. Ale to przecież nie ma teraz żadnego znaczenia, prawda?

- A gdzie dokładnie jest damska toaleta na pierwszym piętrze?

- Na samym końcu korytarza.

Shaw przeszedł się korytarzem i zobaczył na drzwiach plakietkę: William Harris. Potem zerknął na pokój, w którym stała kopiarka. Znajdował się w połowie drogi pomiędzy gabinetem Harrisa a zamkniętą toaletą.

Korytarzem szedł Royce, a za nim dreptał Frank.

- Shaw? - zawołał Royce. - Powiedz prawdę!

Shaw spojrział w zamyśleniu na schody. Nawet jeśli Leśnik się przejęzyczył i skorzystał z łazienki na parterze albo z damskiej na pierwszym piętrze, to jego opowieść nie trzymała się kupy. Katie mówiła, że usłyszał strzały, kiedy wychodził z toalety. Bandyci byli już na pierwszym piętrze. Gdyby wracał z łazienki na parterze albo na piętrze, musiałby na nich wpaść. I już by nie żył. On wcale nie ukrył się w szafce pod kopiarką. Prawdopodobnie nigdy nie był w tym budynku.

*A wszystko to wydało się dzięki przeciekowi.*

Zbiegł po schodach na dół, zostawiając za sobą przeklinającego Royce'a. Wykręcił numer telefonu, który zostawiła mu Katie.

- No, odbierz, odbierz ten cholerny telefon. - Telefon zadzwonił trzy, cztery, pięć razy. Shaw był już pewien, że odezwie się poczta głosowa.

*Psiakrew!*

- Halo?

Poczuł niebywałą ulgę, słysząc jej głos.

- Leśnik kłamał - powiedział.

- Co?

- W dniu zabójstwa toaleta na drugim piętrze była zepsuta, a drzwi do niej zamknięte. Musiałby skorzystać z toalety na parterze albo z damskiej na pierwszym piętrze. A wtedy wpadłby w ich łapy. Wszystko, co mówił, było kłamstwem. Zostałaś wrobiona, Katie.

Po drugiej stronie panowała cisza. Zastanawiał się, czy nie odłożyła słuchawki.

- Jesteś pewny? - zapytała wstrząśnięta.

- I tak nieźle go przygotowali. Ale gdyby nie zapomnieli sprawdzić, czy kibel działa, i odrobina szczęścia, nigdy bym na to nie wpadł.

- Więc cały mój artykuł... to stek kłamstw? - wyjęczała z niedowierzaniem.

- Gdzie jesteś?

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. A mówiłam temu idiocie Gallagherowi, że nie mam potwierdzenia.

- Katie, gdzie jesteś?

- Dlaczego pytasz?

- Bo teraz, kiedy już napisałaś artykuł, stałaś się niepotrzebna.

- Jestem bezpieczna.

- Wcale nie jesteś! Na pewno wiesz, gdzie się ukrywasz. Powiedz mi. Podała mu swój adres.

- Nie otwieraj nikomu drzwi. I bądź gotowa do ucieczki.

Wybiegł na środek ulicy, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, wyciągnął z fotela zaskoczonego pasażera, wskoczył do środka i podał zdumionemu kierowcy adres. Drobnej postury taksówkarz rzucił tylko krótkie spojrzenie na potężnego Shawa i bez słowa ruszył z miejsca.

## ROZDZIAŁ 67

Minęło zaledwie dwadzieścia minut od telefonu Shawa, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych Katie. Podbiegła do drzwi i zawołała do słuchawki domofonu:

- Shaw?

- Tak.

Nacisnęła przycisk zwalniający zamek i nagle zamarła. Czy to na pewno był jego głos? Była tak podekscytowana, że...

Na dole usłyszała miarowe kroki. Nie brzmiały jak...

Zamknęła drzwi na zasuwę, chwyciła w pośpiechu zapakowaną torbę i bezradnie rozejrzała się wokół, szukając innego wyjścia. Było tylko jedno. Okno wychodzące na tylną uliczkę.

Otworzyła je i wyjrzała. Znajdowała się na pierwszym piętrze. Na filmach zawsze widziała jakieś schody przeciwpożarowe albo stertę śmieci na dole, ale rzeczywistość nie była tak różowa. Nie miała czasu na wiązanie liny z prześcieradeł. Na dodatek przy ulicy na zdezelowanej ławce siedział jakiś wielki facet w dżinsach i swetrze i czytał gazetę.

- Stawiam sto funtów, że mnie nie złapiesz! - zawołała.

- Przepraszam? - Mężczyzna zadarł głowę i spojrzał na nią zaskoczony.

Wdrapała się na parapet, zarzuciwszy sobie wcześniej na ramię torbę.

- Ja skaczę, ty mnie łapiesz. Rozumiesz?

Facet rzucił gazetę i wstał, rozglądając się wokół, jakby sprawdzał, czy ktoś nie robi sobie z niego żartów.

- Naprawdę zamierzasz skoczyć?

- Nie upuść mnie!

- Dobry Boże! - Tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić.

Za drzwiami prowadzącymi do pokoju Katie już ktoś stał. Usłyszała, jak przybysz napiera na drewniane drzwi. Przez nieskończenie długą chwilę miała przed oczami obraz Anny Fischer stojącej tak jak ona na parapecie, kiedy kule ugodziły ją w plecy. Gdyby Anna wtedy wyskoczyła odrobinę wcześniej...

- Lecę! - zawołała do biegającego w kółko z rozpostartymi ramionami mężczyzny pod oknem. - Tylko mnie złap! - dodała.

Wyskoczyła i chwilę później tworzyli wraz z nieznanym mężczyzną plątaninę rąk i nóg na trawniku. Katie podniosła się cała i zdrowa, jeśli nie liczyć zadrapania na ramieniu i rozciętej łydki. Wcisnęła mężczyźnie do ręki pięć dwudziestofuntowych banknotów, cmoknęła go w policzek i zaczęła uciekać.

Skręciła za róg i biegła byle dalej od pensjonatu. Nie oglądała się za siebie, więc nie widziała, że mężczyzna ruszył za nią. Nie widziała też, jak drugi mężczyzna wybiegł z pensjonatu, ale czuła za plecami ich obecność. Może powinna zacząć krzyczeć? Wokół było sporo ludzi. A jeżeli napastnicy mieli broń? Przecież biednego Leśnika zabili w obecności tłumów. Rozpaczliwie szukała wzrokiem policjanta, ale w pobliżu nie było żadnego.

Nie spostrzegła trzeciego mężczyzny, który znajdował się przed nią. Znajdował się tam na wypadek, gdyby pierwszym dwóm coś nie wyszło. Z rękawa płaszcza wyjął strzykawkę i tak uzbrojony ruszył w jej stronę.

## ROZDZIAŁ 68

Taksówka skręciła i Shaw zaczął się rozglądać. W pewnym momencie spostrzegł Katie. Była przerażona. Biegła. Dostrzegł goniącego ją mężczyznę, ale przecież mogło ich być więcej.

W pewnej chwili zobaczył, jak promienie słońca odbijają się od jakiegoś przedmiotu w dłoni mężczyzny. Wyskoczył z jadącej taksówki i ruszył naprzód.

Katie dzieliły od mężczyzny już tylko centymetry. Cofnął rękę i zamierzył się, celując strzykawką w brzuch Katie.

Katie tylko jęknęła, widząc, jak zbliżający się do niej mężczyzna leci w bok popchnięty przez jakiegoś wielkoluda. Poczowała, jak coś prześlizguje jej się po rękę. Spojrzała w dół i zobaczyła igłę strzykawki, która o centymetr minęła jej skórę. Potem zobaczyła, jak Shaw, trzymając mężczyznę za rękę, kieruje ją w stronę jego piersi. Mężczyzna z przerażeniem spojrzał na wbitą i opróżnioną już strzykawkę, odepchnął Shawa i zaczął uciekać. Ale środek już zaczął działać i zdrętwiały mu wargi. Caesar nie zdecydował się na rycynę, truciznę, którą zabito Georgi Markowa. W ciele mężczyzny znalazła się teraz tetradotoksyna, substancja dziesięć tysięcy razy silniej działająca niż cyjanek, na którą nie było antidotum.

Mężczyzna umrze w ciągu dwudziestu minut.

Shaw złapał Katie za rękę i oboje pobiegli w kierunku Euston Station, wsiedli do metra, dojechali na King's Cross i tam złapali taksówkę. Shaw kazał kierowcy jechać przed siebie i dopiero wtedy przyjrzał się uważnie Katie.

Podczas biegu i jazdy metrem nie odezwała się do niego ani słowem. Do głowy przysłała mu straszna myśl. - Ta strzykawka... Nie...

Położyła na jego ramieniu drżącą dłoń.

- Nie. Dziękuję. Skąd wiedziałeś?

- Odrobina szczęścia. - Usiadł wygodniej.

- Więc to jest ta trzecia strona konfliktu? Pokiwał głową.

- Tak, to była ta trzecia strona.

Wyjrzała przez okno przebijającej się przez londyńskie korki taksówki. Szybko zapadał zmrok.

- Dokąd jedziemy? Nie odpowiedział.
- Shaw?
- Słyszę. Po prostu nie wiem.
- Przepraszam, że nie posłuchałam cię w sprawie Leśnika.
- Ja też cię przepraszam.
- Nie powinnam była pisać tego artykułu.
- Owszem, nie powinnaś.
- Załatwili nas, co?
- Na to wygląda. Przecież mówiłem ci, żebyś nie ruszała się z miejsca.
- Oni weszli do pensjonatu. Musiałam uciekać. - Jak się stamtąd wydostałaś?

Katie zamilkła. Nie chciała mu mówić, że wyskoczyła przez okno i przeżyła. W przeciwieństwie do Anny.

- Tylnymi drzwiami. Masz jakiś plan?
- Mam cel. Pozostać żywy. Na plan przyjdzie pora później.
- Teraz to jasne, że Leśnik pracował dla nich. Zabili go, a teraz próbowali zabić mnie.

Jakoś nakłonili „Scribe’a”, żeby mnie wynajęli, i podsunęli mi Leśnika. Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Cholera!

- Czy Leśnik powiedział coś, co mogłoby nas doprowadzić do tych, którzy go wykorzystali?

Potrząsnęła głową.

- Nic. Sprawdziłam jego życiorys. Wszystko się zgadzało. Wydawał się mówić prawdę. Jego ojca faktycznie zabili Sowieci. Pewnie ich za to nienawidził, a ci ludzie to wykorzystali.

- To nas ani o krok nie zbliża do odkrycia prawdy.

- Żeby dowiedzieć się, o co tu naprawdę chodzi, musimy zejść do podziemia. -

Spojrzała na Shawa. - Znasz kogoś, kto mógłby nam pomóc?

Shaw trzymał już w ręku telefon.

- Chyba tak.

## ROZDZIAŁ 69

To powinien być jeden z najszcześniejszych dni w karierze Nicolasa Creela. Po latach pracy i wywołaniu ostatnio poważnego kryzysu międzynarodowego skłonił rządy zarówno Rosji, jak i Chin do podpisania z Ares Corp. i spółkami podległymi kontraktów na kwotę pół biliona dolarów, a w przyszłości miało być tego znacznie więcej. Było to wyraźne świadectwo scentralizowania handlu bronią. Okazuje się, że państwa znajdujące się w konflikcie zamierzają kupować uzbrojenie z tego samego źródła. Ares pozostawał tu neutralny.

W pomyślnym zakończeniu negocjacji dopomógł fakt, że prezydent Gorszkow wysłał do Pekinu wyrażone w ostrych słowach żądanie publicznych przeprosin. Zażądał także pieniędzy, grubych miliardów, jako rekompensaty za nadszarpnięcie reputacji Rosji na arenie międzynarodowej. Pekin, w czym nie było nic dziwnego, nie zgodził się na to. W równie ostrym tonie odpowiedział Moskwie, że Chiny nigdy nie były zaangażowane w kampanię „czerwona panika” i niczego nie są Rosji winne. Jak było do przewidzenia, stosunki pomiędzy obydwojma mocarstwami uległy gwałtownemu ochłodzeniu.

Do politycznej gry włączyły się inne państwa, próbując znaleźć jakieś pokojowe rozwiązanie sporu. Główną rolę odgrywały oczywiście Stany Zjednoczone, ale ponieważ Chiny właściwie finansowały amerykańską konsumpcję, wykupując jej dług publiczny, Waszyngton miał niewiele do powiedzenia. Z tego samego powodu Rosja oskarżała Amerykanów, że siedzą w kieszeni Chińczyków. W konsekwencji amerykański ambasador w Rosji został poproszony, by trzymał się z daleka od tego sporu albo zaczął pakować swoje walizki.

Próbie mediacji podjęła też Francja, ale Gorszkow nawet nie odpowiedział na telefon prezydenta Francji. Niemcy zachowywały milczenie, nie chcąc się znaleźć ponownie za żelazną kurtyną czy w tytanowej trumnie. W najdelikatniejszej sytuacji znalazła się Wielka Brytania. Jeżeli masakry w Londynie dokonali Rosjanie, a Chińczycy kierowali kampanią „czerwona panika” z Londynu, biedni Brytyjczycy nie wiedzieli, jaka powinna być ich rola w całym sporze. Kiedy zaczęli rozmawiać z Chinami kanałami dyplomatycznymi, komuniści stanowczo odrzucili jakiegokolwiek oskarżenia pod swoim adresem, dając rządowi brytyjskiemu do zrozumienia, że dalsza dysputa na ten temat jest pozbawiona sensu.

Cały świat zaczął się szykować do trzeciej wojny światowej. Wiceprzewodniczący zarządu Ares Corp. przesłał do Creela e-mail, w którym twierdził, że firma dokona największego interesu w historii handlu bronią. Cóż za wspaniały zbieg okoliczności z tą „czerwoną paniką”, dodał w swoim liście.

Creel przeczytał wiadomość raz, a potem ją skasował. Rzeczywiście, coś za cudowny zbieg okoliczności. Creel zapamiętał, że musi znaleźć nowego kandydata na wiceprzewodniczącego na miejsce tego idioty.

Powróciły czasy zimnej wojny. Dzięki kilku właściwym posunięciom i dobremu planowaniu Creel zmienił układ sił na świecie. Bliski Wschód próbował od razu wykorzystać sytuację i przypomniał o sobie światu, wysadzając w powietrze meczet w Bagdadzie, sklep w Ankarze i zabijając osiemdziesięciu cywilów, w tym dwóch obywateli amerykańskich. Odpowiedź reszty świata była jednoznaczna: „Nie zwracajcie nam głowy, mamy ważniejsze problemy. Za chwilę mogą zginąć miliony!”.

Jak na ironię, Creel sprawił, że świat, wstępując na wojenną ścieżkę, stał się bardziej ucywilizowany. Taki był zresztą jego plan. *Nie dopuścić do strzelaniny. Zarobić duże pieniądze. Pokazać dzikusom, gdzie jest uh miejsce. Trzy cele, wszystkie osiągnięte.*

Właściwie nigdy nie chodziło mu o pieniądze. Chodziło mu raczej o świat. Nicolas Creel właśnie go ocalił. Mimo to coś poszło nie tak.

Stał teraz na malowniczej włoskiej ziemi, przed nim rozciągało się urocze wybrzeże Morza Śródziemnego. Obok niego stała matka przełożona w olśniewająco białym habicie. Cała promieniała, patrząc na plany nowego sierocińca, który zastąpiłby stary, zbudowany tuż po drugiej wojnie światowej, kiedy po świecie błąkało się mnóstwo sierot.

- Jest piękny - zachwycała się matka przełożona. - Jest pan wspaniałym człowiekiem, Nicolas.

- Proszę, matko przełożona. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Będzie mi lżej na duszy, jeśli dzieci będą się cieszyć ze swojego nowego domu - powiedział płynnie po włosku.

Creel znał wiele języków; uczył się ich tylko po to, żeby łatwiej mu było robić interesy. Łatwiej było zawrzeć kontrakt, jeśli można było powiedzieć choćby „proszę” czy „dziękuję” w ojczystym języku klienta.

Tak, to powinna być chwila wielkiego triumfu Creela, który rozglądał się po okolicy, gdzie miał stanąć nowy sierociniec. Ale nie była. Z jednego tylko powodu.

Z Londynu przyleciał Caesar i natychmiast trafił na pokład *Shiloh*. Katie James wymknęła im się. Zamiast niej trucizna zabiła jednego z ludzi Caesara. A wszystko to stało się za sprawą Shawa, człowieka, który miał takie same oczy jak Creel.



Ludzie Creela donieśli mu, że dwadzieścia minut przed pojawieniem się w mieszkaniu James Shaw wybiegł jak poparzony z budynku Phoenix Group. Najgorsze było to, że Creel nie miał pojęcia dlaczego.

Po raz pierwszy od bardzo dawna znajdujący się na czternastym miejscu na liście najbogatszych ludzi świata Creel poczuł ukłucie strachu. Nicolas Creel nie uważał się za człowieka nieomylnego. Zdawał sobie sprawę, że nie wie wszystkiego, potrafił jednak szybko zmieniać plany, dostosowując się do sytuacji.

Pochłoniętego takimi myślami Creela matka przełożona objęła nagle, zraszając łzami poły jego marynarki.

- Niech pana Bóg błogosławi - szepnęła mu do ucha.
- Matko przełożona, czy mogę o coś prosić?
- Proś, mój synu.
- Czy może się za mnie matka pomodlić?

# ROZDZIAŁ 70

Shaw i Katie ukryli się w niewielkim domku pod Londynem niedaleko Richmondu, przygotowanym dużo wcześniej przez Shawa na bezpieczne schronienie. W nocy odwiedził ich gość, Włoch mówiący z holenderskim akcentem. To był ten sam człowiek, który prowadził ulubioną restaurację Shawa w Amsterdamie. Przywitał się uprzejmie z Katie, a potem kiwnął głową przyglądającemu mu się badawczo Shawowi.

- Jak tu dotarłeś? - zapytał Shaw.

- Pociągiem. Tak było bezpieczniej.

Shaw pokiwał głową ze zrozumieniem, a Katie patrzyła na nich zaciekawiona.

- Masz to?

Mężczyzna wyjął z kieszeni niewielką paczuszkę i wręczył ją Shawowi. Ten chciał mu dać w zamian zwitek euro, ale mężczyzna odepchnął jego rękę.

- Przynajmniej na pokrycie wydatków - powiedział Shaw.

- Jak to się skończy, przyjedź do Amsterdamu. Tam wydasz pieniądze na dobre jedzenie i kiepskie wino.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i mówiący po holendersku Włoch zniknął.

Shaw schował zawiniątko do kieszeni i spojrzął na oczekującą na wyjaśnienia Katie.

- Powiesz coś? - zapytała. - Nie.

Następnie zadzwonił do Franka i opowiedział mu o całym zdarzeniu. Po długich wyjaśnieniach Shawa reakcja Franka była krótka i celna.

- Cholera jasna!

- Spodziewałem się czegoś bardziej pomocnego.

- A czego ode mnie oczekujesz? Nie masz żadnego dowodu i nie wiesz, kto jest tą trzecią stroną.

- Więc przerzuć mnie do Dublina, to się dowiem.

- Dlaczego do Dublina?

- Muszę się tam zobaczyć z kilkoma osobami.

- Na przykład z kim? Z Leona Bartaromą w zamku Malahide? Wiem, że ją odwiedziłeś.

- Do twojej informacji, jest tu ze mną Katie James.

- Szczęściarz z ciebie.

- To jak, możesz mnie przerzucić do Dublina?

- Słuchaj, i tak długo musiałem przekonywać tych na górze, że dołączenie cię do MI 5 było dobrym pomysłem. Jak się teraz dowiedzą, że się ulotniłeś, wszystkie umowy tracą ważność.

- Przerzuć mnie do Dublina.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że nie spotkasz się z Leona.

- Zgoda.

Następnego dnia stary autobus zawiózł ich z Londynu do Walii. Potem skryli się w zawilgoconej ładowni holownika płynącego do Irlandii. W czasie podróży Katie przez godzinę wymiotowała do starego kubła, a Shaw nie nadążał z podawaniem jej chusteczek do wycierania twarzy.

Kiedy już nie miała czym wymiotować, usiadła.

- Widzę, że jesteś zupełnie odporny na kołysanie. Ja jestem raczej szczurem lądowym.

- Niestety nie mogliśmy popłynąć luksusowym promem; zbyt wielu ludzi cię szuka.

- Wszyscy chcą stać się sławni, dopiero potem widzą, że to nic przyjemnego.

- Niedługo będziemy na miejscu.

- Dobrze wiedzieć - powiedziała Katie, trzymając się jedną ręką za obolały brzuch. - A jak będziemy na miejscu, to co dalej?

- Spotkamy się z kimś, kto pomoże nam ukryć się głęboko pod ziemią. Zmienimy wygląd i dokumenty.

- A potem?

- A potem zastanowimy się nad następnym krokiem.

Shaw wyjrzał przez bulaj. Holownik zwolnił, kołysanie stało się słabsze. Minęli falochron i wpływali do portu.

- Idziemy.

Katie wstała ostrożnie, niepewna, czy zdoła utrzymać się na nogach. Zarzuciła torbę na ramię.

- Shaw? Czy my umrzemy?

- Prawdopodobnie tak. Dlaczego pytasz?

- Chciałam potwierdzenia.

# ROZDZIAŁ 71

W porcie złapali taksówkę i mijając po drodze kilka wiosek, dotarli do Dublina. Było chłodno i siąpił deszcz. Nawet mijane przez nich puby świeciły pustkami. Kiedy Katie zobaczyła przez okno jednego z pubów wesole płomienie w kominku i mężczyznę sączącego piwo, nie odczuła naglej potrzeby dołączenia do jego towarzystwa. Wyzwolila się z alkoholizmu. Teraz jej uwaga była skupiona na końcu świata.

Przed wyjazdem do Irlandii Katie zadzwoniła do Kevina Gallaghera i wyjaśniła mu, że jej informator najprawdopodobniej kłamał.

- Masz na to pewny dowód? - zapytał Gallagher.

- Nie.

- Czy masz dowód, że fakty, które przedstawiłaś w artykule, są nieprawdziwe?

- Nie, nie mam.

- W takim razie obstajemy przy swoim.

- Nawet jeśli ja tego nie zrobię?

- To jest najlepszy artykuł, jaki kiedykolwiek się ukazał, Katie, dlatego będę udawał, że tej rozmowy nigdy nie było, i tobie radzę zrobić to samo. - Gallagher rozłączył się.

- Sukinsyn! - wrzasnęła Katie. - Nienawidzę redaktorów. Wysiedli z taksówki i dalej szli w deszczu. Katie rozglądała się wokół.

- Czy to uniwersytet? Shaw skinął głową.

- Chodźmy.

Skręcili w boczną uliczkę.

Zastukał do drzwi, na których wisiała tabliczka.

- Księgarnia Maggie? - odczytała Katie.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka, korpulentna kobieta.

Kiedy weszli i zamknęły się za nimi drzwi, Katie zobaczyła pomieszczenie, w którym wszystkie cztery ściany zajmowały książki. Ratowali swoje życie, przez Shawa rzygała jak kot całą drogę, a on teraz zaprowadził ją do jakiejś księgarni w ponurym Dublinie?

Kobieta nie przedstawiła się Katie, ona jej też nie. Domyśliła się tylko, że to jest właśnie Maggie.

- Przykro mi z powodu Anny - powiedziała Maggie. Zaprowadziła ich schodami na górę do pokoju, który przypominał garderobę teatralną.

- Usiądźcie, proszę. - Wskazała obrotowe krzesło stojące naprzeciw wielkiego lustra. Katie usiadła, a kobieta chwyciła jedną ręką pukiel jej włosów, a drugą sięgnęła po nożyczki.

Katie zerwała się z krzesła.

- Co ty chcesz zrobić?

- Nie powiedziałaś jej?

- Czego mi nie powiedział? - zapytała Katie, spoglądając na Shawa.

- O obcięciu włosów - odparł Shaw i skinął głową w stronę kobiety. - Skróć je i zmień kolor. Potem możesz mnie ogolić na łyso.

Godzinę później Katie była brunetką z nastroszonymi włosami, oczy zmieniły kolor z niebieskich na brązowe, skóra twarzy pociemniała, oczy zaokrągliły się, a usta zwężyły. Miała na sobie luźne ubranie, które dodawało jej dziesięć kilogramów.

Shaw nie mógł zmniejszyć swojego wzrostu, ale stracił włosy, miał teraz wąsy i kozią bródkę, bulwiasty nos i bladobrazowe oczy zamiast błękitnych. Katie nie mogła go poznać.

Kobieta zaprowadziła ich do drugiego pokoju, który był urządzonej jak studio fotograficzne.

- Nieźle sobie dorabia obok księgarni - szepnęła Katie do Shawa. Kobieta zrobiła zdjęcia i dwie godziny później oboje mieli nowe paszporty, prawa jazdy i inne oficjalne dokumenty, zgodnie z którymi byli małżeństwem mieszkającym na przedmieściach Londynu. Shaw podziękował kobiecie i zapłacił.

- Życzę wam powodzenia - powiedziała na pożegnanie.

- Będziemy go bardzo potrzebowali, skarbie. A może się jeszcze pomodlisz o cud? - rzuciła Katie, kiedy zamknęły się za nimi drzwi księgarni.

- Dokąd teraz? - zapytała, kiedy szli ulicą.

- Zdrzemniemy się trochę, a rano mam umówioną wizytę u lekarza.

- Wizytę u lekarza? - zapytała sceptycznie.

- Powiedzmy sobie to wprost. Nie zamierzam cię o wszystkim informować.

- Świetnie. Rozumiesz zatem, że to działa w obie strony.

- No to ustaliliśmy zasady. - Przyspieszył kroku tak, że musiała go gonić.

# ROZDZIAŁ 72

Zameldowali się w hotelu jako małżeństwo i wzięli jeden pokój. Shaw powiedział Katie, że nie chce jej nawet na chwilę zostawiać samej.

- Raz o mało cię nie dopadli, na pewno spróbują znowu.

Zamówili coś do jedzenia, ale Katie zjadła tylko kromkę chleba i wypła herbatę. Potem usiedli naprzeciwko siebie przy niewielkim stoliku, żeby przedyskutować sytuację.

- Nadal nie rozumiem - zaczął Shaw - dlaczego wzięli na cel Phoenix Group.

- Bo należała do Chińczyków - odpowiedziała Katie, odstawiając filiżankę z herbatą i wpatrując się w padający za oknem deszcz.

- W Londynie mnóstwo rzeczy należy do Chińczyków. Zresztą dlaczego Londyn?

- To był zespół ekspertów.

- I co z tego?

- Sam mówiłeś, że podrzucili materiały dotyczące „czerwonej paniki”. Grupa tęgich głów pracująca w sekrecie nad kampanią oczerniającą Rosję, to brzmi wiarygodnie. Co mieli zaatakować? Budkę z chińskim żarciem?

- Więc przypadkiem natknęli się na Phoenix Group, dowiedzieli się, że firma należy do Chińczyków, i potem wysłali tam egzekutorów?

- Musiał być jakiś czynnik inicjujący. Może kogoś stamtąd znali? Może chodziło o jakiś projekt, którym się zajmowała Phoenix Group? Na pewno byli obserwowani. Kiedy tam byłam, przez budynek przewijało się mnóstwo ludzi. Trzeba sprawdzić...

Zamilkła nagle, gdy przez głowę przebiegła jej okropna, wprost przerażająca myśl. Spojrzała na Shawa. Z jego miny wywnioskowała, że jemu też to przyszło do głowy.

- Oni widzieli tam ciebie - powiedział zdenerwowany.

- Tak, mogli mnie widzieć - odparła Katie szeptem. - Chcieli mnie wykorzystać i wybrali Phoenix Group ze względu na moje powiązania z Anną. A potem jeszcze odkryli, że firma należy do Chińczyków.

- To tylko jeden z możliwych powodów. - Słysząc było wyraźnie, że sam nie wierzy w to, co mówi.

- Niestety, przypuszczam, że to prawda. Odłożyła filiżankę i spojrzała na łóżko.

- Jestem bardzo zmęczona. Ty śpisz na łóżku, ja na podłodze.

- Nie, to ja śpię na podłodze.

- Shaw!

- Kładź się do łóżka, Katie. To był długi i ciężki dzień. Oboje jesteśmy wykończeni.

Katie przebrała się w łazience i wślizgnęła pod kołdrę. Shaw już leżał na podłodze przykryty kocem. Katie zgasiła światło. Kilka minut później szepnęła drżącym głosem:

- Przykro mi.

Nie doczekała się odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 73

Kiedy nastał świt, Shaw podniósł się, pochylił nad łóżkiem i spojrzał w szeroko otwarte oczy Katie były zaczerwienione i opuchnięte, co oznaczało, że nie spała.

- Muszę ci coś powiedzieć - szepnęła, owijając się prześcieradłem.

- Katie, nie musisz... Położyła rękę na jego ramieniu.

- Proszę, pozwól mi to wreszcie z siebie wyrzucić. Czekał, patrząc jej w oczy.

- Robiłam to dla artykułu. Nawet lecąc do ciebie do szpitala, myślałam o tym, jak wrócić na ścieżkę kariery. Potem dostałam to zlecenie i przyjechałam do Londynu. Czułam, że jestem na dobrej drodze. - Spuściła wzrok, gniotła w dłoni prześcieradło, drżały jej usta. - Nie zasługuję na miano człowieka. Kiedyś byłam, ale sama już nie pamiętam, kiedy przestałam zachowywać się jak istota ludzka... Przepraszam...

- Katie, jesteś reporterką. Masz to we krwi.

- To mnie nie usprawiedliwia. Jestem kupą gówna, zapamiętaj to sobie.

- W porządku, jesteś kupą gówna. Ale skoro mamy pracować razem, to musimy sobie ufać.

- Ja ci ufam. Problem w tym, że to ty mi nie ufasz. Nie winię cię za to.

- Nie nauczono mnie ufać ludziom, ale popracuję nad tym. Poza tym potrzebna mi twoja pomoc. Czasami widzisz coś, czego ja nie dostrzegam. Niewielu znam takich ludzi. - Zdobył się na słaby uśmiech.

Też się uśmiechnęła; mała odwilż w ich stosunkach nappełniła ją prawdziwą radością.

- Idę wziąć prysznic. A ty w tym czasie wskakuj do łóżka. Musiałeś zupełnie zeszywnieć na tej podłodze.

Shaw położył się. Słuchał odgłosów dochodzących z łazienki. Łóżko było jeszcze ciepłe, ogrzane ciałem Katie. Zamknął oczy. Następną rzeczą, jaką pamiętał, był zapach kawy, bekonu i jajek.

Usiadł na łóżku i rozejrzył się. Katie, ubrana, siedziała przy stoliku. Nalała kawy i podała mu filiżankę.

- Która godzina? - zapytał.

- Ósma trzydzieści. Powoli pił kawę.

- Jesteś głodny?



Pokiwał głową, wstał i usiadł naprzeciw niej.

- Powinnaś była mnie obudzić, kiedy wyszłaś z łazienki.

- Tak było wygodniej. - Mogłam się ubrać tutaj, a nie w ciasnej łazience. Wiesz, ten pomysł z małżeństwem staje się kłopotliwy - powiedziała, patrząc na niego znad brzegu filizanki.

Shaw ostrożnie wyprostował zranione ramię.

- To dlatego idziemy do lekarza?

- Nie tylko.

Złapali taksówkę i pojechali do domu Leony Bartaromy, która mieszkała w budynku z kamienia, stojącym na końcu zwirowej drogi. Dom znajdował się trzy kilometry od zamku Malahide, w którym kobieta pracowała jako przewodnik. Kiedy wysiedli, Katie rozejrzała się.

- Dziwne miejsce na gabinet lekarski.

- Ona jest na emeryturze.

- Teraz rozumiem.

Leona zaprosiła ich do środka, przywitała się z Katie i posadziła ich w obszernej kuchni wychodzącej na ogród z tyłu domu. Nie wspomniała słowem na temat zmienionego wyglądu Shawa. Przyglądała się za to Katie.

- Mogę przy niej swobodnie mówić?

- Inaczej bym jej tutaj nie przywiózł.

- Frank już dzwonił. - Jasne.

- Jego ludzie się tu kręcą - dodała.

- Wiem o tym. - Skąd?

- Potrafię ich wywęszyć.

- Wiesz w takim razie, że nie mogę zrobić tego, o co prosisz.

- A skąd wiesz, o co cię poproszę? Jeszcze nic nie powiedziałem. Leona była zaintrygowana. A Katie spoglądała to na jedno, to na drugie.

- Mów.

Podwinął rękaw, pokazując metalowe klamry spinające brzegi rany.

- Boże, jak to się stało?

- Widzę, że Frank zapomniał ci o tym wspomnieć. Przyjrzała się dokładnie ranie.

- Ładnie się goi. Chirurg odwalił kawał dobrej roboty.

- Dziękuję za fachową opinię. Ale nie po to tu przyjechałem.

- A po co?

Wyjął z kieszeni niewielki metalowy cylinder.

- Chcę, żebyś go tam umieściła. - Wskazał palcem na rozcięcie na ramieniu.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Shaw! - wykrzyknęła Katie.

- Jestem śmiertelnie poważny.

- Co to jest? - wycodziła przez zęby Leona.

- Nie musisz wiedzieć. To stal nierdzewna, jeśli ci to w czymś pomoże.

- W niczym. Istnieje ryzyko infekcji - zaczęła Leona.

- Owiń sterylnym opatrunkiem. Możesz to zrobić?

- Oczywiście, że mogę. Pytanie tylko, dlaczego miałabym to zrobić.

- Bo cię o to proszę. Grzecznie.

- Jak głęboko? - zapytała nerwowo.

- Niezbyt. Być może będę to sobie musiał szybko wydłubać.

- To jakieś szaleństwo - warknęła Katie.

- Niezbyt głęboko, Leona - powtórzył Shaw. - Jesteś mi w końcu coś winna.

- Ja tak nie uważam.

- A ja owszem. - Wyszarpnął ze spodni koszulę, uniósł ją i pokazał długi szew na prawym boku. - Za to.

Katie spojrzała na bliźnię, potem na Leone i zadrzała.

- Ty mu to zrobiłaś? Leona zwilżyła wargi.

- Nie mam tu narzędzi, Shaw.

- Dublin to duże miasto. Jestem pewny, że znajdziesz.

- To zajmie trochę czasu.

- Dziś po południu - rzucił Shaw, a w jego głosie brzmiała groźba.

- Nie mogę. Muszę iść do Malahide.

- Dziś po południu.

- W porządku. Zadzwoń.

Shaw podniósł się i Katie też się szybko poderwała.

- Tutaj nie mogę ci podać narkozy - powiedziała Leona. - Zrobię to w znieczuleniu miejscowym. Będzie bolało.

Shaw wetknął koszulę w spodnie.

- Ból jest rzeczą naturalną, Leona.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz Katie zapytała.

- Ban, do cholery, jest ta żona Frankensteina? I o co tu w ogóle chodzi?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, Katie. Wierz mi

- Wierzyć ci. Powiedziałeś, że będziesz mi ufał.
- Nie. Powiedziałem, że popracuję nad tym.

## ROZDZIAŁ 74

Deszcz przestał padać i w Dublinie nastał piękny dzień. Rozćwierkane ptaki fruwały z gałęzi na gałąź; kolorowe kwiaty na klombach falowały przy podmuchach wiatru; ludzie spacerowali, rozmawiali, pili kawę; samochody sunęły szerokimi ulicami.

W małym, sterylnym pomieszczeniu Shaw zaciskał zęby i zgniatał poręcz fotela, w którym siedział. Leona w masce na twarzy, rękawiczkach i chirurgicznym fartuchu zdejmowała właśnie stalowe klamry spinające brzegi rozciętej skóry. Katie trzymała Shawa za drugą rękę.

- To była najłatwiejsza część - powiedziała zadowolona Leona, wrzucając do pojemnika ostatnie trzy klamry. W jego ramieniu pozostały już tylko cztery.

- Miło to słyszeć - wymamrotał Shaw.

- Nie rozmyśliłeś się? To znacznie wydłuży proces gojenia.

- Rób, co trzeba.

Do otwarcia rany użyła wąskiego narzędzia przypominającego miniaturowy łom. Pojawiła się krew, a po czole Shawa zaczęły płynąć krople potu. Katie mocniej ścisnęła go za ramię. Leona znieczuliła miejscowo okolice rany, ale uprzedziła, że i tak będzie bolało. Nie pomyliła się.

Owinęła metalowy cylinder jałową siatką chirurgiczną.

- To nie może tkwić w ranie zbyt długo - powiedziała. - Wysterylizowałam to, ale i tak może dojść do infekcji. Trudno się przed nią ustrzec.

- Zabawne, poprzednim razem tak nie mówiłaś.

- Poprzednim razem było inaczej.

- Nie dla mnie. - Dotknął swojego boku. - Nie powiedziałaś mi, że jeśli to będzie we mnie długo, pojawią się problemy.

- To są dwie zupełnie różne sprawy - warknęła. - Tamto urządzenie jest jak rozrusznik serca, może znajdować się w ciele długo. Ale to nie. Ostrzegam cię, jako lekarz. Pojawi się infekcja.

- Zapamiętam - burknął Shaw. - A teraz wkładaj.

Ostrożnie umieściła cylinder w ranie, w małej jamie, którą znalazła pomiędzy tkankami.

Shaw dostał z bólu drgawek.

- Chwyć moją rękę. Sciśnij ją! - zaoferowała się Katie.

- Nie - warknął.

- Dlaczego?

- Bo połamałbym ci kości.

Chwilę później rozległ się trzask i w dłoni Shawa została odłamana poręcz fotela.

Leona cofnęła dłonie i z uznaniem przypatrywała się swojemu dziełu.

- Mogę teraz założyć z powrotem klamry albo przyżegać brzegi rany.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie będę mógł się dostać do tego świństwa, kiedy zajdzie potrzeba. Wystarczą stare dobre nici chirurgiczne.

Leona wzruszyła ramionami, oczyściła ranę, zszyła ją i założyła opatrunek.

- Gotowe.

Katie puściła rękę Shawa i odetchnęła z ulgą. Powoli wstał z fotela.

- Dzięki - powiedział szorstko.

- Dla ciebie wszystko - odpowiedziała z sarkazmem Leona. - Sam mówiłeś, że jestem ci to winna.

- Tak. Teraz jesteśmy kwita.

- Co najmniej - poprawiła go. - Szala przechyliła się na moją stronę.

- Nie sądzę. - Włożył z powrotem koszulę. Kiedy się zapinał, Leona spojrzała na bliźnię na jego prawym boku.

- I jak to działa?

- Zapytaj Franka, na pewno z radością ci opowie. - Sięgnął ręką i schował do kieszeni instrument, za pomocą którego umieściła cylinder w ranie. - Ze względu na starą przyjaźń - powiedział, widząc, że chce zaprotestować.

Kiedy wychodzili, Leona zatrzymała Shawa w progu i wskazując na jego ramię, zapytała:

- Czy to jest to, o czym myślę?

- Nie masz o tym pojęcia, Leona.

## ROZDZIAŁ 75

- Czy powiesz mi wreszcie, co się tutaj dzieje? Co to za przedmiot w twojej ręce? Skąd znasz tę Leone? Skąd masz tę bliznę na boku? - Katie zasypywała go pytaniami podczas obiadu, który jedli w hotelu Shelbourne naprzeciw parku Świętego Stefana. Pora była na tyle późna, że bez trudu znaleźli odosobniony stolik w głębi restauracji i mogli spokojnie porozmawiać. Shaw nie był jednak w nastroju do dyskusji: Katie już od kilku godzin zadawała te same pytania i nie doczekała się odpowiedzi na żadne.

Ze stoickim spokojem kończył przeżuwać swoją porcję. Nienawidził teraz Dublina. To właśnie tu, na północ od Liffey, poprosił Annę o rękę. Na kolanach, z cholernym pierścionkiem w dłoni. Ona powiedziała „tak” w dziewięciu językach. A teraz nie żyje. Nie będzie ślubu, nie będzie czwórki czy piątki dzieci, nie będą się razem starzeć. Nic. Pustka. Gdziekolwiek spojrzał, widział miejsca, zaułki, zakamarki, czuł zapachy, słyszał dźwięki, które mu ją przypominały. Nie mógł swobodnie oddychać w tym mieście. Nie mógł tu normalnie funkcjonować. Nienawidził Dublina.

Anna jechała teraz do Niemiec na własny pogrzeb. Towarzyszyli jej rodzice, którzy oskarżyli go, że przyczynił się do jej śmierci, choć przecież gotów był dla niej poświęcić życie. Anna w Londynie na zimnym stalowym łożu z dziurą w głowie. Anna chowana na wieczność w zimnym, samotnym grobie w Durlach. A powinien ją tulić teraz w ramionach. Powinni być razem, bezpieczni.

Rozmyślania przerwała mu Katie.

- Musimy się dowiedzieć, kto naprawdę stoi za „czerwoną paniką”.

- Cały świat szukał i nikt nic nie znalazł.

- Nie jestem pewna, czy rzeczywiście ktoś próbował to wyjaśnić. Wszyscy przyjęli to jako prawdę. Jeśli już ktoś próbował czegoś dociec, to niezbyt pilnie się przykładał. Już niedługo nie będziemy zadawać sobie pytania, kto stał za kampanią, tylko co zrobić z tymi cholernymi Ruskimi. Obawiam się, że wszyscy dajemy się wpuszczać w maliny. Shaw spojrzał na nią z szacunkiem.

- Tak samo uważała Anna.

- Traktuję to jako wielki komplement.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał.

Katie przysunęła krzesło, wyjęła z torebki palmtop i zniżyła głos.

- Tamtego dnia, kiedy byłam u Anny, ktoś poprosił ją do drugiego pokoju, a wtedy ja... trochę się rozejrzałam.

- Chcesz powiedzieć „myszkowałam” - poprawił ją rozzłoszczony Shaw, instynktownie broniąc prywatności Anny.

- Chcesz się dowiedzieć, co znalazłam, czy nie?

- Przepraszam, mów dalej.

- Przejrzałam niektóre materiały dotyczące „czerwonej paniki” i jej odręczne zapiski. Była tam lista stron internetowych i adresów e-mailowych. Może się z nimi kontaktowała. W każdym razie jeden adres zwrócił moją uwagę i dlatego go zapisałam.

- Dlaczego zwrócił twoją uwagę?

- Bo brzmiał „Kamieniołom Barneya”. Pamiętasz Flintstonów? To była w młodości moja ulubiona kreskówka. A tak w ogóle to była strona blogu. Wtedy tego nie sprawdziłam. Zrobiłam to teraz w hotelu, kiedy brałeś prysznic.

- I co znalazłaś?

- Ten bloger, ma chyba na imię Barney, też ma jakieś wątpliwości dotyczące „czerwonej paniki”.

- I co z tego wynika?

- Cóż, szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ten jego blog to lipa.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że Barney jest oszustem. Mam sporo znajomych piszących błogi. Mają obsesję na tym punkcie, piszą bez opamiętania, co tylko im przyjdzie do głowy. Poza tym zostawiają miejsce na dyskusję, przecież głównie po to piszą. Prawda?

- Tak.

- A na tym blogu tego brakuje. Sprawdziłam daty wpisów. Pojawiają się każdego dnia o tej samej porze. To mi raczej wygląda na automatycznie ustawiony system komputerowy.

- Po co ktoś miałby to robić?

- To jest dobry sposób na sondowanie opinii.

- Sondowanie?

- Ludzie z branży reklamowej stosują to nagminnie. Kilka lat temu nawet napisałam o tym artykuł. Masz jakiś produkt i chcesz sprawdzić, jak ludzie na niego zareagują. Można wybrać grupę docelową, przeprowadzić sondaż telefoniczny albo dyskusję na forum w Internecie. Ale niektóre firmy idą jeszcze dalej. Zostawiają puste okienko, w którym ludzie mogą napisać, co naprawdę myślą o produkcie. Wykorzystuje się do tego fałszywe strony

internetowe, bezpłatne numery telefonów albo kwestionariusze podpisane przez jakąś podstawioną firmę.

Shaw zainteresował się wykładem.

- Chcesz powiedzieć, że ten Kamieniołom Barneya to mogła być fasada stworzona do sprawdzenia, jak ludzie reagują na kampanię „czerwona panika”?

- A Barney w swoim blogu jest wyjątkowo krytycznie nastawiony do całej kampanii...

- Mogli wystawić taką przynętę, żeby dowiedzieć się, czy ktoś jeszcze podziela zdanie Barneya. Powiedziałaś przecież, że na blogu nie było żadnego forum dyskusyjnego.

- Ale wystarczyło napisać e-mail. I Anna to zrobiła...

-...zostawiając swój adres e-mailowy. A brzmiał on [AFischer@ThePhoenixGroup.com](mailto:AFischer@ThePhoenixGroup.com). - dokończył Shaw. - W ten sposób dowiedzieli się o istnieniu Phoenix Group. To wcale nie musiała być twoja wina.

- Tego pewnie już nigdy się nie dowiemy.

Dobrą minutę siedzieli w milczeniu, dłubiąc widelcami w resztkach kolacji.

- Katie, ja...

- Nawet o tym nie myśl, Shaw. To zbyt skomplikowane, a narobiliśmy już dość błędów. I pewnie jeszcze narobimy.

- Miejmy nadzieję, że w wyniku jednego z nich nie zginiemy.

- Możemy jakoś wysledzić tę stronę internetową? Nie jestem mocna w sprawach technicznych. - Shaw skinął głową i zadzwonił do Franka. Potem odłożył słuchawkę i dopił wino.

- Zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Zostajemy w Dublinie? - zapytała. Potrząsnął głową.

- Jutro odlatujemy.

- Dokąd?

- Do Niemiec. Do małego miasteczka Durlach.



## ROZDZIAŁ 76

Żaden dzień nie jest odpowiedni na pogrzeb. Nawet jeśli świeci słońce i jest ciepło, nie ma nic miłego w kładzeniu kogoś do zimnej ziemi, szczególnie osoby, której życie przedwcześnie przerwały trzy wystrzelone z pistoletu pociski. W Durlach nie świeciło słońce i nie było ciepło. Deszcz lał się z nieba strumieniami, kiedy Shaw i Katie siedzieli w samochodzie przy cmentarzu położonym obok niewielkiego kościoła.

Rano przylecieli do Frankfurtu, a stamtąd samochodem dotarli do Durlach. Kiedy Shaw przechodził przez bramkę bezpieczeństwa na lotnisku w Dublinie, zaczął dzwonić wykrywacz metali. Pracownik ochrony sprawdził jeszcze ręcznym wykrywaczem, który odezwał się w pobliżu lewej ręki Shawa.

- Proszę podwinąć rękaw - polecił surowo strażnik. Kiedy zobaczył pod bandażem szereg metalowych klamer spinających brzegi rany, wzdrygnął się.

- Czy to boli?

- Tylko kiedy podwijam rękaw - odparł Shaw. Na cmentarzu deszcz zmienił stertę ziemi leżącą obok wykopanego grobu w błoto. Ludzie, którzy przyszli pożegnać Annę, stali pod wielkim namiotem.

Shaw postanowił nie dołączać do żałobników. Spostrzegł ociężałą sylwetkę Wolfganga Fischera i stojącą obok niego Nataszę. Nie wyglądali dziś na takich wysokich. Stali zgarbieni, rozbici. Shaw siedział w samochodzie i patrzył, jak trumna zostaje spuszczone do grobu. Wolfgang z rozpaczą o mało nie zemdlał. Kilku mężczyzn musiało go odprowadzić do samochodu.

Katie, patrząc na ceremonię, czuła, jak po policzkach płyną jej łzy. Dzięki Bogu, pomyślała, że nie muszę pisać nekrologu. Spojrzała na Shawa. Spojrzenie miał beznamiętne, oczy suche.

- To takie smutne - powiedziała. Shaw milczał i tylko patrzył.

Pół godziny później od grobu odeszła ostatnia osoba i wtedy pojawili się grabarze, by nie bacząc na szalejącą burzę, pogrzebać Annę na dobre w ziemi.

Shaw wysiadł z samochodu.

- Pamiętaj, co masz robić? Skinęła głową.

- Bądź ostrożny.

- Ty też.

Zatrzasnął drzwi, rozejrzał się wokół i podszedł do dziury w ziemi. Wyjął z kieszeni kilka euro i wręczył je grabarzom, prosząc, by zostawili go przez chwilę samego nad grobem. Zadowoleni, że nie muszą moknąć, wzięli pieniądze i zniknęli.

Shaw stał nad grobem wpatrzony w trumnę. Nie chciał wyobrazić sobie Anny leżącej w środku. To nie było miejsce dla niej. Przemawiał do niej szeptem, mówił to, co powinien był powiedzieć, kiedy jeszcze żyła. Wielu rzeczy w swoim życiu żałował. Ale najbardziej tego, że nie było go przy niej, kiedy go potrzebowała.

- Przepraszam, Anno. Przepraszam. Zasługiwałaś na kogoś lepszego niż ja.

Chwytał łopatę i przez następne pół godziny sypał ziemię do jej grobu. Czuł, że to jego zadanie, nikogo innego. Kiedy skończył, był przemoczony do suchej nitki, ale nie zważał na to.

Spojrzał na kamień nagrobny. Widniały na nim imiona i nazwisko - Anastasia Brigitta Sabena Fischer. Data urodzin i śmierci. A na dole zdanie po niemiecku: „Niech nasza piękna córka spoczywa w pokoju”.

- Spoczywaj w pokoju - szepnął Shaw. - Spoczywaj w pokoju za nas oboje, Anno. Ponieważ ja już nigdy go nie zaznam.

Uklęknął w błocie i pochylił głowę.

Za drzew wyłoniło się dwóch mężczyzn z bronią.

Cmentarną ciszę przerwał ryk klaksonu samochodu. Potem Katie wsiadła do środka.

Zaskoczeni mężczyźni zaczęli biec w stronę Shawa.

Ułamek sekundy później tylną szybę samochodu, w którym siedziała Katie, roztrzaskał pocisk.

## ROZDZIAŁ 77

Zauważywszy ruch, Shaw skoczył do przodu jak atakujący prawoskrzydłowy i powalił obu mężczyzn na ziemię. W następnej chwili prawie wepchnął swój pistolet do gardła jednego z napastników, podczas gdy drugi leżał nieprzytomny.

Za chwilę pojawili się mężczyźni ubrani na czarno.

Katie siedziała w samochodzie, strząsając z siebie okruchy szkła. Spojrzała przerażonym wzrokiem na Shawa. Kiedy podniósł się z ziemi, trzymając mocno jednego z napastników, odetchnęła z ulgą i wysiadła.

Pięć metrów za samochodem Frank stał nad ciałem martwego mężczyzny, który próbował zabić Katie. Podeszła do niego.

- Przepraszam, że dopuściliśmy ich tak blisko. Bydlak strzelił, nim zdążyliśmy wziąć go na muszkę. Wszystko w porządku?

Później siedzieli w pustej stodole za miastem. Dwaj niedoszli zabójcy, skuci kajdankami, siedzieli na słomie plecami do siebie. Frank, Katie i Shaw stali razem i naradzali się.

- Dzięki, że zgodziłeś się nas osłaniać - powiedział Shaw do Franka.

- A co tam. Oprócz tego, że uganiem się za bandytami, żeby świat był lepszy i bezpieczniejszy, mam mnóstwo wolnego czasu.

Zdążyli już sprawdzić odciski palców obu napastników we wszystkich możliwych bazach danych, ale bez rezultatu. Próba przesłuchania skończyła się po tym, jak bandyta, który o mało nie połknął lufy pistoletu Shawa, zarzucił ich potokiem słów w jakimś dziwnym języku. Dla odmiany jego partner, krępy mężczyzna o stoickim wyrazie twarzy, nie odezwał się ani słowem. Wyglądał na takiego, który w ogóle nie mówi po angielsku. Spróbowali odezwać się do niego w kilku innych językach, ale on wciąż milczał jak grób. Oczywiście nie mieli przy sobie żadnych dokumentów. Znaleziono przy nich tylko dwa pistolety i nóż do patroszenia. Przy zastrzelonym napastniku też niczego nie odkryli.

- Nie mają nawet komórki - narzekał Frank.

- To znaczy, że po zabiciu mnie i Shawa mieli się z kimś spotkać - powiedziała Katie.

- I to gdzieś niedaleko.

- Co teraz? - Frank zwrócił się do Shawa.

- Pracuj nad tymi dwoma dalej, może w końcu pękną. Będziemy w kontakcie.

Frank położył dłoń na ramieniu Shawa.

- Uważaj na siebie. Intuicja podpowiada mi, że to nie koniec.

- To znaczy?

- Mam wrażenie, że oni wciąż są jeden krok przed nami.

Kiedy wracali już samochodem, Shaw z ponurą miną rzekł do Katie:

- Byłem pewny, że będą obserwowali pogrzeb Anny, na wypadek gdybyśmy się pojawili. Dlatego poprosiłem Franka o wsparcie. Ale i tak nic nam to nie dało.

- Może w końcu zaczną mówić.

- Wątpię, żeby powiedzieli coś ponad to, że ktoś ich wynajął do zabicia ciebie i mnie.

Ci ludzie naprawdę świetnie zacierają za sobą ślady.

- W końcu popełnią jakiś błąd.

- Tak sądzisz?

- Ja to wiem.

Shaw zatrzymał samochód.

- Skąd ta nagle pewność?

Katie z trudem mogła ukryć swoje podekscytowanie.

- Bo właśnie wymyśliłam świetny sposób, żeby ich wykurzyć z kryjówek.

# ROZDZIAŁ 78

Do tej pory cały świat był przekonany, że z nieznanых powodów za kampanią „czerwona panika” stały Chiny, a Rosja w ramach rewanzu zmiotła z powierzchni ziemi Phoenix Group. Mimo nieustannych zaprzeczeń płynących zarówno z Pekinu, jak i Moskwy, ta wiara pozostawała w zasadzie niezachwiana.

Bez przerwy powstawały nowe teorie, próbujące wyjaśnić przyczyny, dla których Chiny zdecydowały się na podjęcie takich działań. Jedne głosiły, że z chęci przeciwstawienia Rosji, jedyne go kraju w tym rejonie, który mógł rywalizować gospodarczo i militarnie z Chinami; inne, że Pekin obawiał się powrotu autokratyzmu w Rosji, co mogłoby zdestabilizować cały region. Zagadką pozostawało tylko to, jak zmniejszyć niebezpieczeństwo, nie rozwścieczając jeszcze bardziej Rosji.

Niezależnie od przyczyn obie nacje zaczęły mobilizować siły. Dzielili je niezwykle długa granica na wschód od Mongolii i krótszy jej odcinek pomiędzy Kazachstanem i Mongolią. Wzdłuż granicy Rosjanie rozmieścili swoje siły lądowe i pancerne wraz ze wsparciem lotniczym. Krążyły także plotki, że Gorskow zamierza dokonać inwazji na Chiny bezpośrednio z terytorium Mongolii, co mimo pewnych problemów politycznych i topograficznych znacznie skróciłoby jego wojskom marsz na Pekin. Po drugiej stronie granicy Chińczycy postawili istną zaporę złożoną z ludzi i ciężkiego sprzętu wojskowego. Mimo to wojna nie wydawała się przesadzona. Obie zwaśnione strony zdawały sobie sprawę, że przy podobnym potencjale militarnym poniosą ogromne straty. Mówiło się także, choć nikt tego oficjalnie nie potwierdził, że zarówno Chiny, jak i Rosja podpisały z jakimś nieznanym producentem długoterminowe kontrakty na dostawy broni. Jeśli zatem wojna miałaby wybuchnąć dopiero za kilka lat, oba mocarstwa zniszczą się w jeszcze bardziej spektakularnym stylu.

Jakby w odpowiedzi na te doniesienia wiele innych zachodnich krajów, w tym także Stany Zjednoczone, poszło w ślady Chin i Rosji i też zaczęło przezbierać swoje armie. Pentagon, który nigdy nie wahał się przed ujawnianiem opinii publicznej swoich zamierzeń, ogłosił, że z czołową na rynku uzbrojenia firmą Ares Corporation podpisano w trybie bezprzetargowym kilka kontraktów na uzbrojenie dywizji pancernych i artyleryjskich, wyposażenia ich w najnowocześniejsze środki zwiadu elektronicznego, przebudowę

systemów obrony przeciwrakietowej, zmianę wyposażenia kilku lotniskowców, okrętów podwodnych i niszczycieli, dostawę kilku tysięcy bojowych wozów piechoty i innych pojazdów oraz unowocześnienie niedawno skonstruowanego myśliwca F-22 Raptor. Pentagon dodał w swoim oświadczeniu, że Ares jest firmą mającą siedzibę w Stanach Zjednoczonych i jest bezpośrednim producentem większej części oferowanego przez siebie arsenału, a jego niekwestionowana pozycja lidera na rynku zbrojeniowym zapewni dopełnienie wszystkich standardów wymaganych przez amerykańskie siły zbrojne.

Źródło w Pentagonie poinformowało: „Zapewni to amerykańskim wojskowym niekwestionowaną przewagę na całe dziesięciolecie”.

Kongres bez zwłoki zatwierdził planowane wydatki, a prezydent szybko podpisał stosowne rozporządzenia.

Kilka gazet, powołując się na źródło, które chciało pozostać anonimowe, gdyż nie było uprawnione do udzielania informacji, podało, że Ares Corp. podpisało kontrakty na osiem lat na ogólną kwotę biliona dolarów. W rezultacie amerykański budżet na obronność musiałby wzrosnąć do ponad ośmiuset miliardów dolarów rocznie i przekroczyć wydatki na ubezpieczenie społeczne. Jednakże na szczęście, formalnie rzecz biorąc, taki wzrost wydatków na obronność nie powinien zwiększyć deficytu budżetowego i długu publicznego, ponieważ grupa sprytnych biurokratów z Waszyngtonu wspierana przez cwanych członków Kongresu zdołała wcisnąć dodatkowe koszty do grupy wydatków uzupełniających, które nie były ujęte w oficjalnym budżecie. Jak się okazało, także w Waszyngtonie najważniejsze były względy formalne.

- A więc o przyszłość będą się martwić następne pokolenia - zauważył jeden z dobrze poinformowanych polityków, który zastrzegł sobie anonimowość, by w dalszym ciągu być dobrze poinformowanym.

Chociaż prezydent z wielką pompą podpisał w Białym Domu rozporządzenie o zwiększeniu wydatków na obronność, jego szanse na reelekcję w zbliżających się wyborach nadal były niewielkie. Zarzucano mu, że był wobec Rosji zbyt uległy. W związku z tym zwołał konferencję prasową, na której powiedział w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości, że: „w chwili obecnej, każdy, kto spróbuje naruszyć interesy Stanów Zjednoczonych, przekona się, że jesteśmy doskonale przygotowani do ich obrony. Niech Bóg błogosławi Amerykę!”. W następnym sondażu od razu zyskał jedenaście punktów procentowych. Nic tak skutecznie nie przyciąga głosów wyborców, jak pobrękiwanie szabelką.

Ares Corp. rozpoczął troskliwie przygotowywaną od wielu miesięcy kampanię reklamową. Nie wspomniano w niej o nowym kontrakcie ani jego wartości. Zdaniem najlepszej agencji reklamowej z Nowego Jorku, która kampanię przygotowała, byłoby to zbyt prostackie. Narrator mówił tylko: „Stany Zjednoczone Ameryki i Ares Corporation. Razem jesteśmy niezwyciężeni”. Zdanie było proste, a przekaz czytelny: „Ares dźwignął się na nogi i stoi ramię w ramię z jedynym prawdziwym supermocarstwem”. Tekstowi towarzyszyły czarno-białe zdjęcia przedstawiające startujące samoloty, jadące kolumny czołgów i płynące okręty, a prócz tego zacięte miny czołgających się w błocie żołnierzy. W tle słychać było bardzo popularną piosenkę.

Mówiło się, że podczas prezentacji wybrana grupa docelowa, na której chciano sprawdzić wpływ emocjonalny reklamy, po prostu zaczęła płakać. W kręgach speców od reklamy przyznawano, że to było najlepiej zainwestowane przez Nicolasa Creela pięćdziesiąt milionów dolarów w całej jego karierze.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem Creela i Pendera.

Wszystko, prócz jednego małego incydentu, który co dziwne, ale mógł im pomóc.

O północy czasu mongolskiego rosyjski generał otrzymał poprzekręcane rozkazy, które potraktował jako polecenie sondującego uderzenia na Chiny. Gorliwy dowódca, który nigdy wcześniej nie miał okazji stoczyć żadnej bitwy, a osobiście nienawidził wszystkiego, co chińskie, bez chwili zastanowienia rozpoczął atak, nie trując się żądaniem potwierdzenia rozkazów przez swoich przełożonych. Zagrzmiała artyleria, trafiając we wcześniej wyznaczone cele, a MIG-i przekroczyły granice przestrzeni powietrznej Chin. Wkrótce samoloty natrafiły na chińskie myśliwce, które jak na ironię, były także produkowanymi na licencji rosyjskiej MIG-ami. W rezultacie piloci obu stron dysponowali takim samym sprzętem. Po zaciętej walce powietrznej Rosja i Chiny straciły po dwa myśliwce.

Chińczycy, porządnie zdenerwowani policzkiem ze strony Rosji, natychmiast przystąpili do kontrataku. W ciągu następnych sześciu godzin obie armie wystrzeliły całą swoją amunicję.

Sondażowe uderzenie kosztowało Chiny, jeśli nie liczyć dwóch straconych samolotów, życie dwóch tysięcy cywilów ze startego w proch miasteczka. Prócz tego dziesięć czołgów, dwadzieścia bojowych wozów piechoty, czterdzieści dział artyleryjskich i dziewięćset żołnierzy poległych pod gradem miliona rosyjskich pocisków karabinowych.

Po stronie rosyjskiej było to sześciuset cywilów, którzy mieli pecha znaleźć się pomiędzy dwiema armiami i zginęli we śnie ostrzelani przez własną armię. Prócz tego osiem czołgów, sześć zestrzelonych śmigłowców, dwanaście wozów bojowych i czterystu dwunastu

żołnierzy. Na dodatek, w wyniku trafienia pocisku raketowego w skład paliwa, wyparowała cała bateria artylerii. Na marginesie warto wspomnieć, że atak przyplacił też życiem dowódca, który pochopnie go rozpoczął. Jak później wykazało dochodzenie, w rozkazie napisano, by rozpocząć natarcie sondażowe w sytuacji, gdyby pierwsze zaatakowały Chiny.

Ale to już był szczegół.

Wycieńczone nerwowo armie cofnęły się na dawne pozycje w celu przegrupowania. Wszyscy musieli się poważnie zastanowić, co się właściwie stało.

Jeżeli tak miała się rozpocząć trzecia wojna światowa, to marny to był początek.



# ROZDZIAŁ 79

W obecności dziennikarzy i tłumów ludzi Nicolas Creel wspólnie z matką przełożoną uroczyście wbili pierwszą łopatę w ziemię, w miejscu gdzie miał stanąć nowy sierociniec. Potem było głaskanie po głowach wdzięcznych sierot, rozdawanie im łakoci, krótkie oświadczenie dla prasy, uścisk dłoni burmistrza i innych dygnitarzy i wreszcie Creel mógł wrócić na pokład *Shiloh*, żeby delektować się sukcesem.

Rosjanie zaatakowali Chińczyków, Chiny odpowiedziały kontratakami. Creel przejrzał Internet w poszukiwaniu artykułów na temat tego ostatniego incydentu i z satysfakcją stwierdził, że są ich już tysiące i wciąż przybywa nowych. Dzięki temu obydwa kraje będą chciały się dalej zbroić, a i kolejne zechcą zainwestować w sprzęt wojskowy. A on już się postara spełnić oczekiwania wszystkich.

Jeżeli prawdą było to, że Amerykanie wspólnie z Brytyjczykami i Francuzami podjęli wysiłki dyplomatyczne, by wprowadzić zawieszenie broni i pogodzić oba zwaśnione kraje, to zdaniem Creela nieco się spóźnili. Na ten tydzień zaplanowano konferencję na szczycie, która miała odbyć się w Londynie, ale oba państwa nie zgodziły się w niej nawet uczestniczyć. A nawet gdyby się zgodziły, co po ostatnim incydencie zbrojnym wydawało się niemożliwe, nie miało to już żadnego znaczenia.

Telefon, który właśnie zadzwonił, sprawił, że z jego ust znikł uśmiech. To był Caesar. Zamach na cmentarzu w Durlach nie przebiegł zgodnie z planem. A właściwie przebiegł dokładnie odwrotnie, niż planowano.

- Jeden z naszych nie żyje, dwóch złapanych - Creel powtórzył słowa wypowiedziane przez Caesara. - Mam nadzieję, że nie wiedzieli niczego kompromitującego.

- Niczego - uspokoił go Caesar. - Wiem, że to komplikuje sprawę, ale dopadniemy ich, panie Creel. Gwarantuję. Jesteśmy już blisko. Bardzo blisko.

- Jeszcze niedawno tak myślałem, Caesar. I zobacz, co z tego wyszło.

Rozłączył się, wziął głęboki oddech, popatrzył przez okno na miejsce, gdzie miał powstać nowy sierociniec, i zadzwonił do Pendera.

- Zaczynaj, Dick - polecił. - Media mają masowo zacząć wspierać wojnę.

- Przecież jeszcze nie ma żadnej wojny - zauważył ostrożnie Pender.

- Zimną wojnę, Dick - dodał zniecierpliwiony Creel. - Najwięcej zarabiam wtedy, kiedy nie padają strzały.

- Ale pierwsze strzały już padły.

- Bezsensowna utarczka graniczna, która porządnie wystraszyła obie strony. Najwyższy czas przejść do długiej, pięknej epoki intensywnych zbrojeń.

- A jeśli jednak zdecydują się na wojnę?

- Dick, ty rób swoje, i pozwól, że ja będę się martwić o konsekwencje. A jeśli zdecydują się na wojnę, to cóż, to też nie będzie koniec świata. Muszą mieć czym walczyć i zastępować zniszczoną broń nową. Nawet jeśli się wszyscy nawzajem wystrzelają, kogo to obchodzi?

- A broń atomowa? Przecież mają i Rosja, i Chiny.

- Wzajemne zagwarantowane zniszczenie, Dick. Ani Moskwa, ani Pekin nie chcą zniknąć z powierzchni ziemi. Właśnie dlatego nie zdecydowałbym się na taką grę z muzułmanami. Ich niewiele obchodzi, że wyparują, pod warunkiem że wyparuje też druga strona konfliktu. Jak widzisz, Dick, nawet w takiej dziedzinie jak wojna trzeba być cywilizowanym. A teraz, do roboty!

Creel rozłączył się, a Pender błyskawicznie wydał swoim ludziom polecenie rozpoczęcia kampanii. To zadanie było dla Pendera prawdziwym wyzwaniem, chociaż sam kontakt z Creelem już był wyzwaniem. Pokaże Creelowi, co to znaczy, kiedy Pender rozpoczyna kampanię. Nie będzie takiej gazety, która się tym nie zajmie. Cały świat zaleje największa w historii fala kłamstw.

Teraz, kiedy zbliżali się do szczęśliwego zakończenia, Pender zaczął się zastanawiać, jak duży bonus dostanie jego firma, a właściwie on sam. Creel nigdy nie operował małymi liczbami. Pięćdziesiąt milionów? Sto? Pender zawsze pragnął dwóch rzeczy - własnego jachtu i samolotu. Oczywiście nie tej klasy co Creel. To zawsze będzie poza jego zasięgiem. Ale odrzutowiec Gulfstream V i dwupokładowy, czterdziestometrowy jacht to byłoby coś. W dzisiejszych czasach, żeby człowiek mógł powiedzieć, że coś mu się w życiu udało, koniecznie trzeba było mieć jacht i samolot. A Pender bardzo chciał uchodzić za człowieka sukcesu.

Marzył tak jeszcze przez kilka minut, aż nagle wszystkie jego marzenia zmieniły się w koszmar.

Na ekranie komputera pojawiła się wiadomość od jego asystenta. Na stronie blogera pojawił się e-mail, który Pender powinien koniecznie przeczytać.

Pender otworzył pocztę i zaczął czytać, zajmując się jednocześnie kilkoma innymi rzeczami. Po przeczytaniu pierwszego zdania porzucił inne zajęcia.

*Wiem, kim jesteś i czym się zajmujesz. Musimy się spotkać osobiście, w przeciwnym razie napiszę całą prawdę. K.J. PS Dobra robota z Leśnikiem. Następnym razem, jak będziesz zakładał fałszywą stronę z blogiem, poproś kogoś, kto się na tym zna.*

Wszystkie marzenia o odrzutowcu i jachcie nagle odpłynęły.

Mistrz zarządzania percepcją poczuł właśnie siłę strachu.

W oczy zajrzała mu prawda.

## ROZDZIAŁ 80

Shaw przez ramię Katie patrzył na ekran komputera. Wysłała e-mail dziesięć minut temu. Spodziewali się natychmiastowej odpowiedzi.

- Mam wysłać jeszcze raz? - zapytała go Katie.

- Nie - odpowiedział, choć też był podenerwowany. Na szczęście nie musieli długo czekać. Wiadomość była krótka: *Czego chcesz?*

Katie i Shaw wymienili spojrzenia.

- Odpowiedz - polecił Shaw. *Osobistego spotkania*, napisała Katie. *To niemożliwe*, padła odpowiedź. *W takim razie piszę nowy artykuł Nikt ci nie uwierzy.*

*Będę bardzo przekonująca. I znam kilka faktów, które was pogrążą.*

*Jakich faktów?*

*Powiem ci to prosto w oczy.*

*Nic z tego. To może być pułapka.*

Shaw i Katie spojrzeli na siebie. Oczywiście, że to była pułapka.

*W takim razie telefon.*

Odpowiedź przyszła po dłuższej chwili.

*O czym chcesz rozmawiać?*

*O pieniądzach*, wystukała na klawiaturze Katie i dodała trzy wykrzykniki. *Pieniądzech za milczenie. Możemy załatwić to e-mailem. Chcę cię usłyszeć.*

Przez następną długą minutę wpatrywali się z niepokojem w ekran.

*Kiedy?*

Katie klasnęła w dłoń.

*Dziś wieczorem. O północy czasu wschodniego wybrzeża.* Dopisała jeszcze numer telefonu, którego nie można było namierzyć. Dostała go od Shawa.

- Będzie podejrzewał, że spróbujemy ustalić, skąd dzwoni - powiedziała.

- Użyj czystego telefonu. Będzie miał nadzieję, że nawet jeśli namierzymy sygnał, to obszar poszukiwań będzie zbyt duży.

- A nie będzie? - zapytała Katie.

- Świat wcale nie jest taki wielki, jak ludzie myślą. Jeśli namierzymy jego sygnał, to będziemy mieli obszar wielkości jednego kwartału. A wtedy Frank szybko pošle tam swoich ludzi. Przy jego znajomościach wszędzie znajdą się ludzie gotowi pójść na jego rozkaz.

- Mimo to to duży obszar.

- Tak, ale lepsze to niż nic. Może nam się uda.

Pender zakończył swoją elektroniczną konwersację i usiadł wygodniej na krześle. To musiała być ta cholerna reporterka, Katie James.

Inicjały na końcu e-maila KJ. Groźba, że napisze nowy artykuł.

Powinien natychmiast zadzwonić do Creela, ale nie mógł. Zamieszczając lipną stronę internetową, popełnił oczywisty błąd, skoro ta kobieta tak łatwo go przejrzała. Creel nie może się o tym dowiedzieć. Pender nie widział nigdy na własne oczy, co Creel robi z podwładnymi, którzy go zawiedli, ale słyszał dość plotek. Musi sobie sam z nią poradzić. Przecież to tylko rozmowa telefoniczna. Podejmie środki bezpieczeństwa, żeby nikt go nie namierzył. Nie znajdą go.

Jeżeli chodziło jej tylko o pieniądze, to pół biedy. James na pewno przedstawi rozsądne żądania. Nawet gdyby chodziło o miliony, odda jej ze swojego honorarium. Przecież wcale nie musi mieć i jachtu, i prywatnego samolotu. Jedna rzecz wystarczy. A jeśli pojawi się drugi raz i ponownie zażąda pieniędzy? Będzie zmuszony coś z tym począć. Zabić ją?

Pender wziął głęboki oddech, pragnąc uspokoić skołatane nerwy. Nigdy wcześniej nie był taki roztrzęsiony. Zawsze stał na uboczu, nigdy nie znajdował się w ogniu walki. Musi sobie z tym poradzić. Przecież był mistrzem w takich grach. W końcu zwycięży.

Najważniejsze, żeby nie dowiedział się o tym Nicolas Creel.

# ROZDZIAŁ 81

Obok stolika, przy którym miała siedzieć Katie podczas rozmowy telefonicznej, Shaw postawił duży zegar z sekundnikiem. Przygotował kamerę, która miała ująć w kadrze Katie i zegar, miał też słuchawki.

- Przetrzyj go jak najdłużej. Kiedy już namierzą konkretny nadajnik, zdołają zawęzić obszar poszukiwań.

Telefon zadzwonił dokładnie o północy. Shaw zaczął filmować.

- Jesteś punktualny - powiedziała do słuchawki.

- Co wiesz? - padło krótkie pytanie.

- Więcej, niżbyś sobie życzył.

- Co wiesz?

Shaw dał ręką znak Katie.

- Gadaj z nim - poruszył bezgłośnie ustami.

- Nie jesteś ciekaw, jak się dowiedziałam? - zapytała. - Może ta wiedza przyda ci się na przyszłość.

- W porządku, więc jak? - zapytał Pender.

Katie długo opowiadała mu o Leśniku, zepsutej ubikacji, niespójności jego historii i w końcu o tym, że nie mógł zrobić tego, co ponoć zrobił.

- Powinieneś go być zabrać ze sobą na akcję, zamiast opowiadać mu o niej później.

- Skoro wiedziałas, że to prawda, dlaczego napisałaś ten artykuł?

- Prawdy dowiedziałam się później.

Shaw podskoczył, słysząc w słuchawkach głos Franka, i natychmiast szepnął do Katie:

- On jedzie samochodem. Każ mu się zatrzymać.

Katie nie zastanawiając się, ani chwili warknęła do słuchawki:

- Zatrzymaj samochód!

Pender był tak zaskoczony jej poleceniem, że o mało nie stracił panowania nad swoim mercedesem.

- Skąd wiesz, że jadę samochodem? - syknął podejrzliwie.

- Bo mi przerywasz. Ja stoję w miejscu, więc to ty musisz jechać. Poza tym słyszę w tle odgłosy ulicy. Zatrzymaj się, żebym cię lepiej słyszała. Chyba nie chcemy żadnych nieporozumień, prawda?

- Poczekaj chwilę. - W głosie Pendera wciąż było słychać nieufność. Zatrzymał się przy najbliższym zjeździe i zapytał: - No dobrze, ile?

- Dwadzieścia milionów dolarów i ciesz się z promocyjnej ceny.

- To żadna promocja, tylko cholernie dużo kasy.

- Bo jesteś umoczony w cholernie wielką sprawę. Ale skoro nie chcesz płacić, w porządku. Wycofam się z tamtego artykułu i napiszę nowy.

- To znaczy?

- Przekonasz się w swoim czasie. Ale wtedy świat dowie się, że to nie Rosjanie dokonali masakry w Londynie, a Chińczycy nie byli zamieszani w „czerwoną panikę”. Cała ta wojenka szybko się skończy. A przecież o nią chodziło, prawda? O wojnę?

Pender zaczął się mocno pocić. *Dwadzieścia milionów dolarów.*

- Zdobycie takiej gotówki będzie wymagało trochę czasu.

- Nie będzie. Chcę mieć pieniądze w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tak się składa, że mam konto za granicą. Wystarczy, że zrobisz przelew.

- Nie mogę tego zrobić tak szybko. Potrzebuję więcej czasu.

- Jak dużo?

- Tydzień.

- Siedemdziesiąt dwie godziny. I uważaj się za szczęściarza. A ja już chcę rozpocząć wakacje.

- Zmęczyłaś się pracą reportera? - zadrwił Pender.

- Wolę być bogata.

- Pięć dni - targował się.

- Koniec negocjacji! Trzy dni albo twój plan weźmie w łeb.

- Nie sądzę, żeby jeden artykuł mógł zmienić to, co już się stało.

- W porządku, w takim razie nie płac, przekonamy się. Żegnam.

- Zaczekaj!

- Słucham?

- No dobrze, trzy dni. Ale dam ci radę, James. Jeśli zamierzasz grać na dwa fronty...

- Wiem, wiem. To byłoby nieładne. Nie martw się. Mam już dwa Pulitzery. Teraz brakuje mi tylko środków na dostatnie życie.

Podawała mu numer konta bankowego i zerknęła na Shawa. Przeciągnęła palcem po szyi.

- Miło się z tobą robi interesy - zakończyła rozmowę Katie.

Spojrzała na wyłączającego kamerę Shawa.

- I jak? - zapytała.

- Zachodnie przedmieścia Waszyngtonu, Dulles Toll Road pomiędzy zjazdami na Reston Parkway i Wiehle Avenue.

- Tak szybko to ustalili?

- Tam są dwa przekaźniki. Łatwo było namierzyć sygnał. Ten facet byłby znacznie bezpieczniejszy, gdyby siedział w zatłoczonym hotelu.

- Świetnie. A ustalili numer telefonu, z którego dzwonił?

- Owszem. Próbował zablokować identyfikację, ale przechwyciliśmy sygnał i już po sześćdziesięciu sekundach znaleźliśmy jego numer.

- Kto to jest?

- Według tego, co ustalił Frank, osiemdziesięciosześcioletni ksiądz z Bostonu, który na pewno nie wznieca wojen i nie ma pojęcia, że ktoś mu ukradł jego numer telefonu.

- Co nam to da? A wiadomo, który to był samochód? Shaw potrząsnął głową.

- Technologia jeszcze nie jest na tyle zaawansowana. Nie da się namierzyć pojedynczej osoby.

- Więc jak znajdziemy tego faceta? - zapytała poirytowana.

Shaw poklepał kamerę.

- Dzięki temu.

- Nagranie? Przecież filmowałeś tylko mnie i zegar.

- Zgadza się.

- Co teraz robimy?

- Lecimy do Waszyngtonu.



## ROZDZIAŁ 82

Dzięki znajomościom Franka do Ameryki lecieli na pokładzie prywatnego samolotu. Maszyna miała tak duży zasięg, że mogła dolecieć do Waszyngtonu bez międzylądowania, czekała ich więc ponad siedmiogodzinna podróż.

Był z nimi Ed Royce z MI5. Shaw i Katie siedli z tyłu, Frank i Royce zajęli miejsca z przodu i omawiali jakieś szczegóły.

Katie owinęła się ciasno kocem, wypła trochę wody sodowej i zaczęła gapić się na Shawa.

- I co, tak się chyba lepiej podróżuje niż w tamtej krypie do Irlandii, co? - zapytała.

Shaw skinął głową, nie odrywając wzroku od oparcia fotela przed nim.

- Naprawdę myślisz, że uda nam się dowiedzieć, kto za tym stoi? Spojrzał na nią.

- Przy odrobinie szczęścia, tak. Ale dowiedzieć się, a coś z tą wiedzą zrobić, to dwie różne sprawy.

- Potrzebne są mocne dowody dla sądu, to masz na myśli?

Shaw nie odpowiedział, co miał na myśli. Znow się od niej odwrócił.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, dotykając jego ramienia. Zranionego ramienia, należy dodać, dlatego zrobiła to bardzo delikatnie.

- Tak, wszystko w porządku - odparł.

- Kiedy to wszystko wreszcie się skończy, pojedę chyba odwiedzić rodziców.

- Gdzie mieszkają?

- W Vermoncie. A przynajmniej mieszkali tam, kiedy ostatnio się z nimi kontaktowałam. Oni lubią się przeprowadzać. To po nich mam zamiłowanie do podróży.

- Czym się zajmują?

- Ojciec jest profesorem literatury angielskiej. Uczy kreatywnego pisania. Dlatego na drugie imię mam Wharton. Edith jest jedną z jego ulubionych pisarek. A pierwsze imię mam na cześć Katherine Chopin, chociaż od dziecka mówiono na mnie Katie. Ojciec wychował się w Dystrykcie Kolumbii, ale do college'u trafił do Stanford. Tam poznał mamę. Doktoryzował się i zaczął wykładać w Harvardzie. Mama też, dopóki na świecie nie pojawiły się dzieci.

- De?

- Wraz ze mną czworo. Ja jestem najmłodsza. Urodziłam się na Harvard Square. Dosłownie. Po trójce dzieci mama myślała, że z wyjazdem do szpitala może czekać do ostatniej chwili. Właśnie biegli do samochodu, kiedy odeszły jej wody. W końcu urodziłam się w wolnej akurat sali wykładowej. A ty?

- Co ja?

- Wyjawiłam ci właśnie kilka najbardziej wstrząsających szczegółów ze swojego życia. Teraz twoja kolej.

- Nie, dziękuję.

- Och, daj spokój. Przecież nie zamierzam napisać na ten temat artykułu. Po prostu opowiedz mi coś o swojej rodzinie.

- Dobrze. Matkę w zasadzie tylko sobie wyobrażam, bo porzuciła mnie, kiedy miałem dwa lata, a przynajmniej tak mi powiedziano. Nigdy nie poznałem ojca. Mieszkałem w sierocińcu, skąd wyrzucono mnie, kiedy skończyłem sześć lat. Kolejne dwanaście lat spędziłem pośród ludzi, których wolę nie pamiętać. Nie mam braci ani sióstr, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Teraz już wiesz o mnie wszystko.

Odwrócił twarz.

Katie siedziała zaszokowana.

- Przykro mi.

- Nie ma powodu, żeby ci było przykro.

- Ale to musiało być dla ciebie okropne.

- To była najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

- Jak możesz tak mówić?

- Bo to mnie nauczyło już od samego początku, żeby liczyć tylko na siebie.

Katie owinęła się ciasniej kocem, a Shaw wbił wzrok w stojący przed nim fotel.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy to się wreszcie skończy? - zapytała.

- To zależy, jak się skończy.

- No, jeżeli wyjdziemy z tego cało.

- Jeszcze o tym nie myślałem - odparł.

Zerknęła do przodu, gdzie Royce i Frank siedzieli przy niewielkim stoliku i przeglądali jakieś dokumenty.

- Ale nie zostaniesz u Franka? Musisz stamtąd wiać, póki nie jest za późno.

- Czy ty tego nie rozumiesz, Katie? Dla mnie już jest za późno.

- Shaw...

Odwrócił się, opuścił fotel, zamknął oczy i poszedł spać.

Katie przez chwilę wpatrywała się w jego twarz, potem odwróciła się do okna i zaczęła przez nie wyglądać. Niebo było zupełnie czarne, ocean dziesięć kilometrów pod nimi niewidoczny. Każdego roku latała tysiące razy, a mimo to za każdym razem odczuwała zimny dreszcz. Ale nigdy dotąd ten dreszcz nie był tak dojmujący jak teraz.

## ROZDZIAŁ 83

Frank, Royce, Shaw i Katie siedzieli w pokoju i patrzyli na odtwarzany na dużym ekranie obraz z kamery. Dopiero teraz Katie zrozumiała, co Shaw miał na myśli.

- Wzdłuż autostrady na słupach były zainstalowane kamery - wyjaśnił Shaw. - Nieważne, czy mają rejestrować wypadki i korki, czy są wymysłem Wielkiego Brata, ale nam się bardzo przydały.

Na drugim ekranie widać było Katie rozmawiającą z Penderem i wielki wyświetlacz zegara.

- No dobrze, zaczynamy od tej samej chwili.

- Rozpoczął się pokaz, zaczął tykać zegar. O północy na międzystanowej 66 wciąż był spory ruch. Cóż, Dystrykt Kolumbii, to mówi samo za siebie. Ale nie było tak źle, nie było korka.

- W tym momencie zadzwonił telefon. - Frank wskazał palcem na ekran. - Pomiędzy oboma zjazdami jest około półtora kilometra.

- Samochody jadą jakieś sto kilometrów na godzinę - ocenił Shaw.

- Czyli na pokonanie dystansu potrzebuję niecałą minutę. - Teraz przeniósł wzrok na ekran, na którym była Katie i zegar.

- Kiedy Frank powiedział mi, że złapali sygnał na autostradzie i że ten facet jedzie, Katie kazała mu się zatrzymać. To było w szóstej minucie i trzeciej sekundzie ich rozmowy.

- Wydawało mi się, że usłyszałam wtedy w słuchawce pisk opon

- dodała Katie. - I trąbienie.

- Zaraz nastąpi ten moment - powiedział Shaw. - Pięć, cztery, trzy, dwa...

Zatrzymał film i wszyscy wpatrzyli się w ekran.

- Tam! - rzucił Royce. Wskazywał palcem na mercedesa, który zjechał nagle z lewego pasa na środkowy, zajeżdżając niebezpiecznie drogę jakiejś furgonetce.

- Dajecie zbliżenie na czarnego mercedesa, który o mało nie wpakował się pod furgonetkę, a potem zatrzymajcie - polecił Frank.

Po krótkiej chwili widok mercedesa zajmował już niemal cały ekran. Niestety, kamera była ustawiona pod zbyt dużym kątem - kierowca, przecież bez wątpienia mężczyzna, był prawie niewidoczny.

- Biały - dostrzegł Shaw. - Szczupły, lekko siwiejący, ale słupek drzwi zasłania twarz. Wygląda na to, że trzyma przy uchu telefon.

- Podobnie jak dziewięćdziesiąt procent kierowców na tej drodze - zauważyła Katie.

Frank wydał polecenia technikom, którzy spróbowali teraz znaleźć ujęcie pod innym kątem, ale bez powodzenia.

- Puśćmy dalej film - zaproponował Shaw. - W trakcie rozmowy z Katie zjechał na pobocze. Może tam będzie dobre ujęcie jego twarzy albo tablic rejestracyjnych.

Niestety, nic z tego nie wyszło. Mercedes opuścił autostradę następnym zjazdem, ale żadna kamera już tego nie wychwyciła. Nie udało się dostrzec ani twarzy kierowcy, ani tablic rejestracyjnych.

- Czarny mercedes S 500 - powiedział Frank. - To nieco zawęża obszar poszukiwań. Przyjmijmy, że jest zarejestrowany w D.C., Marylandzie albo Wirginii, i przejrzymy rejestry.

- To bardzo zamożne okolice - zauważyła Katie. - Znajdziecie tu całe mnóstwo mercedesów S 500. Poza tym zakładacie, że samochód jest stąd. Przecież mógł przyjechać z dowolnego zakątka Stanów. Nie widzieliśmy tablicy rejestracyjnej. Podejrzanych mogą być setki tysięcy.

- Ona ma rację - poparł ją Royce.

- Jest prostszy sposób - odezwał się Shaw. - To jest płatna autostrada.

Frank pstryknął palcami.

- Mają tam kamerę, która rejestruje, kto nie zapłacił za przejazd. Głowę daję, że facet ma elektroniczne urządzenie do płacenia rachunków. Będziemy mieli zapis transakcji.

- Skąd pewność, że płaci rachunki drogą elektroniczną? - zapytał Royce.

- Mercedes S 500 kosztuje ponad sto tysięcy dolarów. Myślisz, że ktoś płaci tyle za samochód, żeby mu przerywano jazdę, każąc szukać po kieszeniach ćwierćdolarówek?

- A jeżeli ten samochód zmienił pas, żeby uniknąć kolizji, i nie miał nic wspólnego z naszą sprawą?

- A potem nagle zjeżdża z autostrady, kiedy akurat Katie przez telefon każe mu to zrobić? Nie, nie, to na pewno on - upierał się Shaw. - Słyszeliście pisk opon i klakson, czas też się zgadza.

- Zapytamy pracowników autostrady i sprawdzimy zapis. - Frank zerknął na zegarek. - Siedem minut po północy.

- Dopadniemy gościa i będzie po wszystkim - powiedział Royce. - Aresztujemy go i przeprowadzimy ekstradycję.

- Tak jest - zgodził się Frank.

Katie zerknęła nerwowo na Shawa. Patrzył w inną stronę z kamienną twarzą.  
Nie sądzę, pomyślał Shaw.

## ROZDZIAŁ 84

Pender sprzedał akcje i obligacje, zlikwidował fundusze emerytalne, podkradł trochę z kont firmy i opróżnił skrytki depozytowe, ale w końcu zebrał dwadzieścia milionów dolarów. Dwa dni po rozmowie z Katie wstał wcześniej. Teraz mógł już dokonać przelewu. Liczył bardzo na to, że premia, którą otrzymał od Creela, będzie na tyle wysoka, że zrekompensuje mu te nieprzewidziane wydatki. Prócz tego modlił się żarliwie, żeby cała ta obrzydliwa historia już się skończyła.

Pender, rozwodnik, mający na utrzymaniu dwójkę dzieci w college'u i jedno kończące studia na elitarnej prywatnej uczelni w Waszyngtonie, miał rezydencję w McLean w stanie Wirginia, tam gdzie mieszkało wielu znanych i mniej znanych polityków. Cieszył się swoją wolnością, pogrążał w pracy i utrzymywał przypadkowe kontakty seksualne, zdarzało się, że ze swoimi młodymi pracownikami, które liczyły na szybką karierę. Taki tryb życia mu odpowiadał - żadnych zobowiązań. Nie rozumiał ludzi takich jak Nicolas Creel, poślubiających kolejne kobiety, które w głowach miały kompletną pustkę.

Miał już zatem dwadzieścia milionów dolarów i mógł je przelać. A jeśli James mimo to napisze artykuł? Albo zażąda więcej? Albo, co gorsza, dowie się o tym Creel?

Wszystko będzie dobrze. Musi się udać.

Wziął prysznic, przebrał się, wypił szklankę soku pomarańczowego, wziął do ręki teczkę i wyszedł.

Dotarł do garażu i nagle pociemniało mu w oczach.

Obudził się kilka godzin później na łóżku polowym. Jedynym źródłem światła była stojąca na stole pozbawiona abażuru lampa. Usiadł na łóżku i rozejrzał się powoli, czując, że za źródłem światła ktoś się ukrywa. Próbował przesłonić dłonią oczy.

- Co jest, do cholery?! - zawołał z całą odwagą, na jaką było go stać, choć jego głos zabrzmiał skrzekliwie, drżały mu kąciki ust i dyszał ze strachu..

Z mroku wyłonił się jakiś wielki, groźnie wyglądający człowiek. Pender na jego widok instynktownie przywarł do ściany. Gdzieś z oddali dobiegł głos.

- Przywieźliśmy cię tu dla twojego bezpieczeństwa.

Drzwi otworzyły się, zapaliła się lampa pod sufitem i Pender zaczął gwałtownie mrugać. Zbladł, kiedy poznał człowieka, który wszedł do pomieszczenia.

- To pan?

- Ja - odpowiedział Nicolas Creel.

Za jego plecami stał milczący Caesar.



## ROZDZIAŁ 85

Chociaż rząd mógł szpiegować swoich obywateli bez nakazu sądowego, to sprawdzenie, czy jakiś konkretny samochód przejechał w określonym czasie przez bramkę na autostradzie, było już dużo bardziej skomplikowane. Shaw wraz z całą resztą odkryli, że kamera przy wjeździe na autostradę nie działała. Widocznie tylu kierowców mijalo bramkę, nie płacąc, że zarządca autostrady poddał się. Poinformowano ich, że obecnie kamera odgrywa tylko rolę straszaka. Z drugiej strony wszyscy o tym wiedzieli, bo jakiś czas temu w lokalnej gazecie ukazał się na ten temat artykuł.

Frank sprawdził jeszcze zapisy firmy przyjmującej zapłatę drogą elektroniczną. Mimo jego pozycji odmówiono mu dostępu do danych. Frank poprosił o pomoc policję z Wirginii. Z takim wsparciem spróbował jeszcze raz zdobyć potrzebne mu dane. Tym razem oznajmiono mu, że nastąpiła awaria serwera, w której wyniku bezpowrotnie utracono wszystkie dane. Ponoć takie sytuacje już się zdarzały. Firma zapewniła, że pracuje nad usunięciem usterki i jeśli uda się cokolwiek odzyskać, odezwą się.

- Odezwiecie się?! - wrzeszczał Frank do słuchawki telefonicznej. - Cały ten popieprzony świat może za chwilę wylecieć w powietrze, a wy mówicie, że się odezwiecie?!

Kobieta po drugiej stronie słuchawki odpowiedziała, że nie przejmuje się krzykami Franka, a komputery są, jakie są, czyli niedoskonałe.

- Skarbie - odpowiedział jej Frank - kogo obchodzą niedoskonałe komputery, kiedy zbliża się koniec świata?

Kobieta najwyraźniej nie słuchała jego argumentacji, tylko czytała to, co jej napisano w instrukcji. Życzyła Frankowi miłego dnia i dodała, że w razie jakichkolwiek pytań czy wątpliwości z radością przyjdzie mu z pomocą, gdyż dewizą ich firmy była dbałość o klienta.

Frank rzucił słuchawką telefonu i pewnie zacząłby wyrywać sobie włosy z głowy, gdyby je miał.

Powiódł wzrokiem po pozostałych.

- I co teraz? Czekamy, aż spadnie pierwsza atomówka? Royce wzruszył ramionami.

- A mamy inne wyjście?

Shaw podniósł się z miejsca.

- Możemy pokopać na własną rękę.

- Jak? - spytał Frank.

- W ziemi - odparł Shaw i wyszedł.

Katie spojrzała na pozostałych dwóch mężczyzn.

- Co z nim? - zapytał Royce.

- Dużo ostatnio przeszedł - broniła Shawa Katie.

- Wszyscy dużo przeszliśmy - warknął Frank.

Katie już tego nie usłyszała. Wybiegła za Shawem. Złapała go w głębi korytarza.

- Shaw?

Stał w miejscu i czekał, aż go dogoni.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała.

- To, co powiedziałem. Kopać. - Ruszył znowu w swoją stronę. Katie musiała dobrze wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć.

- Ale jak, gdzie? Przecież nie jesteś magikiem, nie wyciągniesz tego faceta z kapelusza.

- Kto wie.

- Czy ty musisz być taki cholernie tajemniczy? To wcale nie jest miłe. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - I może przystaniesz na chwilę. Chyba nie bierzemy udziału w maratonie.

Spojrzał jej w oczy.

- Nie prosiłem cię o pomoc.

- Wiem - odpowiedziała spokojniej. - Ale ja chcę ci pomóc. Miałam nadzieję, że mój plan się uda i złapiemy tego faceta.

Z twarzy Shawa zniknęła resztką złości.

- Twój plan był świetny, Katie. Prawie go mieliśmy.

- Więc mogę ci pomóc? I tak nie mam nic innego do roboty. - Wysiłła się na uśmiech.

- Dobrze. Masz jakiś pomysł?

- Wszystko, co mamy, to wideo z samochodem na autostradzie. Chyba warto mu się jeszcze raz przyjrzeć. Mogliśmy coś przeoczyć.

Shaw w końcu wzruszył ramionami.

- Wyciągnę jakoś kopię i obejrzymy je jeszcze raz.

- Dlaczego kopię? Nie możemy obejrzeć nagrania razem z Royce'em i Frankiem?

Shaw nie odpowiedział. Szedł już dalej korytarzem.

## ROZDZIAŁ 86

Creel trzymał w ręku mały magnetofon. Włączył go i Pender usłyszał zapis swojej rozmowy telefonicznej z Katie James.

- Wiedział pan? - wydusił z siebie poszarzały na twarzy Pender.

- Oczywiście, że wiedziałem, Dick. Ja wiem wszystko. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę.

- Chciałem to załatwić po cichu, panie Creel - wyrzucił z siebie Pender. - Mam pieniądze. Wszystko już załatwiłem.

- Doceniam twoje starania, naprawdę. Ale ten pomysł z blogiem był faktycznie niefortunny. Myślałem, że przy takich kwotach, jakie ci płacę, takie coś się nie wydarzy. Ale cóż, takie jest życie. Zdarzają się niespodziewane zwroty akcji.

- Ale jak jej zapłacimy... Creel powstrzymał go.

- Niestety, to nie jest takie proste. Mam poważne wątpliwości, czy ktoś taki jak Katie James naprawdę myśli o pieniądzach. Sprawdziłem ją bardzo dokładnie, nim zdecydowałem się wciągnąć ją do mojego planu. Wiele lat temu mogła zarobić fortunę jako prezenterka porannych wiadomości w dowolnej stacji telewizyjnej, ale odmówiła. Bardziej interesują ją jej artykuły niż pieniądze. I nawet dwadzieścia milionów dolarów tego nie zmieni.

- Dlaczego w takim razie skontaktowała się ze mną?

- Żebyś do niej zadzwonił. Kiedy James kazała ci się zatrzymać, ten tu obecny mój przyjaciel powiedział mi, że o mało nie straciłeś panowania nad samochodem.

Pender zerknął na Caesara.

- On mnie śledził?

- Odpowiedz na pytanie, Dick.

- Tak. Zdenerwowałem się. Wyglądało to tak, jakby mnie śledziła.

- Owszem, ktoś cię śledził, Dick. Nie tylko ja.

- O czym pan mówi? Kto mnie śledził?

- Wzdłuż całego płatnego odcinka autostrady są rozmieszczone kamery. Kazała ci się zatrzymać, żeby zmusić cię do jakiejś reakcji. I udało jej się. A teraz oni przeglądają nagranie i widzą, że w chwili gdy Katie James ci to powiedziała, o mało się nie rozbiłeś. W ten sposób mogą namierzyć samochód.

Do rozmowy włączył się Caesar.

- Potem zgodnie z jej poleceniem zjechałeś z autostrady. I przejechałeś przez bramkę.

- O Boże! Oni teraz mogą być u mnie domu. To było dwa dni temu...

- Uspokój się, Dick. Gdyby obraz z kamer był dobry, już dawno zostałbyś aresztowany.

- A bramka na zjeździe? Zapłaciłem elektronicznie. Został ślad.

- Na szczęście w porę się dowiedzieliśmy o całej sprawie. Moi najlepsi hakerzy zajęli się firmą obsługującą elektroniczne płatności. Wkrótce po tym, jak tamtędy przejechałeś, nawalił im cały system rejestracji danych.

Pender odetchnął z ulgą.

- Jak zwykle pomyślał pan o wszystkim.

- Teraz musisz coś dla mnie zrobić.

- Cokolwiek pan zechce.

- Musimy zamknąć temat. Natychmiast. Każ swoim pracownikom iść do domu. Musimy zlikwidować wszelkie ślady, które wiązałyby cię z „czerwoną paniką”.

- Moi ludzie się tym zajmą, panie Creel. Mogę od razu zadzwonić.

- W świetle ostatnich wydarzeń wolę, żeby to moi ludzie zajęli się porządkami. Chyba to rozumiesz?

- Oczywiście, skoro pan nalega.

- A teraz dobra wiadomość - nie musisz płacić tych pieniędzy, Dick.

- No dobrze, a jeśli ona napisze ten swój artykuł?

- Niech pisze. Sprawy zaszły już za daleko, by mogła cokolwiek zmienić. Kontrakty są podpisane, a mimo dyplomatycznych starań Rosja i Chiny stoją na krawędzi wojny. Jedyne, co może zrobić James, to wycofać się z tego, co napisała wcześniej. Powie pewnie, że została oszukana. Ale bez dowodów jej wiarygodność będzie równa zeru. Okaze się po prostu niekompetentną dziennikarką.

- Więc zwyciężyliśmy.

Creel objął ramieniem Pendera.

- Tak, Dick, zwyciężyliśmy. A teraz dzwoń do swoich ludzi i kończmy to wreszcie.

## ROZDZIAŁ 87

Siedzieli w pokoju hotelowym Katie i po raz setny oglądali nagranie z kamery. Stolik na kółkach pełen był pustych talerzy i filiżanek, bo nie mieli czasu wyjść, żeby coś zjeść. Dzięki zaciągniętym zasłonom było zupełnie ciemno i widać było każdy najdrobniejszy szczegół nagrania. Za pomocą komputera powiększyli wszystkie kąty widzenia i podzielili obraz na sektory. Nic to nie dało.

Shaw leżał na podłodze i wpatrywał się w sufit. To samo na nieposłanym łóżku robiła wyczerpana Katie. Zdjęła buty, gołą stopą przysunęła sobie stolik na kółkach i naląła kawy.

- Chcesz? - spytała.

Potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od sufitu.

- Frank sprawdził to konto, które otworzył specjalnie na potrzeby przelewu. Nie wpłynęły nasze miliony.

- Super - odparła Katie. - Nie mam nowych pomysłów i wciąż jestem uboga.

Usiadła na krześle przy biurku, wypila kawę i spojrzała na ekran.

- Jak tam ostatnie wysiłki dyplomatyczne? - zapytał Shaw.

Katie zastukała palcami w klawiaturę, połączyła się z Internetem i zaczęła czytać wiadomości.

- Trwa konferencja w Londynie. Chiny i Rosja nie przysłały swoich delegacji. Mimo to wszyscy wciąż mają nadzieję na pokojowe rozwiązanie.

Przerwała połączenie z Internetem i wróciła do filmu z mercedesem. Tym razem zwolniła tempo odtwarzania. Shaw spojrzał na Katie.

Miała na sobie spódnicę, rajstopy i bluzkę. Usiłując się skupić, marszczyła brwi.

- Katie, robiliśmy to już tyle razy i nic. A ci od opłat nadal nie mogą nam nic powiedzieć. Wszystko to możemy sobie wsadzić...

Katie go nie słuchała. Jej wzrok był utkwiony w ekranie. Spójrz!

Zerwał się z podłogi i stanął obok niej przy biurku.

- Co?

- Tam. - Wskazała dół ekranu, gdzie znajdowała się jedna z właśnie powiększonych sekcji.

- To tylny zderzak mercedesa. I co z tego?

- To jest czarny mercedes.

- Żartujesz, byłem pewien, że biały - zakpił. - Możesz przejść do rzeczy?

- Spokojnie. - Postukała paznokciem w ekran. - Samochód jest czarny, ale to miejsce jest niebieskie. I złote. - Wskazała kolejną smuzkę koloru. - I czerwone.

- Zauważyłem to wcześniej. Wszyscy to widzieliśmy. To jakaś nalepka na zderzaku. Nic z tego nie wynika. Nie ma tam żadnego napisu. Technicy już to powiększali i do niczego nie doszli.

- Wiem o tym, ale zaczekaj chwilę. - Palce Katie zastukały w klawisze i obraz powiększył się jeszcze bardziej. Teraz widać było u góry czerwony pasek, poniżej cienkie złote kreski i granatowe tło. Katie wcisnęła kolejne przyciski, powiększając część złoto-granatową.

- Widzieliśmy to, Katie - powtórzył Shaw, przypatrując się uważnie jej skupionej twarzy. - O co ci chodzi?

- Kiedy zobaczyłam to po raz pierwszy, czułam, że znam ten kształt, ale ponieważ nic nie przychodziło mi do głowy, pomyślałam, że się pomyliłam. Ale teraz, kiedy patrzę na to znowu, wiem, że już to gdzieś widziałam. Tylko wciąż mi to gdzieś umyka. - Rzuciła okiem na przewieszoną przez krzesło marynarkę Shawa. Dotknęła kieszeni na piersi. - Cholera, mam. To jest to!

Połączyła się z wyszukiwarką Google.

Kiedy na ekranie pojawiły się wyniki poszukiwań, Shaw nie mógł oderwać oczu od ekranu.

To był srebrny krzyż na czerwonym pasku, poniżej granatowa tarcza herbowa ze złotym krzyżem w kształcie litery X i umieszczoną centralnie czerwoną koroną. Idealne odwzorowanie tego, co widać było na nagraniu z kamery.

Shaw przeczytał napis na górze strony internetowej:

- Saint Albans School? Katie pokiwała głową.

- Mówiłam ci, że mój ojciec dorastał w Waszyngtonie? Chodził do Saint Albans. To ekskluzywna, prywatna męska szkoła. - Pociągnęła za rękaw Shawa. - Do tej pory ma marynarkę z tym znaczkiem.

Dlatego zapamiętałam. Założę się, że nasz przyjaciel ma syna, który chodził lub chodzi do tej szkoły.

Chwilę później Katie szybowwała w powietrzu. Shaw znalazł w sobie tyle sił, by podrzucać ją jedną, zdrową ręką.

- Świetna robota, Katie - szepnął jej do ucha.

Postawił ją na podłodze i zajął się komputerem; tymczasem Katie wydawała się nieco wytrącona z równowagi.

- Musimy powiedzieć o tym Royce'owi i Frankowi. Niech przeszukają bazy danych Saint Albans, wyciągną listę nazwisk i wtedy znajdziemy czarnego mercedesa.

- Jak sądzisz, uda nam się go znaleźć bez informowania o tym Royce'a i Franka? - Mówiąc te słowa, Shaw nie patrzył na Katie.

- Nie wiem - odparła z wahaniem. - Będziesz pewnie potrzebował nakazu rewizji.

- Ale mówiłaś, że uczył się tam twój ojciec. To mogłoby ułatwić...

- Być może, ale do danych o zarejestrowanych samochodach nie mam dostępu. A właściwie dlaczego nie chcesz do nich zadzwonić? - zapytała Katie z niepokojem.

Odwrócił się do niej. Katie bezwiednie zrobiła krok do tyłu.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytał otwarcie.

- Sama nie wiem, co myśleć.

- Oczywiście, że wiesz. Jesteś bardzo bystra. - Wskazał ruchem głowy ekran komputera. - Tak bystra, że spostrzegłaś to, czego nikt inny nie zauważył.

- Nie pomogę ci w tym, co chcesz zrobić. - W jej głosie zabrzmiała nutka desperacji.

- Nagle zaczęłaś się mnie brzydzić? Troszczysz się o cudze prawa? Obywatel jest niewinny, dopóki sąd nie postanowi inaczej?

- Wcale nie bronię ludzi, którzy to zrobili. Niech smażą się w piekle.

- W takim razie w czym problem?

- Ty stanowisz problem. Zaczнеш sam wymierzać prawo i trafisz do więzienia. Albo skończy się to jeszcze gorzej. Nie chcę w tym brać udziału. Nie mogę.

Usiadł na krześle i wbił wzrok w dywan.

- Shaw, nie możesz rzucać na szalę swojego życia. Zdawał się nie słuchać.

- Kiedyś myślałem, że wiem, co to jest prawdziwy ból. Ale dowiedziałem się tego dopiero po śmierci Anny.

Katie podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Wyrzuć to z siebie. Ten żal cię niszczy.

Poderwał się tak gwałtownie, że Katie instynktownie odskoczyła w bok.

- Zadzwonię do Franka i powiem mu, żeby się tym zajął.

- Tak po prostu? - zapytała zdumiona.

- Tak po prostu. Będzie szybciej - dodał złowrogo.

Katie wpatrywała się w emblemat szkoły, a potem przeniosła spojrzenie na Shawa, który zdawał relację Frankowi. Kiedy Shaw skończył rozmowę, zakomenderował:

- Wkładaj buty. Dość już czasu spędziliśmy w tym pokoju. Zabieram cię na obiad, a oni niech szukają mercedesa.

Katie podniosła buty, usiadła na łóżku i włożyła je. Shaw położył dłoń na jej ramieniu, gdy prowadził ją w stronę drzwi. Kiedy szli korytarzem, serce waliło jej w piersiach. Nie wierzyła mu. I bała się. Nie o siebie. O niego.



# ROZDZIAŁ 88

W bazie danych szkoły Saint Albans było osiem rodzin, które miały mercedesa S500. Shaw, Royce, Frank i Katie siedzieli w jednym z pokoiów biura FBI w północnej Wirginii i przeglądali listę.

- Dwie w McLean. Jedna w Great Falls. Trzy w Potomacu. Reszta w Waszyngtonie. Cztery rodziny mają dzieci, które właśnie dostały się do szkoły - referował agent FBI.

Katie oderwała wzrok od ekranu i zerknęła na Shawa. Pilnie studiował listę. Kiedy przyjrzała mu się uważniej, zauważyła, że bezgłośnie porusza ustami.

*Zapamiętuje nazwiska i adresy.*

- Musimy to dobrze rozegrać - powiedział Frank - rozdzielić siły, tak żeby uderzyć na wszystkich w tym samym momencie.

- Możemy jeszcze zawęzić listę - wtrącił agent. - Dom w Great Falls i samochód są zapisane na osiemdziesięciosześcioletnią kobietę. Jeden z mężczyzn z Waszyngtonu, Stephen Marshall, jest Afroamerykaninem, a drugi, Sohan Gupta, Hindusem. Mówiliście, że wasz podejrzany jest biały. Możemy później sprawdzić, czy tamci na przykład nie pożyczali komuś swojego samochodu.

- Więc pozostaje pięciu. Dwóch w McLean w Wirginii i trzech w Potomacu w stanie Maryland - podsumował Frank.

- Trzeba zdobyć nakazy aresztowania - dodał agent FBI. - To zajmie trochę czasu, bo okoliczności są - tu spojrzął na Franka - nieco niezwykle.

- Jak długo? - zapytał Royce. Agent spojrzął na zegarek.

- Zrobimy, co w naszej mocy, ale wcześniej niż jutro rano nie da rady.

- W porządku.

- Czy można zacząć obserwację domów już dzisiaj? - zapytał Frank.

- Mogą zauważyć - wtrącił się Shaw - a jeśli nie będziemy mieli nakazu rewizji...

- To zdążą zniszczyć dowody i całą akcję diabli wezmą - dokończył za niego Royce.

Frank westchnął i odezwał się do agenta FBI:

- Zdobądź te nakazy jak najszybciej.

Katie zerknęła na Shawa i dostrzegła na jego twarzy cień ponurego uśmiechu.

- Chcę iść z wami - powiedział Shaw. Frank skinął głową.

- Ale FBI idzie przodem.

- Oczywiście.

Royce też wyraził zgodę skinieniem głowy.

- To nie jest moja jurysdykcja.

Spotkanie dobiegło końca i Shaw wyszedł z gabinetu. Za nim szybko podążyła Katie.

Kiedy chciał otworzyć stojący na parkingu samochód, przytrzymała ręką drzwi.

- Nie rób tego. Odsunął jej rękę.

- Czego mam nie robić?

- Dobrze wiesz czego.

- Podwożę cię do hotelu. Musisz się wyspać. Jesteś trochę skołowana.

Złapała go za rękaw.

- Shaw, widziałam, co robiłeś. Uczyłeś się na pamięć adresów. Nie zamierzasz czekać na nakaz rewizji. Pójdiesz do nich dziś wieczorem. I...

- I co? Zacznę zabijać? To właśnie pomyślałaś?

- Sama nie wiem, co myśleć.

- Świetnie, możesz do mnie dołączyć. - Uwolnił ramię od jej dłoni. - Jedziesz ze mną?

- Nie.

- Jak uważasz.

Shaw odjechał. Z budynku wyszedł Frank i Royce i podeszli do Katie.

Frank spojrzał na odjeżdżający samochód Shawa.

- Kolega zostawił cię na lodzie?

- Nie, ja...

- Podwieźć cię?

Kiedy wsiedli do samochodu, Frank odwrócił się i spytał:

- Wszystko w porządku?

- Tak, świetnie.

Royce obrzucił ją badawczym spojrzeniem, potem spojrzał na Franka i wzruszył ramionami.

Katie wróciła do pokoju hotelowego, zrzuciła ubranie i wzięła gorący prysznic. Oparła głowę o wyłożoną glazurą ścianę i pozwoliła, by woda spływała swobodnie po jej ciele.

*Co ja mam robić? Powiedzieć Frankowi i Royce'owi? Kazać im śledzić Shawa? Powstrzymać go, nim kogoś zabije albo sam zginie}*

Katie zdawała sobie sprawę, że tak właśnie powinna postąpić. Ale to nie było łatwe. A jeśli się myliła? Jeśli Shaw dowie się, że go zdradziła? Z drugiej strony nie przysięgała, że zachowa to w tajemnicy. Shaw nigdy jej o to nie prosił.

Wyszła spod prysznic i włożyła ciemne ubranie. Nie mogła donieść na Shawa. Ale nie mogła też stać biernie z boku i patrzeć, jak rujnuje sobie życie.

Zadzwoniła do jego pokoju. Kiedy podniósł słuchawkę, rozłączyła się. Był jeszcze u siebie. Dwie minuty później siedziała na krześle z wysokim oparciem w hotelowym holu i czekała na pojawienie się Shawa.

Po godzinie pojawił się i wyszedł z hotelu. Ruszyła za nim.

## ROZDZIAŁ 89

Pierwsze dwa domy, które odwiedził Shaw, nie okazały się tymi właściwymi. Katie widziała, jak wchodzi i po kilku minutach wychodzi. Z trzeciego domu, zbudowanej z kamienia rezydencji w McLean, długo nie wychodził. Właściwie w ogóle z niej nie wyszedł.

Katie zerknęła na zegarek. Minęło dziesięć minut. Wszystko wskazywało na to, że trafił w dziesiątkę. Wysiadła z samochodu i wkradła się do wnętrza domu tą samą drogą co Shaw - tylnym wejściem. Krocząc ostrożnie korytarzem, czuła pulsowanie w skroniach; serce waliło jej jak młot. O mało nie potknęła się o coś na swojej drodze. Z trudem powstrzymała się od krzyku.

*Czy to ciało?*

*Czy to ciało Shawa?*

Wyciągnęła przed siebie dłoń i namacała przewrócone krzesło. Jej wzrok przyzwyczajał się stopniowo do mroku; zaczęła dostrzegać wokół siebie inne przedmioty, przedmioty, które nie powinny znajdować się w tym miejscu. Na przykład leżąca na podłodze fotografia. Podniosła ją. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę i chłopca.

Odłożyła zdjęcie i ruszyła dalej korytarzem. Na podłodze leżało jakieś pudło. Pochyliła się, żeby do niego zajrzeć. Okazało się puste, choć wyglądało na to, że wcześniej coś w nim było. Czy to robota Shawa? Może czegoś szukał? Czy był w tym domu ktoś jeszcze?

Pojawiły się przed nią drzwi. Chwyciła klamkę, wzięła głęboki wdech i je otworzyła. To była sypialnia. Duża sypialnia.

Spostrzegła jakąś postać leżącą na łóżku i wstrzymała oddech. Ciało spoczywało na poduszkach. Widziała je całkiem dobrze we wpadającym przez okno świetle księżyca. Na ustach mężczyzny zamarł krzyk. Katie nieraz widziała trupa, a to na pewno był trup.

Odwróciła się, zamierzając uciec.

I wpadła wprost na stojącego za nią człowieka. Shaw zasłonił jej usta dłonią.

Patrzyła na niego przerażona, jej ciałem wstrząsały dreszcze. Shaw zabrał rękę i wskazał na ciało.

- Nie żyje.

Katie pokiwała z wolna głową; oczy miała szeroko otwarte ze strachu.

Nagle zrozumiał przyczynę jej przerażenia i rozzłościł się.

- Sprawdź, ciało jest zimne.

- W porządku.

Popchnął ją w kierunku łóżka.

- Wierzę ci - powiedziała, odwracając się do niego.

- Oczywiście, że nie wierzysz. Idź i sprawdź sama. Podeszła do łóżka. Za nią szedł Shaw.

- Ciało stężało - wyjaśnił. - Tak się dzieje pomiędzy dwunastą a dwudziestą czwartą godziną po śmierci. A ja tu jestem od piętnastu minut.

Bardziej już ciekawa niż przerażona Katie dotknęła ramienia mężczyzny. Ciało było twarde jak skała, a skóra zimna jak lód.

- Jak zginął?

Wskazał na poduszkę, na której widać było zaschnięte plamy.

- Strzał w tył głowy.

Odsunęła się od łóżka i rozejrzała po pokoju. Shaw oświetlił go latarką. Tu także meble były poprzewracane, zawartość szuflad wywalona na podłogę.

- Napad? - zastanawiała się. - Rabunek?

Shaw wskazał na drzwi do sąsiadującego z sypialnią gabinetu.

- Spójrz na to.

Weszli do pomieszczenia. Pod ścianą leżał zdjęty z haka portret. W ścianie dostrzegli głęboki otwór.

- Tu musiał znajdować się sejf. Morderca musiał go ze sobą zabrać.

- Więc to była zwykła kradzież? Nieboszczyk jest ubrany. Wrócił do domu, przyłapał włamywaczy na gorącym uczynku, a oni go zabili.

Shaw spojrzał na nią znacząco.

- Naprawdę w to wierzysz? - Nie.

- To dobrze. Wszystko tu zostało dobrze wyreżyserowane.

- To jest właśnie ten dom? Pokiwał głową.

- Najpierw sprawdziłem samochód w garażu. Na zderzaku jest nalepka. A na tylnym błotniku rysa, którą widziałem wcześniej na filmie. To jest ten wóz.

- A nieboszczyk?

Shaw wziął z półki fotografię i oświetlił ją latarką. Mężczyzna ze zdjęcia przypominał tego z filmu.

- To właściciel domu, Richard Pender - powiedział Shaw.

- Lepiej stąd chodźmy.
- Nie. Najpierw muszę przeszukać dom.
- Co będzie, jak nas złapią?
- Ty możesz iść.
- Cholera, czy ty zawsze musisz wszystko komplikować?
- Nie prosiłem, żebyś za mną łąziła.
- A skąd wiedziałeś, że cię śledziłam?
- Bo stoisz teraz przede mną.
- Mogłam tu przyjść sama. Też zapamiętałam wszystkie adresy.
- Widziałem, jak siedzisz w hotelowym holu i czekasz, aż wyjdę. Gdybyś zapamiętała adresy, wiedziałabyś, że to jest dom Pendera. A poza tym widziałem dziś z tuzin razy twój samochód jadący za mną.
- Zaraz, zaraz. Skoro wiedziałeś, że cię śledzę, dlaczego mnie nie zatrzymałeś? Albo nie spróbowałeś zgubić?

Shaw zamierzał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Spojrzał gdzieś w dal i powiedział cicho:

- Nie jestem mordercą.
- Cieszę się, że sam doszedłeś do tego wniosku.
- Pomożesz mi szukać czy nie? - spytał po chwili.
- Pomogę, tylko zrobmy to szybko.

Minęło pół godziny, a oni nie znaleźli niczego godnego uwagi. Richard Pender był właścicielem firmy Pender & Associates. Shaw nigdy o takiej firmie nie słyszał. Adres firmy znaleźli na druku firmowym leżącym w szufladzie.

Katie spojrzała na papier.

- Skądś znam tę nazwę. - Zamyśliła się głęboko, a potem potrząsnęła głową - Nic mi nie przychodzi do głowy.

Wyszli tylnymi drzwiami. A właściwie zamierzali wyjść.

## ROZDZIAŁ 90

Pierwszy ocknął się Shaw. Wszystkie synapsy jego mózgu wysyłały do pozostałych części ciała komunikaty o bólu, tak że nerwowa skrzynka pocztowa wkrótce się zapchała. Usiłował usiąść, walcząc przy tym z atakiem nudności. Początkowo sądził, że jest związany, ale okazało się, że nie. Ręce i nogi miał wolne.

Usłyszał jęk i obejrzał się za siebie. Na podłodze leżała Katie.

- Katie? Jesteś cała?

Jęknęła, potem westchnęła głęboko i powoli usiadła. Potarła ręką głowę.

- Tak, ale mam pieprzonego guza na...

Rozległ się zgrzyt, jakby metal ocierał o coś twardego.

- Co to było? - spytała. - Gdzie my jesteśmy?

Rozejrzała się dookoła. Znajdowali się w samochodzie. W jej samochodzie. Tym, którym śledziła Shawa.

- Nie ruszaj się - syknął Shaw. - Co?

Rozległ się kolejny zgrzyt i podłoga samochodu jakby zafalowała pod Katie.

- Co się dzieje?

Shaw zbliżył twarz do okna. Katie też wyjrzała, ale nie dostrzegła niczego prócz ciemności. Właściwie to nie była sama ciemność. Rozpoznała drzewa. Wielkie drzewa i gęste zarośla.

- Zostawili nas w lesie?

- Tak, ale nie na ziemi.

- O czym ty mówisz?

- Wyjrzyj przez przednią szybę, tylko nie ruszaj się.

Katie powoli obróciła głowę i kiedy spojrzała przed siebie, wstrzymała oddech. Patrzyła prosto w dół, przynajmniej takie to sprawiało wrażenie. Czowała się tak, jakby siedziała w wesołym miasteczku w wagoniku kolejki górskiej na samym szczycie wzniesienia albo w samolocie ostro pikującym w dół.

- Gdzie my jesteśmy? - szepnęła.

- W samochodzie na szczycie stromego wzgórza. Przed nami jest jakieś sześćdziesiąt metrów ostrego spadku. Tam trafimy na drzewa. A jeśli nawet uda nam się przejechać przez ten las, to wpadniemy prosto do rzeki.

- Do rzeki?

- Tak, do Potomacu. - Powoli uniósł ramię i wskazał palcem odległy widok. - To chyba jest Georgetown, prawda?

Popatrzyła na pulsujące za rzeką światła.

- Zjechaliśmy z Alei Jerzego Waszyngtona? Shaw przytaknęła.

- Możesz otworzyć drzwi?

- Są zamknięte, a jak spróbuję je wyważyć, to czeka nas krótka podróż w dół.

- Jak się tu znaleźliśmy? Zapamiętałam, że wychodziliśmy z domu Pendera.

- Musieli tam na nas czekać. Jestem skończonym idiotą. Skoro zaczęli się na nas na cmentarzu w Niemczech, to dlaczego nie mieliby zostawić pułapki w domu Pendera? Domyślili się, o co nam chodziło z tym telefonem, dotarli do Pendera pierwsi i czekali na nas.

Katie wzruszyła ramionami.

- Śmierć Pendera upozorowali na włamanie, a my mamy teraz zginąć w wypadku samochodowym.

Shaw się skrzywił.

- Zjechaliśmy z drogi i samochód stoczył się po zboczu. Przy zderzeniu z drzewami na dole nastąpił wybuch zbiornika paliwa i wóz stanął w płomieniach. Założę się, że na asfalcie zostawili profesjonalnie spreparowane ślady hamowania.

- Dlaczego w takim razie samochód jeszcze się nie stoczył?

- Zawiśliśmy na występie skalnym.

- Rzeczywiście zaraz spadniemy czy jestem zwykłą histeryczką?

- Żadne z kół nie dotyka ziemi. Siedzimy na huśtawce, a punktem podparcia jest kawałek skały. Jeśli poruszymy się nieostrożnie, spadniemy.

- A jeśli nie będziemy się poruszać, to też w którymś momencie spadniemy. Mógłbyś do kogoś zadzwonić? Do Franka, Royce'a, prezydenta?

Shaw delikatnie poklepał się po kieszeniach.

- Zabrali mi telefon. A twój?

- Był w torebce. Zostawiłam ją w samochodzie. Widzisz ją? Shaw spojrzał na podłogę.

- Tak, ale jak spróbuję po nią sięgnąć, spadniemy.



- Nie udałoby ci się przecisnąć na tylne siedzenie? Przy twojej masie samochód byłby stabilniejszy.

Shaw spróbował przesunąć się do tyłu, ale jedynym skutkiem był kolejny przeciągły jęk metalu i obsunięcie się o kilka centymetrów samochodu.

- Nie da rady.

- No to siedźmy tu i czekajmy na śmierć! - krzyknęła Katie. Shaw przesunął ciężar ciała odrobinę w lewo. Znow rozległ się zgrzyt i samochód przesunął się o kolejny centymetr.

- Mam pomysł. - Jaki?

- Nie ruszaj się. - Shaw rozejrzał się po wnętrzu. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Musiały tam być, żeby to wyglądało na prawdziwy wypadek, kiedy policja znajdzie spalony wrak samochodu. Wysunął do przodu rękę i ostrożnie przekręcił kluczyk o jeden ruch w prawo. Nie uruchomił silnika, ale włączył zasilanie. Teraz wcisnął guzik i otworzył okno. Szyba się zsunęła.

- No, dobrze, mamy otwarte okno. I co z tego? Przecież przez nie nie wyskoczymy.

Shaw sięgnął ręką i zdjął swój pasek od spodni.

- Powiedz, że masz przy spodniach pasek. - Mam.

- Zdejmij go i podaj mi, tylko powoli.

Zrobiła, co kazał, choć wszystko wskazywało na to, że każdy ruch jej ręki powoduje obsuwanie się samochodu ze zbocza.

Powoli i ostrożnie zrobił pętlę z jej paska, potem przeciągnął przez tę pętlę swój pasek i mocno zacisnął. W ręku został mu ponad metr skórzanego pasa.

- Co to ma być? - zapytała.

- Lasso.

- Co zamierzasz na nie złapać?

- Tamtą gałąź drzewa za oknem. - Wskazał na krótki, ale gruby kawał drewna. - Jeśli uda mi się wyslizgnąć przez okno, być może tył samochodu osiadzie pewniej na ziemi. Wtedy podłożę coś pod przednie koła i będę mógł cię stamtąd wydostać.

- Być może? A jeśli nie? Jeśli samochód stoczy się w przepaść? Pomachasz mi na pożegnanie?

Shaw zastanowił się.

- Dobrze. Robimy to razem. Jak nam się uda wydostać, to dobrze, jak nie, spadamy...

- Nie kończ, już to sobie zdążyłam wyobrazić. Jakie są szanse?

- Jakiś tysiąc do jednego.

- Zaczyna mi się to podobać - rzekła z sarkazmem.

- Kiedy uda mi się zacisnąć pętlę na gałęzi, masz mnie mocno złapać. Jasne?

Katie, czując, jak samochód zaczyna powoli sunąć w dół, zaczęła ciężko dyszeć.

- Spadamy, tak?!

- Katie, słyszałaś, co mówiłem?!

- Tak, tak, słyszałam. Chwycić cię i nie puszczać. Rozumiem.

- Ale zaczekaj, aż zacisnę pętlę na gałęzi.

- I zamierzasz to wszystko zrobić w ciągu tych milisekund, które nas dzielą od upadku w przepaść? Ocali nas pasek, który kupiłam na wyprzedazy za dziesięć dolców?

- Przestań histeryzować. Przecież wiem, że już nie raz ryzykowałam życie. To tylko jeszcze jedna próba.

Spojrzała z przerażeniem przed siebie, potem rozejrzała się na boki.

- Już dobrze.

Shaw popatrzył jeszcze raz na drzewo, starając się przekonać samego siebie, że to, co zamierzał uczynić, wcale nie graniczyło z cudem. Nie udało mu się. Zdał sobie sprawę, że jeśli jego plan się powiedzie, to za przyczyną boskiej interwencji, szczęścia i jakiejś kosmicznej magii.

- Gotowa? - zapytał.

Katie oddychała tak ciężko, jakby miała zamiar utrzymać w ręku tonę żelastwa, które lada chwila powinno z ogromną prędkością runąć w przepaść. Spojrzała na otwarte okno samochodu. Zdawało jej się, że ma niecałe dziesięć centymetrów średnicy. To nie może się udać. Dam radę, powiedziała do siebie. Dam radę. Boże, dopomóż...

Shaw rzucił lasso. Chybił.

- Może ja to zrobię! - krzyknęła z tyłu Katie. Wcisnęła guzik i otworzyła okno.

Nagle samochód zaczął sunąć do przodu.

- Boże! - krzyknęła Katie.

- Trzymaj się! - wrzasnął Shaw.

- Spada! Shaw, on spada! O Boże!

Samochód faktycznie zaczął zsuwać się po zboczu. Pomiędzy nim a gęstym dębowym zagajnikiem było już tylko płaskie, gładkie zbocze. Shaw nie mógł już sięgnąć gałęzi lassem zrobionym z pasków.

- Shaw! - krzyknęła Katie, ściskając z całych sił oparcie fotela, kiedy przód samochodu pochylił się niebezpiecznie, a tył uniósł, zupełnie jak *Titanic* tuż przed pograżeniem się w odmętach.

Shaw zaklął, wykonał półobrót w fotelu i rzucił swoje lasso przez otwarte okno Katie.

Pasek zaczepił się jakimś cudem o gałąź, Shaw pociągnął i zacisnął pętlę.

Okazało się, że cuda jednak się zdarzają.

Samochód zaczął się osuwać w dół zbocza i Shaw, nie wypuszczając z rąk paska, znalazł się nagle w otwartym oknie. - Katie! Lap mnie za nogi!

Niemal w tej samej chwili poczuł jej mocny chwyt. Samochód toczył się dalej.

Shaw gładko wyslizgnął się z pojazdu, ale potem stało się coś niedobrego. - Katie!

Nie było jej tam, gdzie powinna się znajdować. Jego ciało uderzyło o twardą ziemię. Wystający kawałek skały trafił go prosto w żołądek. Pasek wyslizgnął mu się z dłoni i Shaw zaczął turlać się po zboczu. Widział jednocześnie, jak sunący w dół samochód nabiera prędkości. Przeturlał się jeszcze raz i wylądował na plecach. Kiedy się w końcu podniósł, zobaczył, jak samochód wpada w gęstwinę drzew na dole. Chwilę później ciszę rozdarła potężna eksplozja zbiornika z paliwem.

Shaw chwycił się tego, co było pod ręką - krzewów, gałęzi drzew i skał, żeby tylko powstrzymać spadanie. Gdyby zsunął się jeszcze pięć metrów, nie znalazłby już niczego, co zdołałoby powstrzymać jego lot ku gorejącemu w dole piekłu. Ostatecznie jego upadek powstrzymał wystający z ziemi pniak.

- Katie! - krzyknął. - Katie!

# ROZDZIAŁ 91

Z twardego snu wyrwał Franka dzwonek telefonu. To był współpracujący z nimi agent FBI.

Frank usiadł i po omacku zaczął szukać porzucanego na łóżku ubrania.

- Co się stało?

- Jeden z ludzi z listy, Richard Pender, został znaleziony w domu martwy.

Morderstwo.

Frank zerwał się na równe nogi i przytrzymując słuchawkę ramieniem, zaczął wbijać się w spodnie.

- To nie wszystko. - Tak?

- Na policję zadzwonił sąsiad Pendera, to dzięki niemu odkryliśmy ciało.

- Dlaczego dzwonił? Widział coś? Może mordercę?

- Widział, jak dwie osoby wynoszono z domu i wrzucono do samochodu.

- Potrafi je rozpoznać?

- Było ciemno. Nie jest pewny. Mężczyzna był dobrze zbudowany. Niosło go trzech ludzi. Ta druga osoba wyglądała na kobietę.

- Widział coś jeszcze?

- Zapisał numer rejestracyjny samochodu, którym ich zabrali.

- I? - Frank włożył koszulę i wepchnął ją w spodnie. Potem przyszła kolej na skarpetki. - Nie, tylko nie to.

- Sprawdziliśmy. To był samochód wynajęty przez Katie. Frank włożył buty i ryknął:

- Co oni tam, do cholery, robili? Przecież nie mieliśmy jeszcze nakazu rewizji.

- Wygląda na to, że prowadzili niezależne śledztwo.

- Policja odnalazła ten samochód?

- Nie. Rozesłali informację, ale na razie bez odzewu.

- Próbowaliście skontaktować się z Shawem albo z Katie?

- Tak. Nie odbierają telefonów. Wysłaliśmy ludzi do hotelu. Również nic.

- Kiedy dzwonił ten sąsiad?

- Jakies dwie godziny temu.

- Chryste! Oni już pewnie nie żyją. A co się stało z Penderem? Kiedy go stuknęli?

- Jakieś dwadzieścia godzin temu, może więcej.

- Cholera. Siad ostygł. Zaraz, jeżeli kropnęli Pendera tak dawno temu, to po co obserwowali jego dom?

- Czekali, aż się ktoś zjawi? - wyraził przypuszczenie agent.

- Chcesz powiedzieć, że czekali na Shawa i Katie. Tak samo jak na pogrzebie w Durlach. Po jaką cholere oni tam poszli?

- Policja uważa, że to było włamanie, podczas którego coś poszło nie tak.

- Gówno, nie włamanie. Kim był ten Pender?

- Właścicielem firmy Pender & Associates z siedzibą na północy Wirginii. Profil nie do końca znany, ale chyba zajmowali się PR-em.

Frank zadzwonił do Royce'a, opowiedział mu, co się stało, i umówił się z nim w holu za pięć minut. Wziął ze sobą broń, otworzył z hukiem drzwi i zbiegł po schodach. Po drodze wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer.

- Shaw i James są w poważnych tarapatach. Znajdźcie ich. Ale już! Frank i Royce wpadli na siebie w holu i razem pobiegli do samochodu.

Teraz Frank zadzwonił do agenta FBI.

- Niech grupa szturmowa zrobi natychmiast nalot na firmę Pender & Associates.

- Nie mamy jeszcze nakazu rewizji.

- Jakie są szanse, że facet z naszej listy, który leży teraz martwy i z którego domu wywleczono Shawa i James, nie jest zamieszany w tę całą cholerną konspirację?! - wrzasnął Frank.

- Miliard do jednego - przyznał agent.

- W takim razie pieprzyć nakaz. Róbcie nalot na firmę!

Ale intuicja podpowiadała Frankowi, że jest już za późno. Za późno dla Pender & Associates.

I za późno dla Shawa i Katie.

## ROZDZIAŁ 92

Shaw powoli podniósł się z błota i zarośli i oparł ciężko o pień płytko zakorzenionej sosny. Spojrzał w dół na wrak samochodu; paliwo dopalało się, płomień przygasał. Przestał nawoływać Katie, bo całkiem już zachrypl. Zszedł po zboczu, przytrzymując się czego tylko mógł. Kiedy zbliżył się do płonącego pojazdu, nie chciał sobie nawet wyobrazić tego, co znajdowało się w środku - zwęglonych szczątków Katie James.

Cichy jęk tak go zaskoczył, że o mało nie potknął się i nie wpadł w płomienie. Okręcił się naokoło, wpatrując się w panujące wokół ciemności.

- Katie? - Bał się wypowiedzieć to imię, bał się, że nie usłyszy żadnej odpowiedzi.

Dobiegł go jakiś szelest. To było za duże na królika czy wiewiórkę. Rzucił się naprzód, potknął o coś, upadł, szybko wstał i popędził w tamtą stronę.

Katie leżała twarzą do ziemi obok dębu i próbowała właśnie się podnieść. Shaw przyklęknął przy niej i delikatnie obrócił ją na wznak.

- Cholera, myślałem, że już po tobie.

Miała zakrwawioną twarz i ramię wykręcone pod dziwnym kątem. Spojrzała na niego, uśmiechnęła słabo, a potem skrzywiła z bólu.

- Więc nie jestem martwa? Potrząsnął głową.

- Nie, chyba że ja też nie żyję. Możesz iść?

Z jego pomocą Katie wstała, trzymając się cały czas za ramię.

- Chyba sobie rozwaliłam rękę.

Shaw przyjrzał się jej. Z poszarpanej skóry sterczał kawałek kości.

- O cholera! - wykrzyknął. - Musimy jechać do szpitala. - Zdjął marynarkę i zrobił z niej prowizoryczny temblak.

- Możesz iść?

Skinęła głową.

- Jeśli mi pomożesz.

Jedną ręką chwycił ją pod ramię, drugą objął w pasie i wolno ruszyli przed siebie.

- Co się stało? Trzymałaś mnie mocno, a potem nagle puściłaś.

- Zaczepiłam o klamkę.

- Jak się wydostałaś z samochodu?

- Łut szczęścia. Zjeżdżając po zboczach, samochód w coś uderzył, pewnie w jakąś skałę. Drzwi się otworzyły, a ja wypadłam. - Obejrzała się na stertę pogniętej blachy.

- Mało brakowało - powiedziała.

- Bardzo mało.

- Niedobrze mi.

- W porządku, jestem przy tobie. Przytrzymał ją, kiedy wymiotowała.

- Przepraszam - powiedziała z zakłopotaną miną.

- Mnie też zawsze chce się rzygać przy takich złamaniach - powiedział, siląc się na uśmiech. Kiedy dotarli na szczyt, usłyszeli pisk hamulców na drodze i czyjeś kroki.

- Na ziemię, Katie.

- Shaw, Shaw, jesteś tam? To był Frank.

- Jesteśmy oboje! - zawołał Shaw. - Potrzebujemy pomocy. Katie ma złamaną rękę.

Pięć minut później siedzieli już w samochodzie razem z Frankiem i Royce'em.

- Pender nie żyje, ale o tym już wiecie, bo byliście dziś u niego w domu - powiedział oskarżycielskim tonem Frank.

- Nie mógłbyś poczekać z tymi wyrzutami do jutra, Frank? - zaproponował Shaw.

- Dlaczego? Jutro wcale nie będzie lepiej. Przeciwnie.

- Wiecie, kto was porwał? - zapytał Royce.

- Nie widziałem ich. Ktokolwiek to był, załatwił nas błyskawicznie. - Shaw spojrzał na Katie. - Ona musi pojechać do szpitala.

- Właśnie tam jedziemy - oznajmił Frank. - Już dzwoniłem i uprzedziłem ich.

- Skąd wiedziałeś, gdzie ich szukać? - zapytał Royce. Nim odpowiedział, Frank spojrzał na Shawa.

- Odrobina szczęścia.

Royce nie zdążył nic powiedzieć, bo zadzwonił telefon Franka. W milczeniu słuchał przez dobre pięć minut czyjeś relacji i tylko od czasu do czasu przeklinał pod nosem. Rozłączył się i cisnął telefonem o podłogę.

- Domyślam się, że to nie były dobre wiadomości - zauważył Royce.

- Wkroczyli do Pender & Associates.

- I? - zapytał Shaw.

- I nic. Miejsce zostało idealnie wyczyszczone.

- Musieli mieć przecież jakichś pracowników.

- Pewnie. Tylko że po tym, co się przytrafiło Penderowi, wątpię, żeby ktokolwiek chciał z nami rozmawiać.

- Trzeba ich przesłuchać - naciskał Royce.

- Przesłuchają, nie podniecaj się tak.

- Wątpię, żeby ktoś inny poza Penderem znał nazwisko tej trzeciej strony - rzekł Shaw.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał Royce.

- Bo tylko on nie żyje - odparł ponuro Shaw. - Czego dowiedzieliście się o firmie Pendera?

- FBI zebrało szybko garść informacji - powiedział Frank. - Firma specjalizowała się w public relations.

- Nie - wtrąciła się Katie - zajmowali się czymś dużo poważniejszym. Oni zajmowali się PM.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Co to jest, do cholery, PM? - zawołał Frank.

- U nas tak się w skrócie mówi o premierze - odpowiedział Royce.

- PM to zarządzanie percepcją. Sposób na fabrykowanie prawdy na ogromną skalę. W jakiejś instrukcji Departamentu Obrony jest to dokładnie opisane. Wojskowi zainteresowali się poważnie PM po wojnie wietnamskiej. Na świecie jest mnóstwo firm, które się tym zajmują. Kilka lat temu napisałam o tym artykuł. A właściwie próbowałam napisać. Są tacy, którzy uważają, że firmy zajmujące się zarządzaniem percepcją stały za tym, co wydarzyło się w Zatoce Perskiej. Broń masowego rażenia, odpowiednio nakierowani reporterzy i tak dalej. Najlepsze firmy uczyniły z PM prawdziwą sztukę.

- Skoro zajmują się takim gównem, to dlaczego nikt nie podejrzewał, że mogą mieć coś wspólnego z „czerwoną paniką”? - warknął Frank.

- Większość ludzi, nie wyłączając członków rządu, w ogóle nie ma pojęcia o ich istnieniu. Jak już mówiłam, próbowałam napisać o tym artykuł, ale do niczego nie dotarłam. Mamy na ich temat zbyt mało informacji. Trzymają się na uboczu i nie chwalą tym, co robią. Firmy, do których się zwróciłam, w tym Pender & Associates, nie chciały ze mną rozmawiać. Wszystko owiane było tajemnicą.

- Poza tym Rosjanie to łatwy cel - zauważył Shaw. - Są tacy jak Koreańczycy z północy. Ludzie uwierzą we wszystko, co się na ich temat powie, choćby to były najgorsze rzeczy.

- Pewnie właśnie dlatego wybrali Rosję - dodał Royce.

- To właśnie firma Pendera mogła dokonać manipulacji, która przekonałaby świat, że za „czerwoną paniką” stoją Chińczycy.



- Chcesz przez to powiedzieć, że to oni zabili dwadzieścia osiem osób w Londynie i oskarżyli o to Rosję? - wyrzucił z siebie z wściekłością Shaw.

- To szaleństwo. Po co ktoś miałby to robić? - powiedział Frank.

- Rosja i Chiny stoją na krawędzi wojny. Reszta świata intensywnie się zbroi - dorzuciła Katie.

- Okay, ale komu mogło na tym zależeć?

- Państwa wydają na zbrojenia setki miliardów dolarów. Dokądś te pieniądze trafiają. Frank zmarszczył gniewnie brwi.

- Chcesz powiedzieć, że stoją za tym producenci broni? Naprawdę nie wydaje mi się, żeby Northrop Grumman, Ares Corp. czy Lockheed zajmowały się takim gównem. Nie ma możliwości, żeby utrzymać to w tajemnicy. Zresztą i tak zarabiają krocie.

- Wierz mi, Shaw, że British Aerospace zarabia dosyć bez popychania świata w stronę Armagedonu - dodał Royce.

- Może wcale nie chodzi o pieniądze? - powiedział Shaw.

- A co innego może obchodzić wielkie firmy? - spytał Frank. Shaw zamknął oczy i zamyślił się.

- Shaw? Shaw! Odpowiedz mi na pytanie, jeśli masz jakiś pomysł. Ale Shaw mimo ostrych ataków Franka nie przerwał milczenia.

W szpitalu poskładano kość Katie i założono gipsowy opatrunek. Kiedy znaleźli się w hotelu, Katie poszła do pokoju Shawa. Usiadła na łóżku i podłożyła sobie pod zagipsowaną rękę poduszkę, a on w tym czasie przygotował z tego, co znalazł w barku, małą przekąskę.

Katie przełknęła garść chipsów i popiła je dietetyczną colą.

- Okay, Franka tu nie ma. Wiesz, dlaczego Pender napuścił na siebie Rosję i Chiny, jeśli powodem nie były pieniądze? - spytała.

Shaw siedział na krześle i gryzł orzeszki ziemne.

- Pomysł o tym, co naprawdę się wydarzyło. Katie zmarszczyła brwi.

- Śmierć, zniszczenie, wojna? O czymś zapomniałam?

- Kiedy Anna zainteresowała się „czerwoną paniką”, powiedziała mi coś ciekawego.

- Co takiego?

- Powiedziała, że coś jej to przypomina. To próba stworzenia nowego światowego porządku, a właściwie przywrócenia dawnego porządku. Rosjanie jednym uderzeniem zlikwidowali większość Talibów i dali tym samym sygnał pozostałym krajom arabskim, żeby trzymały się z dala, bo w przeciwnym razie czeka ich ten sam los. Na Bliskim Wschodzie wrze, ale nikt się tym nie przejmuje, bo oczy świata zwrócone są w kierunku Rosji i Chin.

Największe kraje świata zbroją się na potęgę i wszystko wskazuje na to, że jest to trend długoterminowy. - Spojrzał na Katie. - Déjà vu.

- Więc uważasz, że ktoś chce nas cofnąć do czasów zimnej wojny?

- Bez wątplenia Rosja i Chiny mocno ostatnio ucierpiały i na pewno już po raz drugi nie zaatakują. Podobnie jak inne duże kraje będą się teraz dozbrajać. A skoro Rosja użyła przeciwko Afganistanowi rakiet, to jak sądzisz, inne kraje nie spróbują tej samej taktyki wobec któregoś z krajów muzułmańskich?

- Duzi chłopcy prężą muskuły, tak jak kiedyś to robiły Stany i Rosja?

- Coś w tym rodzaju. Może po prostu ktoś ma dosyć pieniężnego się terroryzmu i wpadł na pomysł, by wrócić do starego dobrego porządku.

- Wspaniale, tylko że stary porządek wiązał się z nieustającym zagrożeniem atomowym.

- Zimna wojna zapoczątkowała największe w historii przygotowania wojenne. Bliski Wschód obchodził ludzi tylko z powodu ropy. Nikt nie rozpatrywał kwestii moralnych, nikogo nie interesowały różnice religijne. Podział był prosty: na dobrych i złych. Ludzie nie musieli się zastanawiać, wszystko było jednoznaczne. Może część ludzi woli taki układ, nawet jeżeli miałby on się wiązać z groźbą Armagedonu. Cholera, a może taki układ woli nawet większość.

- Wiesz, że ten dupek Pender nie zapłacił mi moich dwudziestu milionów? - powiedziała Katie, zjadając ostatniego chipsa.

- Ico?

- Przecież ostrzegałam go, że jeśli nie zapłaci, powiem światu całą prawdę.

Shaw w lot pojął, co Katie ma na myśli.

- W ten sposób uczynisz z siebie cel.

- Już jestem celem.

- Zaczną na ciebie polować.

Przesunęła się z wysiłkiem na brzeg łóżka i spuściła nogi na podłogę.

- Przez całe dorosłe życie starałam się dojść prawdy i teraz na pewno nie postąpię inaczej. Muszę zaryzykować, gdyż tylko w ten sposób uda nam się ujawnić, kto za tym wszystkim stoi. - Dotknęła jego ramienia. - Poza tym mam ciebie, będziesz mnie chronił.

Shaw uścisnął jej rękę.

- Będę. Dobrze, skoro mamy to zrobić, zróbmy to po mojemu. Będzie się to wiązało z dużym ryzykiem, ale musisz mi zaufać.

- Ufam ci. Zawsze ci ufałam.



# ROZDZIAŁ 93

Dokładnie o północy czasu uniwersalnego na stronie internetowej, na której kiedyś można było zobaczyć Konstantina, pojawiło się nagranie wideo Katie James. To nie był przypadek.

Film nakręcił w pokoju hotelowym Shaw.

Katie wróciła do swoich naturalnych blond włosów. Mówiła płynnie i wyraźnie, nie korzystając z żadnych notatek.

- Nazywam się Katie James i wszystko, co napisałam w moim poprzednim artykule, było nieprawdą. Prosiłam gazetę, żeby nie publikowano tego tekstu, ale nie posłuchali mnie. Teraz mam okazję powiedzieć wam prawdę. To nie Chińczycy przygotowali kampanię „czerwone zagrożenie”. I to nie Rosjanie dokonali mordu w Londynie. Aaron Leśnik, źródło moich informacji, kłamał. - Uniosła zagipsowane ramię. - Ludzie, którzy są za to wszystko odpowiedzialni, o mało mnie nie zabili. - Przerwała na chwilę. - Kim oni są? Jedną z tych osób był Richard Pender. Był właścicielem firmy Pender & Associates, której siedziba mieściła się w Wirginii. Zajmował się zarządzaniem percepcją. Pender nie żyje, zabił go ten, który go wynajął do stworzenia ze steku kłamstw prawdy. Konstantin to było oszustwo. Dziesiątki tysięcy ludzi, którzy zostali ponoć zamordowani przez Rosjan, to było kłamstwo.

Powód tych wszystkich działań był jeden: doprowadzić Rosję i Chiny na skraj wojny. Po co? Żeby świat zaczął się zbroić. Kto ma w tym interes? Kto na tym najwięcej zarobi? Cóż, dziesiątki krajów takich jak Rosja, Chiny, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja i Japonia już podpisały z producentami broni kontrakty na biliony dolarów. Ktoś chce powrotu zimnej wojny, kiedy wszyscy żyliśmy w strachu przed totalnym zniszczeniem. Ale to się nie uda. Nie uda się, ponieważ nie pozwolimy na to. A oto moje przesłanie do tego, kto za tym wszystkim stoi: prawda wyjdzie na jaw. I wierz mi, nie spodoba ci się to.

Jednocześnie z pojawieniem się w Internecie przesłania Katie w prasie ukazały się przecieki na temat roli Pendera w przygotowywaniu kampanii i okoliczności jego śmierci. W sieci pojawiła się lista producentów uzbrojenia, którzy mogli najbardziej skorzystać na aktualnej sytuacji politycznej. W wielu blogach pojawiły się informacje, jak zdemaskowano kłamstwa Leśnika i dlaczego musiał zginąć. Wiadomości rozprzestrzeniały się lotem błyskawicy.

Reakcja świata była natychmiastowa. Mówiło się, że niebo przesłoniły gęste ciemne chmury dymu z palonych powszechnie koszulek z napisem „Pamiętajcie o Konstantynie”. Redakcja „Scribe’a” tłumaczyła się pokrętnie z wydrukowania artykułu Katie i w końcu Kevin Gallagher został wywalony. FBI rzuciło wszystkie swoje siły do wyjaśnienia okoliczności śmierci Richarda Penderà. To samo działo się w Londynie w sprawie masakry i zabójstwa Aarona Leśnika.

Wszyscy więksi producenci broni wydali oświadczenia, w którym twierdzili, że nie mieli nic wspólnego z „czerwoną paniką”. Ale prawie nikt nie wierzył ich zaprzeczeniom.

Prawie we wszystkich krajach cywilni szefowie polecili resortom obrony unieważnienie zawartych kontraktów na dostawy broni. W tym samym czasie rządy Rosji i Chin ogłosiły rozejm, a prezydent Gorszkow i jego odpowiednik w Chinach zgodzili się na dwustronne spotkanie na neutralnym gruncie, które miało na celu ustalenie przyszłych stosunków pomiędzy oboma państwami.

Ale świat oczekiwał więcej. Dużo więcej. Ludzie chcieli się dowiedzieć, kto ich tak oszukał. Chcieli poznać nazwiska stojących za tym osób. I chcieli je znać już teraz.

## ROZDZIAŁ 94

Nicolas Creel siedział samotnie w urządzonej z przepychem sali konferencyjnej na *Shiloh*. Otrzymał właśnie wiadomości ze swojej firmy. Złe wiadomości. Kontrakty zostały zerwane, wszystkie, co do jednego. Kilka bilionów dolarów diabli wzięli. Ta idiotka spowodowała, że świat nadal będzie trwał w marazmie, gdzie słaby, ale fanatyczny kraj będzie miał przewagę nad potężnym, cywilizowanym państwem. I za to zyskała miano zbawcy? Czy tylko on jeden, Nicolas Creel, znał prawdę? Gdyby jego wizja się spełniła, świat byłby o wiele bezpieczniejszy. Teraz wszystko legło w gruzach. Stracił także mistrza manipulacji. Na miejsce Pendera można było znaleźć kogoś innego, ale Creel zdawał sobie sprawę, że i tak Penderowi nikt nie dorówna.

Za sprawą Katie James tabuny poszukiwaczy sensacji zbadają każdy szczegół związany z kampanią „czerwona panika”. Mimo olbrzymich wysiłków mających na celu zachowanie anonimowości zawsze może znaleźć się taki dociekliwy, który w końcu zastuka do jego drzwi. Creel nie bał się, że trafi do więzienia. Bogaci i wpływowi prawie nigdy nie lądowali w więzieniu, niezależnie od tego, jakie popełnili zbrodnie. Mieli znakomitych prawników, zasobne portfele i świetną reputację. Zresztą Creel świetnie się zabezpieczył na wypadek, gdyby jego plan się nie powiódł. Jego ludzie zniszczyli wszelkie ślady, jakie mogły znajdować się w biurze Pendera. Nie było żadnych bezpośrednich dowodów. Pender nie żył. Prócz bardzo wąskiej grupy ludzi, którzy mieli do stracenia równie dużo jak Creel, nikt inny nie wiedział o jego związkach z całą sprawą.

Nie, to nie groźba kary najbardziej go w tej chwili martwiła. To poczucie ogromnej niesprawiedliwości. Zamiast triumfu, zamiast powrotu cywilizacji do naturalnej równowagi, świat mówił tylko o jednej osobie - Katie James. James ocaliła ludzkość, tak mówili przeciętni ludzie. Naprawiła wielkie zło. Ta kobieta stała się prawdziwym bohaterem.

W rzeczywistości James zrobiła tylko jedno, wyrolowała go. I wykastrowała najbardziej wartościową część ludzkości. Za to musi zapłacić. Creel nie chował urazy do ludzi. Przynajmniej nie długo. Był zbyt niecierpliwy. Sprawca musiał zostać ukarany szybko. Odwet z zimną krwią nie ma swojego smaku. To było danie, które należało podawać na gorąco.

Podniósł słuchawkę. Jego ukochana zimna wojna nie powróci. Ale będą kolejne ofiary. Na początek jedna, najważniejsza.

- Nie obchodzi mnie, czy będziecie musieli wykończyć całe miasto brudną bombą - rzucił do słuchawki. - Albo dostarczycie mi tę kobietę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, albo nasza umowa traci moc, a wy jesteście trupami.

Nicolas Creel zszedł z pokładu swojej ukochanej łodzi i motorówką popłynął w stronę wybrzeża. Następne kilka godzin zajęły mu wizyty u lokalnych oficjeli dotyczące budowy nowego sierocińca. Potem pomodlił się w kaplicy u boku matki przełożonej. Wieczorem w miejscowej restauracji z burmistrzem i jego żoną zjadł kolację, popijając ją chianti. Pozwoliło mu to choćby na krótko zapomnieć o tym, że jego wizja świata uległa zniszczeniu.

Przed powrotem na jacht obejrzał jeszcze plac budowy. Stał na skraju głębokiego wykopu, który powstał kilka dni wcześniej. Lada chwila zostaną wylane fundamenty. Dziurę w ziemi wypełnią setki tysięcy metrów sześciennych betonu. Przez następne sto lat sieroty będą miały dach nad głową.

Ale fundamenty zostaną wylane dopiero na wyraźne polecenie Creela. A takiego nie zamierzał na razie wydawać. Czekał na coś, co uświetni to miejsce. Na coś, co spocznie tu na wieki.

Motorówka zawiozła go z powrotem na pokład *Shiloh*.

Zaczął odliczać minuty dzielące Katie James od śmierci.

Jej śmierć nie odwróci biegu wydarzeń, to było oczywiste. Ale na razie tyle musiało mu wystarczyć.

# ROZDZIAŁ 95

Frank i Royce wpadli do pokoju, w którym przebywała Katie chroniona przez dwóch doświadczonych agentów FBI.

- Mamy kolejne wiarygodne doniesienie o bombie - rzucił Frank. - Musieli się dowiedzieć, gdzie ją trzymamy. Samochód czeka przed wejściem.

Zbiegli w pośpiechu po schodach. Royce wepchnął Katie do samochodu i zawołał do Franka:

- To już trzeci raz! Może lepiej wywieźmy ją za granicę.

- Jestem za tym.

- Dokąd mam ją tym razem zabrać?

- Lokalizacja numer cztery. Spotkamy się za dwadzieścia minut. Royce ze znużeniem skinął głową i usiadł obok Katie.

- I znowu w drodze - powiedział uprzejmie. - Przepraszam, Katie. Nagle kierowca zwolnił, a siedzący obok niego przysadzisty, wysoki mężczyzna odwrócił się. W ręku trzymał pistolet.

- Cieszę się, że pani jest z nami, pani James - rzekł uśmiechnięty Caesar.

Katie wyglądała na zaskoczoną, ale w pewnym momencie poczuła ukłucie. Spojrzała na wbity w jej ciało strzykawkę. A potem na Royce'a, który popychał tłoczek. Kiedy środek dotarł do krwiobiegu, Katie osunęła się bezwładnie na siedzenie.

Royce schował strzykawkę i skinął głową Caesarowi.

- Podłuch? - przypomniał Caesar.

Royce fachowo obszukał Katie w poszukiwaniu podłuchu i przecząco potrząsnął głową.

Caesar wręczył mu akumulatorową piłę, którą Royce rozciął gipsowy opatrunek Katie, obejrzał go dokładnie i znowu potrząsnął głową.

Samochód zatrzymał się, Royce wysiadł, wrzucił resztki gipsu do przejeżdżającej akurat obok śmieciarki i wskoczył z powrotem do środka.

- Jeśli w gipsie był podłuch, to chłopcy teraz trochę pojeżdżą. Kierowca wcisnął pedał gazu, samochód ruszył żwawo naprzód, potem skręcił w lewo i zniknął.



Osiem godzin później prywatny samolot dotknął kołami pasa startowego na odległym lotnisku we Włoszech. Pod schodki podjechała ciężarówka, do której załadowano wyjętą z luku samolotu skrzynię. Do furgonetki wsiadło kilku mężczyzn i samochód odjechał. Godzinę później dotarł na wybrzeże Morza Śródziemnego smętnie rozświetlonego przez zachodzące słońce. Motorówka zabrała skrzynię, Caesara, Royce'a i kilku innych mężczyzn na pokład *Shiloh*.

Załoga miała wolne popołudnie. Na jachcie pozostał tylko kapitan, który urzędował na górnym pokładzie. Wiedział jedynie, że pojawią się specjaliści goście. Nie pytał o nic więcej.

Nicolas Creel siedział w bibliotece otoczony pierwszymi wydaniem znanych książek, które przeczytał w przeciwieństwie do wielu kolekcjonerów. Kiedy otworzyły się drzwi i wniesiono skrzynię, nie uśmiechnął się. Miał wrażenie, że już nigdy na jego ustach nie pojawi się uśmiech.

Skinął głową Royce'owi.

- Dobra robota. Nigdy nie wątpiłem, że nasze porozumienie przyniesie odpowiednie efekty.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Creel. MI 5 nigdy nie doceniał ukrytego we mnie potencjału. I nigdy mnie odpowiednio nie wynagradzał.

Teraz Creel zwrócił się do Caesara.

- Czy dopuścimy prześwietną panią James do naszego towarzystwa? Wielkolud otworzył skrzynię i wyciągnął z niej Katie. Zaczynała właśnie dochodzić do siebie. Caesar położył ją na stole. Mężczyźni otoczyli ją wianuszkami, czekając, aż usiądzie i rozejrzy się nieprzytomnie wokół.

- Witaj, Katie - odezwał się Creel. - Chyba mogę ci mówić po imieniu? Mam wrażenie, że doskonale cię znam, choć nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

Katie zsunęła się ze stołu i ciężko usiadła na krześle. Pomasażowała sobie głowę i skrzywiła się, czując ból w ramieniu.

- Gdzie jest mój cholerny gips?

- Uznaliśmy, że lepiej będzie się go pozbyć - powiedział Royce. - To wspaniałe miejsce do wetknięcia nadajnika GPS.

- To był zwykły gips, kretynie. - Katie uniosła ramię i pokazała wszystkim szew na skórze.

- Ty tak twierdzisz.

- Znam cię - powiedziała do Creela. - Ty jesteś Nicolas Creel. Każdy porządny dziennikarz cię zna.

- Pochlebiasz mi. Ale nie wyglądasz na specjalnie zaskoczoną.

- Od kiedy przemyślałam kilka rzeczy, lista podejrzanych znacznie się skróciła. - Spojrzała na Royce'a. - Ale jego nie podejrzewałam.

Creel wreszcie się uśmiechnął.

- Nic dziwnego. Potrzebny jest taki zawór bezpieczeństwa. Wewnętrzne źródło informacji. Pan Royce podziela mój pogląd na to, jak powinien wyglądać świat. Tyle że ty tę wizję zniszczyłaś. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, ile ludzkość będzie musiała zapłacić za to, co zrobiłaś.

- A co takiego zrobiłam? Powstrzymałam Rosję i Chiny przed wojną.

- Nie byłoby żadnej wojny, idiotko! - wrzasnął Creel. - Zimna wojna była najbezpieczniejszym okresem w historii ludzkości! Mój plan zakładał uwolnienie ludzkości. Tak, tak, byłem wyzwolicielem! - warknął, widząc, że Katie patrzy na niego z niedowierzaniem. - A ty sprawiłaś, że już po wsze czasy rządzić nami będą dzikusy, które zupełnie nie szanują ludzkiego życia. To oni zachwiali równowagę, zniszczyli możliwości dyplomacji. Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko totalnej zagłady jak teraz. I wszystko to dzięki tobie, Katie James. - Wypowiedział jej imię, jakby to były najbardziej odrażające słowa, które kiedykolwiek przeszły mu przez gardło.

- Tak, faktycznie to musiało cię niezłe wkurzyć. Ale wydaje mi się, że tak naprawdę jesteś wkurzony, bo przeszły ci koło nosa wielkie pieniądze.

- Mam dość pieniędzy, wierz mi. Ale Theodore Roosevelt miał rację. Mów łagodnie i miej przy sobie gruby kij. Najwybitniejsi amerykańscy prezydenci wiedzieli, że potęga militarna jest kluczem do wszystkiego. Wszystkiego!

- Pewnie, wojna jest super, nie?

- Robiłaś karierę, opisując wojnę, więc nie masz co narzekać. Chwała zawsze należy się zwycięzcy.

- Nie robiłam tego z wyboru. A w swoich reportażach opisywałam koszmar wojny. Nie było tam miejsca na żadną chwałę.

- Spójrz na to uważnie. Tak powstaje historia polityczna.

- Czy pewien znany generał nie powiedział przypadkiem, że to dobrze, że wojna jest tak okropna, bo inaczej byśmy ją polubili?

- Generał konfederatów Robert E. Lee podczas bitwy pod Fredericksburgiem. I jak pokazała historia, okazał się przegranym. A ja robię interesy tylko ze zwycięzcami.

- Służył pan kiedyś w wojsku, panie Creel? Strzelano kiedyś do pana? A może nawet trafiono? - Creel nie odpowiedział. - A do mnie strzelano. I niech mi pan wierzy, na wojnie nie ma zwycięzców i zwyciężonych. Są tylko ci, którzy ocaleli.

- Nie znalazłaś się tutaj, żeby robić nam wykład. Znalazłaś się tutaj, by umrzeć. Ale chcę, żebyś wiedziała dlaczego. Żebyś wiedziała, że możesz za to winić tylko siebie.

Katie zbliżyła się do niego.

- Mogę ci coś powiedzieć?

- Każdy skazaniec ma prawo do ostatniego słowa.

- Pieprz się.

- Wspaniale, pani James. Cóż za mistrzostwo słowa. Otworzyły się drzwi i wszedł jakiś człowiek.

- Ma pan gościa, panie Creel. - Resztę dopowiedział szeptem. Creel wysłuchał go, a potem polecił:

- Zabierz ją stąd.

- Sir, ona wspomniała coś o plikach w pańskim komputerze - dodał mężczyzna.

Creel otworzył szerzej oczy.

- Rozumiem. Dobrze, wyjdę do niej.

W korytarzu stała żona Creela, w butach na wysokim obcasie i krótkiej spódnicy. Obok niej czuwało dwóch mężczyzn.

- Cóż za miła niespodzianka, skarbie - odezwał się Creel.

W odpowiedzi chciała go spoliczkować, ale jego ludzie powstrzymali ją w porę.

- Myślisz, że możesz mnie zostawić jak jakiegoś śmiecia w przydrożnym rowie?! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? Ty draniu! Jestem żoną Nicolasa Creela i tak już pozostanie!

- Widzę, że jesteś rozdrażniona. Ale wszystko co dobre, musi się kiedyś skończyć, a moja propozycja finansowa jest chyba dostatecznie hojna.

- Nie rozwiedziesz się ze mną. Sporo o tobie wiem - powiedziała triumfalnie. Creel spojrzał na nią lodowatym wzrokiem, więc szybko dodała: - Zdaję sobie sprawę, że uważasz mnie za skończoną idiotkę. Ale pamiętasz, jak mówiłam ci, że lubię przychodzić do twojego biura? Pojawiałam się tam z innych powodów. Wiedziałam, że warto mieć coś w zanadrzu na wypadek, gdybyśmy nie mogli się normalnie porozumieć. Dlatego przejrzałam zawartość twojego komputera. Wiesz co, Nick, kiedy już się rozwiodłeś ze swoją poprzednią żoną, to powinieneś przestać używać jej imienia jako hasła dostępu do komputera. Z tego, co tam zobaczyłam, wynika, że jesteś naprawdę niegrzecznym chłopcem.

- Cóż - zaczął Creel - widzę, że sprawy przyjęły zupełnie inny obrót. W takim razie zapraszam, porozmawiamy. - Spojrzał na swoich ludzi. - Odeślijcie jej motorówkę na brzeg. Nie będzie jej potrzebowała. Zostaje ze mną.

Miss Seksu podążyła za swoim mężem.

Kiedy weszli oboje do pokoju i Creel zamknął drzwi, jego żona przyjrzała się siedzącym tam mężczyznom, aż wreszcie jej wzrok spoczął na Katie.

- Ja cię znam, ty jesteś Katie James.

Creel spojrzał na żonę z udawanym smutkiem.

- Wydaje mi się, że wybrałaś nieodpowiednią porę, skarbie. A tak przy okazji, jeśli przychodzisz tu sama i mówisz, co wiesz, to znaczy, że faktycznie jesteś skończoną idiotką. - Creel spojrzał na Royce'a i skinął głową. Agent wyjął pistolet i strzelił kobiecie prosto w głowę.

Martwa Miss Seksu upadła na stolik, zsunęła się z niego i runęła na podłogę.

Zadzwoił telefon. To był kapitan. Do jachtu zbliżała się jakaś łódź.

- Kto to jest?

- Wygląda na to, że włoska policja. To jedna z łodzi patrolujących okolicę.

Creel spojrzał na Caesar.

- Nafaszeruj James prochami. W maszynowni znajdziesz worek na zwłoki. Zapakuj ją do środka i zabierz obie do łodzi podwodnej. Szybko.

Royce przytrzymał szarpiącą się Katie, a Caesar wbił jej w ramię igłę strzykawki. Katie znowu straciła świadomość.

Kiedy obie kobiety zostały wyniesione, Creel poprawił marynarkę i wyszedł na pokład, żeby przywitać gości.

## ROZDZIAŁ 96

Shaw porzucił swój skuter, wynurzył się z wody i dzięki magnetycznym przyssawkom wspiał się po lewej burcie jachtu. Mimo to wspinaczka ze zranioną ręką była koszmarem. Spodziewając się trudności, dał sobie wstrzyknąć kortyzon, ale i tak kończyna była bardzo osłabiona. Spojrzał na przypięty do nadgarstka przekaźnik. Katie była tu gdzieś w zakamarkach wysokiego na trzy piętra jachtu.

Kiedy ją porwano, Shaw rozpoczął realizację swojego planu. Namierzyli ją dzięki satelicie, śledzili jej lot prywatnym odrzutowcem i widzieli, jak z motorówki trafia na pokład jachtu. Frank był doskonale przygotowany, zabrał ze sobą cały potrzebny sprzęt, który mógłby się przydać w czasie akcji. Umówili się, że Shaw wkroczy do akcji pierwszy, a w krytycznym momencie wezwie Franka na pomoc.

*Shiloh* był bez wątpienia wyposażony w najnowocześniejsze systemy zabezpieczające i dlatego Shaw miał przy sobie urządzenie zakłócające ich pracę. Dzięki niemu stawał się niewidoczny dla wszelkich możliwych czujników.

Najważniejszą sprawą było ocalenie Katie. Mogła zginąć w każdej chwili, ale założyli, że ten, kto zlecił jej porwanie, będzie chciał spotkać się z nią twarzą w twarz, a to była jedyna szansa na ujęcie go. Akcja była niewiarygodnie ryzykowna, a Katie nie wahała się ani chwili, uważali, że ma duże szanse wyjść z tego cało.

Shaw był pełen uznania dla jej odwagi. Teraz musiał tylko wydostać stąd ją i siebie.

Zobaczył przed sobą drzwi i wślizgnął się przez nie do środka.

Chwilę później do jachtu przybiła łódź patrolowa policji.

Nicolas Creel uprzejmie przywitał się na pokładzie z umundurowanym oficerem i zaczął z nim rozmawiać w jego ojczystym języku. Oficer wydawał się zakłopotany i bez przerwy przeproszał, że niepokoi właściciela jachtu. Creel zaproponował mu kieliszek wina i spytał, w czym może pomóc.

Policjant powiedział, że dostał informację o mocno zdenerwowanej kobiecie, która wsiadła do motorówki i popłynęła w stronę jachtu.

- Widzieliśmy płynącą motorówkę, ale poznaliśmy, że na pokładzie znajduje się pani Creel, dlatego pozwoliliśmy jej płynąć dalej. Potem przez radio dostaliśmy potwierdzenie, że

to pańska żona. - Mężczyzna był bardzo zakłopotany. - Dlatego podpłynęliśmy, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, proszę pana.

Creel roześmiał się i podziękował policjantowi za troskę.

- Zona jest trochę podchmielona, ale na pewno nie stanowi żadnego zagrożenia.

Właściwie mogę śmiało powiedzieć, że nigdy nikogo nie skrzywdzi.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie. Przykro mi, że fatygował się pan na próżno.

- To żaden kłopot, panie Creel.

Policjant wrócił na pokład swojej łodzi, a Creel na pożegnanie zasalutował.

Shaw krążył po zakamarkach jachtu zaskoczony, że nikogo nie napotkał na swojej drodze. Nieobecność załogi wcale nie poprawiła mu humoru. Miał za to paranoiczne poczucie, że znalazł się w pułapce. Ostrożność opłacała się, kiedy zawahał się, nim skręcił za róg korytarza. Nieoczekiwanie pojawił się tam uzbrojony mężczyzna. Chwilę później leżał na podłodze z pękniętą czaszką.

Shaw szedł dalej, wpatrując się w ekran odbiornika na nadgarstku. Był coraz bliżej Katie. Niestety urządzenie nie potrafiło mu powiedzieć, czy Katie jeszcze żyje. Poczł nagle wyrzuty sumienia. Nie powinien był prosić, żeby to zrobiła, nawet jeśli sama chciała. Przecież groziło jej ogromne niebezpieczeństwo.

Zagapił się nieco i za późno zauważył zagrożenie.

Royce wycelował w niego pistolet.

- Zbyt łatwo mi poszło. Zawiodłem się na tobie, Shaw. - Jakie to uczucie być sprzedajnym agentem, Royce? - Domyśliłeś się pewnie, kiedy nie pojawiłem się z James na miejscu.

- Mylisz się, dużo wcześniej.

Royce przekrzywił głowę, na jego twarzy malowała się niepewność. - Jak?

- To już nie powinno cię obchodzić.

- Dlaczego?

- Bo zaraz będziesz trupem.

Royce zamachał lufą pistoletu, odzyskując pewność siebie.

- Ależ z ciebie głupiec. Pewnie chciałbyś się zobaczyć z małą Katie, więc chodź.

Załatwimy was oboje. Jest w łodzi podwodnej - dodał wesoło. - Nieźle, co? Facet ma własną łódź podwodną. To jest potęga!

Shaw sięgnął dłonią do zagłębienia w pasku od spodni i wcisnął guzik, wysyłając w ten sposób sygnał Frankowi.

- Coś ci powiem, Royce. - Co?

- Zadałeś sobie kiedyś trud, żeby sprawdzić zegarek? Umieściliśmy w nim podsłuch.

Royce spojrział na swój zegarek.

Chwilę później trzymał się za pierś, z której wystawała rękojeść noża. Wnętrze klatki piersiowej zaczęło się wypełniać krwią.

- Tym razem cię nie zawiodłem? - zapytał Shaw.

Royce padł martwy na ziemię, a Shaw pobiegł w kierunku łodzi podwodnej. I Katie.

Wnętrze jachtu *Shiloh* składało się z całego szeregu hangarów, a w jednym z nich znajdował się suchy dok, w którym cumowała trzydziestopięcotonowa łódź podwodna. Shaw przyjrzał się pilnującym ją mężczyznom. Było ich trzech, jeden z nich, z długimi, ciemnymi, kręconymi włosami był nawet potężniejszy niż Shaw. W ręku wielkoluda zabrzączał radiotelefon. Wysłuchał wiadomości, powiedział do pozostałych coś, czego Shaw nie zdołał usłyszeć, i wszyscy trzej się oddalili.

Shaw wspiął się na szczyt łodzi, uniósł pokrywę wjazdu i wskoczył do środka. Rozglądał się nerwowo dookoła. Kiedy zobaczył w części rufowej wystające spod ławki damskie nogi, serce mu zaczęło walić. Wyciągnął kobietę, zobaczył jasne włosy i zamarł z przerażenia. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że to nie jest Katie. Następnie spostrzegł worek na zwłoki i znów poczuł paraliżujący strach. Drżącymi palcami rozpiął zamek.

I wtedy usłyszał jakiś dźwięk. To wracali tamci mężczyźni.

## ROZDZIAŁ 97

- Zabierzcie ją stąd i wrzucicie do wykopu pod fundamenty sierocińca - polecił Creel dwóm mężczyznom, którzy nieśli worek na zwłoki. - Teraz włóżcie ją do skrzyni. Tam na miejscu wszystko przygotuję. Powiem im, że to kapsuła czasu. Gdzie jest Royce? - zapytał Caesar.

- Gdzieś tu się kręci.

- Mamy ją najpierw zabić, panie Creel? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Nie. Chcę, żeby się obudziła i zdała sobie sprawę, że została żywcem pogrzebana. Podobno nic gorszego nie może spotkać człowieka. Chcę, żeby przeżyła ten horror.

Worek na zwłoki został przeniesiony na pokład motorówki i mężczyźni odpłynęli.

- Co teraz? - zapytał Caesar Creela.

- Teraz musisz zniknąć. Aż do następnego razu.

- Nie sądzę.

Obrócili się powoli. Shaw stał z wycelowaną w nich bronią. Creel wzdrygnął się, kiedy zdał sobie sprawę, kto przed nim stoi, ale szybko doszedł do siebie.

- Nazywasz się Shaw, prawda? - Shaw nie odpowiedział. - Wiem, co cię łączy z tą sprawą, więc wątpię, żeby pieniądze zdołały cię przekonać. - Nadal milczenie. - W takim razie mamy impas - dokończył Creel.

Shaw skierował lufę w stronę głowy Creela.

- Ja bym tego tak nie nazwał.

- Panie Creel?

Ze szczytu schodów prowadzących na górny pokład patrzył na nich przerażony kapitan.

Shaw tylko na chwilę spuścił z oczu obu mężczyzn, ale to wystarczyło, by pocisk wystrzelony przez Caesara otarł się o bok jego głowy.

Shaw błyskawicznie rzucił się w bok i odpowiedział czterema strzałami.

Creel zdążył się wcześniej ukryć za barem, a Caesar szukał odpowiedniego miejsca, skąd mógłby zacząć się ostrzeliwać. Shaw zniweczył te plany, trafiając mężczyznę w nogę. W odpowiedzi Caesar opróżnił cały magazynek. Shaw przymierzył się do ostatniego, śmiertelnego strzału i wtedy jego pistolet się zaciął.



Caesar zaczął wlec się po schodach w stronę górnego pokładu; tuż za nim znalazł się Shaw. Obaj przebiegli przez górny pokład. Wymienili kilka ciosów, testując siły przeciwnika, aż w końcu Caesar trafił Shawa w zranione ramię. W odpowiedzi pięść Shawa wylądowała wprost na żołądku Caesara. W pewnej chwili mężczyźni przewrócili się i rozbijając barierkę mostku, trafili na koło sterowe. *Shiloh* wykonał gwałtowny skręt w prawo i ciągnąc za sobą kotwicę, zaczął płynąć na pełne morze. Caesar złapał kurczowo Shawa za koszulę, o mało nie rozrywając jej na strzępy. Shaw spróbował go podciąć, ale Caesar odskoczył w bok i zaatakował ponownie.

Złapał Shawa za szyję i zaczął go dusić. Shaw wcisnął rękę pod podbródek przeciwnika, próbując odchylić mu głowę. Ale Caesar uchylił się, zrobił szybki obrót i teraz stał za plecami, ściskając ramieniem gardło przeciwnika.

Shaw próbował się wyzwolić, ale szybko zdał sobie sprawę, że gdyby nawet miał obie ręce zdrowe, to Caesar był zbyt silny. Oczy zaczęły mu wychodzić z orbit, nogi ugięły się w kolanach.

Caesar, czując, że zbliża się zwycięska chwila, powiedział:

- Najpierw twoja dama, a teraz ty. Ładna z was para. Umarła bez słowa, kiedy jej wpakowałem kulę prosto w głowę. - Zaciśnął rękę na szyi Shawa jeszcze mocniej. - Widzę, że ty, dupku, też odejdiesz w milczeniu.

Słyszając te słowa, Shaw nieoczekiwanie wyłamał się z żelaznego uścisku Caesara. Wykręcił rękę mężczyzny z taką siłą, że wyrwał ją ze stawu.

- Już - powiedział Shaw.

Caesar runął na kolana i zaczął wymiotować z bólu. Shaw kopnął go z całej siły w twarz i przewrócił przeciwnika na plecy.

- Jesteś - kontynuował Shaw.

W dłoni Caesara zalsniło ostrze noża, ale tylko na krótką chwilę, nim Shaw mu go odebrał, a następnie wbił w brzuch po rękojeść. Jakby tego było mało, powoli ciągnął ostrze w górę, rozcinając tułów Caesara, aż wreszcie zakończył na wysokości krtani. Caesar umierał powoli i wtedy Shaw sięgnął po pistolet, odblokował zacięcie, załadował nowy nabój i strzelił Caesarowi prosto w czoło.

- Trupem - dokończył.

## ROZDZIAŁ 98

Nad jachtem zatoczył koło duży śmigłowiec. Z megafonu rozległ się męski głos:

- FBI, wchodzimy na pokład. Tu FBI, wchodzimy na pokład.

W tym samym czasie oddalona o sto metrów policyjna łódź patrolowa zaczęła płynąć w kierunku jachtu. W czasie gdy śmigłowiec lądował, a łódź dobijała do burty jachtu, Nicolas Creel stał nieporuszenie na pokładzie.

FBI i Frank chcieli z miejsca aresztować Creela. Włoscy policjanci upierali się, że to niemożliwe. Przez kolejne dwadzieścia minut spierali się, a i tak nie doszli do porozumienia.

- Pan Creel znajduje się na włoskich wodach terytorialnych.

- A właściwie czego ode mnie chce FBI? - zapytał niewinnym tonem Creel. - Uchylam się od płacenia podatków? Nie jestem obywatelem amerykańskim.

- Podatki? - Frank cicho jęknął. - A co powiesz na wywołanie globalnego zamętu? Dociera to do ciebie, dupku?

Creel zwrócił się do kapitana włoskiej policji.

- Nie mam pojęcia, co ten człowiek bredzi. Napadli na mój jacht. Otworzyli ogień. Kilku moich ludzi zostało rannych, a może nawet zabitych. To chyba ja powinienem wnieść oskarżenie. Był tu pan, kapitanie? Czy coś było nie w porządku?

Kapitan popatrzył gniewnie na Franka.

- Nic, panie Creel. Zaraz odstawię tych ludzi na brzeg.

- Mimo to złożę skargę.

- Nigdzie się nie wybieramy - powiedział agent FBI. - Mamy pełnomocnictwa rządu Stanów Zjednoczonych.

- Nie jesteście w Ameryce - odparł kapitan. - Tu wasza jurysdykcja nie sięga.

- Właśnie, że tak.

Wszyscy zgromadzeni odwrócili głowy, kiedy Shaw schodził po schodach z mostku. Spojrzał na lewo.

- Wydaje mi się, że jesteśmy na wodach międzynarodowych - powiedział. - Chyba nie zauważyliście, że jacht oddala się od brzegu.

Spojrzeli w stronę lądu. Nie było widać nawet żadnych migających świateł.

- Nieważne, gdzie jesteśmy - powiedział szybko Creel. - Nie możecie mnie o nic oskarżyć.

- A o porwaniu Katie James?! - ryknął Frank i zwrócił się do Włochów. - Chyba słyszeliście o Katie James?

- To ona jest tutaj?

- Nie ma jej tu - odpowiedział z uśmiechem Creel.

- Czyżby?

I znów wszyscy się obrócili, żeby zobaczyć, jak na pokład wchodzi Katie. Creel zbladł i patrzył na nią osłupiały.

- Twoi ludzie zabrali na ląd kobietę, którą zabiłeś, chyba twoją żonę. Shaw dokonał zamiany - wyjaśniła Katie. - Nawet nie sprawdzili, kto jest w worku na zwłoki. Byłyśmy mniej więcej tego samego wzrostu i wagi.

Policjant spojrzał uważnie na Creela.

- Pańska żona nie żyje?

- Oczywiście, że żyje. Przeszukajcie jacht, jeśli chcecie. Nie ma jej tu. Odstawiłem ją z powrotem do miasta.

- A jak się tu znalazła Katie? - zapytał Frank.

- Tak samo jak on - powiedział Creel, wskazując na Shawa.

- Wdarli się tutaj bez mojej wiedzy. Katie uniosła złamaną rękę.

- Nadajnika nie było w gipsie. Jest tutaj. - Wskazała na zranione ramię. - Podczas składania kości umieścili go w ranie. - Spojrzała na Shawa. - Przyzwyczaiałam się już do tych sposobów.

- Dlatego wiedzieliśmy, gdzie się znajduje - wyjaśnił agent FBI.

- Potem dostaliśmy alarmujący sygnał od Shawa i wkroczyliśmy do akcji.

- Już się w tym wszystkim pogubiłem - wyznał włoski oficer. - O co tu w ogóle chodzi?

- Ten człowiek... - zaczęła Katie, ale Creel jej przerwał.

- To ona publikowała w Internecie te swoje brednie. A teraz chyba próbuje udowodnić, że jestem jakimś superprzestępcą. To zupełnie niedorzeczne.

- On mnie porwał! - zawołała Katie.

- A ja twierdzę, że to nieprawda. Słowo przeciwko słowu. Trudno to będzie udowodnić.

-Pan Creel buduje w naszym mieście sierociniec - powiedział Włoch.

- Może wam nawet wyłożyć autostrady złotem, gówno mnie to obchodzi - zdenerwował się Frank. - Zabieramy go ze sobą.

- Nie sądzę.

- Kapitanie - odezwał się Creel - zostaję na swoim jachcie. Zadzwoń do swojego prawnika i załatwimy wszystko w normalny, legalny sposób.

- On ma tu nawet łódź podwodną - zauważył Shaw. Creel przewrócił oczami.

- No jasne, ucieknę wam łodzią podwodną. Taki ze mnie James Bond. - Przyjrzał się z bliska Shawowi. - Ale faktem jest, że na jachcie doszło do aktów przemocy. Ten człowiek zamordował mojego osobistego ochroniarza. Spójrzcie na krew na jego rękach i koszuli.

Rzeczywiście, Shaw był cały umazany krwią.

- Wejdźcie na mostek, sami zobaczycie - dodał Creel.

Jeden z policjantów wspiał się po schodach i wrócił z pozieleniałą twarzą, bez przerwy się zegnając.

- Boże, on jest strasznie okaleczony. Kapitan spojrzał na Shawa.

- Czy to pan zabił tego człowieka? - Tak.

- Przynajmniej się przyznał - powiedział triumfalnym tonem Creel.

- Zabiłem w obronie własnej. Przecież sam sobie tego nie zrobiłem. - Wskazał na podrapaną twarz i rozdartą koszulę.

- O tym zadecyduje włoski sąd. Kapitanie, proszę natychmiast zabrać z mojego jachtu tego mordercę.

Kapitan i jego ludzie wyjęli broń. Frank i agenci FBI zrobili to samo.

- Nie - powiedział Shaw. - Pójdę z nimi. Spojrzał na Creela.

- To jeszcze nie koniec.

- Oczywiście, że nie. Wniesiesz jakieś idiotyczne oskarżenia, z którymi rozprawią się moi prawnicy. Ja będę wolnym, kochanym przez cały świat człowiekiem, a ty zgnijesz w więzieniu. Tak właśnie powinna wyglądać sprawiedliwość.

Shaw rzucił się przed siebie i nim zdążono go odciągnąć, objął w niedźwiedzim uścisku Creela.

- Teraz możesz jeszcze dodać sobie do listy napaść - powiedział pozbawiony tchu Creel.

- Spokojnie, Shaw - odezwał się Frank. - Wszystko naprostujemy. A ty... - wskazał palcem Creela - tylko spróbuj zwiać tą swoją łodzią podwodną, śmigłowcem czy statkiem kosmicznym, i będzie po tobie.

- Do widzenia, panowie. Nie mogę się doczekać spotkania w sądzie - odparł lodowatym tonem Creel. Potem spojrzał na Shawa i uśmiechnął się szeroko.

- Zawsze o tobie pomyślę, ilekroć będę spędzał czas na moim jachcie.

Nicolas Creel udał się do swojej prywatnej kajuty. Miał do wykonania mnóstwo telefonów, żeby poukładać cały ten bałagan. Na początek powinien zadzwonić do swoich ludzi, którzy bez wątpienia zakopywali teraz we włoskiej ziemi ciało jego czwartej żony. Jakoś sobie z tym wszystkim poradzi. Zawsze sobie radził. Zajmie to trochę czasu, będzie trochę kosztowało i wymagało pomysłowości i zimnej krwi. Niczego ponad to. Wyjął z pojemnika cygaro i zaczął szukać w kieszeni zapalniczki. Jego palce natrafiły na metalowy przedmiot, ale to nie była zapalniczka. Wyjął to coś z kieszeni. Było cienkie i płaskie. Skąd to się mogło wziąć w jego kieszeni? Przyjrzał się przedmiotowi z bliska. Czyżby była na nim smużka krwi? Poczul jakiś zapach, zapach, który wydał mu się dziwnie znajomy.

Creel nie mógł wiedzieć, że w tej samej chwili Shaw ścisnął w rękę mały nadajnik. Kiedy płynęli policyjną łodzią, Shaw miał już skute kajdankami ręce. Zauważył, jak Katie mu się przygląda, a właściwie nie jemu, tylko jego porwanej koszuli. Tylko ona spostrzegła, że na jego ramieniu brakuje szwów, które założyła mu w Dublinie Leona Bartaroma.

Nad ich głowami przeleciał z rykiem silników śmigłowiec FBI. Shaw spojrzał na morze tam, gdzie zakotwiczył przypominający wielkiego wieloryba jacht *Shiloh*. Shaw nie myślał teraz o zabawkach miliardera kupionych za pieniądze pochodzące z mordowania innych ludzi. Nie myślał też o mistrzach manipulacji, takich jak Pender. Nie przejmował się tym, że trafi do włoskiego więzienia za zabicie Caesara. Nie obchodziła go w tej chwili nawet prawda.

Myślał, że gdzieś tam z wysokiego mrocznego nieba spogląda na niego Anna, może nawet macha do niego. Było sobie dwoje ludzi, którzy się kochali i chcieli żyć razem, ale nie było im to dane. Znaleźli się w samym centrum koszmaru, który zgotowali im inni. Shaw był wściekły i sparaliżowany tą stratą. I nagle, patrząc w wymaglinowaną twarz Anny, poczul w sobie straszliwą moc. Nacisnął przycisk i wyrzucił nadajnik do wody. Creel poczul, że tajemniczy przedmiot zrobił się gorący. I to była ostatnia rzecz, jaką widział i czuł.

Usłyszawszy krzyk i swąd spalenizny, kapitan zbiegł po schodach i wpadł do kajuty Creela. Ale kiedy już się tam znalazł, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą siedział Creel, znajdowała się tylko kupa popiołu i porozrzucane ludzkie kości. Późniejsze ekspertyzy potwierdziły, że były to szczątki ludzkie, choć nawet szczątków nie przypominały. Nikt nie potrafił wyjaśnić, co się właściwie stało. Ani dlaczego Nicolas Creel popełnił samobójstwo, używając do tego skonstruowanego na bazie fosforu białego ładunku wybuchowego.



## ROZDZIAŁ 99

Następnego ranka, opierając się na relacji Shawa, miejscowa policja znalazła na dnie wykopu na budowie sierocińca ciało pani Creel. Chwilę później Shaw został wypuszczony z aresztu. Wyszedł jako wolny człowiek w czystej koszuli i z zszytą na nowo przez wezwanego do więzienia miejscowego lekarza.

Dużo czasu zajęło odkrycie i uporządkowanie wszystkiego, co dotyczyło „czerwonej paniki”, Nicolasa Creela i firmy Pender & Associates. Mimo to największe mocarstwa, w tym Stany Zjednoczone, Rosja i Chiny, jednomyślnie zdecydowały, że opinia publiczna nie może dowiedzieć się prawdy. Każda pojawiająca się informacja na temat wielkiego spisku Nicolasa Creela była natychmiast utajniana. Wydaje się to niemożliwe, a jednak na całym świecie bez przerwy stosuje się takie metody.

Katie, Shaw i Frank oraz inne wtajemniczone we wszystko osoby zostały zobowiązane do zachowania tajemnicy aż do śmierci. Katie nie spodobało się to polecenie.

- Dlaczego mamy trzymać to w tajemnicy? Przecież znów możemy popełnić podobny błąd.

Odpowiedziano jej, że gdyby opinia publiczna dowiedziała się, jak niewiele dzieliło świat od Armagedonu i jak dały się wywieść w pole rządy wszystkich państw, ludzie straciliby zaufanie do swoich przywódców.

- Może to i lepiej - odparowała Katie.

Ustała dopiero wtedy, gdy apelując do jej poczucia patriotyzmu, poprosił ją o to sam prezydent Stanów Zjednoczonych. Ale pozwoliła sobie na uwagę.

- Może następnym razem warto najpierw pomyśleć, nim się coś zrobi.

W końcu świat otrząsnął się po tych wydarzeniach i wszystko wróciło do normy. Może nie był tak bezpieczny jak w czasach zimnej wojny, ale teraz jego bezpieczeństwo nie opierało się na kłamstwach.

Shaw, Katie i Frank polecili do Londynu, gdzie miała być odprawiona msza ku pamięci ofiar londyńskiej masakry. Uczestniczyli w niej rodzice Anny, ale Shaw trzymał się od nich z daleka. Nie chciał, by rzucił się na niego Wolfgang Fischer.

Poleciał jeszcze raz do Durlach, żeby odwiedzić grób Anny. Nie wiedział, że w tym samym czasie w miasteczku pojawili się Katie i Frank i zapukali do drzwi domu Fischerów.

W drzwiach pojawił się postarzały, zmęczony Wolfgang.

- Nazywam się Katie James. A to jest Frank Wells. Wolfgang spojrział na nich podejrzliwie.

- Czego chcecie?

- Muszę wyjaśnić pewne nieścisłości dotyczące Shawa - zaczął nerwowo Frank.

- Nie chcę słuchać żadnych wyjaśnień - rzucił z pociemniałą ze złości twarzą Wolfgang.

- Powinien pan - powiedziała łagodnym tonem Katie.

- Niby dlaczego?

- Bo on na to zasługuje. Zasługuje na kilka słów prawdy. Powinien pan to zrobić dla Anny.

- Dla Anny? Co pani sobie wyobraża?!

- Pańska córka była wspaniałą, piękną i zakochaną w tym człowieku po uszy kobietą. Chciałabym, żeby pan zrozumiał, dlaczego go kochała.

- Wpuść ich, Wolfgang.

Spojrzeli na Nataszę, która stanęła obok męża.

- Wpuść ich i posłuchajmy, co mają do powiedzenia. Ona ma rację. Powinniśmy to zrobić dla Anny.

Frank i Katie weszli do środka i przez następne kilka godzin opowiadali o tym, co naprawdę się wydarzyło.

- Mój Boże! - wykrzyknął na koniec Wolfgang. - Chciałbym się zobaczyć z Shawem. Powiedzieć mu... powiedzieć mu... - Spojrział bezradnie na swoją żonę.

- Powiedzieć mu, co czujemy. Co teraz czujemy. Bo teraz jest inaczej - dokończyła za niego Natasza.

- Tak - przytaknął Wolfgang. - Inaczej.

- Wkładajcie płaszcze - rzekła Katie.



# ROZDZIAŁ 100

Shaw siedział na trawie obok grobu Anny. Właśnie zaczynały żółknąć liście i wiał chłodny wiatr. Dobrze było tak siedzieć, jakby oboje byli żywi. Jej obecność wydawała się prawie namacalna. Miał ochotę zostać tu na zawsze.

Usłyszał, że nadchodzi, nim zdołał ich zobaczyć. Wstał i patrzył, jak zbliża się do niego cała grupa ludzi, na której czele kroczył Wolfgang. Shaw zaczął się ukradkiem wycofywać, gdy wtem dostrzegł Katie i Franka. Zatrzymał się, nie wiedząc, co się właściwie dzieje i co ma począć.

Wolfgang podszedł do niego.

- Ci ludzie - wskazał palcem Katie i Franka - opowiedzieli nam, co się stało.

- Wszystko nam wyjaśnili - dodała Natasza, ujmując jego dłonie. - Przepraszamy za to, jak cię potraktowaliśmy.

- Tak, bardzo nam przykro - wtórował żonie Wolfgang.

Shaw spojrział ostro na Katie i Franka. Frank, żeby uniknąć jego spojrzenia, wbił wzrok w ziemię. A Katie uśmiechnęła się, chcąc dodać mu odwagi.

Wolfgang wyciągnął ramiona i uściśkał serdecznie Shawa, a Natasza objęła ich obu. Po policzkach Fischerów popłynęły łzy. Nawet oczy Shawa zawilgotniały i zaczęły mu lekko drzeć wargi, kiedy tak stali we troje objęci nad miejscem wiecznego spoczynku Anny.

Patrząc na tę scenę, Katie musiała co chwila wycierać napływające do oczu łzy.

W końcu Frank szepnął:

- Nie zniosę tego dłużej. Nie lubię takich sytuacji, Katie. Zaraz sobie wepchnę do ust glocka. - Odwrócił się na pięcie i odszedł, ale Katie mogła przysiąc, że usłyszała jeszcze jego cichy szloch.

Blisko godzinę później poszli też Wolfgang i Natasza.

Katie podeszła do stojącego nad grobem Shawa.

- Dziękuję za to, co zrobiłaś - powiedział ze wzrokiem utkwionym w kopiec ziemi.

- Trzymasz się?

- Jedna moja połowa wie, że Anna nie żyje. A druga... druga nie może tego przyjąć do wiadomości.

- Żaloba to dziwna rzecz. Mówi się, że są różne jej fazy. Ale każdy przeżywa to po swojemu. Człowiek czuje się tak osamotniony, że nie można tego chyba nazwać inaczej niż... osobistym piekłem.

Odwrócił się do niej.

- Straciłaś kogoś? Wzruszyła ramionami.

- Każdy z nas kogoś stracił.

- Miałem na myśli kogoś szczególnego...

Katie otworzyła usta, ale zaraz potem je zamknęła.

- To dlatego tyle pijesz? - zapytał powoli, patrząc na mieniące się kolorami drzewa.

Katie wcisnęła ręce do kieszeni płaszcza i zaczęła czubkiem buta rozkopywać ziemię u swoich stóp.

- Miał na imię Benham. Był małym chłopcem, który powinien wyrosnąć na wspaniałego mężczyznę, ale nie było mu to dane. Z mojej winy. Ja dostałam Pulitzera, a on skończył w grobie nieopodal Kandaharu. - Westchnęła głęboko. - Tak, to dlatego tak dużo piję.

- Nigdy go nie zapomnisz, prawda? Potrząsnęła głową.

- Nigdy. Nie mogłabym. - Zaczęła szlochać.

- Wiem, co czujesz. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Do widzenia, Katie. Uważaj na siebie.

Odwrócił się i odszedł. Za kilka sekund zniknie jej z oczu.

Stała tam sama wśród umarłych. Spojrzała na grób Anny, schyliła się i przesunęła kwiaty bliżej nagrobka. W kilku słowach wyrytych w granicie Katie widziała życie i wspomnienie po wyjątkowej kobiecie, a także obraz mężczyzny, który kochał ją za życia i nie przestał kochać po śmierci.

W końcu wstała, odwróciła się i wolnym krokiem podążyła w kierunku świata żywych. Potem zaczęła biec.

Z oddali usłyszał odgłos kroków. Odwrócił się, kiedy do niego dobiegła, na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Co się stało? Wszystko w porządku? - zapytał.

- Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak się stąd wydostać.

- Mogę cię gdzieś podwieźć. - Spojrzał na zegarek. - Będziemy we Frankfurcie mniej więcej za półtorej godziny. Stamtąd złapiesz samolot do Nowego Jorku. Może zdążysz na późną kolację w swojej ulubionej knajpie.

- Nie chcę wracać do Nowego Jorku.

- Przecież tam mieszkasz.
- Całe życie spędziłam na walizkach. A teraz nie mam pracy.
- Teraz to ci zaproponują, żebyś zastąpiła Christinę Armanpour w CNN.
- Nie chcę.
- A czego chcesz?
- Pojechać z tobą.
- Dobrze, ale dokąd?
- Porozmawiamy o tym po drodze.

Spojrzeni na siebie. Jej oczy błyszczały, ale Shaw wbił wzrok na chodnik.

- Katie, nie mogę... - powiedział z wahaniem. Zasłoniła mu dłonią usta.

- Wiem, że nie możesz, Shaw. Gdybyś powiedział coś innego, po prostu bym stąd odeszła. Nie tego chcę.

- A czego?

Wpatrzyła się w ciemność nocy, potem przeniosła spojrzenie na niego. Kiedy mówiła, łamał jej się głos.

- Jestem alkoholiczką. Bezrobotną. Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Chyba w ogóle nie mam przyjaciół. I jestem przerażona. Śmiertelnie się boję, że to już koniec. A jeśli mi powiesz, że mam iść do diabła, to ja odpowiem ci, że oboje byliśmy w piekle i jest ono rzeczywiście tak okropne, jak je opisują.

Wiatr poruszał liśćmi na drzewach, spokojni mieszkańcy Durlach kładli się już spać, a Shaw i Katie stali w milczeniu i patrzyli sobie w oczy. Było tak, jakby żadne z nich nie miało odwagi, tchu albo ochoty coś powiedzieć.

W końcu Shaw mruknął:

- Chodźmy.

Odwrócili się i ruszyli wyludnioną ulicą. Dokąd? Żadne z nich nie wiedziało.

## NOTA OD AUTORA

NIE CZYTAĆ PRZED SKOŃCZENIEM POWIEŚCI

Termin „zarządzanie percepcją” na dobre zagościł w słownikach. W jednej ze swych instrukcji Departament Obrony podaje nawet jego definicję, należy więc sądzić, że wojskowi traktują rzecz bardzo poważnie. Wiele firm zajmujących się PR-em oferuje także swoje usługi w zakresie zarządzania percepcją (PM - *perception management*), choć niewiele z nich potrafi robić to dobrze. Faktycznie, jeśli chce się osiągać wyjątkowe wyniki w tworzeniu Wielkich Kłamstw, to trzeba się w tym wyspecjalizować.

Ameryka nie ma wcale monopolu na PM; inne kraje również się nim zajmują. Choć zapewne prawdą jest, że najlepsi fachowcy pracują w Stanach Zjednoczonych. Być może dlatego, że tu poprzeczka jest ustawiona wyżej, a i gratyfikacje są większe. Jest to przemysł obracający miliardami dolarów, zarządzany przez wyjątkowo kreatywnych, energicznych i wydajnych ludzi. Niektórzy z nich są ideowcami, inni robią to dla pieniędzy. Tak czy inaczej, podobnie jak w przypadku raka, skutki mogą być dla ludzi takich jak ty czyja wyniszczające.

Wiele z technik opisanych w tej książce to stosowane przez tych ludzi standardowe procedury, nawet jeśli nadałem im inne nazwy. W dzisiejszych czasach niezwykle łatwo przyciągnąć w jednej chwili uwagę całego świata. Wszyscy chyba zauważają, jak szybko wiadomości obiegają świat. Nieprawdę można równie szybko i skutecznie je rozprzestrzenić, tak że nikt się nie zorientuje. Człowiek chce wierzyć. A im łatwiej nas przekonać, byśmy uwierzyli, tym lepiej. Nawet jeśli potem wszystko okaże się sfabrykowane, nikt już się tym nie przejmuje.

Nie odpowiem na pytanie, czy scenariusze opisane w tej książce są oparte na faktach, czy nie. Ale jeśli chciałoby wam się poszukać, to zapewne odkrylibyście pewne podobieństwa pomiędzy realnym światem a tym opisanym w powieści. Niestety, większości ludzi to nie obchodzi. Jesteśmy zasypywani informacjami, rzadko sami informacji poszukujemy. Taki sposób postępowania ułatwia tylko pracę fachowcom od PM. Zabrzmia to może paradoksalnie, ale im więcej otrzymujemy informacji, tym mniej jest w nich prawdy. To jest wojna na wyniszczenie, a ci ludzie są tak dobrzy w tym, co robią, że nikt z nas nie może się z nimi równać. Nawet jeśli kiedyś byliśmy wprowadzani w błąd, to obecnie jesteśmy wprowadzani w błąd na niewiarygodną wprost skalę.

Jeżeli ktoś zarzuciłby mi, że scenariusz w powieści jest przesadzony, to odpowiem, że przeciwnie, potraktowałem temat powściągliwie. Firm zajmujących się PM nie zatrudnia się do błahych spraw. Ci ludzie potrafią wzniecić prawdziwy huragan, a końcowy efekt jest taki, jakby przez świat przeszły tysiące huraganów.

Ktoś może powiedzieć, że spin doktorzy funkcjonują już od bardzo dawna. Ale fachowcy od PM to nie spin doktorzy. Spin doktor to ktoś, kto bierze prawdziwe fakty i tylko

interpretuje je lub przeinacza w wygodny dla siebie sposób. Firmy PM nie przeinaczają faktów. One tworzą fakty, a potem puszczają je w świat. Gdy mamy do czynienia ze spin doktorem, można doszukać się jakiejś prawdy, jeśli z mistrzem PM - nie. A taka jest właśnie (cytując za Markiem Twainem) różnica pomiędzy robaczkiem świętojańskim a błyskawicą.

Wykształcona, dobrze poinformowana opinia publiczna potrafi się obronić przed atakiem PM. Niestety większość nas nie jest wykształcona i dobrze poinformowana. Już sam fakt, drogi czytelniku, że czytasz tę notę od autora, plasuje cię w mniejszości - czytasz książki.

Katastrofalne efekty naszego rosnącego długu publicznego spadną na barki przyszłych pokoleń, a nasza apatia jako obywateli żyjących w demokratycznym państwie może zagrozić podstawom wolności naszych potomków z jednego choćby oczywistego powodu:

Żeby być zupełnie wolnym, trzeba móc panować nad swoim przeznaczeniem. My już nad nim nie panujemy. Możemy jeszcze ten niekorzystny trend cofnąć, ale musielibyśmy się bardzo starać, bo nie będzie to łatwe.